

JESSICA ADAMS

WWW. SAMOTNA POZNA...

Przekład Małgorzata Strzelec

Benowi, bo obietnica to obietnica

1

Kolejny facet, kolejna fryzura. To śmieszne, że zawsze powtarzamy te same czynności - za każdym razem, kiedy się rozstajemy. Nie jestem głupia, widzę tę prawidłowość. Wystarczy, że zerknę do swoich albumów ze zdjęciami:

Rok: 1985

Facet: Greg Daly, zapalony turysta.

Problem: Anna Liza Jakaśtam, niemiecka studentka, która przyjechała w ramach wymiany. Też zapalona turystka. Dwa miesiące później: Rozzochrane włosy w stylu panienek z Bananaramy.

Rok: 1987

Facet: Phillip Zebruscki, który miał ochotę na seks dwa albo i trzy razy dziennie.

Problem: Mówił o mnie „Przylepa”.

Cztery dni później: Wymodelowana grzywka a la księżna Diana.

Rok: 1990

Facet: Jamie Streeton, Amerykanin zwariowany na punkcie baseballu.

Problem: Byłam dla niego zbyt oziębła. Cztery dni później: Nieszczęsna trwała domowej roboty.

Rok: 1993

Facet: Leon Mercer, wieczny student - radykał. Problem: Potworna awantura, gdy pożyczyłam sobie trochę forsy z puszki loteryjnej Socjalistycznej Partii Pracy, żeby kupić czekoladę Toblerone.

Miesiąc później: Fryzura „Zrób to sam”, wykonana za pomocą kuchennych nożyczek.

Rok: 1994

Facet: Anthony Anderson, de facto „partner”, w przyszłości potencjalny mąż.

Problem: Bawił się pilotem telewizyjnym, spędzał przed lustrem więcej czasu ode mnie, zawsze przed wyjściem pytał mnie, jak wyglądam, nigdy nie pamiętał imion moich znajomych i zwykle prał swoje puchowe kurtki w pralce razem z piłeczkami tenisowymi, żeby były jeszcze bardziej puchate. Przez cały czas nurkował z akwalungiem, mówił o nurkowaniu

z akwalungiem i wieszal kalendarze o nurkowaniu z akwalungiem. Na dodatek na samochodzie miał naklejkę „Płetwonurkowie robią to naprawdę głęboko”. Nie dość, że wierutne kłamstwo, to jeszcze wstrętne naklejka. Tydzień później: paż a la Linda Evangelista.

Jeśli mam być ze sobą zupełnie szczerą, to muszę przyznać, że zmiana fryzury ani razu nie pomogła. Kiedy po odejściu Phillipa Zebruskiego zafundowałam sobie grzywkę jak księżna Diana, wpadłam w jeszcze większą depresję. Cuchnęłam pianką do włosów. Miesiącami nikt się do mnie nie zbliżał.

Kiedy obcięłam się na pazia a la Linda Evangelista zaraz po tym, jak rzuciłam Anthony’ego Andersona - Pieprzonego Płetwonurka - i naszą małą furgonetkę, nie umówiłam się z nikim przez całe dwa lata. A jednak teraz też muszę zmienić fryzurę. Muszę znowu poczuć się jak nowo narodzona. I tak jak wszystkie kobiety ze złamanym sercem, potrzebuję tych wszystkich rytuałów. Nowej fryzury, nowego życia - wiecie, jak to jest.

I chyba powinnam jeszcze zmienić kolor włosów. Tym razem będą bardzo krótkie i bardzo rude. W końcu naprawdę chodzi o to, żebym wyglądała zupełnie inaczej od tego, co miałam ostatnio. Może dla odmiany będę robiła wrażenie ostrej panienki. Potrzebuję takiej obrony, jeśli miałabym kiedyś wpaść na ulicy na Dana. Albo na Dana z nową kobietą. O Boże! Na samą myśl o spotkaniu Dana z nową kobietą...

To chyba jest najgorsze w rozstaniu. Zadziwiająca łatwość, z jaką potrafisz sobie wyobrazić mężczyznę, który jeszcze kilka tygodni temu trzymał cię za rękę, jak wsuwa język w usta twojej następczyni. I muszę powiedzieć, że jest to takie łatwe, bo rzeczywiście tak się dzieje. Zawsze. Zdarza się to mnie i moim przyjaciółkom. To po prostu cienie samotnego życia.

W końcu kilka miesięcy po tym, jak wyprowadziłam się z naszego mieszkania, ktoś widział Anthony’ego Pieprzonego Płetwonurka z jakąś biznesmenką. Wystarczyło pięć minut, żebym wypadła z roli niby szczęśliwej niezależnej, którą z takim poświęceniem odgrywałam.

Do tego momentu wszystko miałam poukładane. Częściej spotykałam się z ludźmi, bardziej się starałam, rano dłużej nakładałam podkład, bo jak jesteś sama, to możesz sobie na to pozwolić. A potem ktoś go zobaczył z tą kobietą i zazdrość dosłownie zaczęła mnie zżerać. Pomyślałam nawet, że dostanę od tego raka.

Chociaż wiedziałam, że nie pasujemy do siebie z Anthonym, i chociaż Bóg jeden wie, ile czasu przegadałam z przyjaciółkami przez telefon, narzekając na niego, i kiedy odchodziłam, nienawidziłam go tak bardzo, że rzucałam jego fajkę do nurkowania po całej sypialni... to gdy zaczął się prowadzić z tamtą, chyba jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie pragnęłam Anthony’ego, Pieprzonego Nurka.

I robiłam to, co zwykle. Dzwoniłam i rzucałam słuchawką. Znajdowałam najbanalniejsze, najmniej osobiste rzeczy, na przykład rachunki Anthony'ego, zabierałam je ze sobą do pracy, żeby móc nad nimi wzdychać w porze lunchu. I wiecie co? Znowu będę to robić. Bo o Danie, mojej miłości, mojej jedynej miłości, jedno wiem na pewno: uporanie się z naszym rozstaniem zajmie mu nie więcej niż kilka tygodni. Teraz, kiedy ja odpadłam, pojawi się inna. To naprawdę tylko kwestia czasu, zanim ktoś zobaczy ich razem i zadzwoni, żeby mi o tym powiedzieć. Albo - co gorsza - sama ich zobaczę.

Dziś rano u fryzjerki kłębi się tłum, a obok mnie robią na bóstwo jakąś pannę młodą. To niesamowite widzieć, jak wszyscy się wokół niej kręcą. Jakaś część mnie chce do niej podejść i zapytać, jak, do cholery, udało jej się złapać faceta, a inna - co muszę przyznać ze wstydem - wolałaby zerwać się z krzesła i zwymiotować na jej białe, zamszowe pantofelki.

Zastanawiam się, czy Dan był moją ostatnią szansą. Statystycznie rzecz biorąc, nie. Uwzględniając aktualny odsetek rozwodów (Hilary, która jest sama tak jak ja, spędziła ostatnio pół nocy, obliczając to dla mnie), co trzecia samotna kobieta, w wieku od trzydziestu do trzydziestu ośmiu lat, ma szansę poderwać zdesperowanego, mniej więcej czterdziestopięcioletniego rozwodnika.

Być może powinnam wskoczyć na czarne obrotowe krzesło i obwieścić wszystkim samotnym kobietom u fryzjera tę dobrą nowinę. Nie wyłączając blondynki z folią aluminiową na głowie, która ewidentnie kłamała, gdy powiedziała fryzjerce, że dziś wieczorem ma randkę. Ani druhny, która przysłała z panną młodą, żeby dodać jej otuchy. Dobrze wiem, co teraz myśli: Czy i mnie kiedyś się to przytrafi? Kiedykolwiek? Nawet w 2040 roku? Czy na mnie też gdzieś czeka para białych, zamszowych pantofelków?

Wiem, że Hilary ma rację, gdy mówi o rozwiedzionym facecie około czterdziestki, który gdzieś tam istnieje. Jako bibliotekarka całkiem dobrze zna się na statystyce. Martwi mnie jednak, że kiedy już go spotkam, nie uda mi się w nim zakochać. W nim ani w żadnym innym. Natomiast niewątpliwie kochałam Dana. I nadal go kocham. Ile trzeba mieć lat, żeby w końcu nauczyć się szybciej lizać rany?

Hilary chce, żebym mówiła o nim Obmierzły Prawnik z Leichhardt, bo nazywanie kogoś w ten sposób zawsze przynosi ulgę. Ale to nie działa. A może Hilary powinna być przy mnie, żebym mogła poćwiczyć. Wciąż jest dla mnie po prostu Danem. I tak jak na początku, jakbym była chorą z miłości czternastolatką, mam ochotę na kartce wypisać jego imię wielkimi drukowanymi literami z mnóstwem serduszek dookoła.

Na razie nie płakałam, a od tego trzeba było zacząć. Na swoich urodzinach tak się zalałam, że myślałam, że się poryczę, ale nic z tego. Pewnie dlatego, że wszyscy tego właśnie

się po mnie spodziewali. Ludzie praktycznie mi to uniemożliwiali: ściskali mnie, mamrotali coś o tym, w jak niewłaściwym momencie odszedł Dan (tak, wiem, to potwornie nudne), powtarzali, że wszyscy mężczyźni to świnie i że ulżyłoby mi, gdybym sobie popłakała. Pamiętam, jak słuchając ich bardzo spokojnie pojadałam *nachos* i pociągałam wódkę z tonikiem. Według oficjalnej wersji wydarzeń, nic nie czułam.

Pamiętam tylko, że strasznie się pociłam, chociaż nie płakałam. Być może ocean alkoholu, jaki pochłonełam, sprawił, że łzy spływały mi spod pach.

Pamiętam jeszcze, jak po pijaku dyskutowałam z Hilary - po tym jak Dan zerwał ze mną, po tym jak wyszedł z przyjęcia, po tym jak pojechał do domu - o głupocie Matki Natury. Po co miłość jeszcze trwa, skoro w żaden sposób nie służy ludzkości? W tej chwili nie ma ze mnie żadnego pożytku, jeśli idzie o przetrwanie gatunku. Nie wykorzystuję swoich narządów rozrodczych. A ponieważ wciąż Kocham Dana, nie zaś kogoś z armii rozwiedzionych czterdziestokilkulatków, nie wygląda na to, że w najbliższym czasie miałabym z nich skorzystać. Dostałam od natury wielki dar emocjonalnego przywiązania, tylko nie mam do kogo się przywiązać. Gdzie tu sens, do cholery?!

Wiem, że minęło dopiero czterdzieści osiem godzin, odkąd Dan odszedł, a objawy wciąż się utrzymują. Podskakuję, gdy dzwoni telefon, pędzę na złamanie karku, wyskakuję naga spod prysznic, wszystko po to, żeby odebrać telefon Dana. Zawsze jednak okazuje się, że po drugiej stronie jest ktoś inny. To już nigdy nie będzie on. Tak to jest przy rozstaniu, prawda? Na każde przyspieszone bicie twojego serca, gdy dzwoni telefon, przypada jedna minuta jego zupełnej bez troski, niezależnie od tego, gdzie się akurat znajduje. Tobie serce wali jak młotem i lecisz do telefonu, a on powoli miesza kawę gdzieś na drugim końcu miasta.

Machinalnie piszesz jego imię na ulotce z pizzerii, bez końca mówisz o nim z ludźmi, którzy widzieli go dwa razy w życiu, i krzywią się, kiedy o nim wspominasz. On tymczasem... nic nie robi. To znaczy robi to, co zwykle. Po prostu nie myśli o tobie za wiele, i tyle.

Wyobrażałam sobie też, jak Dan zdejmuje stanik jakiejś prawniczce. Bardzo powoli i czule. Dobry Boże, nawet widzę ten stanik! W szkocką kratkę, z białą falbanką. Ta prawniczka jest inteligentniejsza ode mnie. Od szesnastego roku życia nosi czwórkę. Ma własny dom. Regularnie chodzi na siłownię.

Wiem, powinnam nad sobą panować, bo skończę jak Hilary podczas Szalonego Miesiąca. Miała Szalony Miesiąc w sierpniu zeszłego roku, kiedy pewien bibliotekarz z jej pracy (to był megalomaniak: on był z działu dla dorosłych, ona z działu dla dzieci) z nią zerwał.

Tak naprawdę był zbyt miły, żeby z nią zerwać. Zabrał ją na nocną wyprawę do zoo i powiedział, że ma nadzieję, że dalej będą codziennie rozmawiać przez wewnętrzny telefon, bo sprawia mu to wielką przyjemność, i że naprawdę chce, żeby zostali przyjaciółmi, i że bardzo mu na niej zależy, bo jest taką wspaniałą osobą. A potem pozwolił, aby tonąc we łzach, pobiegła szukać taksówki. Prawie przy tym wpadła pod samochód.

W efekcie Hilary miała Szalony Miesiąc. Kierownik działu dziecięcego biblioteki musiał przesłać jej wiadomość przez gońca, bo nie mógł się dodzwonić.

Okazało się, że Hilary spędziła cały ten trudny czas leżąc w łóżku i wydzwanając do wszystkich wrózek, których ogłoszenia znalazła na tylnych okładkach kobiecych czasopism (ukradła je z biblioteki, co wyszło na jaw dopiero później). Pokazała mi potem wyciąg z karty kredytowej. Trzysta osiemdziesiąt dolarów wydanych tylko po to, żeby dowiedzieć się od dziesięciu różnych jasnowidzów i tarocistów, że facet z działu dla dorosłych już nie wróci.

Pamiętam nawet, jak któregoś razu zajrzałam do niej i odkryłam że nosi różowy szlafrok frotte tak długo, że przy kołnierzyku zaczął już brązowieć. Biedactwo - odrywała wierzchy z delicji i wyjadała ze środka galaretkę. Resztę wyrzucała.

Tak właśnie wygląda Szalony Miesiąc. W moim wypadku chodzi o obcinanie włosów, w wypadku Hilary rozmowy z wrózkami przez telefon. Reszta moich przyjaciółek robi równie ciekawe rzeczy: począwszy od odgrążania się, że na wtykają byłemu facetowi krewetek do tyłka, po lot do Ameryki, żeby wziąć udział w seminarium z cyklu „Mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus”. Nie wiem, co robi Jodie po zerwaniu. Może istnieje jakaś grupa wsparcia dla porzuconych lesbijek, bo mają grupy wsparcia chyba na każdą okazję.

Jedno pamiętam z przyjęcia, to, że zaciągnęłam Jodie do kąta i zapytałam ją - z całą powagą - czy uważa, że mogłabym kiedyś przejść na Drugą Stronę.

Wiele lesbijek na jej miejscu zwyczajnie by mi przyłożyło. Tymczasem pamiętam, że Jodie wytrzeszczyła tylko te swoje rybie oczka, a potem poszła po następnego drinka dla mnie i talerz chipsów kukurydzianych.

Chociaż byłam pijana i żartowałam, niewykluczone, że jakaś, część mnie traktowała to pytanie całkiem serio. Jodie wszystko idealnie się układa. Ma jeśli sądzić z wyglądu - gorącą dziewczynę, która ponadto robi świetne wegetariańskie makarony. Kiedy Jodie potrzebuje prawnika, dostaje kogoś z mafii lesbijek. Gdy chce się i przeprowadzić, może skorzystać z listy miejsc noclegowych tylko dla kobiet. One nawet znalazły jej pracę - w centrum odnowy biologicznej w charakterze naturopaty. To niewiarygodne. Bycie lesbijką to jak wstąpienie do marynarki albo czegoś w tym stylu. Wszystko w życiu masz już zapewnione.

Nawet kiedy Jodie nie miała dziewczyny, nigdy nie spędzała w domu sama sobotnich wieczorów. Wystarczyło, żeby przyłączyła się do czegoś takiego jak siatkówka dla nudystów albo wzięła udział w akcji „Kobiety na rowery” i już miała zorganizowane życie towarzyskie na miesiąc naprzód.

Niestety, w moim przypadku rodzice popełnili wszystkie możliwe błędy wychowawcze. Chociaż się rozwiedli, torując tym samym drogę pewnemu zamieszaniu w tradycyjnym podziale ról seksualnych, to jednak nadal jestem zwyczajnie heteroseksualna.

Pewnie to samo myślicie, kiedy zmieniacie fryzurę. Instynkt sprawia, że nie pokazujecie fotografii K. D. Lang, kiedy fryzjerka pyta, czego sobie życycie. Powinnam była zrozumieć już wieki temu, że nigdy nie dałabym rady jako lesbijka. To prawda, rozwiązałyby to wszystkie moje problemy. A jednak nie mogę zmienić orientacji. Co one takiego mogą w łóżku, co nie wymagałyby całej ciężarówki drogiego sprzętu?

Właściwie to śmieszne. Jodie i Hilary powiedziały, że wpadną dziś rano do fryzjerki, żeby się ze mną przywitać - czytaj f upewnić się, że się nie utopię w umywalce z powodu załamania nerwowego. Żadna jeszcze sienie pokazała, co pewnie oznacza, że zboczyły do kawiarni i właśnie o mnie rozmawiają. W porządku, nie mam im tego za złe.

Od tego są przyjaciele - przygotowują ci terapię za twoimi plecami. Jedyne, co łączy Jodie i Hilary, to ja, niech więc mają z tego jakieś korzyści.

Widzę oczami wyobraźni. Hilary w stroju, który zawsze nosi po pracy: granatowy sweter, noszony przez cały tydzień, spodnie od dresu i długie wiszące kolczyki. A Jodie z krzywo narysowaną kreską na powiece - jak zwykle, gdy ma kaca - i w koszulce z Johnem Travoltą. Hilary będzie piła cappuccino i jadła tost z rodzynekami, Jodie zamówi tylko miętową herbatę. Hilary powie:

- Nie ufałam Danowi od samego początku. A Jodie stwierdzi:

- Biedna Victoria, zawsze trafia na takich, którzy boją się stałych związków.

Mimo to Jodie w gruncie rzeczy lubiła Dana. Oczywiście nie przyzna się do tego przed Hilary, nie w tak decydującej fazie babskiej rozmowy. Ale kiedy pewnego sobotniego popołudnia zaciągnęłam Jodie na mecz Dana, sama przyznała, że facet ma jaja. W jej ustach to prawdziwy komplement.

Muszę przyznać, że nie ma - przepraszam - nie było nic bardziej seksownego od Dana tuż po meczu. Zawsze miał wtedy wilgotne włosy po prysznicu, zaróżowioną wyszorowaną skórę, pachniał żelem cytrynowym i uosabiał samo zdrowie. Po grze był tak zmęczony i posiniaczony, że zwykle po prostu na mnie padał. To było niesamowite.

A kysz, złe myśli! Naprawdę muszę przestać. Tylko że o niczym innym oprócz niego

nie mogę myśleć. Piekielna panna młoda zgarnęła wszystkie porządne czasopisma i został mi tylko katalog Ikei upstrzony obciętymi kosmykami.

No i zaczynam się martwić o moją głowę. Szczypie mnie skóra i mam czerwoną farbę na uchu. Jeśli nikt jej zaraz nie wytrze, to może mi na stałe zostać taka plama.

W zakładach fryzjerskich powinny być race, żeby w razie czego można było jedną odpalić. W stołówce można przynajmniej brzęknąć tacą o kontuar albo zadzwonić małym okrągłym dzwonkiem przy kasie. Może powinnam zacząć kręcić głową jak opętana? Albo się rozpłakać?

Po tym wszystkim powinnam wreszcie zabrać się do pracy. W piątek byłam kompletnie bezużyteczna. Kac, złamane serce - wszystko naraz. Mam nowe zlecenie, nad którym powinnam popracować - od producenta płatków Breakfast Grits. Chce do każdego opakowania dołączyć frisbee w kształcie swoich. To jedno z tych prostych głupich zadań, które powinnam załatwić w dziesięć minut. W piątek jednak napisanie notki o frisbee z Breakfast Grits było dla mnie jak spłodzenie *Wojny i pokoju*.

Czasem życie jest w tak idiotyczny sposób okrutne. Nie mogę wprost uwierzyć, że sobotnie popołudnie spędzę przy komputerze w pracy, w otoczeniu sprzątaczek, myśląc o tym, co rymuje się z Grits. No i popsuła się moja automatyczna sekretarka. Właśnie wtedy, kiedy jej najbardziej potrzebuję. Nawet gdyby po czterdziestu ośmiu godzinach Dan radykalnie zmienił decyzję (muszę przestać na to liczyć), nie mógłby mnie złapać.

Uważam, że każdy, kto został porzucony, powinien mieć automatyczną sekretarkę. Męki, które przechodzi się bez niej, są zbyt wielkie dla człowieka. Pamiętam, jak Hilary spędziła przy telefonie tydzień, i czekając, aż zadzwoni jakiś Hindus, z którym chodziła na kursy gotowania curry, trochę się zabawiła.

Za każdym razem, kiedy ktoś dzwonił, okazywało się, że to nie on. W końcu dała sobie spokój i zapisała się na następne zajęcia - na jogę albo coś takiego. I pewnego wieczoru, kiedy nie było jej w domu, on zadzwonił. Nie raz, ale trzy razy. A potem doszedł do wniosku, że to znak, omen mówiący, że powinien jej unikać, dał więc sobie spokój.

O tych trzech telefonach dowiedziała się rok później, kiedy wpadła na niego przypadkiem na jakiejś imprezie. Zdażył się zaręczyć. A ona ciągle nikogo nie miała. Po tej historii znalazłam na bazarze używaną automatyczną sekretarkę i podarowałam ją Hilary na Gwiazdkę.

Inna głupia rzecz, która wiąże się z rozstaniem, to świadomość, że już nikt niczego ci nie zreperuje. Wiem, Jodie uważa, że to okropne tak myśleć, ale mam to w nosie. Nie potrafię naprawić samochodu, nie umiem dostroić telewizora, nie znam się na wiatraczkach w

piekarniku, nie wiem, jak podłączyć sprzęt grający.

Teraz, kiedy Dan odszedł, moją jedyną nadzieją jest Bill, spec komputerowy, który wprowadził się do mieszkania nade mną. Gdy zajął do mnie, mruknął coś o tym, że rzuci okiem na robota kuchennego, który leżał na boku na blacie w kuchni zapchany batonikiem Mars.

Podejrzewam, że z automatyczną sekretarką też by sobie poradził. Wygląda na takiego. Muszę tylko być bardzo ostrożna. Mogę dawać mu najwyżej jedną zepsutą rzecz na miesiąc, bo inaczej nasze stosunki też się popsują.

Za to pewnie chętnie pomoże mi przy moim nowym komputerze. Ojciec, jak go znam, zapomniał przysłać instrukcję obsługi. Prezent przyleciał prosto z jakiegoś sklepu z komputerami w Los Angeles razem ze zwyczajną, dość nijaką kartką z życzeniami urodzinowymi. Ojciec napisał, że mam się otworzyć na świat, założyć sobie Internet i stać się kobietą lat pięćdziesiątych. Tyle.

To jeszcze jedna rzecz, którą oprócz nudnej heteroseksualności odziedziczyłam po rodzicach. Zupełna bezradność w obliczu techniki. Nie skarżę się z powodu laptopa. Wszyscy znajomi zazdrościli mi, kiedy go rozpakowałam. Prawdopodobnie przez chwilę Dan zastanawiał się nawet, czy ze względu na laptopa nie warto zostać ze mną jeszcze miesiąc, może dwa...

Chodzi o to, że komputery mnie przerażają. Moja rodzina ma dwie lewe ręce do wszystkiego, co ma związek z techniką, a to znaczy, że nikt niczego nie potrafi zrobić, nawet włożyć dobrze baterii do latarki. Kiedy w agencji dali mi mój pierwszy komputer, miałam zwyczaj wyjmować wtyczkę z kontaktu, żeby go wyłączyć. Następnego dnia dziwiłam się, że przepadł cały tekst, który zdążyłam napisać.

Na szczęście moja matka - największa techno pierdoła w domu - ma teraz dość pieniędzy, żeby płacić za wszystko fachowcom. Nawet za wymianę żarówek, które swego czasu siedziały w lampach jeszcze długo po tym, jak się spaliły. Za to ojciec nie potrafi nawet posługiwać się skuterem wodnym swojej dziewczyny. Kiedyś przysłał mi z Los Angeles na urodziny jakąś futrzaną zieloną kulkę z budzikiem w środku. Przez dwa lata to coś leżało pod moim łóżkiem, wciąż w opakowaniu, aż któregoś dnia Dan wykopał to przez okno.

Mam nadzieję, że przynajmniej mój nowy komputer do czegoś się przyda. Oderwie mnie od smutnych myśli (gdybym nie znała mojego ojca tak dobrze, pomyślałabym, że wszystko to zaplanował). Jodie nie może się doczekać, aż podłączę go do Internetu, bo chce zajrzeć na stronę Ellen de Generes. No i będę mogła przez cały dzień wysyłać Hilary emaile (to o wiele lepsze niż telefon - koniec z wyrzutami kierownika biblioteki).

Hilary i Jodie jeszcze nie ma, a to znaczy, że musiały zablądzić. Albo zdecydowały się pójść na mecz Dana i pogadać z nim osobiście. Pamiętam mgliście jakąś imprezę z morzem alkoholu zaraz na początku historii z Danem. Hilary przyrzekła mi wtedy, że jeśli tym razem sprawy wezmą zły obrót, własnoręcznie go wypatroszy. Przypominam sobie nawet, że powiedziała coś naprawdę wzruszającego, coś w stylu:

- Victoria, dość już się nacierpiałś!

To słodkie. Mówimy sobie takie rzeczy cały czas. Ale wszystkie dość się nacierpiałymy jeszcze przed trzydziestką. Jeśli patrzeć na całą sprawę realistycznie, Dan miał taką samą szansę na to, żeby okazać się tym Jedynym, co cała reszta facetów. Oto jak wygląda rachunek prawdopodobieństwa.

Jestem wykształconą samotną białą kobietą. Jedną z tych, które nigdy nie wyszły za mąż. To tak, jakby rzucić kostkami i mieć nadzieję, że - na miłość boską - wypadną same szóstki.

Uwielbiam telefony od ojca z Los Angeles, w których daje mi rady na temat związków.

- Victoria, nie możesz za każdym razem szukać ideału. On nie istnieje. Po prostu znajdź sobie miłego faceta, bądź z nim szczęśliwa i ble, ble, ble.

To wspaniale słyszeć coś takiego od mężczyzny, który nie potrafił utrzymać własnego małżeństwa na tyle długo, żeby odchowić dzieci. To znaczy, powinnam powiedzieć dziecku. Mnie.

Ojciec jednak nie zdaje sobie sprawy z presji. Nie mam wątpliwości co do tego, że teraz jest o wiele gorzej niż w latach pięćdziesiątych albo pod koniec XIV wieku czy kiedy tam on i mama popełnili tę straszną rzecz. Odkąd skończyłam cztery lata, wszystko kręciło się wokół „żyli długo i szczęśliwie”. Razem. Nigdy samotnie. Tylko z nim. Z tym Jedynym.

Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek ktoś dał mi książkę z serii „Poczytaj mi, mamo” z bajką o pięknej dziewczynie, która pisała teksty reklamowe. Co i raz rozstawała się z jakimś mężczyzną, aż w końcu zdecydowała się resztę życia spędzić w seryjnej monogamii, z przerwami na okresy celibatu i masturbacji.

Nic się nie zmieniło. Co dwa miesiące mamy w agencji jakąś kampanię dla banku. Muszę znosić dyrektora od marketingu (zdradza żonę) i szefa grafików (dochodzi do siebie po drugim rozwodzie), pokazujących mi zdjęcia roześmianych par. Dostajemy modeli i modelki, przeprowadzamy casting, potem każemy im udawać, że są małżeństwem, stawiamy ich na progu domu napisem „Na sprzedaż” przy frontowej ścianie, robimy zdjęcia i dołączamy je do broszurki reklamującej nową formę kredytu.

To musi być miłość. I małżeństwo. Najwyraźniej nic innego na tym świecie nie wystarczy. Tylko w jednym wypadku wybieramy samotną kobietę - gdy agencja zajmuje się reklamą środka przeczyszczającego. I zawsze trafia nam się taka, która wygląda na przygnębioną.

Jeśli mam być szczerą, muszę przyznać, że dałam się oszukać, tak jak wszyscy inni. Kiedy w drugiej klasie szkoły podstawowej w Littlewood pani Goble czytała nam bajkę, ścisłałam mocno uda razem i wołałam zaryzykować, że się zsiusiam na dywan, niż że przegapię moment, kiedy przystojny księżę przybywa wreszcie po Kopciuszka.

W szkole średniej, jeśli nie miało się chłopaka, było się nikiem. Pamiętam Evę, matematycznego geniusza. Zawsze dostawała z testu sto punktów na sto możliwych i jedyny chłopak w całej klasie, który chyba ją lubił (oczywiście geniusz nauk przyrodniczych), nigdy się do niej nie zbliżył bo wtedy odsunęliby się od niego wszyscy koledzy. Eva była miła naprawdę. Jej wadą - o ile pamiętam - był wieczny rumieniec na policzkach.

Była jedyną osobą z całej szkoły, która bez egzaminu dostała się na studia medyczne. Była jedyną dziewczyną, która wygrywała wszelkie zawody pływackie (reszta paliła). Wciąż jednak pamiętam, jak na obozie szkolnym płakała w poduszkę. Graliśmy późno w nocy w butelkę. Ktoś, komu wypadła właśnie Eva, zapytał ją, czy w ogóle kiedyś w życiu kogoś pocałuje.

Nawet dziś, gdy to sobie przypomnę, wstrząsają mną dreszcze. A teraz, kiedy ma się trzydziestkę na karku, jest zupełnie tak samo jak w wieku trzynastu lat. Nie masz chłopaka, to nie masz nic.

Znam tylko jedną dziewczynę ze szkoły, która wyszła za mąż - Helenę Chettle. Nigdy nie była tak nudna jak teraz, w piątym roku błogosławionego dziećmi małżeństwa. Wiem, że co trzecia osoba rozwodzi się i że to jest totalna klęska. Dobrze to wiem. Jednak począwszy od bajek z cyklu „Poczytaj mi, mamo”, a skończywszy na broszurkach bankowych, dałam się wszystkim oszukać. Nic poza białym welonem i dzieciakiem w spódniczce w kratkę mnie nie zaspokoi.

Może powinnam wysłać fryzjerkę z ukrytym mikrofonem i serią pytań do panny młodej, która teraz siedzi w kącie. Ktoś musi mi powiedzieć, jak to się robi. Bóg jeden wie, że moi rodzice w tym mi nie pomogą.

Pytanie pierwsze: Powiedz mi, o panno młoda, skąd wiedziałaś, że to ten Jedyne?

Pytanie drugie: A może udajesz, że to ten Jedyne ze względu na hipotekę?

Pytanie trzecie: Skąd wiesz, że będziecie chcieli kochać się ze sobą aż do śmierci (statystyka: Hilary), czyli do około osiemdziesiątego piątego roku życia?

Pytanie czwarte: Jeśli będzie miał romans, odejdziesz od niego czy przymkniesz na to oko? Pytanie piąte: Dlaczego panny młode zawsze zakładają białe buty? Czy jeżeli założą się martensy, automatycznie oznacza to rozwód?

I jeszcze jedno pytanie, które chciałam jej zadać, a na które nie odpowiedziałyby mi nawet za milion lat: Co zrobić, jeśli myślisz, że to ten Jedyny, a on cię nie kocha? Tak właśnie było z Danem. To straszne, ale taka jest prawda. Tym razem jest zupełnie inaczej niż z Anthonym Andersonem Pieprzonym Płetwonurkiem. I chyba zrozumiałam to, kiedy opiekowałam się psem matki Dana.

Zabrzmiało to idiotycznie, ale naprawdę właśnie tego typu rzeczy zwykle prowadzą do katastrofy. W końcu sprawa z psem mogła stać się elementem litanii powodów przemawiających za rzuceniem Dana. Już widzę, jak opowiedziałabym o tym Hilary i Jodie.

- Okazał się takim egoistą, że zwałił na mnie wszystkie swoje obowiązki domowe, ble, ble, ble.

Fakt, że Dan poprosił mnie, żebym zaopiekowała się psem jego matki, gdy on wyjechał z rodziną na wakacje na Bali, mógł stać się punktem wyjścia do analizy jego kompleksu Edypa. Albo czegoś w tym guście.

A mnie to pochlebiło. Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy powiem mu, że się zgadzam. Zaproponowano mi opiekę nad - z trudem mogę wymówić to słowo - Orzeszkim. To jakby uznano mnie za członka rodziny. Naprawdę chciałam nim zostać. Marzyłam, żeby moje zdjęcie stało na pianinie obok fotografii całego tabunu żon braci Dana. Kiedy pies w końcu się zjawił (a ja nie znoszę durnych białych pudli z brązowymi łatami na zadku), nie mogłam się wręcz doczekać, żeby iść z nim na spacer, bo to prawie tak, jakbym wyszła z Danem. Gdy mój kochany zadzwonił z Bali, z matką uwieszoną na jego ramieniu, podniosłam nawet psa, żeby przychnął w słuchawkę, czyli powiedział im dzień dobry. Podejrzewam, że kiedy na dobre pogodzę się z odejściem Dana, będzie mi się robić niedobrze na myśl o tej historii. Na razie jednak daleko mi do tego. Niestety.

To jeszcze nie wszystko, rzecz jasna. Byli też koledzy Dana ze szkoły, nauczyłam się ich lubić, mimo że byli strasznymi kretykami. Poza tym Dan podkradał jedzenie w restauracjach - beztrąsko częstował się wszystkim, co znalazło się na moim talerzu. Hilary zwykle przewracała wtedy oczami, ale ja nauczyłam się to kochać. No i jego gust jeśli idzie o buty (fluorescencyjne sandały!). Zmusiłam się do udawania, że mi to nie przeszkadza. A najdziwniejsze, że to wszystko nie miało żadnego znaczenia. Po prostu kochałam go całego, łącznie z psem jego matki, okropnymi znajomymi, podjadaniem w restauracjach, sandałami - ze wszystkim.

Myślę, że w wypadku Dana zrobiłam coś, czego nigdy nie zrobiłabym, gdyby chodziło o innego faceta: zgodziłam się, żeby każda skaza, wszystkie irytujące mnie sprawy, wszystkie smutki, jednym słowem - cała rzeczywistość docierała prosto do mojego serca.

Wiedziałam, że Dan nigdy nie zostanie prawnikiem z prawdziwego zdarzenia. To mi nie przeszkadzało. Wiedziałam też, że nigdy nie pozbędzie się obsesji na punkcie ojca kretyna. Nie ma sprawy. Po raz pierwszy w życiu usłyszałam w radiu piosenkę Billy'ego Joela *love you just the way you are* i nie miałam ochoty wyrwać anteny z odbiornika ani go roztrzaskać. Naprawdę rozumiałam, o czym ten facet śpiewa. Ta piosenka stała mi się bliska!

I co mnie za to wszystko spotkało? Dan nawet nie poczekał z odejściem, aż przyjęcie z okazji moich trzydziestych urodzin oficjalnie się zakończy. Co więcej, mam wrażenie, że wszystko sobie zaplanował. Kartka z mnóstwem nabazgranych pospiesznie idiotyzmów o szacunku i głębokiej sympatii, o tym, jaką wspaniałą starszą panią kiedyś będę, i o tym, że za trzydzieści lat chciałby nadal mnie znać, i o starej bransoletce, o której wie, że chciałabym mieć...

To była jedna z tych urodzinowych kartek, w których można czytać między wierszami. I tak właśnie zrobiłam.

Dwadzieścia minut przed momentem, gdy wręczył mi życzenia, był panem Być może, tym Jedynym, z którym mogłabym planować przyszłość. Potrafiłam wyobrazić sobie, jak zakładam buty do rugby jego synowi i jak pozwalam jego córce, żeby biła go piąstkami po głowie. Krótko mówiąc, uważałam go za tego Jedynego. Dwadzieścia minut po dostaniu kartki miałam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg. Dla mnie Dan mógł być tym Jedynym, aleja z pewnością byłam kimś zupełnie innym dla niego. Panienką? Przyjaciółką? Kimś, kto w teleturnieju weźmie na siebie wszystkie pytania z dziedziny rozrywki, podczas gdy on odpowie na te ze sportu?

- Dzięki, Dan. To niezbyt namiętne, prawda?

- Czego ty właściwie chcesz?

Na takie pytanie można by odpowiadać całą noc. Ale zabawne, takie rzeczy nigdy nie mogą mi przejść przez gardło. Za to w głowie mam już gotową całą rozmowę.

- Chcę od ciebie czegoś więcej niż chrzanienia o tym, jak to kiedyś będę wspaniałą starszą panią. Tego właśnie chcę.

Albo:

- Chcę to pociągnąć dalej. Byliśmy razem przez sześć miesięcy, nie da się ukryć, i obydwójce dobiliśmy cholernej trzydziestki.

Albo (odpowiedź szczerą, choć nędzną):

- Chcę, żebyś mi powiedział, że mnie kochasz.

Trzeba się zmusić, żeby myśleć o Danie jako o Obmierzłym Prawniku z Leichhardt. Muszę to zrobić. Ale co będzie, jeśli wpadnie na mnie, gdy właśnie będę wychodziła od fryzjerki z wściekle rudymi włosami, zaciągnie mnie w jakiś zaułek i pocałuje tak, że aż stracę dech w piersi? I powie, że to wszystko było koszmarną pomyłką, że nie może jeść ani spać?

Nie wiem, jakie jest prawdopodobieństwo, że coś takiego się zdarzy, ale jakieś być musi. Muszą istnieć jakieś szanse. A co, jeśli zadzwoni którejś nocy pijany, a mnie nie będzie w domu? Jeżeli będzie chciał powiedzieć, że zachował się jak idiota i nie potrafi przestać o mnie myśleć?

Trudno sobie wyobrazić, że cała ta energia, którą teraz wkładam w nienawidzenie go, miałyby pójść na marne. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo - tak skutecznie wmówisz sobie nienawiść do kogoś, że kiedy ów ktoś wróci do ciebie na klęczkach, wszystko będzie już bezpowrotnie zniszczone. A jeśli Dan rzeczywiście był moją ostatnią szansą, co wtedy?

Samo to wystarczy, żeby zaczęła boleć mnie głowa. Niepotrzebne są nawet obłoki lakieru do włosów, które przypląnęły w moją stronę z kąta panny młodej.

Przynajmniej fryzura jest już prawie gotowa. Doszliśmy do stadium suszenia, chociaż moja głowa wygląda jak futerko kota, który właśnie przeszedł operację żołądka: lepkie, najeżone i dziwaczne.

Kiedyś Jodie nauczyła mnie metody pozytywnej wizualizacji: mam sobie wyobrażać, że się znalazłam w różowej bańce. I gdy oczami duszy zobaczę siebie w tej bańce, mam sobie wyobrażać, że prowadzę bajkowe życie.

Teraz mogę zobaczyć siebie w tych niesamowicie obcisłych skórzanych spodniach. Chodziłam na siłownię, albo coś w tym stylu, i tak zeszczuplałam, że mam nawet przerwę między udami. Jestem na przyjęciu, jest Gwiazdka, rok 2010. Kątem oka widzę Dana. Siedzi sam. Przytył, postarzał się, wygląda na zmęczonego i trochę smutnego. Ma worki pod oczami.

Wokół mnie kręcą się ludzie, jestem duszą towarzystwa. Jakiś facet przeciska się przez niewielki tłumek. Seksowny. Ma nastroszone włosy jak ja. Tyle, że jest blondynem. Dan ma brzuch jak Winston Churchill. Stracił połowę włosów. Na chwilę zaszywam się z facetem z najeżonymi włosami w jakimś kącie. Śmiejemy się, całujemy, bawią nas żarty zrozumiałe tylko dla nas.

Dan bez słowa odwraca się i wychodzi z pokoju. Nawet tego nie zauważam. Kiedy wsiada do samochodu stojącego na ulicy, przez otwarte okno słyszy, jak ja i mój blondyn się śmiejemy. Udęczony opiera głowę o kierownicę i jęczy. Potem jedzie do domu, puszcza

starą płytę Smitha i się wiesz.

Zastanawiam się, czy to źle wyobrażać sobie straszne rzeczy, które przytrafiają się innym ludziom, kiedy jest się wewnątrz różowej bańki. Ale kogo to obchodzi, pani detektyw?

Jodie i Didi zapraszały mnie, żebym przyłączyła się do ich grupy dyskusyjnej dla wszystkich kobiet, Koła Kobiet. Pewnie przez cały czas siedzą w kręgu i wyobrażają sobie, że są wewnątrz różowej bańki. Hilary powiedziała, że może się przyłączyć, aleja chyba nie dam rady. Kilka lat temu byłam na takim spotkaniu. Musiałyśmy wymyślić nowe imiona dla naszych szparek. Najwyraźniej mężczyźni nadali im w przeszłości zbyt wiele podłych nazw, pojawił się więc pomysł zmiany tego stanu rzeczy. Miałyśmy wymyślić jakieś poetyckie określenia. Jodie stwierdziła, że mogłaby nazywać swoją szparkę Bukietem Niezwykłych Możliwości. Sama nie wiem. Ja po prostu nie mogłam niczego wymyślić. Kampania reklamowa płatków Breakfast Grits - nie ma sprawy. Ale nowe imię dla moich warg sromowych - nie!

Jodie mówiła, że teraz robią w Kole Kobiet inne rzeczy. Spisują na karteczkach imiona ludzi, którzy je skrzywdzili, a potem wynajmują łódź i płyną na otwarte morze (kobiety z tej grupy umieją mnóstwo niezwykłych rzeczy, na przykład znają się na nawigacji). Tam rwą karteczki na strzępy i ciskają skrawki w fale. Mogłabym spróbować zrobić to z tobą, Dan, ale pewnie by nie pomogło. Mogłabym porwać twoje imię nad cieśniną Bassa, a nawet nad umywalką u fryzjera. Ale i tak wiem - zawsze to wiedziałam, że lata miną zanim się otrząsnę.

Tego właśnie nie cierpię w seryjnej monogamii. Wszystko jest tak przewidywalne. Wiadomo, że jeśli ty go rzucisz, czekają cię wyrzuty sumienia i samotne picie herbaty. A jeśli to ty zostaniesz porzucona, to będziesz się wściekać, bać, zaprzeczać rzeczywistości i pić samotnie herbatę.

Wszystkich moich byłych chłopaków mogłabym policzyć na palcach obu rąk - porzuconych i tych, którzy mnie rzucili. Zastanawiam się jednak, czy na lewej ręce - spójrzmy prawdzie w oczy: tej od obrączki - powinnam liczyć tych, których rzuciłam, czy tych, którzy mnie rzucili. Ciekawe, że Bóg nie dał nam trzeciej dłoni, na której można by liczyć rozstania za obopólną zgodą. Może nie dał jej, bo takie rzeczy się nie zdarzają. Ha!

Lubię sobie myśleć, że kiedyś rachunki się wyrównają. Na palcach lewej dłoni, przeznaczonej dla tych, których porzuciłam, mogę wyliczyć Leona Mercera i Anthony'ego Andersona. Na prawej ręce, dla tych, którzy mnie porzucili, wyliczę Grega Daly'ego, Phillipa Zebruskiego, Jamie Streetona i Daniela Hawkera. Oczywiście kiedy kiwam palcem oznaczającym Grega albo Jamiego, nic już nie czuję. Za to gdy poruszę palcem oznaczającym

Daniela, czuję, że mogłabym zalać łzami cały zakład fryzjerski.

Muszę powiedzieć o jeszcze jednej rzeczy, która zawsze, ale to zawsze przydarza się po zerwaniu. Wszystko, co ma jakiś związek ze sprawami męsko - damskimi w muzyce, filmie czy w telewizji, natychmiast rzuca się w oczy i nabiera szczególnego znaczenia. Teraz na przykład leci w radiu kolejna taka rozkoszna piosenka (dlaczego fryzjerki zawsze mają nastawioną tę samą stację - z reklamami tłumików samochodowych?). Brzmi tak, jakby śpiewała ją młodsza siostra Billy'ego Joela. To jedna z tych słodkich głupiutkich ballad, na którą kiedy indziej nie zwróciłabym uwagi: brzmi tak, jakby ktoś z pluskiem wlewał do wiadra białą czekoladę. Teraz jednak każdą linijkę tekstu wypełnia dla mnie głęboka myśl. Tak naprawdę piosenka opowiada o mnie. Boże, pomóż mi* staram się usłyszeć każde słowo.

Powinam była zadzwonić do Jodie i poprosić ją, żeby przyniosła mi jakieś zioła na bóle w krzyżu. To kolejna rzecz, którą zauważyłam po czternastu latach rozstań z facetami. Przez pierwszych kilka dni boli was całe ciało, jakbyście dopiero co wyczołgały się z samochodu po potwornym wypadku.

Powinni otworzyć specjalny oddział szpitalny dla takich przypadków. Jakieś spokojne miejsce, gdzie ktoś was opatuli kołdrą i poda proszki przeciwbólowe, a potem przyłoży elektrody do wszystkich tych miejsc w mózgu, gdzie ciągle są przechowywane informacje o tym draniu. Jeżeli kiedyś będę bogata, to w testamencie wszystkie pieniądze przekażę na ten cel. Będzie się to nazywało Oddziałem Kompletnie Nieudanych Cholernych Związków imienia Victorii Shepworth.

Wystarczy, że zadzwonicie po pogotowie, kiedy on już wyjdzie. Natychmiast przed domem zjawi się karetka dla złamanych serc i sanitariusze z noszami gotowi was zabrać. Dostaniecie zastrzyk, który zwali was z nóg, a potem... nic. Po przebudzeniu nie będziecie pamiętać, że kiedykolwiek znaliście tego faceta. Nie wspomniecie nawet jego tyłeczka. Po prostu cudownie.

Naprawdę mam wrażenie, że wariuję. Widzę już, jak zbliża się jeden z Szalonych Miesiący a la Hilary. Ciekawe, czy czerwona farba do włosów wpływa na pracę mózgu. Najwyraźniej potrafi przedostać się przez pory w skórze i spowodować trwałe uszkodzenia. Tak jak wszystko inne na tym świecie, łącznie z koktajlem, który wczoraj wieczorem próbowałam zrobić z batonika Mars, i filiżanką kawy, którą miała mi przynieść fryzjerka.

Panna młoda zaczyna wyglądać tak, jak panna młoda wyglądać powinna. Druhna wręcza gałązki gipsówki uczennicy, która nożyczkami do paznokci przycina je i podaje fryzjerce. Fryzjerce, która powinna zająć się także mną.

Zastanawiam się, czy nie podejść tam, zostawiając za sobą krwawy ślad farby do

włosów. I gdzie, do cholery, podziewają się Jodie z Hilary?

Oddychaj. Myśl o różowej bańce. Oddychaj. Może jednak powinnam przyłączyć się do Hilary i pójść na spotkanie Koła Kobiet.

Jakoś trzeba będzie zapełnić kolejne piątkowe i sobotnie wieczory. Jaki mam wybór? Hilary zawsze ma zatrzęsienie broszur informujących o różnych kursach i zajęciach: „Człowiek epoki kamiennej - czego możemy się od niego nauczyć?” (absolutnie niczego); „Gotowanie dla szczęśliwych, zdrowych serc” (czy to obejmuje także koktajle z batoników Mars?); „Wieczory dla wielbicieli jazzu” (o Boże, rzesza facetów po czterdziestce).

Sobotnie wieczory to prawdziwy koszmar dla samotnych. Kiedy zostajesz w domu z kasetą wideo (cztery dolary za noc) z filmem *Kiedy Harry poznał Sally*, zawsze czujesz się idiotycznie. Jakbyś sama ze sobą szła na randkę. I właściwie tak to wygląda. Jeśli wychodzisz, to zawsze z przyjaciółkami. Wyglądacie jak banda desperatek.

Sobotnie wieczory są dla par i każdy o tym wie. Tak jak specjalne promy na Bali, elektryczne koce z podwójnym sterowaniem i hipoteki, sobotnie wieczory wymyślono dla dwojga. Co będę robić dziś wieczorem? Zupełnie nic. Przyjaciele, którzy byli na czwartkowym przyjęciu i razem ze mną przeżyli rozstanie z Danem, byli zbyt przerażeni, żeby zadzwonić. W telewizji nie ma nic oprócz cholery Marleny Dietrich. Hilary będzie na zajęciach z plecenia mongolskich makram albo czegoś w tym stylu. Jodie będzie miała swoją dziewczynę i wegetariański makaron.

Cóż, sobotni wieczór. Witamy w świecie nagle osamotnionych.

2

Ostatnią rzeczą, która wydarzyła się tego sobotniego wieczoru, był telefon od Dana. Właśnie miałam zamiar wepchnąć do kosza papiery po prezentach urodzinowych i dopiero co rozsypałam po całej ulicy kulki z pudła po komputerze. Naprawdę staram się nie rozplakać, kiedy słyszę jego głos, ale przegrywam ze sobą w ciągu pięciu sekund.

- Wszystko w porządku?

- Nie gadaj bzdur! Nic nie jest w porządku!

- Przykro mi, że to musiało się skończyć właśnie wtedy.

- Wszystko, co miałeś do powiedzenia, posiedziałeś na kartce urodzinowej, prawda?

Teraz możesz być już zupełnie szczery. Masz to wszystko gdzieś, prawda?

- Nigdy tego nie powiedziałem.

- W takim razie możesz się ode mnie odchrzanić.

Wspaniale, Victorio. Popisałaś się. Sięgam po następną chusteczkę, żeby wydmuchać nos, i trach - rozłączył się. Delikatne kliknięcie, gdy podnoszę słuchawkę gotowa do następnej rundy.

Dzwonię, ale jego numer jest zajęty. To może oznaczać, że próbuje się do mnie dodzwonić. Boże, mam nadzieję, że właśnie o to chodzi. Ale... piętnaście minut później wszyscy sąsiedzi zdążyli już wystawić swoje kosze z papierami, ale telefon ciągle milczy. Pewnie Dan rozmawia o mnie z jednym ze swoich licznych braci. Albo przekartkował notatnik z adresami i znalazł kobietę, z którą może pogadać i która nie będzie mu chlipać prosto do ucha ani w ciągu pierwszych pięciu sekund rozmowy nie powie mu, żeby się odchrzanił.

Przykro mi to mówić, ale ta głupia drobna sprzeczka wystarczyła, żebym miała o czym myśleć przez resztę nocy. Do trzeciej nad ranem. O tej porze robię wreszcie to, o czym Hilary mówiła od kilku dni („Dzwoń. O dowolnej porze”) - Gdy mnie słyszy, jeszcze na wpół śpi. Jest zniecierpliwiona, nieprzytomna i skołowana.

- Hil, wszystko spieprzyłam. - Jak?

- Sprowokowałam kolejną sprzeczkę. No wiesz. Wkurzyłam się. Niewiele może mi pomóc, nic dziwnego. Kiedyś nocowałyśmy w jednym pokoju w hotelu - Hilary śpi jak zabita. Mgliste nadzieje, że będziemy mogły pogadać, a potem czuję się lepiej, rozwiały się, gdy usłyszałam, jak przyjaciółka ziewa. Zaczynam być nudna. Już w cztery dni po całym tym wydarzeniu nudzę ludzi.

Pościel jest za ciepła. Zbyt ciasno opatulam sobie nogi. Prawie już zasypiam, kiedy

orientuję się, że stopa zwisa mi z łóżka i praktycznie straciłam w niej czucie. Myślę o różowej bańce: fantazja o skórzanych spodniach, blondynie z najeżonymi włosami i brzuchu Dana wielkim jak u Winstona Churchilla. Przez chwilę to działa, ale zaraz pojawiają się bardziej realne obrazy: Dan wdychający zapach perfum z szyi pani prawnik. Zdejmujący kraciasty staniczek z białą falbanką.

Potem przychodzi pora na kampanię reklamową płatków śniadaniowych Breakfast Grits i frisbee. To wypełnia mi czas między trzecią a szóstą rano. O szóstej słyszę, jak Bill Spec, slaniając się na nogach, schodzi, żeby pobiegać czy co on tam robi o tak barbarzyńskiej porze. To zabawne, gdy ktoś nowy wprowadza się do mieszkania nad wami. Trzeba przywyknąć do mnóstwa nowych dźwięków i różnych drobiazgów związanych z rozkładem dnia sąsiada. Wcześniej mieszkała tam para Japończyków. Towarzyszył im dźwięk zwijania maty do spania, a także wiele innych odgłosów. U Billa słychać tylko od czasu do czasu prysznic, urywki nastawionego za głośno Elvise Costello i odgłosy poważnie traktowanej porannej gimnastyki.

Breakfast Grits, Breakfast Grits. Może jak położę się na plecach, to szybciej przyjdzie mi coś do głowy? Rzuć się na płatki Breakfast Grits! Nie, to zbyt oczywiste. Wróc do płatków Breakfast Grits, a wróci do ciebie frisbee! Na miłość boską, Victorio!

Najgłupsze jest to, że kiedy się budzę, mam straszną ochotę na te płatki. Patrzę na swoje odbicie w lustrze. Potrzebuję tyle samo podkładu, co ciało zmarłej Evy Peron. Ledwo zauważyłam, że przez całą drogę do pracy stałam, chociaż starsi panowie robili mi miejsce. Krótko mówiąc, zupełnie odpływam.

Moje biuro to jedno z tych miejsc, gdzie stanowiska pracy oddzielono ściankami działowymi, żeby udawały prawdziwe pokoje. Kylie, stażystka, którą ściągnęli z Queensland, siedzi obok. Na kawałku szyby, która nas oddziela, poprzyklejała różne futrzaste stwory. Oznacza to, że za każdym razem, gdy odwracam głowę, żeby wrzasnąć na nią ponad przegrodą, widzę kawałki stóp błękitnych i zielonych futrzaków i okrągłe klejące się ślady.

Po mojej stronie stoi tylko zdjęcia Dana, które wołałam zostawić, na wypadek gdyby do poniedziałku do mnie wrócił.

Kylie była na moich urodzinach. O wszystkim wie.

- Jak się czujesz, Vicky? O, podoba mi się twoja nowa fryzura! Boże, chciałabym, żeby nie nazywała mnie Vicky.

- Dobrze. Zastanawiam się, czy powinnam wyrzucić jego zdjęcie.

- Tam stoi niszczarka do papieru.

Okazuje się, że Kylie włączyli do kampanii reklamowej frisbee i płatków Breakfast

Grits. To ma być coś, co ona nazywa potrójnym atakiem. Najpierw pójdą reklamy radiowe. Potem specjalne małe kupony (Kylie musi napisać dziesięć żalonych sentencji, po jednej na każdy). A na koniec opakowanie płatków (moja działka, tylko moja).

- Czy ten babsztyl też bierze w tym udział?

Ten babsztyl to graficzka, której z rozkoszą obie nienawidzimy.

- Nie, jej szykuje się coś innego.

- No, przynajmniej tyle dobrego. Cappuccino?

- Tak, poproszę - odpowiada wesoło i uprzejmie Kylie.

Śmieszna rzecz z tymi przegrodami. Kiedy chcecie z kimś porozmawiać na tematy zawodowe, to jakby nie istniały. A kiedy rozmawiacie przez telefon (na przykład tak jak Kylie pamiętnego dnia, gdy dzwoniła do kliniki aborcyjnej), to ścianki zaczynają być ważne. Jak pole siłowe wokół Batmana: trzask i jest, trzask i nie ma. Widzimy, nie widzimy. Słyszemy, nie słyszemy.

Cholernie dobrze wiem, że jeśli Jodie zadzwoni do mnie teraz na małą terapeutyczną pogawędkę na temat Dana, Kylie będzie grzecznie pracować przy swoim komputerze nad kuponami do Breakfast Grits, oddzielona ścianką futrzastych zwierzątek, i jednocześnie słuchać każdego słowa. Muszę więc oszukiwać. Zabieram telefon komórkowy, który ma służyć wszystkim copywriterom („Słuchajcie, on nigdy nie może się znaleźć poza biurem. Rozumiemy się, prawda? Nigdy!”), i ulatniam się do kawiarenki. Rozmawiam z niego, czekając na dwa kubki cappuccino.

- Jodie, to ja.

- Ach, cześć. Strasznie mi przykro z powodu soboty. Próbowałam się do ciebie dodzwonić w niedzielę, ale chyba odłożyłaś słuchawkę. Co się stało?

- Wysłałam, więc zdjęłam słuchawkę z widełek.

- Zdjęłaś słuchawkę z widełek?

- Moja automatyczna sekretarka padła. Nie chciałam, żeby Dan zadzwonił do mnie w niedzielę, gdy sekretarka nie działa.

- Och... Więc nie zadzwonił. Dobrze się czujesz?

- Tak. Nie. Zadzwonił. Wyciągnęłam Hilary z łóżka o trzeciej nad ranem.

- No, no. Wygląda na to, że miałaś kiepską noc.

- Aha. A niech to... Muszę iść. Jest już kawa.

- Jak tam twoje włosy?

- W porządku. No wiesz. Ruda Annie Lennox. Są krótkie. Trzymaj się.

Niestety, kilka lat temu Jodie chodziła na te swoje kursy pomocy psychologicznej dla

kobiet, gdzie uczą powtarzać jak echo słowa rozmówcy. Zwykle nie pamiętam o tym, dopóki nie wpadnę w jakieś kłopoty. Dopiero wtedy odkrywam, że Jodie właśnie udziela mi porady psychologicznej.

Chciała dobrze, ona po prostu robi to odruchowo. Mogłabym wpaść do niej w środku nocy, wyciągnąć ją i Didi z łóżka i powiedzieć im, że właśnie odrąbałam sobie rękę toporem rzeźnickim. Usłyszałabym:

- Więc odrąbałaś sobie rękę toporem rzeźnickim. Co teraz czujesz?

Czasem mnie to strasznie denerwuje i tyle. Dzisiaj chciałam chyba, żeby ktoś ze mną popłakał, powkurzał się i wygłosił kilka zjadliwych uwag albo razem ze mną obrzucił Dana całym stekiem przekleństw.

Chociaż dzisiaj prawdopodobnie wszystko by mnie wkurzyło. To nie ma nic wspólnego z Jodie. Na przykład fakt, że dzisiaj nalali cappuccino aż po brzegi, wystarczy, żeby mnie wyprowadzić z równowagi. Albo to, że cała pianka wypływa przez dziurkę w wieczku. Albo, że kiedy w drodze powrotnej wpadam do toalety na trzecim piętrze, dyskretny kosz dla pań (to niebieskie pudełko, którego nie sposób pomylić z niczym innym na świecie) jest znowu wypełniony po brzegi podpaskami.

No i to, że kiedy wracam do biura, Kylie tłoczy się w swoim boksie z jakimś facetem, wolnym strzelcem na kontrakcie. Stoi do mnie tyłem przez kilka kluczowych sekund - dostatecznie długo, żebym zrozumiała, że jest z nią mężczyzna, że dzieje się tam coś interesującego i że ona jest kimś wyjątkowym i ważnym. Inni też powinni to zauważyć. Chichot Kylie unosi się nad ściankami działowymi. Wszystko służy temu samemu celowi.

To żalotne, do czego może doprowadzić człowieka codzienna nuda. Zarówno mnie, jak i Kylie. W każdym razie Kylie udaje, że dopiero co mnie zauważyła i wreszcie przesuwa się, jednak na tyle tylko, aby mieć pewność, że facet otrze się o jej aksamitną mini.

- Och, dzięki, Vicky. To jest Liam. Będzie z nami pracował przez kilka tygodni.

Liam ma worki pod oczami jak wszyscy graficy na kontrakcie. Ale jest seksowny. Mroczne, głębokie spojrzenie. Uroczy uśmiech. Niższy ode mnie, choć tylko odrobinę. Coś w sobie ma.

- Wymyśliłaś już rym do Grits? - zapytał.

- Zabawne. Myślałam o tym ostatniej nocy.

- Kylie mówiła, że jesteś częścią potrójnego ataku. (Nieźle, potrafi zakpić).

- Tak. Walczę w pierwszym szeregu.

Zduszony śmiech. Kylie chwyciła kawę w geście mówiącym „kobieto, wracaj do swojego boksu”. Jednak Liam ma coś w sobie. Jest interesujący albo ma to coś. Wystarczy,

żeby na kilka minut oderwać mnie od zdjęcia Dana.

Kiedy Liam znika, odwracam fotografię z powrotem. Chcę tylko sprawdzić, czy coś się zmieniło. Nie. Nic. Dan wciąż jak żywy (Victorio, jakie to głupie, on tylko odszedł, nie umarł) i wraca to ukłucie, które zaczyna się w dole gardła, a kończy w żebrach. To znaczy, że ciągle potrzebuję Dana. To ten rodzaj bólu, który w moich marzeniach oznacza, że zaraz przyjedzie karetka dla złamanych serc i sanitariusze wezmą mnie na nosze.

- Liam jest całkiem milutki, prawda? - No...

Kylie znowu odwraca się do komputera. I tak widzę, co robi. Pisze list do matki w Brisbane.

Coś potwornego pojawiło się na moim ekranie w czasie, gdy obok kręcił się Liam. Kopia kolejnej broszury o kredytach mieszkaniowych. Zupełnie o niej zapomniałam. Chcą, żebym napisała dłuższy tekst, bo nie mogą powiększyć twarzy rzekomej żony tak, żeby wypełniła całą przestrzeń. (Pewnie ma za dużo zmarszczek pod oczami albo coś w tym rodzaju, a nie chcą retuszować zdjęcia, bo kobieta przestanie wyglądać naturalnie).

Czyli to moje zadanie. Dobry Boże. Mam wymyślić więcej słów, żeby wypełnić pustą przestrzeń, bo wynajęta modelka, która udaje mężatkę, musi wyglądać naturalnie, ale nie za bardzo. Zauważam, że „mąż”, którego wynajęli tym razem, ma na sobie czerwoną koszulę. To dość odważne, zwykle wybierają błękitne paski. Tak czy inaczej, trzeba brać się do roboty. Myśl: małżeństwo. Myśl szczęśliwe małżeństwo. Myśl: jak bardzo kochamy bank za to, że dał nam dwudziestopięcioprocentowy kredyt mieszkaniowy. Myśl: bezpieczeństwo. Myśl: para. Myśl: wypastowana podłoga.

Zabiera mi to jakieś dziesięć łyków cappuccino, nim zdaję sobie sprawę, że nic się nie wydarzy. Między innymi z powodu „męża” w broszurze. Przyszedł kiedyś na nasze przyjęcie gwiazdkowe w masce z pawich piór i zachowywał się, jak mówi moja matka „trochę jak panienka”. Chętnie tu korzystają z modeli gejów, przede wszystkim żeby złapać - jak to posępnie nazywa szef - różowego dolara. Jednak ten facet ewidentnie wygląda zbyt męsko. Wykorzystali go więc do roli krępego, uśmiechniętego męża z reklamy. Ma takie silne ramiona, że wygląda naturalnie, obejmując kobietę.

Coś poruszyło się w boksie po lewej. Kątem oka widzę, że to może być głowa Liama. Warto zerknąć jeszcze raz. Prześlizguję się wzrokiem, patrzę ponad zielonymi futrzakami i plastikowymi przyssawkami tylko po to, żeby zobaczyć, że Kylie spogląda w tę samą stronę. To bardzo przygnębiające. Okazuje się, że na drugim końcu Liam czaruje ludzi z księgowości. Bardzo mądre posunięcie, jeśli jest się wolnym strzelcem. Dociera do mnie, że Liam ma na sobie taką samą zamszową marynarkę, jaką kilka miesięcy temu chciał mieć Dan.

„Wróć do banku tak jak wracasz do domu”. Nie. Zbyt podobne do powrotu do płatków Breakfast Grits, które wrócą do ciebie. Za każdym razem, kiedy próbuję wymyślić jakiś slogan, wychodzi mi coś o ludziach, którzy wracają. Naprawdę zabawne.

Dan jest teraz w pracy. Prawdopodobnie wciąż biedzi się z tą okropną firmą ubezpieczeniową. Reprezentuje ją w sprawie, której nikt nie daje szans. W ten weekend też mu nie pomogłam spać spokojnie. Powinnam go przeprosić. Biedny Dan. Czy nie możemy rozstać się w zgodzie?

Dzyń, dzyń. Trzask. Wyłączam się w ostatniej chwili - zdążyłam usłyszeć dziwny, przytłumiony odgłos włączającej się automatycznej sekretarki. Jeszcze chwila, a usłyszałabym jego znajomy głos (nagranie zawsze zniekształca nieco dźwięk), mówiący: „Dziękuję, że dzwonisz do biura Daniela Hawkera. Niestety... „. Wiem, że to zabrzmiało wyjątkowo żałośnie, ale cztery dni rozłąki wystarczą, aby ta wiadomość była dla mnie niczym niezwykle miłosny poemat, niczym sonet Szekspira. Zrobiłabym wszystko, żeby tylko słyszeć to non stop.

Coś śmignęło nad ścianką działową. Połowa Kit Kata. W ten sposób Kylie mówi, że wszystko słyszała, dobrze wie o co chodzi, ale nie wypada o tym rozmawiać. W ten sposób zaoszczędzi też sobie kilka kalorii, ale ma dobre intencje.

Z powrotem do broszury bankowej. „Coś więcej niż bank. Przyjaciół dla was obojga”. Może to spodoba się młodym małżeństwom, które nie mają przyjaciół. „Poczucie bezpieczeństwa, które daje świadomość, że zawsze tu na was czekamy”. Bo czy nie potrzebujemy kogoś, kto zawsze przy nas będzie, zwłaszcza gdy kończymy trzydziestkę, żyjemy samotnie i w dodatku jesteśmy kobietami? Oczami wyobraźni widzę siebie w wieku trzydziestu ośmiu lat. Będę chodzić z Hilary na letnie warsztaty wyplatania koszy, w weekendy obie będziemy nosić swetry i spodnie od dresu i będziemy rywalizować o jedynego na zajęciach rozwiedzionego czterdziestokilkulatka.

Dzwoni telefon.

Łapię tak szybko słuchawkę, że niemal rozłączam tę rozmowę. I niemal łamię nadgarstek.

Dan. Dan. Tak. Tak.

- O, cześć. Mówię z Vicky?

- Tu Victoria.

Cholera, to nie Dan.

- Mówi Liam. Właśnie wychodzę, dzwonię z parkingu. Nie pomyślałem o tym wcześniej, ale może masz emaila?

- Co? A tak. Mam.

Łzę w żywe oczy, ale co tam.

- Kylie mówiła mi, że właśnie dostałaś sprzęt na urodziny.

- Zgadza się.

- Jaki masz adres? Padalec.

- Eee... Zapomniałam.

- No to prześlij mi, a ja go dodam do ulubionych. Jestem Liam małpa Ozemail.

Pewnie, że jesteś. Dlaczego nie rozumiem, co mówi ten facet?

- Fajnie.

Jeśli uszy Kylie odchyłą się jeszcze bardziej na lewo, to zaczniesz odbierać CNN.

Email. Liam. Tak. Muszę dorwać Billa Specca. I dać mu jakiś prezent za pomoc przy komputerze. Tylko co kupić facetowi niemal całkowicie pozbawionemu osobowości? Choć prezentuje się nieźle. Wysoki, szeroki w barach. Ma szczerze oczy w kolorze herbaty. Tylko w środku zupełnie pusto.

Wracam do domu i na progu mieszkania znajduję automatyczną sekretarkę w plastikowej torbie z kartką od Billa. To niesamowite. Podrzuciłam mu ją dziś rano po drodze do pracy, a teraz jest szósta po południu, a on wyczyścił nawet ślady po papierosach z czasów, kiedy jeszcze paliłam. Dan zmusił mnie do rzucenia nałogu. Zastanawiam się, dlaczego Bill zostawił sekretarkę na wycieracze, ale przypominam sobie, że pochodzi z Dorrigo. To musi być miłe - wychowywać się w miasteczku, gdzie wszyscy sobie ufają i można zostawić na przykład automatyczną sekretarkę albo pralkę na ulicy, nie bojąc się, że zwędną je osiemnastolatki w spodniach z krokiem w kolanach.

Dan nie przysłał mi kwiatów, nic z tych rzeczy. To zabawne. Właściwie raz to zrobił, po straszliwej kłótni. Ja śmiałam się z jego matki, która nieustannie kupowała różne duperele u Franklina Minta („Proszę teraz nie przysyłać żadnych pieniędzy, pani Hawker, za posążek Tutanchamona”). Dan zawsze był przewrażliwiony na punkcie swojej rodziny. W każdym razie to był cios poniżej pasa, kiedy powiedział, że przynajmniej jego rodzice nadal są razem. Ryczałam przez jakąś godzinę i wybuchła awantura typu: „Nie radzisz sobie w życiu z powodu swojej rodziny. - O nie, przepraszam, to ty sobie nie radzisz z powodu swojej rodziny”. Oboje nieźle się wkurzyliśmy. Na drugi dzień przysłał mi ogromny bukiet białych tulipanów. Tak to zaplanował, żeby dotarły, gdy byłam w pracy. Największe wrażenie zrobiły na Kylie. Do bukietu dołączył bilecik, który ciągle trzymam w szufladzie z bielizną. Mam ochotę iść teraz i zobaczyć tę kartkę. Jakaś część mnie chce ją nawet powąchać, żeby sprawdzić, czy została na niej odrobina zapachu Dana. Ale nie zrobię tego. Nie. W żadnym wypadku, Victorio.

Kiedy raz dostaniecie kwiaty, pojawia się problem. Nic na to nie poradzicie, ale wciąż macie nadzieję, że to znowu się wydarzy. Skoro pół roku temu były białe tulipany, to dlaczego ma ich nie być teraz? Robię sobie uspokajającą herbatkę z rumianku - gwiazdkowy prezent od Jodie, jeszcze z niego nie skorzystałam - i czekam, aż zapuka posłaniec z kwiaciarni z tulipanami i bilecikiem od Dana. Czuję się jak bohaterka *Angielskiego pacjenta* - uwięziona w jaskini czeka aż wróci Ralph (dlaczego on to wymawia jak „raf, to takie irytujące) Fiennes (a z tego robią „fajns” - jeszcze gorzej).

Kolejna rzecz, o której nie dowiesz się z książeczek czytanych w szkole podstawowej w Littlewood, to fakt, że miłość wiąże się ciągłym oczekiwaniem. Czekasz, aż on zrobi pierwszy krok. Czekasz, aż zadzwoni po tym, jak pierwszy raz się kochaliście. Czekasz, aż wpadnie do ciebie po kłótni. Czekasz, aż do ciebie wróci. Czekasz, aż powie „Kocham cię”.

Czekasz, żeby się dowiedzieć, czy nie jesteś w ciąży. No i wreszcie czekasz na własną śmierć.

W porównaniu z tym królowa Śnieżka nie musiała zbyt długo czekać w swojej trumnie.

Weźmy któregoś z moich byłych - na przykład Grega Daly'ego - a na pewno okaże się, że zmarnowałam kawał życia na zabawę w czekanie. Słowo honoru, mogłabym policzyć dni, miesiące i lata. Zaczniemy od tego, że Greg był jednym z tych zapalonych turystów, którzy widzą tylko drzewa. Krótko mówiąc, musiałam mu rozpiąć rozporek, żeby zorientował się, że mi się podoba. Czyli mnóstwo zmarnowanego czasu i to na samym początku.

Gdy byłam zakochana w Gregu, spędziłam osiem miesięcy włączając się z nim i całą resztą jego Klubu Turystyki Pieszej i nosząc w plecaku suszone morele oraz liofilizowane zupy. Do niczego nie doszło. Absolutnie do niczego. Raz udawałam, że mam pijawkę na udzie. Miałam nadzieję, że pomoże mi podwinąć nogawkę. Powiedziałam chyba:

- Och, Greg, mam coś na nodze. To chyba pijawka. A on na to:

- Przyłóż liofilizowaną zupę i poczekaj, aż odpadnie.

Do ośmiu miesięcy nudnych wędrówek mogę doliczyć niekończące się noce, które spędziłam, słuchając płyt King Crimson. Staralam się polubić albo chociaż zrozumieć tytuły piosenek. Miałam po prostu nadzieję, że pewnego dnia, gdy Greg puści w samochodzie King Crimson, będę mogła powiedzieć:

- Czy to nie jest kawałek z ich pierwszej płyty?

Gdy zaczął znikać w górach z Anną Lizą, niemiecką studentką z wymiany, znowu zaczęło się czekanie. Trwało chyba z sześć miesięcy - pół roku, które mogłam wykorzystać na naukę obcego języka albo I Ching, albo czegoś równie pożytecznego.

Miłość. Przypomina właściwie kolejkę po bagaże na lotnisku, gdy oczy zaczynają się wam już szklić. I proszę, znowu tu jestem, chociaż minęło tyle lat (Greg siedzi w Tybecie; dalej chodzi po górach z tą suką, Anną Lizą), i wciąż kręcę się przy telefonie, czekając, aż zadzwoni, czekając na białe tulipany, których nikt nie przyniesie, czekając na cud, czekając, aż coś się stanie.

Zabawa z nagrywaniem wiadomości na automatyczną sekretarkę zajmuje mi prawie cały wieczór. Darmowa rozrywka dla samotnych, lepsza od telewizji. Niesamowite, ile różnych wiadomości i głosów możecie wykorzystać, kiedy wiecie, że prawdopodobieństwo, że wasz były chłopak zadzwoni, wynosi trzy procent i dotyczy wyłącznie sytuacji, gdy nie ma was w domu.

Można nagrać wersję wesołą, pełną energii i nieco zaganianą (Moje życie towarzyskie kwitnie i nie mogę odbierać telefonów, bo właśnie trzech facetów, których spotkałam w

nocnym klubie, przykuło mnie do łóżka). Można wybrać wersję spokojną, rozluźnioną i skupioną (Odkąd mnie opuściłeś, Dan, zaczęłam zajmować się zen. Związki są częścią naszej karmy, procesem oczyszczenia). Można nagrać wersję dzielną, z powstrzymywaniem łez (ale tylko cień szlachetnego cierpienia, nic zbyt oczywistego). W końcu nagrywam zwykłą nudną wiadomość, bo nigdy nie ma się pewności, czy następny telefon nie będzie od bardzo poważnej kobiety w kostiumie, pracującej dla Breakfast Grits.

Gdy telefon dzwoni, rzucam się i niemal trzy metry pokonuję, nie dotykając ziemi.

- Mówi Bill. Wszystko w porządku? Podłączyłaś ją?

- Wiesz co, mógłbyś mi wyświadczyć jeszcze jedną przysługę? Pięć sekund później znowu dzwoni i nagrywa wiadomość na próbę, tak jak go o to prosiłam. Brzmi jak prawdziwy spec i jest strasznie zakłopotany. W tle słyszę program ABC o robotach - potwornie nudny, chwilę wcześniej z jego powodu zmieniłam kanał.

- Eee... Cześć Victoria. To twoja próbna wiadomość. Od Billa. Dzięki. Na razie.

Nie po raz pierwszy łapię się na tym, że zastanawiam się, czy Bill pasowałby do Hilary. Nie jest tak egzotyczny jak facet z kursu kuchni indyjskiej, ale wydaje się miły w ten swój małomiasteczkowy sposób. To powinno jej się spodobać. Zawsze miała słabość do facetów, którzy noszą martensy. Nietrudno byłoby zaaranżować spotkanie. Mogłabym wsadzić następnego Marsa do robota kuchennego, zapchać maszynę i wysłać Hilary na górę po pomoc.

Mars, Mars. Nie, herbata rumiankowa, herbata rumiankowa. I wtedy znowu dzwoni telefon. Mam nadzieję, że to nie Bill. „Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że właśnie... eee... zostawiłem wiadomość...” Tego bym nie zniosła. Jak to się często zdarza, telefonuje mama.

- Twój ojciec powiedział mi, że znowu zerwałaś z chłopakiem. Co ona ma na myśli, mówiąc „znowu”?

- Kiedy z nim rozmawiałaś?

- Zadzwoiłam, żeby mu powiedzieć, jak to miło z jego strony, że przysłał ci komputer. Bardzo ładny prezent.

- Byłby, gdybym wiedziała, jak go używać.

- Dowiem się czegoś więcej o chłopaku?

- Nie.

- Czyli to koniec?

- Aha.

- Victorio, ty chyba nie płaczesz? Moje kochanie...

Mój umysł przypomina tor wyścigowy - prawdziwa gonitwa myśli. Wszystko, co

wiem o życiu, Danie, miłości, zerwaniach. Teraz wygrywa myśl pod hasłem „Rozwiedzeni rodzice”. To idzie mniej więcej tak: „gdyby udało jej się utrzymać małżeństwo z ojcem, to mogłabym się od niej czegoś nauczyć o stałych związkach”.

- Idź i zrób sobie wspaniałą kąpiel z olejkiem, który ci wysłałam.

- Nie mam wanny.

- A tak, masz prysznic. W takim razie przyjedź do mnie i weź kąpiel.

- Jest dziesiąta wieczór. Nie będę jechała tak daleko tylko po to, żeby się wykapać.

- Podziękowałaś ojcu za komputer? - Tak.

- To dobrze. W takim razie dobranoc. A nie wiesz przypadkiem, co na to pani... Jak jej tam?

- Nie mam pojęcia.

- Zabawna była z tym swoim pudłem, prawda? No dobrze. Jeszcze raz dobranoc.

i Zastanawiałam się nad reakcją rodziny Hawkerów. To było jedno z moich wczorajszych nocnych zmartwień, które pojawiły się między drugą a trzecią w nocy. Orzeszek będzie pewnie tańczył w ogrodzie, klaskał w łapy i przemówi ludzkim głosem. Podobnie jak bracia Dana, których interesowałam tak samo jak ozdóbki od Franklina Minta.

Telefon znów zadzwonił. Tym razem to Hilary.

- Hil, zrób coś dla mnie. Zadzwonił jeszcze raz, i posłuchaj mojej wiadomości. Powiesz mi, czy brzmi głupio. A potem znowu, dobrze?

- Nie wiesz jak włączyć sekretarkę i...”

- Nie. Możesz po prostu zadzwonić?

Zrobiła, o co prosiłam. Potem oddzwoniła i powiedziała, że wiadomość brzmi jakby ją nagrało niedorozwinięte dziecko.

- Dlaczego mówisz tak powoli? Nagraj to jeszcze raz. A tak przy okazji, mam do ciebie prośbę. Podłączyłaś już komputer?

- Czekam, aż zrobi to za mnie Bill Spec, a mogę go prosić tylko o jedną rzecz naraz, sama wiesz.

- Och. Hmm... Bill. Interesujące.

- Właśnie o tym myślałam.

- Chociaż właściwie teraz, gdy przyłączyłam się do Koła Kobiet, nie mam zbyt dużo czasu na randki.

Uwielbiam sposób, w jaki mówi „randki”. To jak niekończące się Szczęśliwe Dni. Mimo wszystko zaskoczyło mnie, że dołączyła do grupy Jodie. Musi być rzeczywiście zdesperowana.

- Więc jaki jest ten Bill? - pyta, udając zainteresowanie. - Zawsze mogę przestać chodzić na spotkania Koła.

- Jest naprawdę przystojny! Ma ciekawe oczy. Pochodzi z Dorrigo. Nosi na szczęce wielki plaster.

- O! To trochę dziwne. Ma mocne szczęki?

- Tak. I ma, no wiesz, niezłe bary.

- A mieszkanie?

- Nudne. Nic tam nie ma oprócz podkładek pod myszkę.

- Spodobałabym mu się?

- Myślę, że tak.

- A potrwa to trochę?

- Hilary, na miłość boską! Co to ja, wróżka?

Mówię jej, że dzwoniła moja matka i prawie udało jej się doprowadzić mnie do płaczu.

- O tym właśnie mówiłyśmy na czwartym spotkaniu Koła Kobiet. Cicha zmowa matek i córek.

- Więc odtąd twoje życie będzie idealne, tak? Kiedy to przerobiłaś? W każdym razie to nie jest cicha zmowa. Ona nigdy nie przestaje mówić. Wściekła się, że kupiła mi na urodziny tylko olejek do kąpieli, a ojciec dał mi komputer.

- Ale to się ciągnie już od lat. - Tak?

- Nie pamiętasz, jak byłaś w szkole i oni się rozstawali? Ojciec dał ci organy Wurlitzera, a matka tylko drewniaki. Boże, tak ci zazdrościłyśmy. Wszystkie chciałyśmy mieć rozwiedzionych rodziców.

- Naprawdę?

- Sama zobacz. Moi ciągle są razem i co dostają na urodziny? Cholerne bilety na *Lord of the Dance*. Na cholernego Michaela Flatleya.

- Wiesz przecież, że on musi się z kimś kochać po każdym przedstawieniu.

- Właśnie! TO DLATEGO MATKI NIE MOGĄ MU SIĘ OPRZEĆ!

Kiedy idę do łóżka, czuję się właściwie rozluźniona. Prawdziwe osiągnięcie. Nie jestem pewna, czy to zasługa mglistej wizji skojarzenia Billa i Hilary, czy może popołudniowego telefonu Liama albo... Przerazająca myśl: może to moja matka ma na mnie dobry wpływ.

Staram się wymyślić rym do Grits i jeszcze do niczego nie zdążyłam dojść, gdy zjawia się Liam. Dzięki Bogu, Kylie wcześniej poszła na lunch, bo ma dziś aerobik. Liam staje za mną z rękami założonymi na piersi i mi kibicuje. Ma na sobie tę samą zamszową marynarkę co ostatnio.

- Spróbowałaś kiedyś światowej sławy płatków Breakfast Grits, nad którymi wszyscy mamy tu pracować?

- Nie, ale przedwczoraj rano miałam na nie straszną ochotę.

- Pewnie za ciężko pracujesz.

- Tak naprawdę to wcale się nie przepracowywałam. Czyja właśnie flirtuję? To dziwne uczucie, robić coś takiego znowu. Zwłaszcza po tylu miesiącach przykucia do Dana.

- Mój adres e - mailowy. Chciałam ci powiedzieć. Właściwie jeszcze żadnego nie mam. Tak naprawdę to w ogóle nie uruchomiłam komputera.

- Wiedziałem, że kłamiesz.

- Ale mogę sobie zapisać twój?

- Podaj mi któryś z uroczych przyborów do pisania panny Kylie, to ci napiszę.

Liam ma typowe ręce artysty. Długie palce. Dość gładka skóra. Kilka zacięć od papieru, nic więcej.

- Masz. A to mój numer telefonu.

Z odległości dwudziestu metrów mogło to wyglądać tak, jakby grafik na kontrakcie dawał swoją wizytówkę pracownicy agencji reklamowej. Jednak tutaj, właśnie w tej chwili zdecydowanie chodzi o coś między kobietą i mężczyzną. Wymiana feromonów. Przynajmniej jeśli idzie o moje pachy.

I wtedy rusza w naszą stronę dziewczyna z księgowości. Czymś macha. Na oko sądząc, pierwszym celem Liama. Oczywiście nie musiała schodzić tutaj i osobiście go wręczać, ale w tym facecie jest coś, co sprawia, że ludzie chcą mu się przysłużyć.

- Tak czy inaczej, jeszcze się zobaczymy. Albo dostanę od ciebie emaila.

- Kiedy już się zorientuję, jak podłączyć komputer, ha, ha, ha. Chyba właśnie tak się śmieję: „ha, ha, ha”. Jakie to żenujące.

Zdaje się, że moje umiejętności flirtowania są w zaniku, odkąd rozstałam się z Danem. Zachowuję się jak panienka z Avonu, starająca się wcisnąć mężczyznom wodę po goleniu, której oni w ogóle nie chcą.

Kiedy Liam odchodzi, przez chwilę pozostaje po nim pusta przestrzeń. Tak samo było

poprzednim razem. To spostrzeżenie wystarczy, żeby mnie zaniepokoić. Obiecuję sobie, że zapukam do Billa, gdy tylko wrócę do domu, chociaż od naprawy automatycznej sekretarki nie minął tydzień.

Gdy Kylie wraca, znajduje na swoim biurku makiety z projektami Liama.

- Vicky, widziałaś Liama?

- Tak.

- Mówił coś?

- Nie. Tylko przyszedł i poszedł.

- Był dla niego czek, chciałam mu go przekazać. Z księgowości.

- Myślę, że go dostał.

- Właściwie to chciałam z nim omówić kilka spraw.

Cisza. Wkurzyła się. Naprawdę się wściekła. Kilka minut potem rzuca:

- Jakież wieści od Dana?

Nie mam zamiaru odpowiadać. Jednak jakaś część mnie współczuje Kylie. Nie ma szansy u Liama. Żadnej. Tak samo jak dziewczyna z księgowości, która przyniosła mu czek, ta w butach na koturnie i pretensjonalnym naszyjniku ze stokrotkami. Jeśli mam być szczerą, to podejrzewam, że żadna z nas nie ma u niego szansy. To znaczy, gdybym była zainteresowana. Ha.

Gdy wracam do domu, wpadam na Billa, który właśnie parkuje samochód. Bardzo źle mu to idzie, może dlatego, że kiedyś manewrował między krowami, winoroślami albo kombajnami - czymś, co jest w tym jego Dorrego. Opuszcza szybę.

- Przedwczoraj miałem ci powiedzieć, że gdybyś chciała, żebym zerknął na ten komputer...

- Wiesz, on ciągle tam stoi.

- Jesteś teraz zajęta? - Nie, wpadnij.

I wpada, właśnie kiedy miałam zamiar wziąć prysznic. Otwieram drzwi w starym szarym bawełnianym szlafroku i wpuszczam Billa. A potem pędzę korytarzem, nim rumieniec pełnący po jego szyi dosięgnie twarzy i zacznie rozlewać się wokół plastra. To chyba maniery ze wsi. Zerkam do lustra w łazience i zdaję sobie sprawę, że w tym szlafrocжку widać zarys moich sutków. Ups!

Czy Hilary rzeczywiście będzie pasowała do Billa? Przynajmniej mogłaby mu pomóc zerwać plaster. Na pewno marzy, żeby ktoś to zrobił za niego. Jako samotna osoba wiem, jakie to straszne nie mieć nikogo, kto by przez zaskoczenie zerwał ci plaster. Biedny Bill.

Kiedy wchodzę wytarta, ubrana, wypachniona, wyszminkowana i uczesana, Bill gapi

się na obrazek z Bartem Simpsonem, który w jakiś tajemniczy sposób pojawił się na ekranie mojego komputera.

- Działa?

- Działa.

Wystukuje coś na klawiaturze, i po chwili pojawia się zdjęcie Elvisa Costello.

- Chcesz coś zobaczyć?

- Nagiego Brada Pitta. O mój Boże, to niesamowite. Muszę zadzwonić do Hilary i Jodie, żeby wpadły wypróbować mój komputer.

- Eee... Nie możesz. To znaczy możesz, ale najpierw będziesz musiała się rozłączyć.

- Wyłączyć Internet?

- Tak. Zobacz. Pokażę ci, jak to się robi i idę. Dziś wieczorem gram w squasha.

- O, Hilary kiedyś grała w squasha. (Wciągnij ją, Victorio, potrafisz to zrobić).

- A ty grasz?

Oszalał? Na pewno dość było widać przez ten szary bawełniany szlafrok, żeby się zorientować, że ja i sport nie mamy ze sobą wiele wspólnego. Nieważne...

- Wiesz co? Hilary by z tobą zagrała.

- Dobra, w każdej chwili.

Poszedł. Dziwny facet. Ma lekko odstające uszy, jak ci Australijczycy na starych zdjęciach z lat czterdziestych, które wiszą w klubach Królewskiego Stowarzyszenia Literackiego albo w Izbach Pamięci Armii Australijsko - Nowozelandzkiej. I jest taki uprzejmy. Tak, im dłużej myślę o Billu Specu, tym lepiej mogę sobie wyobrazić piszczącą z zachwytu Hilary. To musi się wydarzyć. Musi.

Dzwonię do niej, ale ona nie sprawia wrażenie zainteresowanej.

- Na spotkaniach Koła Kobiet mówiłyśmy, że mężczyźni są jak roboty kuchenne. Każda chce mieć coś takiego, ale nie bardzo wie, po co.

- Myślałam, że chcesz go poznać!

- Sama nie wiem. Chyba mi przeszło.

- Ale nawet go nie widziałaś!

- A co, jeśli okaże się gejem? Wiesz, że już to przerobiłam.

- To co, wpadniesz?

- Tak. Pod warunkiem, że nie będziesz mnie swatać z Billem.

- Jeszcze czego. Zresztą on gra teraz w squasha. Dzwonię do Jodie i Didi. Ich głosy brzmią tak, jakby przed chwilą kotłowały się na macie, przypalając trawkę. Pewnie to właśnie robiły. Jednak wizja wysłania emaila do Camille Paglii i zajrzenia na stronę Ellen de Generes

okazują się zbyt kuszące.

- Wpadnijcie - mówię to jak mała dziewczynka, która zaprasza koleżanki z klasy, żeby się pochwalić nową przyczepą samochodową dla Barbie.

- Możemy? - zapytała Jodie. Słuchawkę przejmuje Didi.

- Możemy wykorzystać go do szukania! - piszczy. Chyba jest naprawdę podekscytowana. - Do szukania materiałów do dokuma!

„Dokum” Jodie i Didi to idiotyczna nazwa filmu dokumentalnego, który na razie istnieje tylko na papierze. Jednak po Bóg wie ilu odrzuconych podaniach z prośbą o fundusze, Jodie zaczęła mówić o nim, jakby rzeczywiście powstawał. Prawdopodobnie z powodu tego, co powiedziała biała czarownica znaną z Zatoki Byrona: jeśli mówisz o czymś jakby to była prawda, to stanie się prawdą. Albo coś w tym guście.

Pomysły na film Jodie i Didi zmieniały się z upływem czasu. Jak mogłybyśmy z Hilary zapomnieć o *Kobietach i ich wąsach - z perspektywy historycznej*. Albo o *Stopach prababci*? Jednak istota właściwie nigdy nie ulega zmianom. Przede wszystkim film nie może dotyczyć mężczyzn i musi wiązać się z przynajmniej jedną częścią ciała kobiety.

Tym razem jednak chcą nakręcić coś, co nosi roboczy tytuł *Miłość i kobiece doświadczenia*. Pomogłam im przy podaniu - zrobiłam w agencji chyba z milion kserokopii (gdy wszyscy już poszli do domu). Zdaje się, że powinnam wykazać więcej entuzjazmu, ale filmy dokumentalne Jodie są jak moi faceci - nigdy do niczego nie dochodzi.

- W takim razie do zobaczenia niebawem, laski. - Uwielbiam nazywać je „laskami” - to je wkurza.

- No dobra.

W końcu wszystkie zjawiają się w moim mieszkaniu. Tłoczmy się wokół komputera. Naprawdę wyglądamy jak małe dziewczynki, wykrzykujące „och” i „ach” na jakimiś nowymi dodatkami do Barbie. Didi wygląda na kobietę, która radzi sobie z rzeczami takimi, jak piekarniki i komputery („Moja lewa półkula” - tak o niej mawia Jodie). Wchodzi do poczty elektronicznej.

- On to wszystko dla ciebie zrobił?

- Co zrobił? Kto?

- No wiesz - zaczyna, wskazując na zabazgraną kartkę. - Ten facet, który mieszka nad tobą. Założył ci konto pocztowe, wpisał hasło, odwalił kawał roboty. Musi cię lubić, Victorio - prycha.

- Och, on lubi tylko komputery.

Moje hasło zdaniem Jodie brzmi „lotsotroxo”. - Zapamiętasz je?

- Ale teraz wszyscy już je znają. Nie, raczej nie zapamiętam czegoś takiego.

- Wytatuuj sobie na pupie - podsumowuje Jodie i swobodnym krokiem rusza w stronę kuchni, żeby sprawdzić, czy nie ma tam czegoś wegetariańskiego do jedzenia.

Wszystkie są zdumione, gdy mówię, że mam już dwie osoby, do których mogę wysłać emaile.

- Bill. Mam jego adres. Powinnam mu podziękować za pomoc, nie? No i ten facet z pracy, wiecie.

Z Billem idzie dość łatwo. Piszę, że jestem dozgonnie wdzięczna za jego techniczny geniusz i że koniecznie musimy spotkać się u mnie na kolacji. Tak, TO też mam na myśli. Mogę się z nim spotykać. Każdy może, komu nie przeszkadza plaster .

Gdy jednak przychodzi kolej na list do Liama, nie mogę wymyślić niczego, co chciałabym mu powiedzieć. Na miłość boską, komputerów używa się do wymyślania haseł reklamowych dla Breakfast Grits, a nie do wyrafinowanego flirtu.

- Kim właściwie jest ten Liam? - pyta Hilary, wypijając drugi kieliszek wina.

- Och, kolejny wolny strzelec.

Jodie i Didi otwierają jeszcze jedną butelkę, kiedy słyszą, że zapowiada się kolejna nudna rozmowa o facetach, a potem znikają w kuchni. Próbują zrobić risotto z moich jak zwykle politycznie niepoprawnych produktów.

- A dlaczego Liam jest Kandydatem? - dopytuje się Hilary, kręcąc kieliszkiem.

- Może to z powodu odejścia Dana. Nagle mi się spodobał.

- W takim razie co masz zamiar napisać?

- Och... Nie wiem. Coś o Breakfast Grits. Ostatecznie wysłałam coś takiego:

Od: shep@mpx.com.au Do: liam@ozemail.com.au Temat: Wiadomość próbna
Drogi Liamie Wreszcie mam konto pocztowe. Możesz być dumny - jesteś adresatem mojego drugiego w życiu elektronicznego listu. Mam nadzieję, że dojdzie. Do zobaczenia w pracy, Victoria.

Hilary unosi brew tak wysoko, że wygląda jak transwestyta.

- No... to bardzo... interesujące.

- Zamknij się. Nie wiem, co napisać.

- W takim razie pozwól, że ja coś napiszę. - Nie!

Pozwoliłam jej przede wszystkim dlatego, że Hilary jest ode mnie większa. Oto, co przeczytałam, kiedy skończyła:

Od: shep@mpx.com.au Do: liam@ozemail.com.au Temat: Twoja bielizna Drogi Liamie Chciałam się dowiedzieć, czy masz coś w lamparce cętki. Prowadzimy pewne badania. Serdecznie pozdrawiam, Victoria Shepworth.

- Super.

- W każdym razie ciekawsze od „Możesz być dumny - jesteś adresatem mojego drugiego w życiu elektronicznego listu”. No dobra, wykasuję to.

- Świetnie.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że umiejętności komputerowe Hilary są jeszcze skromniejsze od moich, zwłaszcza w połączeniu z białym winem Margeret River. Kilka minut później, gdy risotto zostało rozdzielone, przyszła następująca wiadomość:

Od: liam@ozemail.com.au

Do: shep@mpx.com.au

Temat: Prawdziwi mężczyźni nie noszą bielizny w lamparce cętki Droga Victorio Na szczęście mimo później pory wysyłałem emaile, i to właśnie w czerwonych bokserkach, mogę więc zaświadczyć, że prawdziwi mężczyźni nie noszą niczego innego. Pozdrawiam, Liam.

- Klasyka - śmieje się Hilary, lekko przy tym świszcząc, co oznacza, że wypła już trzeci kieliszek.

Didi nic nie mówi. Nalewa wszystkim następną kolejkę. Jodie masuje mi ramiona.

Wtedy upuszczam sobie na kolana odrobinę gorącego risotto i klnę na Hilary, kiedy kręci się obok mnie z mokrą ścierką.

- Gdzie twoje poczucie humoru? - mówi do podłogi, zupełnie pijana.

- Jaka kretynka mogła napisać coś takiego? - wrzeszcze na nią.

Biorę swój kieliszek wina, idę do łazienki, trochę płaczę i myślę o Danie. Nakładam sobie sporo purpurowego cienia na powieki i wychodzę. Zatrzymuję się i znowu wracam. Tym razem wyję, naprawdę wyję. Żeby było śmieszniej, to pierwszy raz od odejścia Dana, kiedy płaczę, porządnie płaczę. Pochlipywałam trochę, ale nie miało to nic wspólnego z tym wspaniałym, prosto z serca płynącym rykiem, po którym powinno się zrobić lepiej.

Kiedy wracam do pokoju, dziewczyny wszystko już zjadły. Ignorują mnie - bawią się komputerem i oglądają witrynę internetową fanów Spice Girls.

- Wiecie, to mój komputer.

- Przepraszam - mówi Hilary.

Udaje, że przeżuwa risotto, więc właściwie brzmi to jak „szepszam”. Zawsze przepraszała półgębkiem, nawet w szkole, gdy wzięła mój błyszczak bez pytania i skończyło się na tym, że zaraziłam się od niej opryszczką.

- Teraz Liam ma na mój temat zupełnie fałszywe mniemanie, i tyle.

- Ale zobaczysz, o ile szybciej sprawy się potoczą!

- Pewnie.

Na tym etapie Didi zaczyna masować Jodie ramiona. Ciekawe, czy wyjmie z plecaka olejek ylang - ylang. Tak, w końcu to robi i zaczyna nacierać ramiona Jodie, jakby polewała tłuszczem kurczaka I na rożnie. Może to część fantazji wegetarian albo coś w tym guście.

- Zdaje się, że chcielibyście zajrzeć na stronę Ellen de Generes? - zapytała od niechcienia Hilary, jakby zwracanie się do dwóch kobiet o krok od pijackiego wściekłego podniecenia było czymś najzwyczajniejszym w świecie.

Jodie wydaje z siebie dźwięki, jakich można by się spodziewać po kimś, komu ukochana osoba przygniata twarz do podłogi.

- Chyba nie - stwierdza Hilary.

Dobrze sobie radzi w Kole Kobiet, ale trudno jej zachować spokój w obliczu roznamiętionej pary lesbijek.

- O, Victoria, co powiesz na to - podsuwa ostrożnie. - Strona Anonimowych Stęsknionych. Jeśli usychasz z tęsknoty za kimś, zostaw wiadomość na www.anonimowistesknieni.com.au i patrz, jak spełniają się twoje marzenia przy zachowaniu pełnej anonimowości.

- Też coś! Amerykanie...

- Skąd wiesz, że to Amerykanie?

- To jeden z tych kretyńskich pomysłów, na które tylko oni mogli wpaść.

- To Australijczycy, kochana. - Mniejsza z tym.

- Tak czy inaczej, możemy zostawić wiadomości dla Liama - mówi kuszącym głosem i znowu zaczyna kręcić kieliszkiem.

- Nie przeginaj.

- Nie martw się, Vic. Na pewno dostał od ciebie tę pierwszą wiadomość i zorientował się, że to ktoś inny się wtrącił i napisał ten głupi list. Ty też byś się domyśliła, gdybyś dostała coś tak strasznie nudnego.

- Ale on i tak będzie wiedział! - Co?

- Nie wiem.

Odwiedzamy jeszcze kilka innych stron - zdjęcia Pop Tarts, dowody na lądowanie UFO w centrach handlowych, tego typu rzeczy. Potem dostajemy się na stronę z anagramami. Hilary mówi, że wszyscy bibliotekarze na świecie są od tego uzależnieni. Wprowadza moje nazwisko, swoje, Jodie, Saddama Husajna i - nic na to nie poradzę - Dana.

Efekty okazują się całkiem ciekawe. Z mojego nazwiska wychodzi opryszczka* [ang. Herpes, co prawdopodobnie ma jakiś związek z pożyczonym w szkole błyszczkiem. Z Daniela Hawkera otrzymujemy odmowę* [ang. denial.], co ja uważam za bardzo znaczące, ale nie Hilary. Z jej imienia i nazwiska - Hilary Grove - powstaje słowo „biurokrata”* [ang. groovy].. To tylko potwierdza wiarygodność teorii, zgodnie z którą anagramy z nazwiska opisują człowieka. Za to z „Saddama Husajna, rzecz jasna, odczytujemy: „szaleniec niszczy USA”* [ang. madman mashes USA.]

Nim zabieramy się za Jodie i Didi, orientujemy się, że cichutko śpią sobie na podłodze.

Dociera do mnie, że Bil mógłby wpaść, żeby sprawdzić, jak mi idzie. Musiałabym je schować w szafce z miotłami albo pod łóżkiem jak w *Hotelu Zacisze*.

- Mogę wysłać Billowi emaila? - pyta Hilary chwilę później, gdy myśli, że jej już wybaczyłam.

- Nie, nie możesz. Jesteś niebezpieczna. A poza tym myślałam, że jest dla ciebie jak robot kuchenny.

Ignoruje mnie. Patrząc dziwnym pijanym wzorkiem, jaki może mieć tylko kobieta po połowie butelki białego wina.

- Napiszę tylko: „Cześć, jestem przyjaciółką Victorii, nazywam się Hilary i używam tego komputera”, dobra?

- Nie.

Potem robimy to, co zwykle: zastanawiamy się, dlaczego nie jesteśmy lesbijkami i nie żyjemy w szczęśliwym związku. W tym czasie Didi i Jodie pochrapiują, leżąc jedna na drugiej jak para hipopotamów. W końcu włączamy telewizor i trafiamy na kolejny krwawy dramat wojenny z Michaeliem Redgravem, który w żaden sposób nie odrywa mnie od myśli o Danie i kłopotliwej wiadomości do Liama.

- Przestań o tym myśleć - mówi Hilary w przerwie na reklamy.

- Ty nie musisz z nim pracować! Nie będziesz musiała spojrzeć mu w oczy w poniedziałek!

- Chętnie bym się z tobą zamieniła. Stawiłabym mu czoło. Czerwone bokserki. Hmm... Wiesz, że nigdy nie widziałam faceta w bokserkach poza zdjęciami w katalogach?

Potem przerzucamy się na nasz kolejny ulubiony temat - „mój idealny mężczyzna”. Lubię obserwować, jak zmienia się ideał Hilary od ostatniego razu. Na przykład kilka miesięcy temu, kiedy byliśmy pijane, jej idealny mężczyzna musiał umieć cicho się śmiać. („Widzisz, że się śmieje, ale niczego nie słyszysz. To bardzo seksowne”.) Teraz posunęła się dalej.

- Chciałabym, żeby trochę było słychać, jak się śmieje. Nie za TM bardzo, tylko troszkę.

- Tak?

- Ale ciągle chcę, żeby nosił okulary. Zdecydowanie obstatę przy okularach.

Jeśli chodzi o rozmowę na temat idealnego faceta, to nigdy nie można się doczekać, aż ta druga osoba wreszcie się zamknie, żeby samej zacząć mówić. Obie o tym wiemy, więc każda gada jak najdłużej, żeby druga musiała czekać.

- I kolejna rzecz, o której myślałam...

- Teraz chyba moja kolej? - A, tak.

Wzięłam więc z powagą kieliszek w obie dłonie i zaczęłam go obracać. Niech Hilary chwilę poczeka. - Jest Anglikiem.

- Zdaje się, że ostatnio był Argentyńczyk?

- Anglik. Anglicy wiedzą, jak się zachować.

- Aaa, wiem, co ci chodzi po głowie. Ten hrabia. Brat Diany. Widziałam, jak oglądałaś pogrzeb. Wszyscy byli tacy poważni i płakali, a ty tylko myślałaś „No, no, ten hrabia Spencer... „

- Nie! To nie ma z tym nic wspólnego. O co ci chodzi z tym hrabią Spencerem? Myślałam, że go skreśliłyśmy, po tym jak się rozwiódł. W każdym razie chciałabym, żeby był Anglikiem i...

- A czego brakuje Australijczykom? W końcu to twój rodacy?

- Słuchaj, dobrze wiesz, czego brakuje Australijczykom. Sama jesteś Australijką, nie? Czy kiedykolwiek z nimi wyszło? Z którymkolwiek?

- Mimo to nie sądzę, żeby to miało związek z narodowością.

- To ciekawe, że właśnie ty to mówisz, Hilary. Ty, która po powrocie z Włoch, jeśli pamiętam, twierdziłaś, że WSZYSCY Włosi są cudownie męscy. Sama wiesz, WSZYSCY Włosi są seksowni, WSZYSCY Włosi czują się swobodnie nago i takie tam ble, ble, ble.

Nic nie może na to powiedzieć, bo tak faktycznie było.

- No dobra - odzywa się wreszcie. - Mów dalej. Twój idealny mężczyzna to Anglik.

- Tak, ale taki, który dużo podróżuje.

- Benny Hill był Anglikiem. I na pewno podróżował. Może wyjedziesz i wyjdiesz za niego?

- On nie żyje. Nie bądź głupia. No i mam za małe cycki.

Hilary wybuchnęła pijackim rechotem, który przypomina kwakanie. Właściwie nie wiem, dlaczego. Zwykle nie jestem zbyt zabawna, choć z drugiej strony ona nie jest za trzeźwa.

- Wiesz - bełkocze, obracając w dłoni kieliszek z winem - wszystkie kobiety myślą, że mężczyźni z ich kraju są najgorsi na świecie. Nie tylko my.

- Nie, Australijczycy są beznadziejni.

- Dlaczego?

- Nasza populacja jest niewielka. A niewielka populacja to ograniczony wybór.

- Może.

Ponieważ jestem bardziej trzeźwa, zaczynam się rozkręcać.

- Co my tu w końcu mamy? Dzikusów, wielbicieli futbolu, chłopców ze starego centrum z prezerwatywami z promocji, przestępców, pedofilów, facetów z Bondi, którzy noszą okulary przeciwsłoneczne i wyglądają jak wielkie muchy, a także mężczyzn w czapkach baseballowych z daszkiem do tyłu.

- Zapomniałaś o prawnikach.

- Tak, prawnicy. I lekarze.

- Podobają mi się chłopcy ze starego centrum z prezerwatywami z promocji - protestuje Hilary.

- A mnie nie. Nie, odkąd minął ich termin przydatności do użycia.

- Kogo? Facetów czy prezerwatyw?

Wydaję z siebie taki dźwięk, że nie sposób mieć wątpliwości, co sobie pomyślałam - to najgorszy dowcip, jaki w życiu słyszałam.

- Nic mnie to nie obchodzi, czy wyjdę za męża, zanim skończę trzydzieści dziewięć lat i jedenaście miesięcy - stwierdzam. - Mam to w nosie.

Nagle Jodie podnosi głowę z piersi Didi, gdzie trzymała ją przez ostatnie pół godziny.

- Uważam, że chłopcy z centrum z prezerwatywami z promocji potrafią człowieka rozruszać - ciągnie Hilary. - Takie rzeczy jak dziurki w uszach robią po prostu pod wpływem chwili. Testują najnowsze narkotyki, nalepiają naklejki z Winoną Ryder na lodówce...

- Moja przyjaciółka przespała się z takim jednym - wtrąca się nagle przebudzona Didi.

- Na dodatek miał czterdzieści dwa lata! Możecie uwierzyć? Czterdzieści dwa lata!

- W starym centrum to ciągle oznacza, że jest chłopcem - zauważam.

- A dlaczego nie podobają ci się dzikusy? - pyta Didi. - Potrafią być naprawdę delikatni.

- I za darmo zaplotą ci włosy pod pachami - dorzuca Jodie.

- O Boże, Jodie chyba uważa to za żart - stwierdza Hilary. Wszystkie milkniemy.

To zabawne.

Nagle za drzwiami wejściowymi słychać jakiś straszny huk. Od razu przytomniejemy.

- Ktoś próbuje się włamać, Vic - ziewa Hilary.

Kiedy wychodzę, żeby to sprawdzić, znajduję tylko Billa Speca, który na czworakach wspina się po schodach do swojego mieszkania.

- Przepraszam - ryczy. - Upuściłem rakietę.

- Nic nie szkodzi - odpowiadam niewyraźnie.

Szczerze mówiąc, nie spotkałam jeszcze nikogo, kto by tak często czerwienił się z równie błahych powodów. Bill mógłby się czerwienić pod sztandarami Australii na następnej olimpiadzie.

W końcu wszystkie dziewczyny wyrzuciłam z mieszkania. To był chyba typowy wieczór samotnej kobiety. W sumie nie było źle.

Zanim dotarłam do łóżka, uświadomiłam sobie następujące przygnębiające rzeczy:

a) z Daniela Hawkera wychodzi „odmowa” i „głupek”* [Ang. *wanker*], b) żadna z tych małych nie pozmywała po sobie, c) jutro będę miała kaca, d) udało mi się wmówić sobie, że wszyscy Australijczycy są beznadziejni, e) Liam myśli, że jestem zdecydowana, zanim sama się zdecydowałam, czy w ogóle kiedyś będę.

Kac dał o sobie znać o piątej rano. Głowa tak mi pękała, że nie mogłam sobie poradzić nawet z kranem. Napiałam się więc wody z czajnika i rozciąłam sobie wargę o plastikowy dziobek.

Teraz przechodzę przez stadium popołudniowe. Doszłam do tego dziwnego punktu, kiedy o wpół do czwartej ma się* ochotę na kanapkę z jajkiem i bekonem. Kylie cały czas powtarza:

- No już, weź sobie jedną. A ja mówię:

- Nie, nie mogę.

Liam, dzięki Bogu, nie ma dziś w pracy. Zdaniem Kylie, która zawsze wie o takich rzeczach wcześniej niż ja, kampanię reklamową frisbee Breakfast Grits „poddano ponownej analizie”. Pewnie chodzi o zmianę odcienia brązu, bo ten przypomina sztuczne wymiociny, które kupują piętnastoletni chłopcy w sklepach ze śmiesznymi rzeczami. Moim zdaniem, sprzedaliby znacznie więcej płatków, gdyby zostali przy starym kolorze, ale nikt mnie tu nie słucha.

Skoro zaakceptowano moją broszurę bankową („Przyjdź do banku i pocuj się tu tak dobrze, jak przy trzaskającym na kominku ogniu w mroźną zimową noc”. Ble!), wreszcie mogę na chwilę wymówić się od pracy.

Kiedy siadam przy komputerze, żeby się zalogować i sprawdzić pocztę na domowym komputerze (świetny trik, którego nauczył mnie Bill Spec), znajduję to:

Do: shep@mpx.com.au

Od: liam@ozemail.com.au Temat: Jeśli nie jesteś zajęta...

Cześć, Victorio Jeśli nie jesteś zajęta w piątek wieczór, to gram z kapelą o nazwie Słowo od Naszych Sponsorów. (W skrócie SONS, może o nas słyszałaś, choć pewnie nie. Większość ludzi stara się o nas zapomnieć). Gramy nowe wersje kawałków z reklam. Proszę, tylko nie mów, że w piątek myjesz głowę. Potrzebujemy tylu ludzi, ilu tylko uda się zebrać. Liam. PS: Jeżeli jesteś zainteresowana, zaczynamy o ósmej w The Crow.

- Ja też się wybieram - stwierdza zadowolona Kylie.

- Co on robi w tym zespole?

- Gra na klawiszach. Mój drugi chłopak z Brisbane też grał na klawiszach.

Co to znaczy „drugi chłopak”?

- Przyprowadzisz kogoś ze sobą? - dręczy mnie dalej.
- Zobaczę.
- Dan się nie odzywał? - pyta setny raz zupełnie niepotrzebnie.
- Ani słowem.

Wszystko wskazuje na problem Nagle Osamotnionej. Mam niewiele czasu, żeby znaleźć kogoś, kto poszedłby ze mną do The Crow, żebym nie wyglądała na zupełnie przegraną.

Telefon komórkowy leży prowokacyjnie na kserokopiarce.

- Zaraz wracam - mówię do Kylie.

Gdy jednak zabieram telefon do kuchni (Boże, chciałabym, żeby ktoś w końcu zdjął z lodówki kartkę z napisem: KTO ZABRAŁ MÓJ TRUSKAWKOWY JOGURT), okazuje się, że Hilary już się z kimś umówiła do kina. Dzwonię do Jodie, a ona mówi, że mają z Didi ważną kolację. Przelatuję listę i docieram już niemal do końca - nudnej starej Heleny Chettle, która nigdzie nie wychodzi, bo karmi piersią dziecko o imieniu Olga. Wreszcie docieram do matki. Jedyne niewykorzystany numer w moim notesie z adresami. To smutne, ale tak wygląda teraz moje życie.

Pozostała mi tylko jedna możliwość, to znaczy płaszczenie się i błaganie.

- Proszę, Hilary. Nie mogę pójść sama. Będę wyglądała jak zdesperowana fanka.
- No to sobie odpuść.
- Ale nie mam nic innego do roboty w piątek wieczorem!
- A co z Jodie i Didi?
- Przyjęcie. Zbierają pieniądze na pomoc prawną dla kobiet z Pakistanu. Bilety po sto dolarów.

W końcu Hilary się poddaje. To w niej bardzo lubię, zwłaszcza że zawsze tak się wszystko kończy. Mimo ośmiotygodniowego treningu asertywności w zeszłym roku, w którym udział brały zresztą tylko kobiety (totalna pomyłka, na horyzoncie żadnego kandydata na męża), zawsze można liczyć na to, że złamię się w imię lojalności.

W efekcie przygotowujemy się u mnie w mieszkaniu na noc obcowania z kulturą. Może uda nam się zobaczyć, jak Liam robi z siebie kompletnego dumnia. Hilary zjawia się w czarnej sukience, czarnych kryjących rajstopach i czarnych pantoflach. Ja zakładam czarne spodnie, czarną skórzaną kurtkę i czarne buty. Kiedy w kuchni nalewam do kieliszków wino, Hilary idzie do łazienki i wylewa na siebie pół butelki moich perfum Eternity. Teraz więc wyglądamy tak samo i pachniemy tak samo.

- Przebiorę się.

- Nie, to nieważne.

- Wyglądamy jak prostytutki!

W końcu docieramy na miejsce (dżinsy, niebieska koszulka, czarna skórzana kurtka, szminka na rozciętej wardze). Przy toalecie dla pań kręci się owczarek na cienutkim sznurku doczepionym do obroży.

- Co za klasa - stwierdza Hilary, unosząc brwi, jak tylko ona potrafi. - Boże, przypominają mi się stare czasy.

- Kiedy ostatni raz byłeś na koncercie? - W 1885.

Hilary ma mi powiedzieć, ile lat dałaby Liamowi, kiedy wyjdzie na scenę z SONS, na wypadek gdyby miał się okazać chłopcem z centrum z prezerwatywami w promocji.

Są tu też Kylie i dziewczyna z księgowości w naszyjniku ze stokrotkami. Obie mają strasznie krótkie mini w szkocką kratę i buty do kolan. Obie udają, że mnie nie widzą, bo machanie do znajomych z pracy nie jest w dobrym tonie. Potem jednak zdają sobie sprawę, że nikogo innego nie znają, więc podchodzą.

- A tak przy okazji - mówi Kylie - właśnie widziałam Dana.

- Martwego na drodze? - pyta Hilary lojalna jak zawsze.

- Był z kimś. Jadł kolację. O, są. Później ci powiem, Vicki. Wyłączono światła, popłynęły dźwięki gitary z głośników, a Kylie gdzieś zniknęła.

Hilary częstuje mnie papierosem. Rzuciłam palenie kilka miesięcy temu. Mentolowy. Nie cierpię mentolowych, przypominają odświeżającą pastę do zębów. Biorę jednego, zapalam i rozkoszuję się każdym pociągnięciem.

- Nie przejmuj się! - wrzeszczy do mnie ze współczuciem.

- ŁAJDAK! - krzyczę w odpowiedzi.

Palenie ma jedną wielką zaletę, o której zupełnie zapomniałam. Nie można jednocześnie zaciągać się i płakać.

Dan, nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę. Podejrzewam, że bardzo łatwo mu to przyszło. Kilka drinków po pracy, ona jest prawnikiem w przeciwnej drużynie. To takie proste.

Hilary znowu mnie szturcha i krzyczy mi prosto do ucha:

- Może to nic poważnego.

Ale ja wiem, że to coś poważnego, w tym problem. Dan nie przyjaźni się z kobietami. Nie umie.

- Muszę wyjść - wrzeszczę do niej. - Ty zostań.

Ledwie widzę Liama z boku sceny. Facet od scenografii należy do tych, którzy

oświetlają tylko perkusistę i wokalistę, tak że na przemian toną w różu lub purpurze. A SONS są okropni. Grają heavymetalowe wersje motywów z reklam telewizyjnych. Chyba mają nadzieję, że ironia sprawi, iż ludzie zaczną płakać ze śmiechu i klepać się po udach. Cóż, mnie to nie bierze. Nawet gdybym czuła się teraz wspaniale, nie sądzę, żeby SONS kiedykolwiek mi się spodobali.

Po drodze do baru spostrzegam Kylie tuż pod sceną. Gdzieżby indziej?

Łapię ją za łokieć i odciągam na bok.

- Gdzie go widziałas? - wrzeszczę jej do ucha, przekrzykując piosenkę o galaretkce.

- Później ci powiem! - ryczy i z powrotem odpływa w stronę sceny.

Więc to tak. Dan. Przypomniało mi się coś, co zwykle mówił jeden z jego kretyńskich przyjaciół kibiców: „Dan to Prawdziwy Facet”.

Tego w nim nie cierpiałam - udawania, że jest równiacha, podczas gdy wcale tak nie było. Podejrzewam - i myślę, że mam rację - że jeśli nie umówił się dziś z prawniczką, to na pewno z jakąś wielbicielką futbolu. One wszystkie noszą takie małe błękitne albo różowe sweterki z angory. Nigdy nie wiadomo, która z którym facetem chodzi, ale zawsze są obok facetów. W pubie. Kręcą się w pobliżu.

Pies też ciągle kręci się przed toaletami. Mają nad lustrami tanie jarzeniówki. W tym świetle wyglądam fatalnie. To jeszcze gorsze od oglądania się w lustrze samolotowej toalety. Rude włosy ciągle są zbyt czerwone, a pasemka nad uszami nadal za krótkie. Wyglądam, jakbym miała osiemdziesiąt, a nie trzydzieści lat. I nagle okazuje się, że już więcej nie mogę płakać. Nie mam siły.

Czołgam się więc do domu. Po drodze zaglądam do nocnego, gdzie zgarniam wiaderko lodów Homer Hudson i kasetę wideo z *Kiedy Harry poznał Sally*. Tak, wiem. Oglądam ten film do samego końca, cały czas rycząc i jedząc.

O północy Hilary dzwoni z budki, żeby sprawdzić, czy żyję. Mówię jej, że tak. Żyję i właśnie idę spać.

Jednak pójście do łóżka w tym momencie to najgorsza możliwa alternatywa. Pomyślcie tylko. Położyć się w łóżku, gdzie kiedyś uprawialiście seks z facetem, który teraz kocha się z kimś innym. Czy z tego może wyjść coś dobrego? Dlaczego kiedykolwiek łudziłam się, że mogłoby?

Gdy się tak przewracam z boku na bok, dociera do mnie, że to nie o seks mi idzie. Chodzi o bliskość. Jestem pewna, że Dan robi to, co zwykle - strony od dwieście do dwieście pięć podręcznika *Radość seksu*. Wypróbowuje to na kimś nowym i cieszy się, bo ma nowe ciało. Spójrzmy prawdzie w oczy - lepsze ciało. Każda kobieta, która była przed wami albo

przyjdzie po was, ma lepsze ciało. Takie są fakty.

Ale to jest zwyczajne porno. Jak kiepska kaseta wideo. Każdy idiota to potrafi, nie to mnie najbardziej męczy. To, co nie pozwala mi spać - poza faktem, że leżę w najbardziej niewygodnym łóżku na świecie - to pocałunki. I żarty. Pocałunki i żarty to coś tylko naszego - mojego i Dana. Świadomość, że teraz robi to z kobietą w sweterku z angory wystarcza, aby na dobre wybić mnie ze snu.

Poddaję się o drugiej w nocy. Wstaję, parzę sobie filiżankę herbaty i kręcę się w piżamie po mieszkaniu. Nie chce mi się zmywać. Nie chcę czytać o cellulitisie w czasopismach dla kobiet. Nie mam ochoty jeszcze raz oglądać *Kiedy Harry poznał Sally*.

Włączam więc komputer. To niesamowite. Budzi się ze mną cały świat. Amerykanie wysyłają do mnie listy typu „Zarób mnóstwo kasy na długie wczasy” . Gdy próbuję skorzystać z Usenetu, znajduję przepisy na ciasta, pytania o single Qasis i świńskie rozmowy na temat Davida Duchownego.

Wtedy mój komputer wydaje z siebie śmieszny dźwięk, który oznacza, że ktoś właśnie przysłał mi emaila. Bogu dzięki, nawet jeśli to jakiś idiotyzm z Ameryki. Ale nie, to od Liama.

Od: liam@ozemail.com.au Do: shep@mpx.com.au Temat: Wszystko w porządku?

Cześć, Victoria. Szkoda, że nie mogłaś zostać. Wiem, że gram kiepsko, ale szkoda. Zresztą nieważne. Do zobaczenia. Liam.

Kiedy kilka minut później kładę głowę na poduszce, dzieje się coś dziwnego. Gdy zamykam oczy, widzę twarz Liama. I jakoś mi z tym dobrze. Nie „w porządku”, ale zdecydowanie „bardzo, bardzo dobrze”.

6

Czekam, aż będzie wpół do ósmej rano, żeby wreszcie zadzwonić do Kylie. Jakaś część mnie czuje się upokorzona, że tak czatuję na każde słowo dwudziestodwulatki w super krótkiej mini w szkocką kratkę.

- Była mniej więcej tego samego wzrostu, ale nieco szczuplejsza od twojej przyjaciółki, jak jej tam, Hilary. Siedzieli przy frontowym oknie pizzerii. Całkiem ładna. Ale nie tak ładna jak ty.

Zignorowałam to ostatnie. To takie gadanie dziewczyny z Queensland. - Gdzie?

- Przy Oxford Street. Cholera, tuż obok jego pracy. - I jak to wyglądało?

- Wyglądało... No wiesz...

- Jakby byli razem?

- No. Miała tatuaż na ramieniu.

O nie. Tylko nie Wytatuowana Prawniczka.

- Jaki?

- Róża albo coś podobnego.

Róża albo coś podobnego. Boże, pomóż mi. To Wytatuowana Prawniczka. Jakiś czas temu pracowała z Danem. Zakładała zwykle dzinsowe szorty na te ich prawnicze pikniki z grillem, i wszystkim opowiadała, jak to zdecydowała się bronić dzieciaków z gangów motorowych i ćpunów, bo to prawdziwi ludzie. Za każdym razem, kiedy ktoś mnie jej przedstawiał, pięć minut później już mnie nie pamiętała. Może nie byłam prawdziwym człowiekiem, sama nie wiem. A teraz Wytatuowana Prawniczka sypia z Danem. Albo przynajmniej jada z nim kolacje, a to oznacza, że od seksu dzieli ich tylko kilka dni. Tak to jest z Danem. Brak mu cierpliwości.

Dzwonię więc do niego. To niesamowite, że wystukiwanie numeru telefonicznego - żalosne ćwiczenie dla palców - może sprawić, że wasze serce będzie waliło jak młotem. Jakbym właśnie przechodziła ostre szkolenie wojskowe. Potrzebuję jednak kontaktu. Muszę go usłyszeć.

Nerwowy skurcz żołądka w chwili, gdy Dan podnosi słuchawkę. Zaczynamy jedną z tych piekielnie nudnych powściągliwych rozmów. Coś takiego mogą znieść tylko ludzie, którzy dopiero co się rozstali. Mnóstwo informacji („Podłączyłam się do Internetu, byłam na koncercie. Wygraliśmy mecz w ostatnią sobotę”), ale nigdy nie usłyszycie tego, co naprawdę chcielibyście usłyszeć, na przykład odpowiedzi na pytania: Czy wariujesz beze mnie? Czy jest jakaś szansa, że nagle porazi cię myśl, że powinniśmy natychmiast się zaręczyć? Itepe,

itede.

Muszę się dowiedzieć czegoś o tej Wytatuowanej Prawniczce, potrzebuję tego. Umrę, jeśli się nie dowiem. I nie zapytam o nią, bo to nie taka rozmowa. Kiedy on odkłada słuchawkę, czuję tak wielką pustkę, że znowu zaczynam płakać. W końcu myję twarz, nakładam podkład, maluję kreskę na powiece, patrzę na siebie w lustrze i cały mój wysiłek idzie na marne. Oczy mam czerwone jak królik. Wyglądam potwornie.

Potem robię coś, czego nigdy się po sobie nie spodziewałam. Wyciągam czasopismo i dzwonię pod numer 0 - 700 do wróżki. Trzy dolary dziewięćdziesiąt pięć centów za minutę połączenia. Na zdjęciu przy ogłoszeniu widzę kobietę o koszmarnie wyskubanych brwiach, w obszernej srebrzystej sukni i srebrnym naszyjniku. Kto wie, może obsługuje też sekstelefon? Czy to szalony tydzień? Czy właśnie zaczyna się dla mnie jeden z tych szalonych tygodni Hilary?

Między innymi właśnie z tego powodu dzwonię. Hilary musiała dowiedzieć się czegoś o swoim bibliotekarzu i dowiedziała się. Ja muszę się czegoś dowiedzieć o Danie i chcę, żeby ktoś mi to powiedział. Podejrzewam, że tak naprawdę chcę najgorszego.

Gdy dzwonię i podaję numer swojej karty kredytowej, jestem tak oszołomiona, że najpierw wystukuję za dużo piątek, a za drugim razem gubię dziewiątkę. Beznadzieja.

- Przedstawimy cię dzisiaj Carze. To jedna z najlepszych jasnowidzów pracujących dla Kryształowej Linii. Właśnie się przygotowuje i za chwilę się tobą zajmie. Nie rozłączaj się, Victorio.

Nie rozłączam się więc, myśląc, że nigdy nie będzie na to za późno. Z tym że oni mają numer mojej karty kredytowej, no i potrafią czytać w moich myślach, więc jeśli się rozłączę, będę miała kłopoty.

Potem pojawia się Cara (dlaczego składam swoje życie w ręce kogoś, kto ma na imię Cara?).

- Witaj, Victorio. Jestem jasnowidzem, a nie tarocistką, więc moje metody pracy są nieco inne. Nie będę cię prosić, żebyś cokolwiek robiła, nie będziemy patrzeć w żadne karty. Chcę tylko, żebyś się rozluźniła, skoncentrowała, oddychała i zaczynamy. Proszę, skup się.

Skupiam się, jak to tylko możliwe w sytuacji, gdy dopiero co starłam z twarzy podkład i wypłakałam sobie oczy.

- Teraz wydajesz mi się nieco smutna, jesteś smutna?

- Tak. (Jęk)

- Wiesz co, Victorio, jeśli spojrzysz na wszystko z perspektywy pięciu lat, zobaczysz sprawy w zupełnie innym świetle. Mój duchowy przewodnik, który jest przy mnie, kazał mi

powiedzieć, że dla niego to jeszcze nie koniec.

- Dla Dana?

- O, to ciekawe. Mój przewodnik powiedział, że ma na imię Don. Ale niech będzie Dan. To wysportowany facet, prawda? Musi odreagować pracę, tak?

- Gra w futbol.

- W ten sposób stracił ząb, tak? Co takiego?

- Nie.

Potem sobie przypominam. Ukruszył mu się trzonowy ząb na uniwerku, kiedy ze złej strony wyszedł spod kupy futbolistów. Wiele lat temu założono mu koronkę.

- W każdym razie chcę, żebyś się skoncentrowała na tym, że przed Danem jest jeszcze wiele, wiele związków. Ta, z którą jest teraz, nie będzie ostatnia.

- Więc są razem.

- Ta, z którą jest teraz, nie będzie ostatnia - powtarza to zdanie tak, że brzmi jak zapowiedź pociągu.

- Widzisz ją?

- Nie należy do dziewczyn, jakie on zwykle wybiera. To jest namiętność, ale ona się wypali.

- Coś jeszcze?

- Na ramieniu ma rysunek róży... Wiesz co, Victorio? Chcę, żebyś zapamiętała, że przeznaczenie szykuje dla nas wiele niespodzianek, a życie często nas zaskakuje.

Cholera. On nie wróci.

- Widzę zainteresowanie komputerami, zgadza się? To okaże się ważne.

- Mam komputer.

- W takim razie trzymaj się tego, Victorio. Chcesz kontynuować tę rozmowę, kochanie?

Zawsze mogę skorzystać z pieniędzy odłożonych w imbryczku na czynsz. - Aha.

- Może chcesz robić notatki? Wielu ludzi tak robi. Żebyś nie zapomniała. Masz takie ładne pióro z żonkilem na skuwce.

O mój Boże. To pióro kupiłam w czasie Dni Żonkila w zeszłym roku. Mam nadzieję, że Cara nie widzi, jak cały tusz spływa mi po policzkach.

- Rzeczywiście, mam pióro z żonkilem.

- Tak, kochanie. Wiem, że masz. Jesteś zaskoczona, że widzę to wszystko, prawda? No dobrze. Teraz, kiedy wszystko sobie zapisujesz, mogę ci powiedzieć, że komputer okaże się dla ciebie bardzo ważny w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. Nie za szybko mówię?

- Nie.

- Ale nie chodzi o pracę. Widzę, jak spotykasz się z nowymi, naprawdę miłymi ludźmi dzięki komputerowi.

Gryzmołę naprędcie: „komputer, nie praca, mili ludzie”.

- Właśnie ktoś mi przysłał emaila. - Tak?

- Przysłała mi listy przez komputer.

- O, to ciekawe.

- Tak?

- Tak. Mój przewodnik mówi mi, że dzięki tym komputerowym wiadomościom spotkasz bratnią duszę.

- Bratnią duszę?

- Tak. Każdy na świecie ma swoją drugą połowę i gdy jesteśmy gotowi, spotykamy ją.

- Dan nie był moją bratnią duszą?

- On był w twoim życiu kimś, kogo ja nazywam towarzyszem drogi - stwierdza Cara i znowu brzmi to jakby mówiła przez dworcowy megafon. - Victorio, ja mówię o prawdziwej bratniej duszy. On się dopiero zjawi.

Wróżka milknie i kaszle w niezbyt uduchowiony sposób.

- Chcesz dalej rozmawiać, kochanie?

- He już wydałam?

- Zaraz ci powiem. Mechaniczny głos informuje mnie:

- Koszt tej rozmowy wynosi czterdzieści dolarów i trzydzieści centów.

To więcej, niż mogę wydać z oszczędności w imbryczku. Chyba jednak usłyszałam wszystko, co chciałam usłyszeć. Zresztą może nie, ale jestem tak spokojna, jak nie byłam od wieków. Tak spokojna, że chyba dam radę znowu nałożyć podkład, umalować oczy i pojechać do pracy prawie pustym tramwajem.

- Powiedziałaś im, że kaszlałaś krwią - mówi usłużnie Kylie, gdy docieram do pracy tuż przed lunchem.

- Dzięki.

- Przykro mi z powodu ostatniego wieczoru. Nie sądziłam, że tak się zdenerwujesz.

- Myślałam, że masz dyplom z psychologii.

Widać, jak powoli, powolutku to do niej dociera, jak iskrzy się w jej mózgu, gdzieś powyżej kolczyków, kiedy wreszcie załapuje.

- Przepraszam, strasznie przepraszam, Vicki.

Tak naprawdę to Kylie nie ma dyplomu z psychologii, tylko skończyła kurs

zarządzania zasobami ludzkimi w ramach doskonalenia umiejętności efektywnego porozumiewania się. Podejrzewam, że właśnie dlatego zatrudniono ją do pracy przy kampanii Breakfast Grits.

- Myślę, że Liam cię lubi - mówi mi w ramach rekompensaty.

- Dlaczego?

„Dzięki komputerowi spotkasz swoją bratnią duszę”.

- Wyglądał, jakby się naprawdę zdenerwował, gdy mu powiedziałam, że wróciłaś do domu.

Więc Liam wyglądał na zdenerwowanego. To ciekawe. Właściwie to więcej niż ciekawe. Przesłał mi też emaila. To znaczy, że te ciemne oczy, te bardzo ciemne oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń i myślały o mnie. On myślał o mnie. No i dzięki komputerowi mam spotkać swoją bratnią duszę.

To śmieszne, że jedna drobna rzecz może przeważać szalę. Podobnie było z Anthony Andersonem. Kręcił się w pobliżu od wieków, należał do grupy znajomych. Aż pewnego dnia trochę za dużo wypił i powiedział mi, że przypominam Scarlett O'Hare. Wtedy właśnie po raz pierwszy w życiu obejrzałam *Przeminęło z wiatrem*. Wciąż wracałam do scen, w których Vivien Leigh wyglądała najseksowniej. Miałam nadzieję, że właśnie taką Scarlett mu przypomniałam.

Kiedy potem go spotkałam, zaczęłam dostrzegać rzeczy, na które wcześniej nie zwróciłam uwagi. Zauważyłam na przykład, że zawsze rozśmiesza ludzi, że wielu znajomych z klubu pletwonurków go lubi i że zabawnie odgarnia ręką włosy, gdy się nad czymś zastanawia. Potem wystarczyło już tylko kilka kolacji ze znajomymi znajomych, żebyśmy wylądowali na dywanie, tarzając się obok jego butli tlenowych. Podobnie miała się rzecz z Leonem Mercerem. Chociaż tym razem było na odwrót. Przez lata mnie ignorował, prawdopodobnie dlatego, że nosiłam się w stylu country, a on ubierał się w ciuchy z demobilu i koszulki w stylu The Clash. Aż pewnej nocy śmiałam się ze wszystkich jego dowcipów i przysunęłam się nieco bliżej niż zwykle, żeby zapalić mu papierosa. To wystarczyło, aby w naszych stosunkach nastąpił przełom.

Nie chciałabym jednak, żeby tak się potoczyły sprawy z Liamem. Nie chcę się zakochać w kimś tylko dlatego, że zdaniem Cary to moja bratnia dusza. Zawsze coś psuję. Tym razem chcę wszystko zrobić właściwie. Nie chcę już więcej ryzykować.

Potem widzę go, jak macha przez całą drogę od recepcji, i wiem, że wpadam, wpadam... wpadłam. Wciąż Kocham Dana, zawsze będę, nawet jeśli to już skończone i Cara ma rację. Kocham Dana tak mocno, że gdyby zjawił się teraz szatan i powiedziała, że jedno z

nas musi zostać wrzucone do krateru wulkanu, pierwsza podniosłabym rękę. Kocham Dana tak mocno, że mogę czuć do niego wstręt i nadal go kochać. Ale Liam... Coś się między nami zaczyna. Na razie coś bardzo mglistego, ale chucham na tę iskierkę, jak tylko mogę. Jeśli chcecie wiedzieć, to pieszczę ją cały czas, jakby to był Orzeszek. To lepsze od bólu. Musi być. Lepsze od czekania na rozwiedzionego faceta po czterdziestce.

A Liam wygląda w tej zamszowej marynarce zabójczo. Kiedy przechodzi obok, głowy wszystkich kobiet wychylają się nieco z boksów niczym stokrotki. Zaraz nas minie. Uśmiecha się. Macha tekturową teczką. Nie patrzy mi w oczy.

- Cześć Victorio, cześć, Kylie. Na razie. Co jest grane?

Kylie wychyla się zza przepierzenia, pochyla głowę nad krawędzią, otwiera usta i robi minę „Widziałaś to?”. Rzeczywiście zniknął. Ot, tak sobie.

- To dlatego, że go wystawiłaś - syczy Kylie.

- To nie była randka.

- Powinnaś była zostać. Był wspaniały. SONS są świetni. Tacy słodcy. Grali piosenkę z reklamy...

- Gdybyś mi nie powiedziała o Danie...

- Musiałam ci powiedzieć. Nikt inny by ci nie powiedział.

- Tak, na pięć minut przed tym, jak zaczęli grać.

- Dobra, już się zamykam.

A kiedy myślę o Danie i Wytatuowanej Prawniczce, coś mi się przypomina. Dan miał takie słówko, którego używał, gdy chciał mnie zdenerwować. Szprycha. Patrzył na jakąś panienkę ze *Słonecznego patrolu* i mówił:

- Niezła szprycha, nie, Victorio?

Wtedy udawałam, że chcę w niego rzucić poduszką, albo łapałam pilota czy coś w tym stylu. To był nasz stary żart. Ale teraz to słowo budzi we mnie mdłości. Raz podczas lunchu powiedział, że Wytatuowana Prawniczka to szprycha - przy mnie i w obecność kilku innych osób. Niektóre się roześmiały. Ja nie.

Tylko tyle mogę zrobić, żeby nie zadzwonić do Cary. Przez resztę popołudnia jestem rozdarta, zdrowy rozsądek (powiedział ci, że znajdziesz bratnią duszę, czego jeszcze chcesz się dowiedzieć?) walczy z Szalonym Tygodniem w stylu Hilary.

Koniec końców wychodzę z biurową komórką i dzwonię do Hilary z parkingu.

Pracuje w bibliotece w dziale dziecięcym.

- Jestem zajęta - wrzeszczy, przekrzykując zgraję dzieciaków.

- Przepraszam.

- Nie, mów, o co chodzi. Ktoś zwymiotował na puf. A to nie jest puf ze skaju, tylko z cholernego welwetu. Nieważne, gadaj.

- Zadzwoiłam do wróżki.

- O nie, Victorio! Wiesz, co się potem dzieje!

- Musiałam.

- Kto to był?

- Cara.

- Nigdy o niej nie słyszałam.

- Cara powiedziała, że to prawda. Dan jest z inną kobietą. Rozumiesz, „Z NIA”, a nie tylko „z nią”.

- Tak, wiem, co masz na myśli. Nie, Jasonie i Davidzie, teraz rozmawiam. Przepraszam. To straszne. Ciekawe, czy najadł się jakichś grzybków, czy po prostu stracił rozum? Może powinnaś do niego zadzwonić?

- Nie! I wiem, kto to jest. - Kto?

- Wytatuowana Prawniczka. Pamiętasz, jak ci o niej opowiadałam? Była na pikniku dla prawników, na który wszyscy poszliśmy. Miała na ramieniu tatuaż z różą i wciąż się pochylała. Miała na sobie króciutkie dżinsowa szorty.

- O nie!

- Cara powiedziała, że Dan z nią zerwie i będzie się spotykał z różnymi kobietami przez pięć lat.

- A potem znowu się zejdziecie?

- Nie.

- Była tego pewna? Co ja gadam, te wróżki nigdy nie mają wątpliwości.

- Ale spotkam kogoś. Bratnią duszę. W Internecie.

- Jason, proszę, idź i wylej to z tego wiaderka. Davidzie, nie pokazuj mi, gdzie ktoś dorysował coś brzydkiego w tej książce, po prostu idź do pani Murphy i poproś, żeby to wytarła. Nie, nie obchodzi mnie to. Już to kiedyś widziałam. To część ludzkiego ciała. Przepraszam, Vic... - Hilary pomału wraca do normalności. - Co miała na myśli, mówiąc w Internecie? Och, chyba nie Pan Bokserki!

- Może to on.

- To cudownie!

- Tyle że on się do mnie nie odzywa.

- Ego. Wszyscy muzycy mają wybujałe ego.

- On nie jest muzykiem. Tak mu się tylko wydaje. Właśnie go widziałam. Nienawidzi

mnie.

- Wyślij mu emaila.

- Nie mogę!

- Słuchaj, Victorio - sapnęła Hilary. - Nie zadzwonisz do Dana, nie wyślesz emaila do Liama. Jak cokolwiek ma się poprawić? Muszę kończyć. Zrób coś dla mnie, dobrze? Zadzwon do Dana i upewnij się, że Cara - czy jak jej tam - miała rację. I nie dzwoń więcej do żadnych wróżek. Ja przez takie telefony zbankrutowałam.

Kiedy wracam do biurka, dociera do mnie, że Hilary może mieć rację. Nie mogę całe życie torturować się plotkami zasłyszczanymi od dwudziestodwulatki, która przykleja do szklanego przepierzenia futrzaste stwory, albo nawiedzonymi opowieściami Cary z Kryształowej Linii. Kurczę, w końcu jestem dorosła. Mam trzydzieści lat, poradzę sobie. Muszę wiedzieć, na czym stoję.

Dzwonię więc do Dana do pracy. Wielki błąd. Ogromny błąd.

- Nie jestem sam.

- Powiedz mi tylko coś szybko, musimy sobie wyjaśnić parę \ spraw.

- Dobrze.

- W porządku. Spotykasz się z kimś? - Tak.

- Z prawniczką?

- Tak. Zadzwonię do ciebie później.

- To ta kobieta z tatuażem?

- Słuchaj, możemy porozmawiać o tym później?

Więc to już pewne. Mam przechłapanie na resztę roku.

Ciało prawdziwej szprychy, seks ze szprychą, pewnie ma zgrabny zadarty nosek prawdziwej szprychy, chichocze jak szprycha... I chociaż wiem coś, czego ta szprycha nie wie - dzięki Caro - to wcale nie jest mi z tego powodu lepiej. To ten rodzaj gniewu, który sprawia, że dosłownie się trzęsiesz ze złości. Czy prawnicy nie mogą się krzyżować z innymi gatunkami? Mogą się łączyć w pary tylko między sobą? Są gorsi od rasowych psów.

Mam kilka weekendów, żeby dojść do siebie po epizodzie z wróżką i Wytatuowaną Prawniczką, kiedy nagle szefostwo wzywa nas na spotkanie. Nareszcie nadeszły frisbee do płatków Breakfast Grits i wszyscy, którzy brali udział w tej potrójnej akcji reklamowej, zostali zaproszeni. Mamy zebrać się w pobliskim parku i porzucać sobie frisbee.

Nie cierpię tych radosnych imprez na świeżym powietrzu, które organizują nasi szefowie. Raz urządzili dla nas piknik z przeciąganiem liny, żebyśmy wszyscy razem ciągnęli - chwytacie? - i mocniej się ze sobą związali. W ostatnie święta Bożego Narodzenia zorganizowali nam zjeżdżanie na linach ze skał i Kylie omal mnie nie zabiła, gdy rozwiązała swój sznur z niewłaściwego końca.

Liam nie ma, zresztą nie spodziewałam się go tu. Nie odpowiedział na żaden mój email od czasu tego katastrofального wieczoru w The Crow.

Według dziewczyn z księgowości pojechał do Perth. Robi tam dla kogoś katalog. To oczywiste. Prawdopodobnie ignoruje nas wszystkie. A może po prostu mnie.

Tak więc pojechaliliśmy razem do parku z tradycyjnym kartonem piwa i taniego szampana oraz paczkami serowych chipsów, które produkują - jakżeby inaczej - ludzie od frisbee i płatków Breakfast Grits.

Z jakiegoś powodu Bobbi, Amerykanka i kierowniczka działu projektów w jednym, zaczyna dawać mi znaki. Chce ze mną porozmawiać na osobności.

- Cześć, Vicki!

Ciska frisbee, które zgodnie z moimi przewidywaniami wygląda jak plastikowe wymiociny ze sklepu ze śmiesznymi rzeczami. Nie udaje mi się go złapać. Kiedy krąży między drzewami w poszukiwaniu frisbee, podchodzi do mnie Bobbi.

- Jesteśmy bardzo zadowoleni z twojej pracy podczas tej kampanii, Vicki.

- Dziękuję.

- Usiądź na chwilę.

Och, nie zniosę tego. Spotkanie w interesach pod płaszczykiem zabawy z frisbee. Typowe chrzanie w stylu ludzi z reklamy. Wiecie, nawiązywanie kontaktu z ludźmi w luźniej atmosferze.

- Wiesz, że chcę, żebyśmy robili dla nich też inne rzeczy? Kiwam głową. Taka właśnie jest nasza praca - kiwamy głowami.

- Tym razem to coś naprawdę ciekawego. Slim n' Smile. Nie, tylko nie Slim n' Smile! Dobry Boże, o czym ona chrzani?

- Spodobało im się to, co wymyśliłaś przy frisbee, więc teraz chcą, żebyś pracowała przy Slim n' Smile. Co ty na to? Dennis chce opracować kampanię na podstawie doświadczeń prawdziwych ludzi.

- Kto to jest Dennis?

- Znasz Dennisa. Spójrz tam.

Popatrzyłam we wskazanym kierunku i zobaczyłam go, jak siedzi na kocu pod drzewem. Coś pomiędzy Pavarottim a facetem w okularach z *Sąsiadów*.

- Jakich prawdziwych ludzi? - pytam. - Chce wziąć grubasy? Bobbi się śmieje. Należy do osób, dla których reklamy papieru toaletowego ze szczeniakami są niesamowicie zabawne.

- Mamy kilku bardzo utalentowanych naturšczyków. Kiedyś byli odrobinę przy kości, teraz wrócili do właściwej wagi. Po kuracji Slim n' Smile.

- Coś w stylu „przed i po”?

- Ciepło, ciepło. I chcielibyśmy wykorzystać ich historie. Chodź, pokażę ci.

Ruszyłyśmy w stronę - jak go nazwała Bobbi - Potężnego Dennisa, PD, od Breakfast Grits, Chuckle Chips i, ma się rozumieć, Slim n' Smile. Jeśli takie nazwy wymyśla dla jedzenia, ciekawe, jak dał na imię swoim dzieciom? No dobra, nie spierajmy się z firmą, która rocznie produkuje miliony ton płatków.

Dennis ma wielki brzuch, nosi błękitny garnitur i źle dobrany krawat, poza tym ma telefon komórkowy, lśniący samochód i inne gadzety. Nie jest mu chyba zbyt wygodnie na kocu - to facet, który lubi restauracje. Jego skrępowanie staje się jeszcze bardziej widoczne, gdy próbuje rozmawiać o niczym z siedzącymi obok czterema kobietami. Nie mogę w to uwierzyć - wszyscy jedzą galaretki Slim n' Smile.

- Vicki, to ludzie, o których ci opowiadałam. Margy, Robyn, Nadia i Debbie.

- Możesz mówić do mnie Deborah albo Debbie, wszystko mi jedno - mówi Deborah *vel* Debbie.

- Oczywiście znasz już Dennisa - dodaje Bobbi.

Obydwe dobrze wiemy, że nie odróżniłabym go od faceta ze stacji benzynowej, ale rzeczywiście chyba kiedyś już nas sobie przedstawiono. No i podobały mu się moje slogany reklamowe, wyciągam więc do niego rękę, uśmiecham się, a on przekłada telefon komórkowy do drugiej dłoni i odwzajemnia uścisk, ale bez uśmiechu.

Bobbi oddała się, powoli krocząc po trawie w swoich czarnych szpilkach. Zostawia mnie, żebym sama sobie radziła.

- To, czego szukamy, Vicki, to punkt widzenia prawdziwego człowieka - odzywa się Dennis. - Mam nadzieję, że Bobbi ci to wytłumaczyła. Margy ma dla ciebie historię, Nadia

tak samo, a Debbie - to dopiero opowieść!

Debbie vel Deborah promienieje.

- I pewnie też Robyn ma dla nas historię - kończy Dennis.

- Slim n' Smile uratowało mój związek - mówi Margy, która niewątpliwie ćwiczyła swoją opowieść, bo ktoś powiedział jej, że będzie w telewizji.

- Nosilaam rozmiar dwadzieścia dwa. W ciągu niecałych sześciu miesięcy zeszaam do czternastki - dorzuca Nadia z ustami pełnymi twarożku.

- Ja też - odzywa się Robyn. - A mój narzeczony mówi, że teraz nie spojrzealby na żadną inną kobietę.

I chociaż wypilaam już trzy plastikowe kubeczki szampana i mam za sobą grę w frisbee z Bobbi, muszą przyznać, że właśnie zaczynam rozumieć. To jakaś zupełnie zakręcona wersja bankowej broszury ze szczęśliwym małżeństwem.

Rozmawiamy o tym, jak truskawkowe galaretki Slim n' Smile pomogły im znaleźć tego jedynego mężczyznę. Sama myśl o tym sprawia, że mam ochotę wdrapać się na drzewo.

- Słyszałem, że jesteś samotna, Vicki - mówi Dennis. - Nie, wręcz przeciwnie.

Kurczę, w końcu to nie jego interes, prawda?

- Ach, więc źle mnie poinformowano.

Czy jest jeszcze ktoś w tej agencji, kto nie został wtajemniczony w szczegóły mojego osobistego życia?

- W każdym razie, Vicki, to prawdziwe historie o miłości - ciągnie Dennis. - Mieliliśmy sporo trudności ze znalezieniem tych pań.

W idealnym świecie w tym momencie zjawiłyby się Jodie i Didi wraz z gangiem kobiet dzierzących piły łańcuchowe, z wielkimi pitbullami na smyczy... Ale cóż, jestem tylko ja, Margy w sandałach i zwiewnej sukience w kwiaty, Nadia w sweterku oraz Robyn i Debbie vel Deborah, zajadające się limonkowymi galaretkami Slim n' Smile.

- A więc Margy - zaryzykowałam - powiedziaabyś, że Slim n' Smile uratowało twój związek?

- O, tak - kiwa głową. - Zdecydowanie. Rozstałam się z nim, ale potem on wrócił. Gdy zobaczył, jak schudłam.

Słyszac to wszyscy się roześmiali. Naprawdę. Niezwykle zabawna historia, prawda?

- Rzucił nawet kobietę, z którą wtedy był - dodaje zachwycona Nadia.

- Więc rzucił kobietę, z którą był. - Zauważam, że zaczynam mówić z pijackim uporem. - Złamał jej serce, zostawił zrozpaczoną i wrócił do ciebie, bo miałaś mniejszy tyłek, tak?

- No, niezupełnie tak było...

- Muszę poznać wszystkie szczegóły - staram się sprawiać wrażenie stuprocentowej profesjonalistki od reklam. - Ile miał wtedy lat? - dopytuję się.

- Trzydzieści siedem.

- Był więc, jak to określamy, żalonym trzydziestosiedmioletnim związkofobem. Kiedy przestajesz być otyła, on rzuca kobietę, z którą jest i wraca do ciebie. Nie boisz się, że to się może powtórzyć, Margy?

- Hmm, nie nazwałabym siebie otyłą... - Zawiesza głos.

Zaczynam tracić grunt pod nogami. Słyszę to we własnym głosie. Bobbi przedstawiła mnie staremu dobremu Dennisowi jako Młodą, Obiecującą Pracownicę Agencji, Vicki, a teraz wszystko idzie na opak.

Co się, u licha, ze mną dzieje? Pamiętam czasy, kiedy rzuciłabym się z głową w tę kampanię. Slim n' Smile przynosi ogromne zyski. Jeden z najlepiej sprzedających się produktów w kraju. Może błyskawicznie windować w górę i przynosi taki zysk, że wytatuowane prawniczki wyglądają przy tym jak zwykłe amatorki. Mój Boże. Chyba przeze mnie eksgrubaska Margy się popłakała.

Wcale nie chodzi o Margy i jej życie osobiste. Chodzi o mnie. A ściśle rzecz biorąc, chodzi o dwie rzeczy ze mną związane. O Jamiego Streetona, zwariowanego na punkcie baseballu Amerykanina, z którym kiedyś się spotykałam, i o epizod z anoreksją, który mam już za sobą.

Jamie miał słabość do swojej byłej dziewczyny. Należała do miejscowej drużyny hokeja na trawie, którą trenował jego znajomy. Przez całą zimę co sobota rano siedziałam w domu, zajadałam się tartą marchewką, połówką suchego tostu i dwoma litrami wody, a on w tym czasie był na meczu. Tamta dziewczyna miała wspaniałe uda. Nosila koński ogon. Kiedy biegła, razem z nią podskakiwał jej kucyk.

Nic nie mogło powstrzymać Jamiego od pójścia na jej mecz. Zwykle w piątek wieczorem szliśmy na jakiś film, wracaliśmy do mnie, kochaliśmy się, a potem on wstawał rano, brał prysznic, wycierał się moim ręcznikiem, ubierał się i jechał na jej mecz - żeby zapewnić jej przyjacielskie wsparcie. Ależ Victorio, to chyba nie jest dla ciebie problem, prawda? Przecież nie jesteś paranoiczką? Tak czy inaczej, docierały do mnie tylko raporty z meczów.

- Jak było? - pytałam słabym głosem, starając się zachować spokój, co zresztą nigdy mi nie wychodziło.

- Całkiem niezły mecz. To świetna drużyna. Naprawdę świetna. W pierwszej połowie

trochę oberwały, ale potem się pozbierały.

Innymi słowy, myślałam, ważąc puszkę tuńczyka i sumując kalorie, on ciągle ją kocha. A ona ma ładniejsze nogi niż ja. I co mogę w związku z tym zrobić? Nic. Chyba że chcę wyjść na wrzaskliwą, zazdrosną harpię. Mieli swój stały, po prostu wspaniały numer. Ona mu opowiadała o swoim nowym chłopaku, oczywiście w sposób żartobliwy i przyjacielski, a on zwykle kwitował to słowami:

- Ha, ha, wygląda na zupełnego frajera.

Oczywiście też mówił to żartem i po przyjacielsku. Wiesie, jak jest. Równocześnie obydwójce patrzyli na siebie - jak to określiła Hilary - niczym Romeo i Julia na łożu śmierci.

Czy Jamie Streton kochał się w swojej byłej dziewczynie z pięknymi udami i z końskim ogonem, w czasie, kiedy powinien uwielbiać mnie? Zdarzało się, że sobotni wieczór planował z nią, a nie ze mną („Nie masz nic przeciwko temu, Victorio, prawda?”), a ona i jej znajomi zachowywali się tak, jakby Jamie nadal z nią był. Ale po latach muszę stwierdzić, że nie. Nie sądzę, żeby on kiedykolwiek ją kochał. Koniec końców, myślę, że kochał tylko siebie.

Właściwie to jego ulubione powiedzenie. Prawie słyszę, jak mówi ze swoim nowojorskim akcentem:

- Koniec końców, Yankees są do niczego bez dobrego menedżera.

Albo:

- Koniec końców, jesteśmy tylko przyjaciółmi. Nic mnie z nią nie łączy.

Koniec końców, spokojnie mogę stwierdzić, że Jamie bardzo się bał, że zniknie ten cudowny dreszczyk emocji, jaki budziło w nim igranie z uczuciami dwóch kobiet jednocześnie. Tak bardzo się tego obawiał, że pozwolił, abym się unieszczęśliwiła, tarła sobie marchewkę i prawie się zagłodziła. On w tym czasie przytulał w pubie po meczu swoją byłą. Oczywiście jako przyjaciel. Czy w ogóle zauważył, że mam problem z jedzeniem? Wątpię. Na pewno nie wtedy, gdy Yankees grali z Red Sox z Bostonu. Nie podczas jednego z meczów jego byłej dziewczyny.

Niesamowite. Minęło tyle lat, a myśl o tym wciąż sprawia mi ból. Pół zimy straciłam, oglądając zdjęcia modelek i nienawidząc samej siebie. I byłam taka z siebie zadowolona, gdy obojczyki zamieniły mi się w wielkie wystające łuki. Prawdziwa oznaka postępu, myślałam po kilku tygodniach diety składającej się z zupy z selera i szpinaku (bez soli), od czasu do czasu pomarańczy, po pięciokilometrowym biegu i kilku litrach wody dziennie. Anoreksja? Nie ja. Ha!

Teraz Bobbi ciężko stąpa po trawie. Nie jest jasnowidzem tak jak Cara z Kryształowej

Linii, ale ma niesamowite wycucie, jeśli idzie o zespół. Niczym kot, który natychmiast wyczuwa, że właśnie otwarto drzwi do lodówki. Z odległości pięćdziesięciu metrów dostrzeże zawodową porażkę.

- Jak wam leci? Vicki, muszę cię na moment porwać.
- Nie zrobię tego - syczę, gdy jesteśmy już daleko.
- Tyle to ja sama widzę. Może usiądziemy i porozmawiamy.
- W twoim samochodzie.
- Dobra.

Bobbi nie jest taka zła, naprawdę. Po prostu całe życie oglądała w New Jersey beznadziejną amerykańską telewizję. Uśmiecha się i przechyla głowę jak pani Brady, rozszerza oczy ze zdumienia jak *Latająca Zakonnica* i opiera ręce na biodrach niczym matka z *Partridge Family*. Nawiasem mówiąc, Kylie ją lubi. Ja też. Albo mi jej szkoda - smutnej, czarującej, starzejącej się czterdziestokilkulatki.

- Bobbi, nie mogę tego zrobić.
- Nie musisz, kochanie.
- Właśnie zerwałam z chłopakiem. Nie. To on zerwał ze mną. Ma kogoś innego. Właściwie to on nie ma z tym nic wspólnego, ale... Cholera, masz chusteczkę?

Płaczę i płacę. Ze schowka wyciąga mi pachnące miętą chusteczki. Dmucham nos tak długo, aż mi się zaczyna w nim kręcić i łyzy przestają lecieć.

- I kiedyś prawie miałam anoreksję. - Usta mi się nie zamykają. - Właściwie... Nieważne, miałam. Miałam anoreksję. Przestałam miesiączkować.

- Hmm...
- Jadłam to świnstwo, które oni teraz jedzą. Zjadałam kilka tych galaretek, potem robiłam pięćdziesiąt brzuszków, aż zaczął mnie boleć żołądek.

- Rozumiem. - Nie zrobię tego. - Nie zrobisz.

Bobbi milknie i wzdycha. Przez przednią szybę widzimy Kylie. Biegnie, macha do nas. Pędzi w stronę samochodu z frisbee w dłoni. Bobbi opuszcza szybę.

- Jesteśmy zajęte, Kylie. Zaraz wyjdziemy.

Kładzie dłoń na mojej. Jej ręka w niczym nie przypomina mojej - jest opalona, na palcu ma wielki brylant w zaręczynowym pierścionku i długie, czerwone paznokcie.

- Moja siostra cierpiała na zaburzenia związane z jedzeniem - mówi.
- W takim razie...
- Ale widziałaś je, Vicki. One są szczęśliwe.
- Nie dam rady tego zrobić.

- W takim razie - mówi - zrobi to ktoś inny. Przecież wiesz.

Jasne, że wiem. Nie mam jednak dość odwagi, żeby tam wrócić i przeprosić. Pewnie dadzą to Kylie. Prawdopodobnie dlatego tak pędziła.

- Dobra, spróbuj się pozbierać.

Bobbi ma pikowaną kosmetyczkę Chanel z chusteczkami do odświeżenia twarzy - nie żartuję - i puderniczkę Chanel do kompletu, z której pozwala mi skorzystać.

- Dzięki.

Wysiadam z samochodu i szukam Kylie, która przestała machać rękami i rozmawia z Liamem. Liam! Nie sądziłam, że tak się ucieszę na jego widok.

Jestem odrobinę zakłopotana smugami na twarzy, więc roztrzepuję włosy, żeby je ukryć. Tylko czy można roztrzepać najeżone krótkie rude włosy?

- Ktoś chce jeszcze szampana? - pyta Kylie i usłużnie znika. Liam patrzy na mnie. Surowo.

- Byłeś w Perth - mówię bez sensu. - Zauważyłaś.

Nie znam go na tyle, żeby zapytać, czy coś się stało, ale i tak to robię.

- Postaw się na moim miejscu - tłumaczy, ciskając ze złością frisbee w stronę stawu.

- Słucham? Wysłałam ci Bóg wie ile emaili... Właśnie, ty łajdaku.

- Tak?

Spojrzałam na niego, i zastanowiłam się chwilę. Email. Ja. Nowy komputer. Dwie lewe ręce. O nie!

- Naprawdę je napisałam, ale skoro ich nie dostałeś...

- Zaprosiłem cię na koncert, wyszłaś, nie miałem od ciebie żadnych wieści, rozumiesz... - Wzrusza ramionami.

A potem mamrocze coś o tym, że zawsze marzył o jędzy - a może, że chciał mieć więcej pieniędzy - i odchodzi.

Przez większość dorosłego życia chodzicie na randki, uprawiacie seks i przyzwyczajacie się do faktu, że mniej więcej trzydzieści procent facetów nie oddzwania. Kiedy więc dociera do was, że z mężczyznami też można tak postąpić, jest to dla was prawdziwy szok. I jeśli spojrzeć na tę sytuację oczami Liama, rzeczywiście wygląda to fatalnie. Zaprosił mnie do pubu - zgadza się. Wprawdzie oprócz mnie zaprosił jeszcze połowę populacji noszącej superminispódniczki w szkocką kratkę w Sydney, ale mnie również. A ja wychodzę. Potem nie ma ode mnie żadnych wiadomości, co zawdzięczam swojemu antytalentowi w sprawach technicznych. Z jego punktu widzenia rzeczywiście okazałam się jędzą bez serca.

Jestem mu winna wyjaśnienia. Nie tylko w kwestii emaili, które nigdy do niego nie dotarły, ale Dana. Jeśli w ogóle między mną a Liamem ma do czegoś dojść, to kiedyś sprawę Dana trzeba będzie wyjaśnić. Dzwonię więc do Liama. Po pełnych zakłopotania uśmiezkach w stylu paniusi z Avonu, postanawiamy zjeść lunch w ogrodzie botanicznym. Nie wiem, czy można się tam napić czegoś mocniejszego, a my zdecydowanie będziemy tego potrzebować, zabieram więc ze sobą butelkę.

On się spóźnia, a ja przyjechałam za wcześnie. Mam więc około dwudziestu minut na bezmyślne gapienie się na tabliczki z nazwami drzew. Dobrze by było, gdyby ludzie też mieli takie tabliczki. Wyobraźmy to sobie. Daniel Hawker - *Emotionus Cretinus*. Jamie Streeton - *Femalus Manipulatus*. Phillip Zebruski - *Phallus Obsessus*. Tylko pomyślcie, ile czasu zaoszczędziłybyśmy z Hilary od 1982 roku (początek naszych randek), gdyby mężczyźni chodzili z takimi metalowymi tabliczkami na piersi.

Kiedy Liam się zjawia, okazuje się, że wpadł na ten sam pomysł co ja i przyniósł wino. Nie wiem, może powinniśmy się upić. Może to jedyne rozwiązanie, żebyśmy cokolwiek rozwiązali.

Siadamy pod drzewem. Rzucamy kawałkami chleba w brzydkiego ibisa, który się napatoczył. Mewy tańczą swój taniec, a ja trzymam plastikowy kubeczek z rieslingiem, który przyniósł Liam.

- Przepraszam za wszystko - mówię.

- W porządku.

- Naprawdę chciałam zobaczyć, jak grasz.. Ale chwilę wcześniej Kylie powiedziała mi, że widziała mojego byłego chłopaka z jakąś dziewczyną. Nie wytrzymałam. Musiałam wyjść.

- Ach, były chłopak...

W Liamie jest coś, co sprawia, że ma się ochotę wszystko mu powiedzieć. I ja też tego chcę. Właściwie to nie mogę przestać mówić.

- Spotkałam go w pracy. Zanim agencja zatrudniła własnego prawnika, wynajmowała Dana. Właściwie to w ogóle nie miałam ochoty na związek, jeszcze nie otrząsnęłam się po poprzednim. Pewnego dnia policzyłam wszystkich i wyszło mi, że mam za sobą pięć związków i zbyt wiele jednorazowych występów i muszę przez jakiś czas pobyć sama. Przynajmniej tak to sobie obmyślałam.

- Więc myślałaś, że będziesz sama.

- I wtedy go spotkałam. Zapomniałam o bożym świecie i wpakowałam się w ten niewiarygodny romans. Związek. Wiesz, jak jest - pierwsze trzy miesiące są najbardziej zwariowane.

Kiwa głową i trudno powiedzieć - wie czy nie.

- Nie mogłam się od niego oderwać. Dosłownie. Jego klub futbolowy zorganizował wycieczkę autokarową. Wszyscy się wybrali. Całą drogę spędziłam w jego ramionach na tylnym siedzeniu. Powarkiwałam mu do ucha. To było takie zwierzęce, jakbyśmy byli goryłami albo czymś takim.

- Powarkiwałaś? - pyta Liam.

- Stało się tak, jak się musiało stać. Bach, spotkaliśmy się na tamtym przyjęciu i w ciągu pierwszych minut oszalałam na jego punkcie. Przed każdym następnym przyjęciem stawałam na głowie, żeby się dowiedzieć, czy on też będzie. Jakbym była detektywem.

Bawiłam się w dedukcję. Jeśli na imprezie pojawiał się ktoś z kręgu jego przyjaciół, znaczyło to, że Dan też przyjdzie. - Więc jak się zbliżyliście?

- Przez alkohol. To była jedyna szansa. Bo za każdym razem, gdy się spotykaliśmy, w zasadzie niemal było widać wielką czerwoną strzałkę wskazującą na naszą dwójkę. Wiesz, taką z napisem „Ten mężczyzna i ta kobieta muszą być razem”. A kiedy to jest tak oczywiste, czujesz się strasznie zakłopotany i nie robisz nic. W końcu pewnej nocy wypiliśmy butelkę szkockiej, przewróciłam się, a on mnie podniósł.

- Jakie to romantyczne.

- Żałuję, że to nie jest lepsza historia. Ale właśnie tak to się zaczęło.

Pozornie Liam jest neutralnym obserwatorem, a ja opowiadam mu wszystko jak przyjacielowi, bardzo spokojnie, w sposób typowy dla relacji damsko - męskich lat dwięćdziesiątych. Żadne z nas nie jest zainteresowane drugim. To wprawdzie bzdura, ale niemal wszystkie pary jakie znam, przechodzą przez etap „gry aktorskiej”. I kiedy tak siedzę,

i opowiadam Liamowi o wszystkim, jakaś część mnie zastanawia się, ile prawdy powinnam ujawnić.

Oboje świetnie wiemy, o czym rozmawiamy. To nie są żarty w parku w czasie lunchu. To przypomina rozmowę o pracę. Tak naprawdę to rozmowa z kandydatem na partnera. Ja mam trzydziestkę, on kilka lat więcej i oboje mamy za sobą etap, gdy wystarczy trochę poczarować i potem pójść do łóżka. Przynajmniej tak myślę. Policja nazwałaby to dochodzeniem wstępnym. Ja staram się przekonać Liama, że nie jestem głupią krową, a on próbuje mnie rozgryźć. Chce mnie przekonać, że jest dość opanowany, żeby słuchać opowieści o innych facetach, a ja próbuję pokazać mu swoją prawdziwą twarz. To nie jest bezpieczne, zwłaszcza kiedy riesling zaczyna krążyć w żyłach.

A potem - spójrzmy prawdzie w oczy - próbuję mnóstwo rzeczy ukryć. W gruncie rzeczy najważniejszą część opowieści. Nie chodzi przecież o to, w jaki sposób ja i Dan zbliżyliśmy się do siebie, ani nawet dlaczego byliśmy razem - rzecz w tym, dlaczego on odszedł.

Jestem pewna, że nawet tego ibisa bym zaszokowała. Wszystko przez to, że próbowałam zająć w ciążę z Danem bez jego wiedzy. O to tak naprawdę poszło. Dan wyjechał z rodziną na Bali, a ja tęskniłam za nim jak szalona. Kiedy wrócił, do torby z szarego papieru wrzuciłam opakowanie pigułek, włożyłam tę paczkę do następnej torby i wrzuciłam tę paczkę do kosza w łazience. Co wtedy myślałam? Nie wiem. Może moje hormony wiedzą.

Miesiączka, jakiej potem dostałam, była najgorsza w moim życiu. Jakby moje ciało chciało sobie odbić wszystko, co zrobiłam. Potem trochę się uspokoiłam, przemyślałam sprawę i poszłam prosto do apteki po nowe opakowanie pigułek.

Około dwóch tygodni mogłam czuć się matką dziecka Dana. Żegnaj kariero. W tym czasie jednak niczego bardziej nie pragnęłam.

Przed oczami przesuwał mi się taki film: mdłości przy śniadaniu, wizyta u lekarza, wyniki badań, wracam, żeby zrobić mu niespodziankę w pracy. W tym filmie zawsze przytulał mnie i pędził po kwiaty. A w prawdziwym życiu? Cóż, wiecie już jak było.

Podaję, że większość ludzi po prostu by o tym zapomniała i żyła spokojnie dalej - Dan nigdy by się o niczym nie dowiedział, a nasz związek wciąż byłby szczęśliwy. Niestety, dwa tygodnie przed moimi urodzinami posprzecaliśmy się o jakiś drobiazg. Sprzeczek zamieniła się w prawdziwą kłótnię, gdy pojawił się temat dzieci.

Jak to się dzieje, że kłótnie tak eskalują? Zaczynasz marudzić, że on lubi filmy Quentina Tarantino, i uważasz go za prymitywa z wypożyczalni kaset wideo, który udaje

znawcę. On stwierdza, że Orzeszek to wspaniałe imię dla psa, a ty się nie zgadzasz. I tek od słowa do słowa, aż nagle krzyczysz:

- Wyrzuciłam swoje pigułki do kosza.

To rzeczywiście zabawne...

Ze wszystkich awantur z Danielem Hawkerem tylko ta nie skończyła się w łóżku. Tym razem stanęło na tym, że więcej do tego tematu nie wrócimy. Nigdy więcej.

Wkrótce potem dostałam kartkę urodzinową i dowiedziałam się, że niebawem stanę się cudowną starszą panią.

Kiedy tak patrzę na Liama siedzącego naprzeciwko, chodzi mi po głowie jedno pytanie: Przez ile idiotyzmów będziemy musieli przejść w imię miłości? A co ważniejsze: Czy dam radę jeszcze raz przez to przejść?

- Chcesz jeszcze?

Liam uśmiecha się do mnie, podnosząc butelkę. Wciąż wygląda świetnie - jak mężczyzna, z którym od razu chciałybyście się zaprzyjaźnić i który mógłby, przy odrobinie wyobraźni, zostać też waszym kochankiem. Tym razem jednak potrzebuję czegoś więcej. Nie mogę cofnąć czasu.

Kiedy miałam dwadzieścia dwa lata, z radością spotykałabym się z kimś takim jak on.

Chodziłabym na jego koncerty, jeździłabym z nim na pikniki z popijawą i baraszkowała w łóżku, aż doszłoby do nieuniknionego zerwania. Niestety, straciłam młodzieńczą naiwność i chyba już więcej nie zniosę. W końcu do tego doszło - mam trzydzieści lat i jestem wypalona.

- Liam, muszę ci coś powiedzieć. Kiwa głową.

- Nie powiedziałabym tego, gdybym się nie upiła, ale się wstawiłam.

- Wcale nie jesteś taka pijana.

- Chodzi o to, że mogłabym mieć z tobą romans i pewnie byłoby świetnie, ale ja już tak dłużej nie mogę.

- Nie?

- Powinieneś był mnie poznać kilka lat temu. Wtedy jeszcze mogłam.

- Co ty próbujesz mi powiedzieć?

- Liam, czy istnienie możliwość, że nie dojrzałeś do związku?

- No pewnie.

- Ale wiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Czego chcesz, zaświadczenia od mojej matki?

- Nie mogę się... bzykać.

- A co powiesz na małe ciupcianie?

- Spadaj.

Idę do toalety, zastanawiając się, czy po powrocie zastanę jeszcze Liama. Hilary twierdzi, że najlepszym miernikiem poziomu alkoholu we krwi jest mówienie do swojego odbicia w lustrze. A ja właśnie to robię, szokując przy okazji pewną starszą panią, która wyskakuje z kabiny jak rakieta i znika.

- Wszystko schrzaniłaś - mówię.

Kiedy zataczając się, idę przez trawnik, Liam czeka na mnie i nawet mnie obejmuje. Leżymy obok siebie, ramię przy ramieniu. Jodie nazwałaby to akceptacją wyrażoną językiem ciała.

- Cieszę się, że sobie pogadaliśmy - mówi poważnie Liam. Boże, jaki on jest seksowny.

- Powiedz mi coś - odzywam się w końcu. - Dlaczego to jest takie cholernie zabawne?

- Bo jest. Słuchaj, jeśli skończymy w łóżku, to w porządku. A ty robisz to... coś.

Analizujesz.

- Tak?

- Tak. Przestań tak kombinować. Chodźmy, zamówię kawę i trochę otrzeźwiejemy.

Tak robimy. Patrzę na zegarek. Cholera, już wpół do czwartej.

- Nie powinienem tego mówić... - odzywa się nagle Liam. - Tak?

- Myślę, że powinnaś uważać w pracy. Zdaje się, że cię obserwują.

- A, o to chodzi. Miałam nadzieję, że powiesz mi coś miłego. No wiesz.

Śmieje się.

- Dla mężczyzny miłość to dodatek do życia, a dla kobiety - sama treść - cytuję, prawdopodobnie błędnie.

Na tym kończymy. W miejscu, gdzie na początku wszyscy mężczyźni i kobiety się zatrzymują. Czyli nigdzie.

W sobotę rano miałam iść z Hilary na zakupy. Kompletnie o tym W zapomniałam. Kiedy puka do moich drzwi, ciągle jeszcze jestem w szarym szlafroku i bawię się komputerem.

Znalazłam coś, co nazywa się Przyjaciół dla Każdego. To najsmutniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam, ale człowiek od razu się od tego uzależnia.

Pięciu mężczyzn szuka kobiet w Afganistanie, jedna kobieta szuka mężczyzny w Algierii, osiemnastu mężczyzn szuka mężczyzny w Australii i kilka lesbijek partnerki w Aberdeen. W każdym razie klikam opcję „mężczyźni szukają kobiet lat 21”, żeby sprawdzić, czy tak jak Susan Sarandon mogę wybrać scenariusz starsza kobieta - młodszy facet (wszystkie członkinie Koła Kobiet twierdzą, że to model przyszłościowy, ponieważ młodszy mężczyźni są bardziej rozwinięci, mają matki feministki i tak dalej).

Okazuje się, że wszyscy są do niczego. „Uwielbiam miło spędzać czas. Jeśli lubisz imprezy, daj znać... „. To od kogoś, kto nazywa się Opalony Bondi. Płeć: mężczyzna. Rasa: biała. Znak zodiaku: Panna. Budowa ciała: atletyczna. Szuka: przyjaciółki. Zawód: ateista. Co takiego? Najwyraźniej jeśli chcę go dodać do swojej listy, muszę zostać członkiem Przyjaciół dla Każdego. Jest jeszcze trzydziestopięcioletni Dzikus, który twierdzi, że lubi słuchać Mike'a Oldfielda.

- No, no, to naprawdę szaleństwo, Dzikusie - stwierdza Hilary, która właśnie się zjawiała. - Wiesz, że czekałam na ciebie pół godziny?

- Przepraszam. Strasznie cię przepraszam, Hil. Mój mózg za - . mienia się w budyń.

- No dobra, ja się teraz pobawię.

To właśnie jeden z powodów, dla których tyle lat się przyjaźni - ‘

my - Hilary nigdy na niczym dłużej nie zatrzymuje uwagi. Cieszy się, że w Przyjaciół dla Każdego jest opcja dla kobiet szukających kobiet. Chce wydrukować ten kawałek i zanieść na spotkanie Koła (teraz widocznie zdecydowały się na nazwę „Koło”), gdzie większość kobiet - łatwo zgadnąć - szuka kobiet. Potem zauważa czterdziestodwuletniego mężczyznę z Michigan i strasznie się podnieca.

- On lubi *Koyaanisqatsi* i *Powaqqatsi*, a to są moje ulubione filmy!

- Tak, ale on nie pali. I mieszka na drugiej półkuli. Szuka kobiety, przy której może być rozkoszny. Przeczytałaś to? Rozkoszny.

- O Boże. Przewiń dalej.

Następną godzinę spędzamy w grupie dyskutującej na temat nowinek kosmetycznych.

Kłócimy się, który z wodoodpornych tuszów do rzęs jest najlepszy, a potem wchodzimy na stronę z kompaktami i zamawiamy sobie taną płytę ze Stanów ze składanką największych przebojów Blondie. Zaglądamy jeszcze gdzieś, gdzie mamy podać swoje nazwiska, dzięki czemu będziemy dostawały emaile z życzeniami urodzinowymi. Dzięki temu poczujemy się kochane.

Wysłałam wiadomość do Billa. Proszę, żeby zszedł do mnie. Nie ma jednak odpowiedzi.

- Podejrzewam, że Bill nie istnieje - mówi Hilary.

- Jeszcze go spotkasz.

- To postać wirtualna.

Wreszcie odrywamy się od sieci i łapiemy autobus do miasta, żeby poszukać dla Hilary nowego granatowego swetra. Stary już się zmechaniał. Dla mnie poszukamy czegoś, co nie kosztuje więcej niż trzydzieści dolarów, bo w ten weekend tylko tyle mogę wydać na przyjemności.

Jak zwykle kończymy w drogerii.

- Odmówiłam wzięcia kampanii reklamowej jakiegoś gówna do odchudzania.

- I dobrze - odpowiada Hilary, wachając próbkę. - Powąchaj to, cudny zapach.

Dlaczego odmówiłaś?

- Podsuwasz mi męski dezodorant. Odmówiłam, bo... Dobrze wiesz dlaczego.

- A, o to chodzi.

Hilary była ze mną tej zimy, kiedy cierpiałam na anoreksję z powodu Jamiego Streetona. To ona spojrzała na moje plecy, kiedy się przebierałyśmy u niej w sypialni, i zauważyła, że widać mi kręgi przez skórę. Zadzwoiła do moich rodziców.

- Myślisz, że z tej maseczki będzie jakiś pożytek? - pyta mnie nagle.

- Hilary, tylko nie to.

- Dlaczego?

- Miłość twojego życia zapuka do twoich drzwi, a ty otworzysz mu z bananem na twarzy.

- A co powiesz na te drewniane przyrządy do masażu?

- Wcale nie będziesz ich używała.

- Rękawiczka przeciw cellulitisowi?

- Spróbuj odsysania tłuszczu.

Żał mi mężczyzn. Nigdy nie dowiedzą się, jaka to przyjemność pół godziny kręcić się po drogerii z nosem w słoiczku z maseczką złuszczającą do ciała i z do niczego niepodobnym

zielonym korektorem rozmazanym po całej twarzy.

Tak naprawdę mężczyźni nigdy nie zaznają prawdziwej przyjemności robienia zakupów. Kropka. Och, wiem, że podejmują żałosne próby w tym kierunku. Kręcą się po sklepie z częściami w poszukiwaniu śrubek i włączą się po komisach płytowych. Nigdy jednak nie poznają rozkoszy przymierzania, oglądania i bezwzględnego odrzucania.

Hilary robi to kilkanaście razy w poszukiwaniu granatowego swetra. Odwiesza dziesięć na wieszak z następujących powodów:

1. W tym moje cycki wyglądają na obwisłe.
2. W stu procentach z akrylu.
3. Zawyżona cena, chociaż uszyty w Azji.
4. Coś takiego mogliby nosić tylko angielscy marynarze.
5. Źle wygląda w tym świetle.
6. Za ciasny przy szyi.
7. Podwija się, kiedy podnoszę ręce.
8. Wygląda na taki, co może się zbiec. „
9. Za bardzo gryzie.
10. Zbyt seksowny jak dla bibliotekarki.

Część przyjemności z oglądania i odrzucania bierze się z możliwości bardzo głośnego wyrażania zastrzeżeń. W ten sposób mścimy się na sprzedawczyniach, które - wie to każda kobieta - ciągle pętają się pod nogami.

Potem idziemy do stoiska z gazetami i szybko przeglądamy czasopisma.

- Zobacz, tu jest twoja reklama, Vic.

Ten kawałek napisałam dla producenta jogurtu i to tak dawno, że ledwie pamiętam, czy robiłam to przed Danem, czy w trakcie. W ten sposób odmierzam teraz czas.

- Hmm, mam ochotę na jogurt. Zwłaszcza na „wymarzony - niesłodzony”.

- Och, przymknij się.

W końcu kupuję drogie angielskie wydanie „Nowej kobiety”, tylko dlatego że lubię horoskopy (Bliźnięta: spodziewaj się niezwykłego ożywienia w życiu seksualnym w okolicy dwudziestego siódmego).

Potem zjeżdżamy modę w jakimś włoskim magazynie. Też bardzo głośno. To prawie tak samo przyjemne jak dręczenie sprzedawczyń.

- Co ta kobieta ma na sobie?!

- Czego naćpali się ci projektanci?

To kolejna przyjemność, która pozostaje niedostępna dla mężczyzn. Przyjrzyjcie się

tylko działom męskich czasopism: „Przegląd kolejarza” i kiepskie świerszczyki.

- Te żalotne pisemka dla „nowego mężczyzny” - mówi z pogardą Hilary. - Jakie to szmatławce, Vic. Mam nadzieję, że nie ma tam twojego jogurtu.

- Czyżbym słyszała kawałek dyskusji ze spotkania Koła Kobiet?

- Starzy, wstrętni faceci w nowym opakowaniu. Myślą, że kilka artykułów o prostacie i rowerach górskich załatwi sprawę. Spójrz na tę kobietę z cyckami na wierzchu.

- Właśnie - pry cham, chociaż wiem, że Liam je kupuje.

I tak to się toczy. Próbujemy nie obżerać się dietetyczną czekoladą, a Hilary traci pieniądze na różowe kulki do kąpieli z numerami lotto w środku. Na koniec zaglądamy do piwiarni, w której kelnerki w ogóle sienie malują, bo wszystkie mają oszłamiającą cerę.

I właśnie zamierzam powiedzieć Hilary, że powinnyśmy pójść coś zjeść gdzie indziej, bo grzybowe risotto kosztuje tu czternaście dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów, gdy zauważam Dana. Siedzi sam i czyta menu.

Niektórzy twierdzą że istnieje wszechświat, bo gdy maleńkie cząsteczki dzielą się, przez ułamek sekundy są razem. Istnieją w dwóch miejscach naraz - w światach równoległych. Wiem o tym, bo kiedyś na schodach Bill Spec próbował mi to wyjaśnić.

I teraz właśnie myślę o tych wszystkich maleńkich wszechświatach, które muszą istnieć. W jednym z tych światów podchodzę do Dana i się z nim witam. W drugim wstaję i wychodzę razem z Hilary. W innym wszechświecie, znacznie mniej prawdopodobnym, pędzimy do siebie z Danem, machając rękoma niczym Cathy i Heathcliffi przewracając po drodze kelnerkę. To mało prawdopodobna możliwość.

W końcu Hilary podchodzi do Dana i pyta, czy ma ochotę się do nas przyłączyć, a on mówi, że tak.

Kiedy byliśmy razem, Dan nigdy niczego nie pamiętał na temat Hilary i jej życia. Teraz, po rozstaniu, jeszcze słabiej ją kojarzy. Stara się skoncentrować na niej, żeby uniknąć rozmowy ze mną, ale zadaje niewłaściwe pytania.

- Jak tam zajęcia z aromaterapii?

- Nie zajmuję się aromaterapią - odpowiada Hilary, zaciskając usta.

Atmosfera staje się tak napięta, że kilka minut później Hilary dochodzi do wniosku, że kupiła jednak zły granatowy sweter.

- Jeśli teraz wrócę do Davida Jonesa, to zdążę, zanim zamkną sklep mówi.

Rzecz jasna to bzdura, bo sklep jest dwie przecznice dalej i Hilary ma godzinę na dotarcie tam.

- W każdym razie muszę iść - takim głosem wygania dzieci z biblioteki.

Zostajemy więc sami - o ile można powiedzieć tak w miejscu, gdzie cały czas kręcą się kelnerki, a wszyscy wokół gadają głośno.

- Nic się nie zmieniła. - Dan ma na myśli Hilary.

- To mój system podtrzymywania życia.

- Cóż, masz szczęście.

- Powiedz mi coś. Dlatego mężczyźni to robią?

- Co takiego?

- Natychmiast zaczynają się spotykać z pierwszą lepszą kobietą?

- To znaczy?

- Och, nie zachowuj się jak prawnik.

Czekam, aż wstanie i odejdzie, ale on ani drgnie. Siedzi, patrzy i się uśmiecha.

- Chodzi ci o to, czy mężczyźni potrzebują kobiet, bo nie mają wsparcia w przyjaciółkach?

- Tak.

- Coś w tym jest.

Myślę o tym mężczyźnie z klubu, który nazywał Dana Prawdziwym Facetem i robi mi się żal. Przypominają mi się jego bracia, którzy znają właściwie tylko jedną metodę udzielania wsparcia - walenie się nawzajem po głowie. Jednak przede wszystkim moje myśli krążą wokół niego i jej.

- Ale nie ma jej tu z tobą.

- Będzie za jakieś dwadzieścia minut - odpowiada Dan, zerkając na zegarek.

Nagle to wszystko staje się obrzydliwie realne. Zastanawiam się, czym się teraz zajmuje. Robi następny tatuaż? Ucina sobie pogawędkę z Helis Angels?

- Boże, nienawidzę Sydney.

- Dlaczego? Kiedyś je uwielbiałaś.

- Jest cholernie małe. Praktycznie wszyscy, których znam, mieszkają przy tej samej ulicy. Chciałabym mieszkać w... - Próbuję coś wymyślić, ale mi się nie udaje. - Nie cierpię... wpadać na ludzi.

Walczę ze łzami napływającymi mi do oczu. Dan wyciąga do mnie rękę. Co innego może zrobić? W końcu nie jest łajdakiem, nigdy nie był.

Próbowałam zająć z nim w ciążę bez jego wiedzy, a to nic dobrego. Nie znalazł w naszym związku niczego, co pozwoliłoby mu wybaczyć. I tyle.

- Nie mogę tego znieść, Dan.

- Czego?

- Zazdrości. Nie, nie tego. Zniewagi. Czuję się, jakbym spadła z pasa transmisyjnego.

Potrafisz ot tak przestawić się na inną kobietę - Jesteś bardzo moralną osobą, prawda?

- No wiesz, powinny istnieć jakieś zasady. Istnieją pewne zasady.

Dan kręci głową.

- Nie. Nie ma żadnych zasad. - Kochasz ją?

Uśmiecha się i nie odpowiada.

- Kocham cię.

Głupi kelner podaje mi młynek do pieprzu i Dan macha ręką, żeby facet sobie poszedł. Kciukiem rozmazuję spływający tusz do rzęs.

- Chodź, idziemy.

Łapie mnie za łokieć i prowadzi do kontuaru. Jakimś cudem udaje nam się wyjść na

ulicę, minąć grupę japońskich turystów, mnóstwo ludzi z wielkimi plastikowymi torbami objadającymi mi się o nogi i dotrzeć bezpiecznie do jego samochodu. Widok tego auta oznacza kolejny cios. To rover. Z przodu ma wgniecenie i mnóstwo futbolowych naklejek na tylnej szybie. To część naszego wspólnego życia. Tu się śmialiśmy, tu krzyczeliśmy, tu słuchaliśmy Happy Mondays, tu się kochaliśmy. Samochody zawsze przypominają mi mężczyzn, z którymi byłam. Mogłabym ułożyć całą listę: Greg Dały - biały volkswagen, Philip Zebruski - zielona honda civic, Jamie Streeton - niebieska mazda, Leon Mercer - stary holden, którego nie mógł zapalić, Anthony Anderson - biały džip.

Kiedy siadam na przednim siedzeniu, mogę myśleć tylko o Wytatuowanej Prawniczce i znowu zaczynam płakać. Dan już z nią rozmawia przez telefon komórkowy i wszystko ustala. Nie wymienia jej imienia, ale wiem, że o nią chodzi. Rozmawia z nią tak, jakby chodziło o sprawy zawodowe, jakby mówili o kliencie. Domyślam się, że ona wie, co się stało. Pełne opanowanie. Pełna dojrzałość. Chciałabym ją zabić.

- Więc obydwoje macie komórki?

- Tak. Jesteśmy beznadziejni?

- Mogę powiedzieć na jej temat jedną rzecz?

Dan wzdycha. Ciężko wzdycha. To westchnienie, które mówi: „No dobra, skoro musisz”. Tak dobrze je znam, że przez chwilę czuję się, jakbyśmy znowu byli razem.

- Jestem po prostu zaskoczona. Czy to reakcja na nasze rozstanie?

- Byliśmy z Eryką przyjaciółmi od dawna.

- Eryka. Teraz sobie przypominam.

- Nie różni się za bardzo od twoich innych przyjaciółek.

- Jakich innych przyjaciółek?

- No wiesz, Jodie, ten typ. To nie jest reakcja na rozstanie.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby interesowała się futbolem.

- Nie, to nie ten rodzaj przyjaźni.

- Och, więc to przyjaźń, tak? - Tak.

- To chyba największa bzdura, jaką w usłyszałam życiu.

- Trudno. Tak właśnie jest.

- Chodzisz z nią do łóżka i oboje nazywacie to przyjaźnią?

- Vic, nienawidzę tego tonu. Dobrze o tym wiesz.

- Powiedz mi prawdę.

- Nie śpimy ze sobą. •

- Ale będziecie. Więc to nie jest przyjaźń. Prawda? Kręci głową.

- Skoro nienawidzisz tego tonu głosu - słyszę jak wybrzmiewają moje własne słowa - to pozwól, że coś ci powiem. Ja nienawidzę tej twojej pozy intelektualnej wyższości.

Nie odpowiada.

- Ty zawsze masz rację, a ja zawsze się mylę. Ty wszystko wiesz, a ja jestem idiotką.

- Nigdy tak nie mówiłem. To tylko ton twojego głosu... Tak trudno z tobą rozmawiać, kiedy...

- O to ci chodzi!?! - wrzasnęłam tak głośno, że słyszeli mnie pewnie wszyscy wokół.

Jedziemy w milczeniu. Część mnie chce się znaleźć w tym równoległym wszechświecie, w którym od razu wyszliśmy z knajpy razem z Hilary, mijając stolik Dana w drodze do drzwi. W tym facecie jest okropna grzeczność, taka straszna pogoda ducha, protekcjonalność i specyficzna filozofia życia. Charakterystyczne cechy mężczyzny, który już wrzucił mnie do szufladki z napisem „Stara dobra Victoria”. Nie cierpię tego. Nienawidzę. To zabija nadzieję.

Kiedy podjeżdżamy na parking przed moim domem, Bill właśnie odjeżdża.

- Boże, co to za kierowca od siedmiu boleści - mówi Dan. Trafia na moment, kiedy się odslaniam, i zaczynam się śmiać.

Bill zerka przez szybę i zmieszany szybko odwraca wzrok. Dzięki temu już wiem, że muszę wyglądać gorzej, niż się czuję. Macha do mnie tak, jak pewnie robią to wszyscy w Dorrito i odjeżdża.

- Pamiętasz go? - pytam i słyszę, że mój głos brzmi już prawie normalnie. - Wprowadził się do mieszkania nade mną. Bill Spec. Pomógł mi przy komputerze.

- Ktoś powinien mu usunąć to coś z twarzy.

- To jego plaster. Nie ma kto mu go zerwać. Próbuję go poznać z Hilary, ale coś mi nie wychodzi.

Moim słowom towarzyszy zduszony chichot. Dan chwyta się wszystkiego, co powstrzymuje mnie od płaczu. Już zapomniałam, jak nie znosił, kiedy płakałam.

- Więc kupujesz sobie nowe porsche?

To taki nasz stary żart. Bardzo stary i już nawet nie jest śmieszny. Dawno temu miałam takiego straszego grata. Wjechałam nim kiedyś na słup wysokiego napięcia i po tym nie mógł już ruszyć, zostawiłam go więc tam, gdzie stał. Musiałam za to zapłacić mandat. Gdy pierwszy raz spotkałam Dana, opowiedziałam mu tę historię i powiedziałam coś bardzo głupiego - że wkrótce mam zamiar kupić porsche. I tyle. To nasz stary dowcip. I po niego sięgnął, żeby się - ha, ha, ha - rozchmurzyła.

Wszystko jedno. I tak będę dziś przed snem przeżywała moje małe, prywatne tortury,

myśląc o wytatuowanym ramieniu Eriki i zastanawiając się, czy inne części ciała też ma pokryte tatuażem. Chcę więc, żeby Dan poczuł cały mój ból - najlepiej każdą jego cząsteczkę - i to zaraz. Mam do tego prawo. Wiem, że w pewnym sensie Dan się mnie boi. Robi się prawie chory, gdy widzi mój smutek, ale nie pozwolę sobą manipulować, żeby on mógł poczuć się lepiej.

Wchodzimy na górę do mojego mieszkania. Otwieram drzwi i czuję, jak patrzy na moje plecy. Chcę, żeby mnie dotknął, ale on nic nie robi. To zasada numer dwa. Choćbyś nie wiem jak chciała, żeby on zadzwonił, nigdy tego nie zrobi. Choćbyś nie wiem, jak chciała, żeby cię objął, to się nigdy nie zdarzy.

Wchodzimy do środka. Przez uchylone drzwi widać niepościelone łóżko. Z całego serca chciałabym, żeby na poduszkach leżał blondyn o najeżonych włosach, ale, niestety, nie ma go tam. Jest tylko typowy dla mnie bałagan i paczka tamponów na podłodze.

- Przełożyłem lunch z Eryką - stwierdza w końcu Dan. - Więc?

- Więc możemy porozmawiać. O tym. Może mogłybyście kiedyś się spotkać. Wtedy zrozumiałabyś, że to też istota ludzka.

Parskam pogardliwie.

- To yuppie, a udaje, że jest kimś innym.

Dan ignoruje moją uwagę. Czuję się jak sześciolatka - dziecinna i zraniona. To chyba sprawia, że on zamienia się w starszego pana po sześćdziesiątce. Jest mądry, a ja szalona. Ciekawe, jak by to wpłynęło na nasz związek, gdybym próbowała zachowywać się tak jak on teraz. Czy w ten sposób to doprowadziłoby go do tego, że rwałby włosy w napadach szału?

- Nie mów mi, że nigdy z nikim nie zerwałaś i potem nie znalazłaś sobie kogoś nowego - mówi w końcu Dan.

Jeśli cofnę się pamięcią, w czasy bardzo odległe, to chyba coś takiego przydarzyło mi się po zniknięciu Grega Daly'ego z Anną Lizą, Niemiecką Studentką z Wymiany. Była to przygoda w namiocie z jakimś - Boże, dopomóż - facetem z klubu turystycznego. Ten męczyzna pachniał skrętami. Ale to co innego.

Tam był śpiwór, butelka szkockiej i gwiazdzista noc. A tu to coś zupełnie innego. Mimo niesamowitych zdolności parapsychicznych Cary, dzięki którym wiedziała o długopisie z zonkilem, potrafię teraz myśleć tylko o Danie i Eryce. O tym, jak razem osiągną coś, co, jak myślałam, jest niemożliwe. Wszędzie będą mieli niesamowite drogie obrazy. Uroczyste kolacje. Pewnego dnia ona znajdzie moje listy do Dana i nawet jej nie zaciekawia.

To śmieszne, jak niewielu szczegółów potrzeba, żeby stworzyć sobie pełny obraz drugiej osoby. Na palcach jednej dłoni mogę wyliczyć wszystko, co o niej wiem. Jest

prawniczką. Ma tatuaż na ramieniu. Nazywa się Eryka. Ma zwyczaj żartować na temat kokainy i zakłada dzinsowe szorty na pikniki dla prawników. Uważa, że ma sumienie społeczne.

Zostawiam Dana na kanapie, a sama idę do toalety i myślę o Eryce. Podejrzewam, że połowa mężczyzn na sali sądowej ślini się na jej widok. Pewnie, gdy miała szesnaście lat, uciekła z domu, żeby pojechać z plecakiem do Berlina. W przeciwieństwie do mnie, bo moją największą przygodą w tym wieku była wycieczka autokarowa do Hunter Valley z ciotką Beth. Oczami wyobraźni widzę, jak podczas kolacji prowadzi z Danem błyskotliwą rozmowę na temat legalizacji heroiny. Ma pewnie na boku jeszcze jednego kochanka gdzieś w Nowym Jorku. I nie zdziwiłabym się, gdyby połowę swojej pensji oddawała Czarnym Panterom.

Patrzę na swoją łazienkę. Płyn do mycia sedesu, potwornie stara różowa plastikowa szczotka do włosów, umywalka umazana podkładem i głupia zasłona do prysznicy z tańczącymi muszelkami. Mogę sobie wyobrazić jej łazienkę. Wpuszczona w podłogę wanna. Ekologiczny olejek do kąpieli Aveda. Czarny szlafrok z jedwabiu. I ja miałabym winić Dana? Musiałby być szalony, żeby się opierać. A jednak mam mu to za złe.

Kiedy wracam z toalety, Dan wciska się w najdalszy kąt kanapy, żebyśmy nie siedzieli - wiadomo - zbyt blisko siebie. Tak właśnie zaczynaliśmy - siedząc na dwóch końcach kanapy. Wtedy jednak między nami iskrzyło, a teraz dzieli nas martwa cisza.

- Victorio - mówi w końcu Dan, używając pełnej, właściwej formy mojego imienia - nie mogę sobie wyobrazić, żebyś przestał mnie lubić, bo za bardzo cię lubię. Tak, przepadam za tobą. Zależy mi na tobie. Naprawdę.

- Powiedz jeszcze raz, że nie możesz przestać mnie lubić, bo mnie lubisz.

Kiwa głową.

- Więc to jest lubienie, tak? Włożyłam w to całą swoją energię i skończyło się na lubieniu. Czy to jest ten rodzaj lubienia, przy którym ludzie się spotykają?

- Wiesz, że nic z tego nie wyjdzie.

- Więc za bardzo mnie lubisz, żeby przestać mnie lubić, i nie chcesz mnie widzieć. Hmm. Ile czasu nad tym myślałeś”?

Dan wstaje i przez chwilę - przez potworną chwilę - myślę, że zaraz wyjdzie. Ale przynosi tylko wodę - po szklance dla każdego.

- Chciałabym, żebyś nie zakończył tego w ten sposób, i to w moje urodziny. To wszystko.

- Dlaczego?

- Bo... Dlaczego się przy tym upierasz? Mam wrażenie, że nie pasuję do ciebie. A ty

nie pasujesz do mnie. Po co to ciągnąć?

- Pasujesz do mnie - Więc wrzuć swoje pigułki do kosza i spróbuj zajść w ciążę. Znowu kręci głową, patrząc na plamę po czerwonym winie na dywanie, którą kilka lat temu zrobiła Hilary.

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, a trzeba było - stwierdza.

- Może to by pomogło.

- Tak, to pomogłoby nam szybciej skończyć ten związek. Może dobrze by się stało. Tak naprawdę nic by się nie zmieniło. Chcę, żeby to do ciebie dotarło. Nasz związek nie rozpadł się dlatego, że postanowiłaś zajść w ciążę bez mojej wiedzy.

- W takim razie dlaczego?

- Zastanów się. Nie zaszłaś w końcu w ciążę, ale co by się stało, gdybyś zaszła?

- Powiedz mi.

- Czego się spodziewałaś? - Nie wiem.

W ciągu ostatnich kilku tygodni to mieszkanie wydawało mi się zbyt puste, gdy wracałam po pracy. A gdy wstawałam w środku nocy, było zbyt szare, ciemne i martwe. Teraz jednak jestem wdzięczna losowi za to, że nie mam współlokatorki. To najbardziej intymna rozmowa, jaką prowadziłam w życiu.

- Naprawdę chciałam mieć z tobą dziecko.

Nie odzywa się, tylko wstaje i przynosi pudełko chusteczek z mojej sypialni - z sypialni, w której nie ma tego cholernego, krótko obciętego blondyna.

Jest tam tylko straszny bałagan i po wewnętrznej stronie drzwi od szafy zdjęcie Dana. Wciąż nie potrafię go zdjąć.

- Masz, wytrzyj nos.

Robię to i przy okazji ścieram połowę zielonego korektora z drogerii. Nagle zdaję sobie sprawę, jak muszę wyglądać w jego oczach: nowe czerwono - rude włosy, nowa nastroszona fryzura, czerwone oczy i czerwono - zielona twarz.

- Więc powiedz mi jeszcze raz: co by było, gdybym zaszła w ciążę?

- Ale nie zaszłaś. Nie ma o co pytać.

- Ale gdybym zaszła?

- Twoja kolej.

- Zdecydowałbyś się mieć je ze mną?

- Nie było pytania. Tyle mogę ci jednak powiedzieć: nie zachwyca mnie ani jedno, ani drugie rozwiązanie. W tym cały problem. I fakt, że nawet o tym nie pomyślałaś... Co ty sobie wyobrażasz? Dziecko to nie ulica jednokierunkowa.

Teraz przychodzi jego kolej na otarcie łez. I muszę przyznać, że przez cały czas, kiedy byłam z Danielem Hawkerem, nigdy czegoś takiego nie widziałam. Co my takiego robimy mężczyznom, że tracą umiejętność płakania?

Raz widziałam, jak coś takiego robiła matka swojemu synowi w toalecie. Był jeszcze w wieku, kiedy można zaciągnąć chłopca do toalety dla pań.

Cały czas pociągał nosem i chlipał, a w tym czasie jego matka odwijała coraz więcej papieru toaletowego, żeby wytrzeć mu twarz. Najpierw powiedziała:

- Nie płacz.

A potem:

- Rozchmurz się, Nathanie.

Gdy zrobiło się nieprzyjemnie, stwierdziła:

- Przestań, jesteś już dużym chłopcem.

Gdyby go uderzyła, powiedziałabym jej coś, ale ona tego nie zrobiła. Wysuszyłam ręce i wyszłam z uczuciem, że wreszcie coś rozumiałam. *Chłopaki nie płaczą* śpiewa Robert Smith na moich starych kasetach z The Cure. Mam przed sobą żywy dowód. Patrzę na kogoś, kogo kochałam, z kim walczyłam, kogo raniłam i przerażałam na zmianę. I chociaż on coś czuje - lepsze to niż nic - wszystko sprowadza się do jednej łzy wytartej chusteczką, nim miała szansę stać się czymś poważniejszym.

- Przepraszam, Dan.

- Nie szkodzi. Powinnaś być z mężczyzną, który chciałby mieć z tobą dzieci.

- A ty nie chcesz? - spytałam odważnie.

- Nie, nie chcę.

Nasze dusze muszą teraz wyglądać jak lawa. Bul, bul, plusk. Przez krótką, głupią chwilę siedzimy, nie dotykając się, nie patrząc na siebie, rozglądając się tylko po ścianach, zasłonach, książkach na półkach (niektóre z nich to prezenty od niego).

- Więc... - Uśmiecha się.

Znowu to coś - pogoda ducha, przyjacielski uśmiech, to filozoficzne podejście do życia. Ta straszna grzeczność, która oznacza, że miłości już nie ma.

Nie zniosę tego.

Wstaję i wstawiam wodę.

- Dla mnie nie parz.

Szok, że nie zostanie nawet na filiżankę kawy, okazuje się potworny.

Przychodzi do mnie do kuchni i mocno mnie przytula. Potem całuje mnie w czubek głowy i mówi „do widzenia”. I tyle.

To koniec. *To się nie skończy, póki nie przyjdzie koniec.* Dzięki, Lenny Kravitz. Teraz to już naprawdę koniec.

Gdy odjeżdża, moje uszy wychwytyją znajomy odgłos silnika rovera. W końcu Dan znika na zawsze. No, nie na zawsze. W roku 2020 będziemy przyjaciółmi. Do tego czasu Wytatuowana Prawniczka wyjdzie za jakiegoś sędziego, a Dan będzie miał żonę, prawdziwą szprychę. Wiem to wszystko. Ale teraz chciałabym gryźć ścianę. Czasem tak trzeba.

Nie wiem, gdzie o tym słyszałam, ale ktoś mi powiedział, że kiedy rekin odgryzie człowiekowi nogę, to nic sienie czuje. Bardziej poczujecie szarpnięcie niż zęby rozrywające ciało. To pewnie taki przyjacielski gest ze strony natury. Może dlatego tym razem potrzebuję dwóch dni, żeby wydobrzeć po Danie.

Najpierw miałam okrutny sen. Wiesz jaki. On trzyma cię w ramionach, jest ciepło, kochasz go. Potem budzisz się i wiesz, że to gówno prawda. Patrzysz w lustro i widzisz worki pod oczami. I wciąż jesteś sama.

Po tym jednak następuje swego rodzaju cud. Chodzę jak otępiała. Kiedy budzę się w piątek rano, wiem, że sen nie dotyczył Dana. Śniło mi się pranie, brud, czarne rajstopy z oczkiem - ale nie Dan.

Jak w wypadku tonących, którzy mają halucynacje, i ofiar rekinów, które czują tylko szarpnięcie, oszczędzono mi najgorszego. Nie biorę nawet prozaca. Jedyne, o czym potrafię myśleć, gdy płuczę pierwszą z brzegu parę rajstop, to seks z Liamem. Pozbawiony znaczenia tymczasowy seks. Bez zaangażowania emocjonalnego. Obustronna strata czasu. Żalona schadzka dla niezdolnych do trwałego związku. Wszystko to, o czym w zeszłym tygodniu mówiłam, że tego nie chcę.

Próbuję sobie nawet wyobrazić Liama nago, chociaż nigdy nie wiedziałam, na jakiej zasadzie to działa. Wiadomo, mówi się „że rozbierał ją oczami”. Cóż, ja tak nie potrafię. Dotarłam jedynie do czubka głowy Liama, jego baków (czyli tego, co Kylie najbardziej siew nim podoba) i zamszowej marynarki, którą zwykle nosi. Tu grzęznę. Mężczyźni są tacy tajemniczy. Ma włosy na klatce piersiowej czy nie? A jakie ma nogi? No i zostaje kluczowa część ciała, Niezbadane Odległe Tereny, jak to nazywa Hilary. Co z tym? Jak mam sobie dobrze wyobrazić tę część ciała? Wszystko to jednak nie powstrzymuje mnie przed dalszymi próbami.

Tak naprawdę, gdy myślę o seksie z Liamem, przypomina to kiepskiej jakości film. Widzę jego rękę podniesioną na powitanie, mogę sobie wyobrazić, co mówi, potem mam niejasną wizję jego czerwonych bokserek i tyle. Mogę zobaczyć jego oczy - jak karmelowe nadzienie Marsa - i uśmiech - zabójczy - ale dalej posunąć się nie potrafię.

Jednakże dobrze wiem, że ten kiepskiej jakości film wystarczy, żeby utrzymać mnie przy życiu przez najbliższych kilka miesięcy, jeśli okaże się to potrzebne. To coś, co mogę wyjąć i na co mogę popatrzeć, kiedy będę smutna.

Zabawny jest sposób, w jaki kobiety przygotowują się do samotnego życia. To

gromadzenie zapasów na ekspedycję w epoce wiktoriańskiej. Jeżeli rzeczywiście wypracuję sobie tę fantazję o Liamie, to wystarczy mi ona, żeby przetrwać tydzień w pracy. W weekend będę fantazjować na temat Kogoś Sławnego. A jeżeli nic z tego nie wyjdzie, to pozostaje Alaska. Ktoś mi powiedział, że na jedną samotną kobietę przypada tam osiemnastu mężczyzn.

Myślenie o tym wszystkim, podczas gdy wciskam czarne rajstopy do suszarki, wystarczy, żebym zaczęła nucić jedną z piosenek Elvisa Costello, którą słyhać z góry. Biorąc wszystko pod uwagę, uważam, że całkiem dobrze sobie radzę. Seks z Liamem w wyobraźni. Pełne znieczulenie, jeśli idzie o Dana i Wytatuowaną Prawniczkę. Hmm. „Mój cel jest prawdziwy” śpiewa El vis Costello. I naprawdę czuję się radosna.

Potem sprawdzam pocztę elektroniczną i prawie padam z wrażenia.

Od: liam@ozemail.com.au Do: shep@mpx.com.au Temat: Nieprzyzwoity weekend Droga Victorio „Tak” albo „nie” (zakreśl jedną możliwość). Liam.

Seks z Liamem! Tak! Teraz wiem, co musiał czuć Jamie Streeton - Amerykanin zwariowany na punkcie baseballu - gdy wygrywała jego drużyna. Potrząsam pięścią w triumfalnym geście. Chyba nawet wydaję jakiś okrzyk. Potem wkładam na siebie mokre czarne rajstopy. Naciągam je mniej więcej do kolan, kiedy rwą się na strzępy.

W końcu komu potrzebne są fantazje? To jest to. To jest tutaj. Liam, o którym myślałam, że odprawiłam go już na zawsze, pragnie mnie - pragnie Victori Shepworth od Kompletnie Nieudanych Cholernych Związków. Chce, żebym pojechała z nim do hotelu. I nagle pojawia się trzydzieści pięć zupełnie nowych powodów do zmartwień, począwszy od:

1. nie mam czystych całych czarnych rajstop, 2. nie ogoliłam pach, 3. kiepsko radzę sobie z miłością francuską, a skończywszy na eksplozja prezerwatywy.

Potem siadam, robię sobie filiżankę herbaty i czekam, aż się uspokoję. Udaje się. Wiedziałam, że w końcu zadziała. Nieprzyzwoity weekend? Powrót do krainy ciupciana i bzykania, tych wszystkich słów, których używają mężczyźni, byle nie powiedzieć „kochanie”? Tchórze! Mam przekreślić wszystko, co niecały tydzień temu w obliczu Liama i ibisa podpowiadał mi mój instynkt. Właściwie to się sprzedaję. I jeśli się na to zgodzę, nie będę miała żadnego usprawiedliwienia.

Potem piję kolejną filiżankę herbaty i myślę o tym jeszcze raz. Mam nadzieję, że zanim wyjdę do pracy, a później zanim wysiądę z pociągu, wszystko nabierze sensu, ale oczywiście nic takiego się nie dzieje. I strasznie mnie kusi, żeby zwierzyć się Kylie - triumf trzydziestolatki - ale zdaję sobie sprawę, że to byłoby żałosne.

Gdy wreszcie docieram do pracy w rajstopach, które wyciągnęłam z kosza na brudną bieliznę, dostaję broszurkę dla firmy zajmującej się architekturą krajobrazu. Wiem, że nie będzie ze mnie żadnego pożytku, i tak właśnie jest. Klient chce, żebym wspomniała o rozmiarach krasnali ogrodowych, a ja potrafię myśleć się tylko o seksie.

W końcu podczas lunchu poddaję się i dzwonię do Hilary i Jodie. Chcę się natychmiast spotkać i naradzić. Idziemy do knajpy, do której chodzimy zawsze, bo jest na kieszeń Hil, dość blisko mojej pracy i wystarczająco wegetariańska dla Jodie. Patrzę na zegar na ścianie, stylizowany na słoneczny i dobrze widzę, że jest już prawie druga, ale więcej już nie zniosę. Hilary zamawia pizzę, Jodie cesarską sałatkę bez boczku, sardeli i majonezu.

- Zostanie tylko zielona sałata - stwierdza kelnerka.

- Na pewno masz czas? - pyta Jodie, rozpierając się na delikatnym krześle z kutego żelaza.

- Najważniejsze jest to, czy odpowiedziałas - mówi Hilary.

- Nie mogłam tak po prostu odpowiedzieć. Nie wiem, co robić. Hilary przewraca oczami.

- Zrób to. To może być twój przejściowy mężczyzna.

- Nie uważam, żeby to był dobry pomysł - przerywa jej Jodie. - Zbyt szybko po Danie.

To, czego naprawdę chcę, to zapewnienia. Chcę usłyszeć, że wszystko będzie dobrze, że to początek czegoś fantastycznego. I już postanowiłam się zgodzić.

- Chodzi o to, że ja nie mam nic przeciwko, jeśli się okaże, że to tylko przygoda - mówię bez przekonania.

- Nie szukasz miłości? - pyta Jodie.

- Bzdura - odpowiada Hilary.

- Nie, naprawdę uważam, że sobie poradzę. To tylko dla zabawy. Potrzebuję zabawy. Czy istnieje jakieś prawo zakazujące zabawy, którego nie znam?

- Przynajmniej nie oczekuje, że ty zajmiesz się organizacją wszystkiego. - Hilary mówi to z pewnym ociąganiem.

- Tylko ty możesz zdecydować - dodaje Jodie tonem najuczciwszej członkini Koła Kobiet.

Wtedy zjawia się kelnerka z wielką miską sałaty.

- Posypać to pani parmezanem?

W pracy (jestem tu już dwadzieścia osiem po drugiej, całkiem nieźle) zamykam w komputerze plik z broszurą dla architektów krajobrazu i otwieram plik, który nazwałam Breakfast Grits 2, żeby zniechęcić Kylie. Spisuję wszystkie za i przeciw „nelvetica

czternastką, starając się zappełnić stronę z argumentami za „tak”. Kiedy kończę, tytuł piszę w czcionką Ye Olde England, żeby wyglądało to bardziej oficjalnie BZYKANIE SIĘ Z LIAMEM - ARGUMENTY ZA:

1. Dan robi to z kimś innym, więc dlaczego ja miałabym się powstrzymywać?
2. Jeśli zobaczy mnie razem z Liamem, to może wróci do mnie na klęczkach.
3. Liam jest bogiem seksu i powinnam pójść za głosem natury.
4. Potrzebuję trochę rozrywki.
5. Według mojego horoskopu to będzie w porządku.
6. Liam może być moją ostatnią szansą na najbliższe kilka lat (poza armią rozwiedzionych czterdziestoparolatków).
7. Nie potrzebuję poważnego związku, tylko Przejściowego Mężczyzny.
8. W ten weekend i tak nie mam nic lepszego do roboty.
9. Jeśli się pobierzemy, może za darmo zaprojektować nam zaproszenia ślubne.
10. Cara powiedziała, że przez komputer spotkam bratnią duszę.

PRZECIW: - 1. A co, jeśli był z kimś, kogo było stać na powiększenie biustu?

2. Liam może mieć HIV albo okazać się zboczeńcem. Może jest na przykład uzależniony od wachania siedzeń rowerowych małych dziewczynek.
3. Jeśli się w nim zakocham, to będzie kompletna katastrofa, bo ma wszystkie cechy faceta, który potem nie oddzwania.
4. Ktoś z pracy może nas zobaczyć.
5. Jeśli to będzie katastrofa, nikt z moich przyjaciół nie okaże mi najmniejszego współczucia.

Po godzinie gapienia się w monitor odczekuję, aż Kylie pójdzie po herbatę, i loguję się na moim domowym koncie. Po kilku próbach, wysyłam w końcu taki list:

Od: shep@mpx.com.au Do: liam@ozemail.com.au Odpowiedź: Nieprzyzwoity weekend Proszę, zauważ to, zakreśliłam opcję „tak”. I co teraz? Victoria.

Wtedy ku mojemu przerażeniu widzę Kylie i Liama idących z kubkami herbaty w moim kierunku. Ona się śmieje, a on udaje, że też się świetnie bawi.

- Cześć - rzuca od niechcienia Liam, niczym w reklamie sportowych spodni.
- Cześć - odpowiadam. - Chyba też pójde po herbatę - dodaję bez sensu i uciekam do kuchni.

Policzki tak mnie palą, że mogłabym schować twarz w zamrażalniku i nie poczułabym różnicy. Mam trzydzieści lat, a czuję się jak trzynastolatka. To po prostu obciach, jak mówiliśmy w szkole. Potrójny obciach.

I nie mam wyjścia. Będę musiała zostać w kuchni, dopóki on nie zniknie. A jeśli Kylie będzie opowiadać o wczorajszym odcinku *Przyjaciół*, to może to potrwać kilka dni.

Liam rozwiązuje mój problem, nagle zaglądając przez uchylone drzwi. Przez minutę tylko stoję i patrzę jak zahipnotyzowany światłami samochodu zając na drodze.

- Dostałaś moją wiadomość? - pyta, patrząc dziwnie.

- Eee... tak.

- I rozumiem, że odpowiedź brzmi „nie”?

Można by pomyśleć, że po piętnastu latach doświadczeń, powinnam sobie radzić w sprawach męsko - damskich. Tymczasem jest wręcz przeciwnie. Jestem równie beznadziejna jak w 1984 roku w Blue Light Disco, kiedy Trevor McVie próbował wsunąć mi do gardła język podczas piosenki The Cure, a ja udawałam, że boli mnie ząb.

Dlaczego nie mogę być taka jak te seksowne zdziury w telewizji?

Dlaczego nie mogę wydobyć z siebie głosu?

- Nie, chcę jechać.

- Chcesz?

- Właśnie wysłałam ci emaila. Chcę.

Zapada cisza. Patrzymy na siebie i próbujemy czytać sobie w myślach. Wreszcie Liam odstawia kubek do zlewu i idzie w stronę drzwi.

- W takim razie pogadamy później. - I już go nie ma.

Kiedy wracam do biurka, Kylie z wściekłością wali w klawiaturę. Wystarczy, żebym raz zerknęła, i już wiem, że to reklama dla Slim n' Smile. Biedna Kylie. Jakaś część mnie nie potrafi ukryć zadowolenia. Inna jednak dobrze pamięta, co to znaczy mieć dwadzieścia dwa lata i być samą. Podejrzewam, że czasem to równie przygnębiające, co bycie samotną trzydziestolatką.

Obiecuję Bogu, że jeśli mój nieprzyzwoity weekend wypali, znajdę jej kogoś, kogo będzie mogła pokochać. Może Bill Spec byłby zainteresowany. Albo jeden z pletwonurków - znajomy Anthony'ego Andersona, który czasem do mnie wpada. Może mogłabym ją zarejestrować na stronie Przyjaciół dla Każdego pod literą S - supermini w szkocką kratę.

Spełnione pragnienia sprawiają, że czuję się jak święty Mikołaj. Mam ochotę kupować moim przyjaciołom prezenty, urządzać imprezy, kojarzyć samotnych i szukać domów dla małych puchatych zwierzątek. Stał się cud i nie muszę już gromadzić zapasów fantazji na

długą, samotną zimę, bo dostanę coś rzeczywistego. I dziś wieczorem będzie do mnie telefon.

Mogę przeciągnąć kabel z pokoju do sypialni i leżąc na poduszkach, flirtować i świntuszyć, aż w końcu zasnę.

Jego oczy w kolorze batonika Mars praktycznie roztopiły moją bluzkę. Wiem, że to tylko pożądanie i że na nic więcej nie ma szans. Wiem, że próbuję powetować sobie stratę Dana. Dobrze to wszystko wiem. Z drugiej strony jednak Liam zajmuje się projektami graficznymi, a ja piszę teksty reklamowe. T)n jest sam i ja jestem sama. Kto mówi, że ja, Victoria Shepworth, w ciągu najbliższego roku nie kupię białych, zamszowych pantofelków i nie umówię się na czesanie przed ślubem?

Kiedy Liam wreszcie dzwoni po wpół do dwunastej, trzy razy daję mu szansę na zmianę decyzji. Pytam go, czy na pewno nie jest zbyt zajęty, czy nie czuje się za bardzo zmęczony i czy upewnił się, że w hotelu są miejsca. Jednocześnie okręcam kabel od telefonu wokół palca, modląc się w duchu, żeby się nie wycofał. W sumie wydaje się być pewny swego.

- Dlaczego mam wrażenie, że już kiedyś to robiłeś? - Nie robiłem.

- Ale sprawiasz wrażenie, jakbyś wiedział, co robisz.

- Ja tylko oglądałem dużo seriali z lat siedemdziesiątych. Wiesz. Eee... proszę zameldować pana i panią Smith.

Przypominam sobie, dlaczego go lubię - po części dlatego, że zawsze mnie bawi. Może śmiech przypomina seks? Może to dlatego.

- I jaki jest plan? - pytam, unosząc do góry nogi, żeby zobaczyć, czy są bardzo owłosione.

Bogu dzięki, nie wynaleziono jeszcze telefonu z wizją.

- Zabiorę cię jutro po lunchu - odpowiada Liam. - Wyruszymy od razu i dotrzemy akurat na kolację.

- Gdzie jest ten hotel?

- W górach.

- Co powinnam ze sobą zabrać?

- Kolczyki w sutkach i chłonne prześcieradła.

W końcu pakuję wszystko, co znajduję w łazience, poza szczotką do mycia muszli klozetowej i zatyczką do umywalki: buteleczkę Eternity, stary flakonik Poison z resztkami, samoopalacz, olejek Evening Primrose i całe mnóstwo innych rzeczy. Potem dorzucam koszulę nocną w króliczki, na wypadek gdybym poczuła się przy nim dość swobodnie, żeby założyć do łóżka rzecz starą i przez to trochę żenującą. Wkładam jeszcze koronkowe białe

body, które uwiera mnie w kroku, jeśli nie wciągnę brzucha. No i Stare Czarne Nieodłączne - seksowna szmatka z nylonu, którą kupiłam za czasów Anthony'ego Andersona - oraz Superstanieczek, który na zeszłoroczne ostatki pożyczyla ode mnie Jodie. Przyszyla do niego mnóstwo cekinów. Na szczęście zmusiłam ją, żeby je potem odpruła. Czy rzeczywiście skończę w jednej z tych rzeczy? Akurat. Będzie jak zwykle - figi na podłodze i koszulka ciśnięta w kąt pokoju. Żalodne.

Kiedy Liam puka do drzwi, czuję się jak Anna Frank w chwili nadejścia nazistów. Chcę uciec i schować się w swojej sekretnej kryjówce, tyle że niczego takiego nie mam. Jedyna rzecz, która mnie trochę uspokaja, to myśl, że on może czuć się jeszcze gorzej. Oczywiście tego nie widać.

Na czas weekendu ma trzydniowy zarost. Pachnie szamponem ziołowym. Nie jestem pewna, które z nas się rzuciło pierwsze - chyba ja - i nagle całujemy się pod ścianą, a w moje plecy wbiły się w półki z książkami.

Bliskość Mama to coś, czego nie umiałam sobie wyobrazić, mimo że próbowałam fantazjować na ten temat. Kiedy patrzę mu w oczy, naprawdę mam wrażenie, że wciąga mnie hipnotyczny wir, który pokazują zwykle w *Batmanie*. Nie chcę odwracać wzroku. Nie chcę, żeby on go odwrócił.

On nie jest Danem i mam to gdzieś. To chyba prawdziwy postęp. Jeśli mam być szczerą, to, że nie jest Danem, sprawia, że wydaje mi się jeszcze bardziej niezwykły. Liam pachnie lipowym płynem po goleniu. Zarost drapie mnie w twarz, to takie seksowne i przyjemne. Za każdym razem, gdy próbuję się oderwać, bo półki wrzynają mi się w plecy, on znowu mnie przyciska i owija wokół siebie. Mam wrażenie, jakby doskonale wiedział, co robi. Cóż, mogę mu być tylko wdzięczna.

W końcu ruszamy, a ja czuję w kręgosłupie wszystkie książkę Jilly Cooper.

- Mam kłopoty z koncentracją - mówi Liam, kiedy wsiadamy do jego samochodu (MG wygląda na nowe, więc chrzanić Dana, nie obchodzi mnie, że wychodzę na materialistkę). Jedziemy.

- Mogę coś powiedzieć? - pytam, odchylając siedzenie i wygodnie się rozsiadając.

Pozwala mi, więc mówię:

- Dzięki, dzięki, dzięki, dzięki.

Ucałuj radość, gdy nadlatuje, jak powiedział pewien poeta. Po tych wszystkich przelotnych miłostkach, które miałam w życiu, można by pomyśleć, że powinnam się była czegoś nauczyć. Dlaczego więc trwały związek to pierwsza rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, kiedy znajduję się w pobliżu mężczyzny albo łóżka (w tej kolejności)? To jakaś

mania.

Zaczęło się chyba w szkole, tak jak większość rzeczy. Jeżeli w szkole pożyczycie Trevorowi McVie ekierkę, oznaczało to, że go kochacie. A kilka lat później, jeśli ktoś do was zadzwonił, można to było uznać za licealne zaręczyny. Mój boże, pamiętam jak myślałam, że wyjdę za Phillipa Zebruskiego.

Mam trzydzieści lat i jadę do hotelu wyłącznie w erotycznym celu. Prawdopodobnie potrwa to nie dłużej niż dwa dni. Muszę, muszę o tym pamiętać. Tylko tyle mi obiecano i tylko na tyle się zgodziłam. To nie jest *Duma i uprzedzenie*. Ani *Rozważna i - cholerna - romantyczna*.

Następny krok. Przeróżający krok. Chwila, gdy trzeba wysiąść z samochodu i prawdopodobnie się pocałować albo coś takiego. Jednak nie, nie robimy tego. Wchodzimy do holu jak dwoje ludzi podróżujących w interesach. Recepcjonistki w ogóle nie interesuje, czy jesteśmy małżeństwem, czy nie, ani czy nie mamy ze sobą całej bandy roztańczonych nagich niewolników. Jedyne, czego od nas chce, to żebyśmy zabrali menu, na którego szczycie jest dziura w kształcie klamki.

Hotel wydaje się całkiem sympatyczny. Dominuje beż. Nie, żebym była teraz w stanie dostrzec cokolwiek, poza własnym układem nerwowym. Kiedy naciskam przycisk windy, przeskakuje iskra. To jedno z tych miejsc, gdzie jest za dużo klimatyzacji i wszędzie leżą nylonowe dywany. Mam wrażenie, że wszystko jest tu naelektryzowane. Liam też.

W windzie gapimy się na potworną reklamę Palm Verandah Cafe, z najbzdurniejszym rysunkiem palmy, jaki widziałam w życiu, i na obrazek z ogromny tańczącym ananasek, reklamującym Specjalność dla Dzieci za jedyne cztery dolary dziewięćdziesiąt pięć centów (sądząc z rysunku, to pewnie krążki ananasa). Potem Liam wychodzi pierwszy, sprawdza numer pokoju, otwiera drzwi nowoczesnym plastikowym kluczem kartą i wchodzimy do środka.

Pędzę do okna, żeby rozsunać zasłony. Ciągnę je, ignorując sznur, jakby najważniejszą rzeczą było to, byśmy właśnie teraz zobaczyli widok z okna. Potem zaglądam do lodówki, żeby sprawdzić, czy jest coś darmowego i ciekawego. Zaglądam do szafy, aby obejrzeć wieszaki, i idę do toalety, bo nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić oprócz wybiegnięcia z krzykiem z hotelu i powrotu do Sydney.

Kiedy już jestem w łazience, spuszczam wodę, żeby Liam nie pomyślał, że całkiem mi odbiło. Patrzę w lustro. Czy mam dość czasu, żeby rozebrać się, sprawdzić wszystko i ubrać się z powrotem? Niestety, nie. Czy włosy choć trochę mi odrosły? Nie. Czy nie ominęłam jakiegoś włoska pod pachą. Pewnie tak. Czy druty ze stanika znowu się wysunęły? Tak,

dobrze czuję. Czy moje piersi wyglądają jak ugotowane na twardo idealnie gładkie jajka? Na pewno.

Gdy wracam, Liam leży na łóżku - na naszym łóżku, z rękami założonymi pod głowę, i przygląda się widokowi za oknem. Niczego nie zdjął. Dzięki Bogu. Podejrzewam, że gdyby był nagi, zaczęłabym śmiać się jak hiena.

- Chodź tu.

Podchodzę. Dlaczego mam wrażenie, że go rozbawiłam? Pewnie dlatego, że tak właśnie się stało.

- Wiesz, dla mnie to jeszcze trudniejsze - mówi. - W końcu jestem uwodzicielem. Pomyśl o tej presji.

Potem znowu mnie całuje i to naprawdę jest najbardziej niesamowita rzecz pod słońcem. Wiem, że mężczyźni są jak roboty kuchenne - nie wiemy, po co ich chcemy. A jednak chcemy, naprawdę chcemy.

Czy on jest - jakby to powiedziała Kylie - dobry w łóżku? To zależy od tego, czego oczekujecie. Niektórzy mężczyźni myślą, że to jest jak włamanie do sejfów albo włączenie telewizora. Wicie - umiejętności manualne, praktyczne. Magiczne palce. Jak wsuwanie przez okno samochodu wieszaka, gdy się zatrzasnęło kluczyki w schowku albo otwieranie zamka wytrychem. Liam do nich nie należy. To nie znaczy, że sobie nie radzi. Wprost przeciwnie. Jest jednak w tym coś jeszcze. Nie umiem tego wyrazić słowami i wcale nie chcę.

Dla mnie bycie dobrym w łóżku znaczy świadomość, że coś się robi dobrze, i umiejętność zatracania się w tym. I tak nie cierpię tego określenia. Dobry w łóżku. To mi przypomina egzamin z siatkówki i ocenianie umiejętności odbijania piłki.

Jestem dobra w łóżku czy kiepska? Nie mam pojęcia i w tej chwili nie obchodzi mnie to.

Greg Dały, zapalony turysta, zwykle mówił, że tak, cokolwiek miałyby to znaczyć. A Leon, student o radykalnych poglądach, głaskał mnie potem po włosach i pożyczał koszulkę w stylu The Clash, co było naprawdę miłe. Ale teraz? Nie wiem. I martwię się, że jednak powinno mnie to trochę interesować.

Liam przekonał mnie do tego, by traktować seks, tak jak on to robi. Uznać go za ciupcianie, bzykanie i konkretne działanie. W przeciwnym razie nie, byłoby mnie tu. Tyle wystarczy. To nie udział w konkursie na najpiękniej udekorowane ciasto wielkanocne. Nie potrzebuję punktacji, a jeśli on oczekuje tego ode mnie, to się rozczaruje.

W którymś momencie - chyba około drugiej w nocy (takie mam wrażenie) - idę do łazienki, myję zęby i twarz. Potem kładę ręce na biodrach i znowu patrzę na siebie w lustrze.

Mogę popatrzeć na tę sytuację z dwóch stron. Albo jestem niezależną, wyzwoloną kobietą lat czterdziestych, cieszącą się życiem w luksusowym hotelu, albo jestem zagubioną emocjonalnie samotną kobietą, która sprzedaje się seksualnie w zamian za miłość, ponieważ na nic innego nie może teraz liczyć.

Gdy wracam do łóżka, Liam siedzi przy zapalonym świetle i trze oczy.

- Co jest?

- Nic, wszystko w porządku.

- Nie masz teraz ochoty na głęboką, poważną rozmowę, prawda? - Nie mam.

- Co za ulga.

Znowu zaczynamy, niespiesznie, jak ludzie, którzy wiedzą, że w paczce zostało jeszcze trochę czekoladowych ciasteczek. Tym razem jest jakoś łatwiej i bardziej leniwie. W tym właśnie tkwi problem. Bierze mnie przez zaskoczenie i z jakiegoś powodu zaczynam płakać.

O nie! To najgorsza rzecz. Absolutnie najgorsza. Nie potrafię jednak tego ukryć, jakaś część mnie zresztą wcale nie chce.

- Hej...

Jeszcze więcej łez. Jestem świetna w bezgłośnym płakaniu. Lata praktyki. Łzy jednak cały czas płyną po policzkach.

- Przepraszam. - Pociągam nosem.

I znów staram się to poczuć, przypomnieć sobie wszystkie za, które spisałam w pracy i myślę o śniadaniu w łóżku jutro rano. Próbuję poczuć, że świetnie się bawię z przejściowym facetem.

Nic z tego. Zdjęcie ubrania wpłynęło też jakoś na moje wnętrze. Im bardziej staram się nie płakać, tym więcej płynie łez. Chyba wszystko idzie nie tak, jak powinno.

Nie idzie tylko o to, że Liam jest inny, i leżymy zamknięci w plastikowym, beżowym pokoju hotelowym w Górach Błękitnych. Chodzi przede wszystkim o mnie. Oszukuję samą siebie i właśnie zdałam sobie z tego sprawę. Nie wiem, co sobie wyobrażałam. Że niby kim będę? Wytatuowaną Prawniczką? Nieważne. Jediną osobą, którą w to wpakowałam, jestem ja sama. Jestem do niczego. Choć jeszcze kilka dni temu budziłam się sparaliżowana z powodu Dana, to właśnie on jest jedyną osobą, którą chcę teraz przytulić.

Liam wstaje, jak chyba wszyscy mężczyźni w podobnej sytuacji, na szklaneczkę wody w środku nocy. Dan też tak robił. To przywołuje wspomnienia. Dan wracał zawsze z dwiema szklankami. Jedną przynosił dla mnie.

Liam przynosi szklankę tylko dla siebie.

- Wszystko w porządku - szepcze.

Kiwam głową, przytulam się do poduszki i coś mruczę, a on zostawia wszystko, jak jest. Myślę, że Dan by się tak nie zachował, coś by zrobił, wyciągnął mnie z tego. Tylko że Liam to nie Dan. Jak mogłam kiedykolwiek przypuszczać, że mógłby nim być?

W końcu zasypiamy. Gdy budzę się rano, jego połowa łóżka jest pusta. Wygląda to tak, jakby Liam zdążył już przeczytać poranną gazetę, wypić kawę i gdzieś sobie pójść.

Cudownie. Wspaniale. Co teraz? Biorę gazetę do łóżka, poprawiam poduszki i próbuję poczuć się jak luksusowa utrzymanka. Widzę jednak swoje odbicie w lustrze. Wyglądam jak pogrążona w smutku stara krowa. Mam zaczerwienioną i pogniecioną twarz. Włosy sterzczami we wszystkie możliwe kierunki.

Nagle myślę o długich, lśniących kasztanowych włosach. Takie chcę mieć następnym razem. Fryzura w stylu Abby. Włosy, które będę mogła upiąć na czubku głowy albo zostawić rozpuszczone. Chyba już więcej nie chcę mieć rudych i najeżonych. To nie podziałało. Tak, jakbym łudziła się, że może poskutkować.

Gdy idę umyć twarz, widzę jego maszynkę do golenia, szampon i pastę do zębów porządnie ułożone po lewej stronie umywalki. Co powinnam zrobić? Ułożyć wszystko po prawej? Wyrzucam chusteczki do kosza i wśród śmieci widzę dwie porządnie zawiązane prezerwatywy.

Jeżeli postaram się być optymistką i jeśli jeszcze raz zechcę spróbować, to mogę sobie wyobrazić za jakiś czas jeszcze jeden taki weekend. Może, gdy wyjaśnię mu to przekonująco, Liam zrozumie, dlaczego przez pół nocy płakałam w poduszkę i może wszystko będzie w porządku. I może następnym razem będę mogła go gdzieś wyciągnąć.

Kiedy jednak Liam wraca, wiem, że nie będzie następnego razu.

- Cześć.

- Cześć.

- Poszedłem popływać.

- Och, nie wzięłam kostiumu kąpielowego.

- Cóż... orzeszki - mówi, rzucając pudełko.

- Uwielbiam je - kłamię.

- Dobrze się czujesz?

- Jestem trochę zmęczona.

- Prześpisz się w drodze powrotnej. - Tak.

- To co, zbieramy się?

To wszystko. W drodze powrotnej on nie odzywa się ani słowem, a ja nie potrafię

wymyślić niczego, co mogłabym powiedzieć. Gdy docieramy przed mój dom, Liam wyjmuję walizki z bagażnika i stawia je na chodniku.

- Masz ochotę wejść na górę? - pytam.

- A chcesz, żebym wszedł?

Przytulam go, bo po raz pierwszy dociera do mnie, że dla niego to mogło być jeszcze trudniejsze niż dla mnie. On odwzajemnia uścisk - to miłe z jego strony - ale to nie to samo co dwadzieścia cztery godziny temu.

- Chodź, zaparzę kawę. Prawdziwą, nie hotelową.

Wchodzimy na górę. Na sekretarce są dwie wiadomości, pewnie od Hilary i Jodie, z zadaniami szczegółów na temat Liama, wszechświata i wszystkiego innego. I co ja im mogę powiedzieć? Obydwoje spróbowaliśmy i nic z tego nie wyszło. Udawałam, że jestem kimś innym i nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie zasnąłam zapłakana.

Przynoszę kawę i siadam obok Liama na kanapie. Na TEJ kanapie. Powinnam po kogoś zadzwonić i poprosić, żeby odprawił nad nią egzorcyzmy.

- Przepraszam za wszystko - mówię w końcu. - Wiesz, że nie chodzi o ciebie, prawda? Tylko o mnie. Jestem rozdrażniona. I zmęczona. Nie wiem. Dan...

- Nie ma sprawy.

- Nie mów: nie ma sprawy. To brzmi, jakbyśmy byli w pracy.

- Słuchaj, dobrze się bawiłem. Dziękuję.

- Na pewno?

- Na pewno.

Zastanawiam się, czy mogłabym teraz - właśnie teraz - naprawić wszystko i zaciągnąć go do sypialni. Nie mogę. Drzwi do szafy, ze zdjęciem Dana, ciągle są otwarte, a to, co sprawiło, że marzyłam o Liamie, przestało działać. On jest facetem, który porządnie układa swoje rzeczy po lewej stronie umywalki. Zawiązuje prezerwatywy. Idzie popływać, kiedy sprawy zaczynają być zbyt ludzkie i intymne.

Gdy wychodzi - a w końcu to robi po drugim kubku kawy - odsłuchuję wiadomości z sekretarki. Jedno trafienie na dwa możliwe. Dzwoniła Jodie. Chce wiedzieć, jak poszło, i ma nadzieję, że dobrze się bawiłam. Na końcu wtrąca się Didi, mówiąc, że powinnam wpaść na gulasz z soczewicy albo coś w tym guście.

Jednak drugi telefon jest zupełnie nieoczekiwany. Od Kylie. Przez chwilę myślę, że zapomniałam zrobić coś ważnego, a potem dociera do mnie, że musi chodzić o coś innego. Kylie ma inny głos niż zwykle. Piskliwy. Niespokojny.

- Cześć, mówi Kylie. Możesz do mnie zadzwonić?

Z jakiegoś powodu nie chcę oddzwaniać. Rozpakowuję więc torbę i metodycznie odkładam rzeczy na miejsce, łącznie z piekielnym stanikiem i niemal pustą butelką Poison. W ogóle z tego nie skorzystałam. Wracam do telefonu, zwijam się na kanapie i dzwonię.

Skąd ja wiem, o co jej chodzi? Nie jestem pewna. I tak w końcu wszystko wychodzi na jaw. Zadzwoniła do niego do mieszkania i jeden z jego współlokatorów powiedział, że Liam wyjechał w góry. Sama doszła do wniosku, że pojechał ze mną. I naprawdę się zdenerwowała. Nie tylko dlatego, że romansuję z Liamem, nie wspominając jej o tym, a ona zawsze myślała, że jesteśmy przyjaciółkami. Przede wszystkim dlatego, że zabrał mnie do hotelu, w którym dopiero co był z nią.

- W porządku, Kylie - mówię.

- Nie jestem zazdrosna. Nie chcę, żebyś tak myślała. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

I choć to śmieszne, wiem, że mówi prawdę. - I tak to był fatalny weekend.

- Tak?

- Tak, fatalny. Więcej czasu spędził w basenie niż ze mną.

- Naprawdę?

- Aha? Mówił coś o mnie?

Żałuję, że nic nie mówił, bo mogłabym rzucić jej kość, ale rzecz jasna Liam nic o niej nie wspominał. I jeżeli dziś wieczorem nie wyślę mu jakiegoś złośliwego emaila, to pewnie nigdy nic na jej temat nie powie.

- Kylie, przez ciebie czuję się stara. - Tak?

- Stara i cyniczna. Wiem, że ci to przejdzie.

- A musi?

- Tak. I to natychmiast.

- Och.

- Muszę się położyć. Przepraszam. Zobaczymy się w pracy. Cześć.

Zdejmuję zdjęcie Dana z drzwi szafy. Wisiało tam stanowczo za długo. Wskakuję w starą koszulę w króliczki i zasypiam sama po prawej stronie łóżka.

wieki temu, kiedy zaczynałam pracę w agencji i kipiałam entuzjazmem, kupiłam sobie faks. Skorzystałam z niego dwa razy. Raz, żeby przefaksować zamówienie na pizzę, i to tylko po to, żeby sprawdzić, czy da się to zrobić. A drugi raz wysłałam Bobbi pilną wiadomość. Musiałam ją powiadomić, że prawdopodobnie mam zapalenie opon mózgowych, więc nie mogę przyjść do pracy, podczas gdy tak naprawdę spędziłam cały dzień w łóżku z Danem.

Pamiętam wszystkie wymówki, jakie wymyśliłam, żeby urwać się z pracy. Pewnie lata zrywania się w szkole z wue - fu dają człowiekowi solidne przygotowanie. Jeśli zeszłej zimy podejrzewano u mnie zapalenie opon mózgowych, to tej zimy muszę wymyślić coś nowego. Dzisiaj więc, w poniedziałek, w najgorszy dzień na pracę, muszę wymyślić coś tak sprytnego i oryginalnego, a zarazem prawdopodobnego, żeby nie było potrzebne nawet zwolnienie lekarskie.

Po godzinie oglądania w telewizji Jacques'a Cousteau wpadam na genialny pomysł. Zatrucie owocami morza. Układam więc po mistrzowsku treść faksu - nie może być ani za długi, ani też za krótki - i wysyłam.

Trudno nie myśleć o Liamie, więc moje myśli cały czas krążą wokół niego. Nie jestem na tyle głupia, żeby krzyżeć w typowo kobiecy, pełen udręki sposób: „To łajdak, a ja wciąż go kooocham!!!”, a jednak nie potrafię przestać o nim myśleć. Jacques Cousteau zatyka nos i przechyla się do tyłu za burtę. Przypomina mi się więc jeszcze Anthony Pieprzony Płetwonurek.

W pewnym sensie Liam i Anthony nie różnią się od siebie tak bardzo. Obaj są osobnikami skoncentrowanymi na sprawach cielesnych, lubią seks, wino i jedzenie. Czy Liam dał mi coś innego niż obiecywał?

Nieprzyzwoity weekend. Właśnie - nieprzyzwoicie nieudany weekend. Powiedział, że nie nadaje się do trwałych związków i nie mogę go o nic winić. A żeby było śmieszniej, jednak go winię. Ciskam poduszką w Jacques'a Cousteau i mam ochotę kopnąć telewizor, żeby się wyłączył na zawsze.

Na stole leży długopis z żonkilem, obok notatnika, w którym tysiąc razy nabazgrałam imię Liama i wzorek ze znaków zapytania i uśmiechniętych buziek. Cholerna Cara. „Spotkasz bratnią duszę dzięki komputerowi”.

To zabawne, jak takie rzeczy zapadają człowiekowi w serce. I w dodatku ja chcę, żeby mi w serce zapadły. W tym po części tkwi problem. A jeśli to rzeczywiście Liam, i nieprzyzwoity weekend miał być tylko wstępem do prawdziwej miłości, która nigdy nie

kroczy po drodze usłanej różami? Warto tego się trzymać. Przepraszam, warto to przemyśleć.

Dzwonię do Hilary.

- Jaki jest adres tej strony internetowej z kładzeniem tarota, o której mówiłaś?

- O nie! Masz Szalony Tydzień. Wiedziałam.

- To była katastrofa, Hil. Cały weekend.

- Naprawdę? - Aha.

- Nie chcesz o tym pogadać? - Nie.

- Ale nie pozwól, żeby to był Szalony Tydzień. To ostatnia rzecz, której byś chciała.

- Obawiam się, że nie mam innego wyjścia.

- No dobra.

Podaje mi adres, a ja zapisuję go długopisem z żonkilem. Wyrywam kartkę pokrytą imieniem Liama i wrzucam ją do kosza. Łąduje obok torebek po herbacie i zasmarkanych chusteczek. To odrobinę poprawia mi samopoczucie.

Zaczynam rozumieć, dlaczego Bill Spec tyle czasu spędza przy swoim komputerze. Ta maszyna jest niczym mały, szary, plastikowy substytut życia. Bil pewnie uważa, że to jest właśnie prawdziwe życie. Ja jednak nie jestem aż tak zdesperowana. Czyżby?

Gdyby Liam mnie teraz zobaczył... Gdyby Dan mnie teraz zobaczył... Gdyby zobaczył mnie teraz psychiatra... Mam to gdzieś. Mam adres strony, gdzie stawiają tarota, i z niego skorzystam.

Bip, bip, bip. Nie ma dziś żadnych emaili. Wielki szok. Potem wchodzę na tarot.spooky.com i biorę głęboki oddech. Wyłączam Jacques' a Cousteau („W tym czasie wróćmy na Kalipso... „) i wpisuję pytanie.

CZY LIAM TO MOJA BRATNIA DUSZA? DZIĘKUJĘ, VICTORIA i SHEPWORTH.

Czekam. I czekam. Wreszcie pojawia się moja karta tarota linijka po linijce.

GIERMEK KIELICHÓW Młody człowiek, może artysta, który pozornie wydaje się spokojny, ale przepełnia go namiętność. Bardzo interesują go władza i mądrość. Nie zawaha się przed niczym, dążąc do celu. Wkrótce nadejdzie wiadomość, zaproszenie albo propozycja. Zbliży się szansa na nowy początek.

Pamiętam, jak Hilary mówiła, że słyszy się to, co chce się usłyszeć, i chyba tak jest ze

mną. Brzmi to mimo wszystko trochę dziwnie. „Artysta (tak, w sumie to artysta grafik), który pod maską spokoju ukrywa namiętność (cóż, przez godzinę tak to właśnie wyglądało); bardzo interesuje go władza i mądrość (że co?) i nie zawaha się przed niczym, dążąc do celu (w takim razie upiekło mi się).

Na rysunku widać beztroskiego nastolatka w rajstopach, wysokich butach i opadającym, średniowiecznym kapeluszu. „Niedługo nadejdzie wiadomość, zaproszenie albo propozycja. Zbliży się szansa na nowy początek”.

Świetnie. Tylko czy ja w ogóle chcę dostać jakąś wiadomość, zaproszenie albo propozycję od bezwzględnego, żadnego władzy artysty grafika, który w ciągu miesiąca zaliczył mnie i dwudziestodwulatkę w supermini w szkocką kratę? Albo od faceta w rajtuzach?

Jednak coś mnie popycha, żebym szła dalej. Klikam więc na kolejną opcję i ponownie zadaję pytanie:

CZY LIAM TO MOJA BRATNIA DUSZA? DZIĘKUJĘ, VICTORIA SHEPWORTH.

Znowu pojawia się karta. Tym razem to kobieta siedząca przed wagą. Nie widzę w tym żadnego sensu. Tekst ma go jeszcze mniej.

SPRAWIEDLIWOŚĆ - W końcu szale się wyrównają i ostatecznie zwycięży dobro.

Biorąc pod uwagę obie te rzeczy, mam... Nie wiem. Kompletny mętlik w głowie. Czy to znaczy, że Liam jest moją bratnią duszą? A może igram z tajemnymi siłami - siłami, których nie rozumiem? A może po prostu wszyscy, którzy nie poszli do pracy, żeby móc się bawić stawianiem sobie tarota, otrzymują te same karty?

Mam ochotę zadzwonić do Cary, ale imbryczek z pieniędzmi na czynsz zrobił się niebezpiecznie lekki. Decyduję się więc na inną, niemal równie dobrą rzecz - dzwonię do Heleny Chettle, jedynej szczęśliwej i dzieciatej mężatki, jaką znam. Nigdy wcześniej nie myślałam o niej, jak o wyroczni, ale z jakiegoś powodu czuję, że telefon do niej ma sens.

Zawsze gdy dzwoni się do Heleny, najpierw odbiera jej mąż Mick. Po pierwsze dlatego, że Helena właśnie robi pranie, albo zakłada biustonosz dla karmiących matek, albo wyciera z ramienia ślinę Olgi. Chodziłam razem z Heleną Chettle do podstawówki w Littlewood, potem do liceum. Nie mam pojęcia, dlaczego wciąż utrzymujemy ze sobą

kontakt, ale ma to chyba coś wspólnego z kartkami, które mi przysyła na Boże Narodzenie, i moim poczuciem winy.

Helena i Mick spotkali się w tym samym Blue Light Disco, gdzie ja spędziłam wieczór, uciekając przed Trevorem McVie. Ich znajomość zaczęła się bardzo typowo - Helena po ciemku usiadła mu na kolanach. Gdy się pobierali, na przyjęciu zagrano nawet *Nutbush City Limits*, stały przebój z Blue Light Disco.

To dość zaskakujące dodzwonić się do niej i nie usłyszeć głosu Micka. Potem jednak sobie przypominam. Dziś jest poniedziałek. Normalni ludzie pracują.

- Cześć, Victorio, jak się masz?

W tle słyszę Olgę, pokrzykującą jak zwykle. To zabawne - nigdy nie słyszałam, żeby pies naprawdę szczekał „hau, hau” albo żeby kot robił „miau”, ale dzieci naprawdę krzyczą „buuu”.

- Potrzebuję czyjejs rady.

Wyczuwam, że Helena jest nieco zdziwiona. W końcu ona jest matką i żoną, a moje życie ma z nią tyle wspólnego, co pan Spock z... sama nie wiem, z czymś normalnym. Helena nie może tego pojąć.

- O co chodzi?

- Wzięłam sobie wolny dzień... - Och.

- To nic poważnego. Chodzi po prostu o... faceta.

- Och. Chcesz wpaść?

- Sama nie wiem. Jesteś zajęta?

To naprawdę głupie pytanie, bo nie znam nikogo bardziej zagonionego od Heleny Chettle. Ostatnim razem, kiedy ją odwiedziłam, miała włączoną polewaczkę, suszarkę, lało jej się z kranów, a Olga ssała jej pierś tak, jakby była pompą hydrauliczną.

W końcu Helen mnie namawia, żebym wpadła. Właściwie nie musi bardzo się wysilać. Chettlesowie w kupie to nie jest rodzina, obok której chciałoby się siedzieć w czasie długiej podróży samolotem, ale ma się z nimi ochotę być w kryzysowej sytuacji. Oni są z tych, którzy zatrzymają się, gdy w ciemną deszczową noc machacie przy drodze, bo zepsuł się wam samochód. Możecie za nimi zatęsknić, gdy do waszego drinka wrzucono LSD i nagle odnosicie wrażenie, że spaghetti zamieniło się w węża. To ten typ ludzi. Helena Chettle słynąca z dzieci i Micka. Bezpieczna. Pewna. Rozsądna. Piecze ciasta.

Pozostała dwójka jej dzieci to medaliści w zawodach lekkiej atletyki dla juniorów i baletu jazzowego. Kochają ją na zabój. Kiedy ostatnim razem je widziałam, nie miały jedynek i ciągle mówiły:

- Mamo, możemy pójść do McDonalda? A Helena niezmiennie odpowiadała: - Nie.

Kolejna zabawna rzecz w życiu Heleny to fakt, że ono wygląda jak reklamy telewizyjne. Te wszystkie bzdurne kawałki, które kiedyś napisałam dla producentów płynów do płukania i mleka w proszku, dokładnie opisują jej życie. Gdy Helenie kończy się mleko, sięga po mleko w proszku („Jakie szczęście, że je mamy”) Nie znam nikogo, kto kupuje mleko w proszku. Podejrzewam, że samotni ludzie nie wiedzą, co to takiego.

Gdy siedzę przy stole u niej w kuchni i piję herbatę, z trudem powstrzymuję się od robienia notatek z myślą o przyszłych kampaniach reklamowych. A kiedy Helena zakłada rękawicę i wyjmuje z piekarnika blachę z kruchym ciastem, prawie chcę jej zrobić zdjęcie. Ma wyraz twarzy, który mówi: „Ach, domowej roboty kruche ciasto!”. Zdarza się, że całymi dniami próbujemy go uzyskać do reklamy.

- Cześć, Olga.

Dziecko posapuje i chichocze w kojcu, zaplatając i rozplatając palce w sposób, który przypomina mi nieco meduzę z porannego programu Jacques'a Cousteau. Na ścianie, zaraz obok gigantycznego mobile, z którego zwiesza się zezowata drewniana kaczka, wiszą zdjęcia siostry i brata Olgi.

- Zawalona robotą? - mruczy Helen, nalewając herbatę do pasujących do siebie kubków w żółte różyczki.

- Przespałam się raz z jednym facetem.

- Och - śmieje się.

Nie mogę jej za to winić. Pewnie rzeczywiście tak to zabrzmiało - jakbym starała się być zabawna.

- Pracuję z nim. Dlatego nie mogłam pójść do agencji. Tak naprawdę to zastanawiam się, czy kiedykolwiek tam wrócę.

- Myślisz, że on czuje to samo?

- Nie sądzę, żeby był aż tak wrażliwy. Jeśli mam być szczerą. Helen kiwa głową.

- Niektórzy są tacy, inni nie - stwierdza po chwili namysłu.

- Poza tym on przespał się z kimś jeszcze. Z dziewczyną dziesięć lat młodszą ode mnie. Z pracy. No, wiesz.

- Ach.

W chwili, gdy spodziewam się, że powie coś głębokiego i mądrego, Oldze odbija się i wymiotuje czymś białym.

- Możesz mi coś powiedzieć? - pytam Helenę, która jednocześnie wyciera podłogę, poklepuje dziecko i przekłada ciasto na drucianą tacę.

- Tak?

- Jak ty to robisz?

Spodziewam się, że znowu zaczniesz się śmiać, kaszleć albo wykręcić się sianem. Helena jednak, z Olgą na rękach, przez długą minutę wygląda przez kuchenne okno. W życiu nie widziałam, żeby tak się nad czymś zastanawiała. Poza chwilą, kiedy składała Mickowi przysięgę ślubną. To było jak ostatnia scena *Camille*.

W końcu się odwraca. Zamiast odpowiedzieć, zadaje mi pytanie:

- Dlaczego nie skorzystałaś z okazji z Trevorem McVie? - Eee...

Uśmiecha się.

- Trevor, mieszka teraz w Perth. Ma dwie córeczki. Jest w separacji.

- Trevor McVie?

Z jakiegoś powodu nie potrafię sobie wyobrazić, żeby on miał dwie córki. Ostatnim razem, kiedy go widziałam, miał szesnaście lat i prawie sięgał językiem do moich migdałków. W tym czasie didżej grał piosenkę The Cure, do której nie dało się tańczyć, nawet jeśli przez całą noc piło się coca colę z aspiryną - żalonna próba uzyskania odlotu jak po narkotykach.

- To miły facet - dodaje zamyślona.

Cały czas poklepuje Olgę, odkręca i zakręca kran, otwiera słoiki, uśmiecha się i czeka, aż coś powiem.

- Nie mogę wyjść za Trevora McVie - odzywam się wreszcie.

- Udawałaś, że boli cię ząb, gdy próbował cię pocałować, prawda?

- Wiem.

- To go trochę trochę zdenerwowało. Powiedział o tym Mickowi.

- O nie!

- Nic się nie stało. Wiesz, on wcale tak bardzo nie różni się od Micka. To porządny gość.

- Nie mogłam...

Helen odstawia dziecko, nadal się uśmiecha, bierze kawałek kruchego ciasta i kładzie je na papierowym talerzyku.

- Proszę.

- Dzięki.

I to chyba właśnie to. Wyrocznia przemówiła. Helena Chettle opowiedziała mi o sensie miłości i życia. Wszystko sprowadza się do tego, że Mick Chettle i Trevor McVie to porządni goście i że gdybym nie była taką kłamliwą jędzą i nie udawała, że boli mnie ząb, kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku Trevor próbował mi włożyć język

do gardła, teraz byłabym szczęśliwą kobietą. I tak jednak biore ciasto. Każdy by wziął.

W rezultacie w ogóle nie mam Szalonego Tygodnia. Zdołałam go W ograniczyć do jednego Szalonego Dnia. Może dzięki uspokajającemu wpływowi Heleny Chettle, a może dlatego, że Bill postanowił pokazać mi, że w Internet to coś więcej niż stawianie tarota.

Przychodzi do mnie pewnego wieczoru, kiedy prawie umierając z powodu Liama albo Dana, postanowiłam w końcu zadzwonić do niego, żeby udzielił mi fachowej porady.

W rzeczywistości mam już dość siedzenia w tym mieszkaniu. Czuję się rozpaczliwie samotna. Gdy Bill radośnie zbiega po schodach i jak zwykle dwa razy puka, z prawdziwą ulgą go witam.

On też wygląda, jakby na mój widok mu ulżyło. A może to dlatego, że nie mam na sobie szarego szlafroka, w którym widać mi sutki.

Przynoszę kawę i wtedy zauważam, że zniknął plaster. Na jego miejscu widać małą bliznę, nadal jeszcze zaróżowioną.

- Już go nie masz.

Dziwne, ale najwyraźniej wie, o co mi chodzi, bo przesuwając ręką po szczęce. Całkiem ładnej, o czym nie omieszkałam powiedzieć Hilary.

- Tak, w końcu się zagoiło. - Wzrusza ramionami, podłączając modem.

Doszliśmy do etapu, na którym traktuje mój komputer, jakby należał do niego. Cały czas kręcę się za jego plecami, zerkając Billowi przez ramię.

- Co się właściwie stało? - Wtykam nos w nie swoje sprawy.

- Och... - Wzrusza ramionami. - Ktoś czymś we mnie rzucił.

- Naprawdę?

Pomysł, że ktoś mógłby czymkolwiek rzucić w Billa, wydaje się niezwykły.

- Kobieta, z którą kiedyś mieszkałem. W domu. To długa historia.

Odbiera mi mowę. Zwykle umiem jakoś zagadać do Billa Specy, niezależnie od tego, jak bardzo jest onieśmielony, niekomunikatywny i małomiasteczkowy. Ale tym razem zero. Przystwojenie dwóch faktów:

a) ktoś miał w sobie dość gniewu z powodu Billa, żeby czymś w niego rzucić, b) niedawno z kimś mieszkał, wystarczyło, żeby zamknąć mi usta.

- Miałaś dobry tydzień? - pyta. Siedzi odwrócony do mnie plecami na chwiejnym reżyserskim krześle, które zawsze mu podsuwam.

Przez straszliwą chwilę myślę, że on słyszał moje spazmy i długie, terapeutyczne rozmowy przez telefon z przyjaciółmi, które od niedzieli trzymają mnie przy życiu.

- Tak. To znaczy nie. A ty? Właściwie moje życie to straszne gówno.

- Och.

Odwraca się na krześle i uśmiecha się. To miły uśmiech, znak solidarności między samotnymi. Przez krótką, dziwną chwilę przychodzi mi na myśl, że może mamy ze sobą coś wspólnego. Potem Bill odwraca się i skupia na komputerze. Znowu jest Billem Specem.

- Tutaj - mówi po kilku minutach stukania w klawiaturę i klikania myszką - masz IRC.

- Ach tak...

- Pogawędki internetowe. To jak rozmawianie z ludźmi, ale zamiast mówić, wszystko piszesz.

- Hmm...

Szczerze mówiąc, ma to dla mnie tyle sensu, co internetowe stawianie tarota. Wygląda jednak na to, że Bill uważa, że IRC to coś, co powinnam znać. Nie mam zamiaru się sprzeciwiać.

- Popatrz. Tu masz wszystkie kanały. Ten, rzecz jasna, dla Nowej Zelandii, linia Kiwi. A potem masz...

- A tak, Org. Orgie? To brzmi nieźle.

Patrzę na jego głowę i widzę uszy jakby z fotografii z roku 1945, a także ładnie ostrzyżony kark, który zrobił się czerwony jak burak.

- A potem masz Org. , australijski kanał pierwszy - kończy jakby nigdy nic. - I Seinfelda.

- Ale nie osobiście? - Nie, jego fanów.

- Naprawdę?

- Chcesz tu wejść?

Brzmi to tak, jakby chciał mnie gdzieś podrzucić helikopterem. Ale zgadzam się. Bill prosi, żebym sobie wymyśliła imię. /

- Nie mogę być po prostu Victorią?

- No, możesz. Ale większość ludzi używa pseudonimów.

- W takim razie dobra. Technopierdoła.

Gdy Bill się śmieje, nawet cicho, trzęsą mu się ramiona. Podejrzewam, że gdyby go naprawdę rozśmieszyć, chyba spadłby z krzesła.

- W porządku. W takim razie wpiszemy twój pseudonim, Technopierdolo, a potem będziesz mogła coś napisać.

- Tylko co? Co mam napisać?

- Na początek może „cześć”.

Wskazuje na ekran i w miarę czytania orientuję się, że rozmowa dotyczy odcinków Seinfelda.

Wygląda na to, że biorą w niej udział cztery osoby. Ktoś, kto nazywa się Ziggy, Duch, kobieta (a może mężczyzna, skąd mam wiedzieć) o imieniu Tina i jakiś Dave.

- I oni naprawdę piszą? - Tak.

- Mogą być gdziekolwiek?

- Tak. Widzisz ich słowa z małym opóźnieniem. Napisz coś teraz. Chwilę potrwa, zanim się pokaże.

Tak też robię, choć czuję się trochę nieswojo. Czekam, aż ta ich „rozmowa” nieco zwolni, i pędem piszę:

Technopierdoła: Cześć, jak się macie?

- A teraz poczekaj - mówi Bill.

Czekam, patrząc przerażona, aż zdanie pojawi się na ekranie. Wypowiedzi innych wyglądają tak:

Ziggy: Mój ulubiony odcinek to ten z zupą. Tina: Zdecydowanie: -)

Duch: W życiu! Najlepszy był *Konkurs*. To zdecydowanie najlepszy odcinek ze wszystkich. Technopierdoła: Cześć, jak się macie?

- Musisz znowu poczekać - tłumaczy mi Bill. Czekamy, aż na ekranie pokaże się:

Duch: Kim, do cholery, jesteś?

Bill znowu się odwraca i uśmiecha się do mnie.

- Bardzo grzeczne. Chcesz odpowiedzieć? - Nie! Tak! Nie!

Patrzemy dalej. Na ekranie pojawiają się kolejne linijki.

Ziggy: Cześć, Technopierdoło. Tina: Witamy, Technopierdoło.

Przez resztę wieczoru siedzimy z Billem przed monitorem, na zmianę przynosimy z kuchni kawę i prowadzimy internetową rozmowę. Chyba właśnie tak to wygląda - bardzo

dziwna, bardzo sztuczna, ale potwornie wciągająca rozmowa.

- Ile tam jest takich kanałów? - pytam w końcu.

- Setki, tysiące.

- I to są ludzie z całego świata?

Bill wstaje, ziewa, przeciąga się, gładzi się po szczęce w miejscu, gdzie kiedyś był plaster, i wyłącza modem.

- No. I to nie tylko spece.

A potem wychodzi. Ot, tak. Zostaję sama z tajemniczo mrugającym ekranem. I dziwnie mrugającym mózgiem. Czy Bill wie, że nazywam go Bill Spec? I jeśli tak, to skąd? A może dostaję paranoi?

Nie spodziewam się żadnej wiadomości od Liama i mam rację. W skrzynce nie ma żadnych emaili, choćbym nie wiem, ile razy się logowała. Żadnej wiadomości na sekretarce, chociaż sprawdzałam tysiąc razy. Tymczasem wymyśliłyśmy z Kylie przezwisko dla Liama. Makramiarz - dlatego że zawiązuje na supełek zużyte prezerwatywy. Ona też to zauważyła. Przynajmniej tyle możemy zrobić.

To najczarniejszy scenariusz dla każdego mężczyzny - rozchichotane kobiety rozmawiające o jego kluczowych organach i/lub o jego sprawności seksualnej. Skoro on zachowuje się tak stereotypowo, to my też możemy. I tak właśnie robię. Kylie ma trochę wyrzutów sumienia z powodu ośmieszania Liama. Jestem starsza i miałam więcej okazji, żeby zgorzknąć i dać się wypaczyć, więc mniej się tym wszystkim przejmuję.

Żeby udowodnić sobie, że nie zrezygnowałam już zupełnie z romantyzmu, postanawiam zorganizować Billowi i Hilary ich pierwsze spotkanie - kolację.

Siedziałyśmy u mnie i traciłyśmy czas przy Internecie, sprawdzając witrynę dnia. Kłóciłyśmy się, która ma usiąść na chybottliwym krześle. Wtedy postanowiłam skierować rozmowę na odpowiedni temat:

- Bill wpadł do mnie przedwczoraj wieczorem. Cisza.

- Tak?

- Jest całkiem miły.

- Hmm...

- Nie jesteś zainteresowana? Znowu cisza.

- Możemy z tym skończyć? - mówi się po chwili Hilary i ucieka do kuchni. Żeby wstawić wodę.

Robi przedstawienie na miarę Stevena Spielberga, szukając łyżeczki, pytając mnie, czy wolę ziołową herbatkę od Jodie czy zwykłą, i opłukując każdy drobiazg leżący w zlewozmywaku.

W końcu wraca z dwoma kubkami, siada na kanapie i mówi:

- Mam coś innego na oku.

- Tak? - Cieszę się, że to słyszę. Naprawdę. - Co takiego?

- Poznałam kogoś na spotkaniu. - Na jakim spotkaniu?

- No wiesz.

- Hil, ty chodzisz na tysiące spotkań. - W Kole Kobiet.

Przed oczami stanął mi obraz wrażliwego faceta nowej ery, z opalenizną znad Zatoki

Byrona i rowerem. Fajnie. W naturalny sposób związany z kobietami. Ma kontakt ze swoją kobiecą stroną itp. Wreszcie Hilary się poszczęściło. Wtedy ona bierze oddech i kończy:

- To kobieta. Co takiego?!

Po latach oglądania Jodie i Didi klepiących się po pupach w miejscach publicznych, można by pomyśleć, że powinnam się była uodpornić. Jednak tym razem to coś innego. To Hilary. Bibliotekarka. Nosi granatowe swetry. Podobają jej się mężczyźni.

- Miałam wyrzuty sumienia, że ci o tym nie mówię - stwierdza po tym, jak pozwoliła mi usiąść i przez chwilę pogapić się w ścianę. - To trwa już od jakiegoś czasu.

- Jesteś pewna?

- Tak. Tak pewna jak ty.

- Przepraszam.

Co powiedzieć? Co zrobić? Czuję się jak wtedy, gdy próbowałam odbić głową piłkę Daniel Hawkera i prawie sama się ogłuszyłam.

- Mnie to nie przeszkadza - mówię w końcu.

- Na pewno?

- Tak. Zupełnie.

Udaje mi się nawet wykrztusić z siebie (z rozsądnym uśmiechem):

- Poznam ją?

- Jodie myślała o urządzeniu grilla.

- Och, wegetariańskie kotlety sojowe z grilla.

- Właśnie. Wrzuć jeszcze jedną rzepę na ruszt.

Roześmiałam się, jak to tylko ja potrafię: ha, ha, ha. Coś jednak tu nie grało i obydwie o tym wiedziałyśmy. Zwykle gdy jedna z nas zaczynała spotykać się z facetem, druga dokładnie ją przepytowała i zabierało to mniej więcej dwa albo trzy kubki kawy. Byłyśmy dla siebie bezlitosne. Nagle pomyślałam o politycznej poprawności, poczułam, że znalazłam się w strefie, gdzie mężczyźni nie mają wstępu, w dodatku z osobą, którą znam od czasów, kiedy obie zaczęłyśmy używać waniliowego błyszczyka.

- Czy dlatego, że chodzi o kobietę, to jest bardziej... osobiste? - pytam w końcu.

- To coś nowego. Zupełnie nowego. Co chciałabyś wiedzieć?

- Cóż, najważniejsze pytanie brzmi, czy to już na całe życie?

- To tak, jakbym ja zapytała ciebie, czy Liam to coś już na całe życie.

- Nie. Chodziło mi o coś innego, o bycie lesbijką. Jesteś lesbijką?

- Nie - odpowiada natychmiast, a potem poprawia się. - Nie wiem. Może. Ale... lubię ją. Naprawdę. Naprawdę mi się podoba.

- Dowiem się w ogóle, co się stało?

Hilary zachowuje się jednocześnie jak zakłopotana i zadowolona dziewczynka, tak jak zwykle, gdy ktoś pyta was o nowego mężczyznę. Bawi się włosami i chowa w nich twarz, co wygląda dość dziwnie, zważywszy na to, że rozmawiamy o kobiecie. Zresztą nieważne.

- Musiałyśmy dobrać się w parę do różnych ćwiczeń.

- Ach, tak.

Hilary wzrusza ramionami.

- Ona zawsze wybierała mnie. Nazywa się Natalie. Jednego wieczoru w Paddington wypiliśmy razem sto czterdzieści siedem koktajli.

- I to ona cię poderwała czy ty ją?

- Oczywiście, że ona. Wiesz, że to zawsze mnie ktoś podrywa. Co powiedziawszy, Hilary bierze gazetę i zaczyna przeglądać ogłoszenia o nieruchomościach. Bez wątplenia oznacza to koniec rozmowy. Chyba właśnie coś takiego nazywa się ujawnieniem. Ja, Victoria Shepworth, kobieta lat pięćdziesiątych, po raz pierwszy byłam świadkiem ujawnienia. Nie wiadomo dlaczego, zaczynam poprawiać poduszki na kanapie. Przysięgam, nigdy w życiu tego nie robiłam. Co się dzieje?

- Mogę przyjść na kolację z Billem, o ile będzie ktoś jeszcze - odzywa się po chwili Hilary. - Rozumiesz. Nie chcę randki.

- Och.

- W każdym razie dzięki.

- Więc... - Mimo wszystko nie mogę tego zostawić ot, tak sobie. - Jodie o tym wie?

- No pewnie.

Jest mi przykro z tego powodu.

- Obawiałaś się mojej reakcji, tak?

- Nie. Ale potrzebna odpowiednia chwila i odpowiednie miejsce, prawda? Byłaś zajęta, ja też. Nie ukrywałyśmy tego przed tobą z Jodie i Didi.

- Rzeczywiście, wcale nie ukrywałyście.

- Dlaczego tak się wściekasz?

Nie powie tego, ale spodziewała się, że się ucieszę z jej szczęścia. Ponieważ nie mamy już nic więcej do powiedzenia, a ja nie mogę sobie ufać, że jej nie obrażę, otwierając usta, zmieniamy temat. Znajdujemy w gazecie film i postanawiamy go obejrzeć.

Można świetnie zapamiętać film, jeśli skojarzy się go z nastrojem, w jakim się go oglądało, i z osobą. Od razu mogę powiedzieć, że tak będzie i tym razem. Kupujemy bilety na *Goło i wesolo*. Zapamiętam go jako film, który obejrzałam w dzień, gdy Hilary powiedziała

mi, że stała się lesbijką.

Łapię się na tym, że zastanawiam się, czy Hilary w ogóle jeszcze to rusza? A może ją obraża? Co będzie z naszym wspólnym chodzeniem do kina? Koniec filmów z gołymi facetami? A może myśli, że specjalnie wybrałam taki film, by znaleźć sobie wsparcie?

Jednak kiedy światła się zapalają, ona nadal jest tą samą starą Hilary. Najwyraźniej. Wciąż lamentuje nad cenami biletów, powtarza, że jej zdaniem Robert Carlyle tak naprawdę jest niski, że nigdy nie można najeść się popcornem i że nie wie, po co się tak męczyła, żeby tu przyjść.

Gdybym była lepszą przyjaciółką, miałabym nadzieję, że Natalie, czy jak jej tam, okaże się tą Jedyną. Albo przynajmniej Kimś Ważnym. Ja jednak nigdy nie byłam w porządku pod względem ideologicznym. Leon Mercer, student o radykalnych poglądach, potwierdziłby to. Okazałam się dziewczyną, którą potrafiła wsadzić łapę do puszeki loteryjnej Socjalistycznej Partii Pracy, żeby kupić sobie czekoladę Toblerone. A dzisiaj jestem kobietą, która była świadkiem ujawnienia się swojej najlepszej przyjaciółki jako lesbijki, a teraz modli się z całych sił, żeby przyjaciółka z powrotem znormalniała.

Dopiero co odkryłam, że w komputerze powstaje taka mała lista wszystkich stron internetowych, które się odwiedziło. Po tym, jak prawie cały niedzielny poranek spędziłam w sieci (Boże, jakie to niesamowite uczucie używać takich specjalistycznych wyrażen jak „w sieci”), sprawdziłam tę listę.

Tarot LudziKotów Tarot RideraWaite'a Zapytaj Tajemniczą Molly Strona I Ching

To niesamowite. Tam są miliardy stron, wykorzystujących najbardziej zaawansowaną technologię znaną kobietom i zwierzętom, a ja korzystam z Internetu tylko po to, żeby zaspokoić swoją dziecinną potrzebę dreszczyku emocji, siedząc na stosie poduszek na chybotliwym krześle reżysera. Z drugiej jednak strony, do czego większość ludzi używa Internetu?

Niezależnie od tego, ile razy zadaję pytanie, nie otrzymuję takiej odpowiedzi, jakiej oczekuję. Liam nie wróci. Dan nie wróci. Powtarzajcie za mną... Podejrzewam, że to Szalony Miesiąc. Przysięgałam, że nigdy mi się to nie przydarzy, a teraz proszę. Najpierw Szalony Dzień, potem Szalony Tydzień, a teraz Szalony Miesiąc w pełni. Zostawiłam już nawet Hilary. Właściwie to kompletnie wariactwo, łącznie z pianą na ustach. Brakuje mi jeszcze wyjadania galaretki i chodzenia przez okrągły miesiąc w szlafroku frotte.

Gdy znajduję stronę pod tytułem „Gadanko z Kurtem Cobainem” i łapię się na tym, że to mnie ekscytuje, wiem, że właśnie osiągnęłam dno. „Jeśli dręczy cię jakieś pytanie dotyczące tajemnic życia, możesz znaleźć na nie odpowiedź dzięki Kurtowi Cobainowi” - kusi reklama strony. „Poeta, punk i grungeowiec, siedzi po drugiej stronie, gotów, żeby rozwiązać twoje problemy. O co chciałabyś zapytać Kurta Cobaina?”.

Podejrzewam, że najrozsądniejsze byłoby pytanie, co sądzi o nowej fryzurze Courtney Love. Ponieważ jednak zaszłam już tak daleko w swoich absurdalnych wędrówkach po sieci, czuję się zobowiązana, żeby napisać:

Czy dzięki Internetowi spotkam bratnią duszę?

I wtedy dzieje się coś dziwnego, niezależnie od tego, że tyłek całkiem mi zdrętwiał po tyłu godzinach siedzenia na stercie poduszek. Ekran zamiera i wirujące w rogu N jak Netscape nieruchomieje. Szczerze mówiąc, nie ma w tym niczego niezwykłego. Bill mówił,

że to się ciągle zdarza, gdy siedzisz w sieci. Może jednak Kurt Cobain rzeczywiście próbuje mi coś powiedzieć. Na przykład, żebym na początek przestała być taką upierdliwą krową. Albo żebym wykorzystwała Internet do czegoś rzeczywiście pożytecznego i porzuciła żalodne próby skontaktowania się z nieżyjącym muzykiem z Seattle, który chce, żeby zostawić go w spokoju.

Przeklinam cię, Caro z Kryształowej Linii. Żałuję, że kiedykolwiek cię spotkałam. Hilary miała rację, to jest jak nałóg. Dzięki komputerowi spotkasz bratnią duszę. Nadal mam to gdzieś zapisane. Wciąż mam dowód. Teraz jednak, gdy zaczynam szukać tej kartki, nie mogę jej znaleźć. Nie ma jej pod stosem klejącej taśmy, spinaczy i innych śmieci w kredensie, który odziedziczyłam po mamie. Nie mam jej w sypialni. Przy okazji przejrzałam nawet takie rzeczy, jak zdjęcia i stare listy miłosne (ha!) w. starym oprawionym w skórę notatniku. Tam też jej nie było.

Co można zrobić, gdy jest się niekochanym, zdegustowanym, znudzonym, ogłupiałym i zagubionym jednocześnie? Zwłaszcza jeśli ciągle nie można sobie pozwolić na zjedzenie tabliczki czekolady z bakaliami? Podejrzewam, że istnieje tylko jedna możliwa odpowiedź - stara, ale dobra. Dwie poduszki pod głowę, Teenage Fanclub na stereo, torebka nerkowców (kupiłam je w sklepie ze zdrową żywnością, więc na pewno mi nie zaszkodzą) i *Wichrowe wzgórza*.

Dochodzę do miejsca, gdzie duch Cathy drapie w okno, gdy dzieje się coś dziwnego. Z książki wypada kartka z notatkami z rozmowy z Cara. Ciągle wszystko tam jest zapisane. Komputer ważny przez najbliższych sześć miesięcy. Nie ze względu na pracę. Spotkasz miłych ludzi. Spotkasz bratnią duszę dzięki Internetowi.

O proszę, nie ze względu na pracę. Widzicie?! Liam to praca. Bratnia dusza - nie powinna być związana z pracą.

Kartkuję strony i wtedy znowu coś zaczyna mi nie grać. Jeżeli Cara jest rzeczywiście taka świetna, to dlaczego nie ostrzegła mnie przed Liamem? Mogła mi wyświadczyć tę przysługę. Tylko krótkie ostrzeżenie: „Widzę Góry Błękitne. Widzę beżowy pokój. Widzę supełek na prezerwatywie. Widzę kompletny niewypał”. Albo coś w tym stylu.

W każdym razie znalezienie kartki traktuję jako kolejny omen i zaczynam się zastawiać, czy nie popędzić do sklepu po zakazaną tabliczkę czekolady z bakaliami, gdy dzwoni telefon.

- Cześć, mówi Liam. - Och! Cześć!

Cholerne niespodzianki. Tyle razy wyobrażałam sobie tę rozmowę. I za każdym razem miałam być opanowana, spokojna w harmonii z wszechświatem. Wszechświatem Liama. A

co mamy w zamian? Oszalała Victorię Shepworth, napaloną panienkę z Avonu. „Och! Cześć!”. Na miłość boską, opanuj się Victorio...

- Pomyślałem, że mógłbym zadzwonić - docierają do mnie jego słowa. - Dowiedzieć się, co się dzieje.

Dlaczego mężczyźni, gdy są zakłopotani, mówią z fatalnym amerykańskim akcentem?

- Co się dzieje? Czytam *Wichrowe wzgórza* i jem nerkowce - odpowiadam.

Wtedy Liam mówi coś takiego, że nie mogę w to uwierzyć, ale właśnie to mówi:

- Tęskniłaś?

Nie wiem, czy to dzięki temu, że nagle podskoczył mi poziom cukru we krwi po zjedzeniu paczki nerkowców, czy może to dobry wpływ Emily Bronte albo też nawiedzonych przepowiedni Cary, w każdym razie raptem, ku własnemu zaskoczeniu, zaczynam mówić wszystko to, co powinnam. Dla odmiany.

- Liam, wiem, że obiecałeś mi tylko nieprzyzwoity weekend, jak ze starego serialu, ha, ha, ha. Rzecz w tym, że nie wiedziałam, że zdążyłeś przespać się z Kylie. To mnie zniechęciło, rozumiesz.

- Hmm...

Chyba go zatkało. Dobrze. Doskonale.

- Tak. I Kylie też było dość przykro, że postanowiła przespać się ze mną. Właściwie to była smutna, wściekła i nie mogła przestać o tym myśleć. Ja też tak się czułam. Tak działasz na kobiety, gdy szukasz seksu bez zobowiązań. Długa cisza.

- Jak kubeł zimnej wody. Wiesz o tym?

- Posłuchaj... - próbuje coś powiedzieć.

- Nie, to ty posłuchaj. Kiedy wrócisz na swoją planetę, opowiedz wszystkim o kobietach z Ziemi, bo myślę po tym wszystkim, że jesteś kosmitą. Powtórz im tylko to, dobrze? PŁACZEMY. JESTEŚMY ZAZDROSNE. PRZEŻYWAMY EMOCJE.

Kiedy odkłada słuchawkę, co rzecz jasna musi zrobić, serce bije mi szybko, jak jedna z tych klekoczących zabawek dla dzieci. Nie mogę złapać tchu, jestem przerażona i podniecona. To okropne. Ale... w końcu to zrobiłam. I nawet jeśli piętro wyżej Bill pomyśli sobie, że oszalałam, skaczę - dosłownie skaczę - i krzyczę „Huraa!”. Pędzę do kuchni po wodę, wybiegam i znowu się wydzieram. Chyba cała się trzęsę. Na pewno cała się trzęsę. Mam ochotę na szklaneczkę brandy w celach leczniczych i zdecydowanie potrzebuję tabliczki czekolady z bakaliami. Nieważne, że Koło Kobiet przyznałoby mi medal za to, co właśnie zrobiłam. Nieważne, że wstawiłam się też za Kylie. To sam fakt, że zwyczajnie wykopałam go ze swojego życia sprawił, że czuję się tak cudownie. Naprawdę czuję się cudownie.

Później, kiedy już nieco ochłonęłam, wracam do momentu, kiedy Heathcliff traci rozum. Nie mogę się skupić na książce, moje myśli krążą wokół Liama. Tym razem podchodzę do tego bardzo filozoficznie. Bardzo mądrze. Zupełnie nie w stylu Victorii od Kompletnie Nieudanych Cholernych Związków.

Wróżba się sprawdziła. On jest bezwzględny. I rzeczywiście dostałam od niego „wiadomość, zaproszenie lub propozycję” (nie wątpię, że miał na myśli wszystkie te trzy rzeczy). Nie było tylko mowy o tym, że ktoś taki jak Liam nic nie zrozumie, dopóki mu się tego nie przeliteruje.

Dobrze wiem, że niektórzy uznaliby tę historię za niedokończoną. Powiedzieliby, zła karma między mężczyzną i kobietą, która będzie narastać i pewnego dnia, albo w przyszłym życiu, wybuchnie. Dla mnie jednak to koniec. Kiedy zadzwonił i spytał, co się dzieje, jakby do niczego między nami nie doszło, jakby życie toczyło się zwyczajnie i lekko, a on sam był zwyczajny i zabawny, chyba się spodziewał, że podejmę tę grę. Już kiedyś to robiłam i bynajmniej nie brak mi wprawy. Wszyscy wiedzą, że nieraz tak robiłam. Zmuszałam się, żeby mój głos brzmiał swobodnie, zwyczajnie i miło, odpychałam na bok cały ból i inne okropne rzeczy, a potem uśmiechałam się, uśmiechałam się, uśmiechałam. Oto co Liam chciał usłyszeć:

On: Co się dzieje? Ja: Och, nic takiego. On: Tęskniłaś? Ja: Ha, ha, ha.

On: Miałaś ochotę gdzieś wyskoczyć? Ja: Może.

On: Przepraszam, ostatnio byłem zajęty, nie miałem kiedy zadzwonić.

Ja: Och, nie ma sprawy, Liam.

I tak dalej. Do znudzenia. Bo to rzeczywiście wywołuje mdłości. Oto przykład żalosego, starzejącego się trzydziestokilkulatka, który myśli, że życie przypomina stare sitcomy, w których można się bzykać w hotelach i trochę pośmiać. A jeśli kobieta zaczyna płakać, bo jeszcze przeżywa rozstanie z poprzednim mężczyzną, to można pójść na basen popływać, aż się uspokoi.

I strasznie podobał mi się ten kawałek o kosmitach. Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam. I nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć o tym wszystkim. A co on na to, Victorio?

Tak, dołączyłam cegielkę do muru lęku i nienawiści między mężczyznami i kobietami. Nie, nie czuję się winna. Dlaczego? Bo kiedy następnym razem Liam będzie leżał na łóżku w jakimś hotelu, z rękami założonymi pod głowę, czekając, aż jakaś Kylie wybiegnie z łazienki, moje słowa staną mu przed oczami. Dobrze wiem, że dla niego będę neurotyczną wiedźmą numer jeden w tym roku. Ale będę także jego sumieniem przynajmniej

na najbliższych sto porządnie zawiązanych prezerwatyw. I jest jeszcze jedno. Nigdy już nie będę musiała spędzać wieczoru na koncercie SONS.

A potem myślę sobie: „Ty kretynko”, odstawiam *Wichrowe wzgórza* z powrotem na półkę i idę przeliczyć zaskórniaki.

Dzięki komputerowi spotkasz swoją bratnią duszę. W porządku, Caro. Umowa stoi. Każdą wolną chwilę w pracy i w domu spędzę szukając tego jedyne. I nie trzeba być jasnowidzem, żeby domyślić się, że gdzieś tam, wśród miliardów stron internetowych, kanałów i grup, musi być facet dla mnie. Nie ktoś, kto wkłada do pralki piłki tenisowe, żeby jego puchowe kurtki stały się jeszcze bardziej miękkie. Nie ktoś, kto traktuje seks jak ćwiczenie fizyczne. Nie ktoś, kto robi mi wykład na temat socjalizmu.

Nikt taki. Posłucham cię, Caro. Tym razem zaczekam na bratnią duszę, nawet jeśli mam oślepnąć od gapienia się w monitor, nawet jeśli rachunki za Internet pochłoną wszystkie pieniądze na czynsz. Będę go szukać. To musi być moja bratnia dusza. Bo jeśli dojdzie do następnego rozstania, zacznę żyć w celibacie albo w halibucie, czy jak to się tam nazywa.

To dziwne uczucie wybierać się na grilla u Jodie i Didi. Całe wieki przygotowuję się do wyjścia. Zazwyczaj przychodziłam razem z Hilary, w końcu mieszkamy od siebie o kwadrans. Tym razem jednak nie chcę zakłócać jej prywatności. Gdyby była z jakimś facetem, też nie chciałabym, żebyśmy zjawili się razem jak drużyna harcerzy. Zostawiam ją więc, niech sama sobie wszystko ułoży z - Victorio, nazwijmy rzecz po imieniu - z Natalie. Wszystkie kobiece rytuały zajmują mi około godziny.

Dlaczego tak długo? Sama nie wiem. Coś jednak sprawia, że mam ochotę wylać na siebie więcej Eternity niż zwykle, nałożyć więcej szminki, więcej brązowych cieni, a nawet założyć gustowny kryształowy wisiołek, który mam od wieków, ale nigdy go nie zakładam. Zwykle nie przejmuję się za bardzo grillem u Jodie, ponieważ szanse na spotkanie tam - jak to mawiała Hilary (stare, dobre czasy sprzed Koła Kobiet) - kandydata na męża są praktycznie bliskie zeru. Skoro jednak wkraczam do krainy kobiet, chcę się czuć jak kobieta. Przerażają mnie moje myśli, ale taka jest prawda. Do diabła z polityczną poprawnością. Czuję się tak, jakby coś zielonego z antenkami na głowie uprowadziło właśnie moją najlepszą przyjaciółkę.

Przechodzę przez dom Jodie i Didi (frontowe drzwi są jak zwykle otwarte), mijam wiszące w korytarzu białe - czarne fotografie Fridy Kahlo, łazienkę, w której unosi się aromat kadzidełka, i wchodzę do ogrodu. Widzę Natalie i Hilary razem i wracają do mnie wszystkie moje uprzedzenia i lęki, cała moja małośćkowość.

Siedzą w cieniu pod drzewkiem avocado. Natalie ma długie brązowe kręcone włosy, długą, brązową sukienkę w stylu Laury Ashley i nagie opalone stopy. Jest trochę przy kości. Hilary chichocze i jak zwykle jest w dresie. Żadnego bullteriera. Żadnych lustrzanek. Żadnych nabijanych ćwiekami skórzanych pasów.

Hilary spostrzega mnie i macha ręką.

- To Natalie.

- Cześć.

Właśnie miałam wygłosić przygotowaną wcześniej taką zwyczajną, radosną i zabawną uwagę na temat paradoksalności wegetariańskiego grilla (musiałam w końcu coś sobie przygotować na ten moment grozy, prawda?), kiedy Natalie wchodzi mi w słowo.

- Właśnie widziałam mojego byłego męża w supermarkecie, możecie uwierzyć? Kupował sobie delikatny papier toaletowy. Kiedy byliśmy razem, nigdy takiego nie używaliśmy. Papier w kwiatki! - Udaje przerażenie, otwiera szeroko usta i wygląda, jakby nie mogła złapać oddechu. - W każdym razie ucieszyłam się, gdy zobaczyłam, że ma wózek z

zepsutym kółkiem. Zwykle to mnie się taki trafia. Sprawdziłam, czy wziął ekierkę, bo to tajny znak wszystkich, kawalerów, prawda? Ale poza papierem toaletowym w wózku była tylko puszka sardynek. Dla kota. Nigdy nie kupował sardynek dla nas, tylko zawsze dla kota, ale to już inna historia.

Kiedy Natalie wyrzuca z siebie tę opowieść, Hilary patrzy na nią, trochę się śmiejąc, trochę przygryzając palce, co oznacza, że jednocześnie się denerwuje i jest podekscytowana. Podejrzewam że nie sposób nie lubić Natalie, prawda? I jeśli Hilary ma swoją wielką podróż do krainy lesbijek - można by rzec podróż na Lesbos - to dobrze, że towarzyszy jej ktoś taki jak ona sama. Ktoś kto był z mężczyzną i skończył z tym. Tak jak Hilary.

- Patrz - odzywa się Natalie po krótkiej chwili. - Mają ta samą sałatkę z pomidorów jak tego pierwszego wieczoru, wiesz. Szturchna Hilary w ramię. - Z dymką. A może to była marynowana cebulka, nie pamiętam. - Odwraca się do mnie. - Tyle o tobie słyszałam. To straszny frazes, ale rzeczywiście słyszałam. Jodie mówiła, że masz dostęp do Internetu, i chciałam cię o to zapytać, bo jest taka strona, na której piszą, jak założyć własną fermę robaków. Podejrzewam, że mnóstwo moich problemów skończyło się, gdybym miała fermę.

W jaki sposób szukać oznak wielkiej miłości? Czy świadczy o tym fakt, że Hilary i Natalie skrzyżowały nogi dokładnie w ten sam sposób, siedząc na kamiennym murku? A może powinnam szukać czegoś innego? Coś jednak mi mówi, że to nie jest wielka miłość. Pamiętam, jak Hilary pojechała do Włoch ze swoją klasą włoskiego. Z Florencji pisywała do mnie niekończące się listy o tym, jak tanio można tam kupić dom, jacy ludzie są wspaniali, jaką mają fantastyczną pogodę i że jest jej obojętne, czy jeszcze kiedyś zobaczy Australię. A potem, gdy wróciła do Sydney, coraz rzadziej wspominała o Włoszech. Potworne koszulki z cekinami, które kupiła w Rzymie, powędrowały do szafy. Przestała wtrącać włoskie słówka, skończył się makaron i zniknęła opalenizna.

Gdy teraz patrzę na Natalie, mam wrażenie, że będzie jak w przypadku Włoch. A kraina kobiet - nie powinnam mieć takiej nadziei, ale mam - okaże się dla Hilary miłym miejscem odwiedzin, ale nie stałego pobytu.

W tym czasie Didi kręci się wokół czegoś, co z daleka wygląda jak kotlety, ale okazuje się soją podstępnie udającą mięso. Jodie nie pozostaje w tyle - proponuje kobietom (i dwóm mężczyznom oraz czterem psom) truskawkowe daiquiri. Jak zwykle nie starcza plastikowych krzeseł, ale przyszło tylu entuzjastów jogi, że chyba są zadowoleni, że mogą siedzieć po turecku w zwariowanym ogrodzie Jodie.

Przyszła też kobieta, której - o ile wiem - nie cierpi ani Jodie, ani Didi. Zawsze ją jednak zapraszają, bo zna producenta filmów dokumentalnych. Przez chwilę zastanawiam się,

czy nie zrobić dziewczynom przysługi, nie podejść do niej i nie zagadać na temat *Miłości i kobiecych doświadczeń* czy jak to się nazywa (niewątpliwie to postępek w stosunku do *Stóp prababci*, prawda?), ale ona odwraca się, patrzy na mnie jak sowa i tracę odwagę. Tak szczerze, czy to reguła, że w branży filmowej trzeba nosić ogromne okulary?

Jodie zaciąga mnie do kuchni.

- Chodź, pomożesz, Vic. Robię bananowy mus, z likierem pomarańczowym. Pycha.

Jodie ma na sobie coś, co przypomina stary stanik, i dzinsy Didi. Wygląda na dwadzieścia jeden lat, jak zawsze zresztą.

- Mam wrażenie, jakbym cię nie widziała całe wieki - mówi. - Siadaj.

Siadamy przy stole i chociaż dobrze wiem, czemu to robimy, przechodzę nad tym do porządku dziennego. Ku mojemu zaskoczeniu Jodie nie chce rozmawiać o mnie, Hilary i Natalie. Chce pogadać o Liamie.

- Hilary mi powiedziała. To był, jak mu tam, Makramiarz?

- Aha. Starannie zawiązywał zużyte prezerwatywy.

Śmieje się, głaszcząc mnie po ramieniu jak typowy wrażliwy na dotyk naturopata.

- Więc jak się czujesz?

- Nie tak źle.

- Mam wyrzuty sumienia. Powinnam cię była powstrzymać. Miałam co do niego złe przeczucia.

- Nie powstrzymałabyś mnie. Dobrze wiesz.

- O którym teraz częściej myślisz? A może o żadnym?

- O żadnym - To dobrze.

Zaczyna miksować banany.

- Poznałaś już Natalie? - Tak.

Samo wspomnienie jej imienia sprawia, że prawie się śmiejemy. Pewnie tak samo reaguje większość ludzi, którzy dopiero co poznali Natalie. Ma silną osobowość, obydwie to zakładałyśmy, ale jest też miła.

- Była mężatką, wiesz?

- Mówiła.

- A potem zmieniła się. Ot, tak. Ma za sobą kilka związków. Nic poważnego.

- To ciekawe, że można tak przejść od mężczyzn do kobiet - mówię raczej do siebie niż do Jodie.

- Hmm...

Jodie, rzecz jasna, wie od czasów szkolnych, że woli dziewczyny. Od miłości do koni

przeszła do miłości do blondynki w bardzo krótkim szkolnym mundurku. Miała na imię Cheryl. Wciąż ma zdjęcia z Cheryl, na których obie noszą koszulki z sercami i trzymają się za ręce. Ich matki nie miały nic przeciwko, bo o niczym tak naprawdę nie wiedziały.

- Myślę, że Hilary świetnie się bawi. Jest szczęśliwa.

- Tak, to prawda.

- Martwiła się tym. Chwilę trwało, zanim się pogodziła.

- Myślisz, że to już na zawsze? - Nie wiem.

Uśmiecha się tymi swoimi rybimi oczami, wlewając do dzbanka likier pomarańczowy.

- Może ona po prostu kogoś potrzebuje - zastanawiam się. - Może to o to chodzi.

- Tak. Natalie nie różni się bardzo od tego Hindusa. Pamiętasz go?

- O Boże. Tak. Nigdy mu się buzia nie zamykała. - No właśnie.

- Tylko że Natalie wygląda na zdecydowaną na związek.

- To prawda.

- Ona oddzwoni.

Śmiejemy się. Jodie zabiera mnie do ogrodu w roli przeszkolonej kelnerki roznoszącej koktajle. Rozpoznaję ludzi, których jakiś czas nie widziałam. Wszystko wydaje się w porządku, zwłaszcza po kilku drinkach, gdy udaje mi się w końcu usiąść po turecku w tym zwariowanym ogrodzie.

Gdy patrzę na tę sytuację z pewnego dystansu, czuję się zszokowana. Czy powiem o tym mamie, która zna Hilary od lat? Czy wspomnę o tym tacie, kiedy następnym razem zadzwoni? Nie wiem. Może, jeśli ten związek potrwa dłużej. A może reszta ludzkości - łącznie z moimi rodzicami - jest bardziej otwarta ode mnie. Hilary po prostu chce z kimś być.

„Pamiętaj o tym” - powtarzam swojemu odbiciu w lustrze, kiedy zataczając się, wchodzę do łazienki Jodie - a wtedy wszystko będzie jasne.

W sobotni wieczór, kiedy wszyscy inni we dwoje oglądają W filmy, rezerwują w restauracjach stoliki dla dwojga, zamawiają w barze po dwa drinki, leżą przez godzinę na kanapie niczym zombie. Na zmianę albo łzawią mi oczy, albo oglądam *Herkulesa*. I wtedy podejmuję decyzję. Skoro mam na serio zacząć szukać swojej bratniej duszy, równie dobrze mogę zacząć już teraz. Wrzucę słowo „bratnia dusza” do wszystkich wyszukiwarek z Internetu, jakie tylko uda mi się znaleźć.

Coś mi mówi, że zabawię tu dłużej, z powrotem więc układam poduszki na chwiejnym reżyserskim krześle, podkładam pod komputer książkę telefoniczną dla Sydney (od A do K) i zaparzam dzbanek wstrętnej ziołowej herbaty od Jodie. Potem zmieniam wygaszacz ekranu na coś bardziej interesującego, to znaczy na tańczące misie i się loguję.

Pierwsza wyszukiwarka informuje mnie że odnalazła 5076 stron pod hasłem „bratnia dusza”. Wybieram pierwsze dziesięć. Oto one:

1. Milusie kociaki na naszej stronie albo w naszym stoisku w Królestwie Zwierząt. Znajdziemy dla ciebie zwierzę, prawdziwą bratnią duszę.

W sieci jest pełno zboczeńców, ale ja się nie poddam.

2. Przekłęci Kochankowie. Usługi Astrologiczne. Odnajdywanie Bratniej Duszy.

Świetnie, tylko że Dan to Baran, a ja Bliźnięta, powinniśmy więc być razem, a nie jesteśmy. Mogą się wypchać.

3 Bratnia Dusza sp. z o. o. Ramki do fotografii w kształcie serduszka dla ciebie i twojej bratniej duszy na ten wielki dzień.

Poproszę o plastikowe wiaderko. Potem jednak, kiedy przewijam dalej stronę, znajduję:

5. Dobry Przepis na Kawalera. Dopasuj mężczyznę do patelni! Mamy najlepiej gotujących i najprzystojniejszych mężczyzn w całej słonecznej Australii, a także przepisy na wszystko!

Dlaczego nie? Jest sobotni wieczór i nikt mnie nie widzi. Nie mogę znowu

wypożyczyć *Kiedy Harry poznał Sally*, więc... czemu nie?

Kiedy pojawia się właściwa strona, wygląda jeszcze mniej obiecująco niż legendarny Przyjaciel dla każdego. Kilka rozmazanych zdjęć mężczyzn na tle różnych przedmiotów. Czasem te przedmioty przesłaniają część głowy pozującego. Panowie stoją przed traktorami, nocnymi klubami i wazonami z plastikowymi kwiatami, albo za nimi. Ciekawe, kto robił te zdjęcia? A może nastawiali samowyzwalacz? Jeśli klikniesz w ramkę, otrzymasz próbkę towaru, tak twierdzą ludzie prowadzący tę stronę. I właśnie takich słów używają: próbka towaru.

Najwyraźniej są tu setki mężczyzn ze swoimi przepisami, spośród których można wybierać. Chyba ktoś w centrum dowodzenia doszedł do wniosku, że łatwiej przełamać lody, gdy oprócz informacji typu: „Glenn po czterdziestce”, jest też coś o strudlu jabłkowym Glenna.

Sprawdzam więc tego faceta. Glenn ma na sobie fartuszek Uśmiecha się. Pewnie któregoś dnia jakaś kobieta wejdzie na tę stronę i poczuje, że żywiej bije jej serce. Może nawet zapulsuje jej stanik. Ale to nie będę ja. Glenn nie sprawił nawet, żebym wreszcie zamieszała herbatę. Jest to jednak istota ludzka, która szuka miłości i zasługuje na chwilę wytchnienia. Twierdzi, że uwielbia grać na gitarze dla innych i rozśmieszać ludzi, nie ma nic przeciwko dzieciom, lubi konie i kąpiele w źródłach.

Tak czy inaczej, zapisałam sobie jego przepis na strudel. Potem znajduję Neila, który chce zostać reżyserem filmowym, chociaż pracuje jako księgowy. Przepada za dobrym winem i za czymś równie nieciekawym - za czymś, co lubią niemal wszyscy mieszkańcy tej planety - za spaniem, jedzeniem albo - bo ja wiem - myciem się pod pachami. Proponuje przepis na biszkopty. Pewnie matka mu go dała. Na zdjęciu wygląda, jakby miał się rozplakać albo właśnie pójść do kibla.

Jest tu jeszcze jeden, który nazywa się - o, ironio losu! - Dan, ale jego wymarzona kobieta lubi relaks na plaży, nie zależy jej na trwałym związku i nie cierpi kłótni. Wobec tego, Danie z Adelaide, żegnam cię razem z twoim przepisem na kurczaka z Maryland. Dalej już nie mam siły szukać. Trudno mi sobie wyobrazić, ile kobiet zagląda na tę stronę. Ciekawe, czy któraś właśnie z błyskiem w oku przygotowuje strudel Boba? I co ważniejsze, od jak dawna znajdują się tu fotografie Dana, biednego, starego Neila i całej reszty.

To niebywałe. Żadne z życzeń tych mężczyzn mi nie uwłacza. Nie mogę powiedzieć, żeby coś, co oni lubią, nie sprawiało mi przyjemności. Żaden z nich nie wygląda na żonatego, kryminalistę albo na nieodpowiedniego z innych powodów. Jednak to wszystko nie wystarcza, prawda? Ja po prostu muszę wiedzieć, czy gdy się uśmiecha, robią mu się takie

zabawne dołączki, czy będzie wymyślał dla mnie głupie przezwiska i zapisywał je w swojej komórce. Nic tak mało mnie nie interesuje, jak konie i źródlane kąpiele. Nie obchodzą mnie dobre wina.

Cóż. Wracam do wyszukiwarki oraz dzbanka pełnego pachnącej grzybami ziołowej herbaty i znowu szukam Bratniej Duszy. Oto kolejna szansa dla mnie... Randka na telefon dla chrześcijan! Gdy szczęście jest o jeden telefon stąd! No i... znów - Dobry Przepis na Kawalera.

Chyba jeszcze pamiętam, jak chodziłam do kościoła. Wyciągano nas ze szkoły i nawet pilnowano, żebyśmy się porządnie modlili, gdy wszyscy patrzą. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie zapalić świecy.

Gdybym uważała, że modlitwa może pomóc, pomodliłabym się. Do tej pory jednak Bóg - czymkolwiek jest - zdołał uczynić mnie samotną, bez faceta, żalną i zdesperowaną, a także - nie zapominajmy o tym - cierpiącą z powodu Szalonego Miesiąca. I to wszystko w sobotni wieczór. Z komputerem opartym na książce telefonicznej. Dzięki ci, Panie, za to, że stałam się najgorszym koszmarem - skrzyżowaniem Glenn Close z *Fatalnego zauroczenia* z dziwaczką żyjącą na marginesie zdrowego społeczeństwa.

Spójrzmy na resztę świata - kolejna seria kosmicznych bubli, a wszystko dzięki uprzejmości Boga. Piętro wyżej Bill z bliźną na szczęce, którą zawdzięcza swojej dziewczynie, spędzający wszystkie sobotnie wieczory oglądając filmy z serii *Star Trek* z innymi wielbicielami komputerów. Można śmiało powiedzieć, że radość życia zgasła w Billu wieki temu. A moi rodzice, którzy na ślubnym I zdjęciu wyglądali na takich szczęśliwych. Przecież przysięgali sobie | w kościele. - Gdzie popełniono błąd?

A co z Hilary? Miała już tak dość męskiej połowy świata, że | w końcu zaczęła sypiać z rozwiedzioną Natalie, która ciągle opowiada o swoim byłym mężu, kochającym kota bardziej od żony. A potem jeszcze Jodie i Didi, które chcą mieć dzieci - wszyscy o tym | wiedzą - ale żaden mężczyzna nie wyświadczy im tej uprzejmości. No i Greg Dały, gdziekolwiek teraz jest, i Phillip Zebruski, Jamie I i wszystkie inne pomyłki w moim życiu. Świetna robota, Panie Boże. f Nieźle się spisałeś. Gdyby Bóg miał rozum, stworzyłby świat, w którym nikt się nie kłóci o puszkę z pieniędzmi dla Socjalistycznej Partii I Pracy. A może to wina Szatana? Nieważne, kto jest winny, i tak | powinien się teraz ujawnić. Jeżeli spojrzę na swoje półki z książkami, zobaczę *Mężczyźni są z Marsa, kobiety są z Wenus*, *Radość seksu*, *Kobiety, które biegały z wilkami*. No i dokąd mnie to zaprowadziło? Mnie i resztę świata? Świetnie, Panie Boże.

Cały czas chodzi mi po głowie pytanie dlaczego. Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Co

się stało z tym światem? Nagle pojawiło się tu tyle samotności. Ziemia wygląda jak gigantyczny tandetny bar, tyle że tu nikt z nikim nie rozmawia. Żyjemy zamknięci w swoich mieszkaniach, samotni. Zastanawiamy się, czy coś się wydarzy. Myślimy, dlaczego | ostatnim razem nie wyszło, i strasznie się boimy, że znowu się nie uda.

Pięć minut przed północą ciągle się głowię nad tą krótką listą:

1. Może wszyscy mężczyźni to dranie. To przede wszystkim oni (por. opracowanie statystyczne: Hilary) gwałcą, mordują i molestują. Z drugiej jednak strony to mężczyźni częściej popełniają samobójstwa, wcześniej umierają, a wściekłe feministki o nazwisku Bobbitt obcinają im penisy. No i proszę. Trudno tak naprawę winić mężczyzn. A może to wszystko jakoś się ze sobą łączy?

2. Świat jest przeludniony i potrzebuje samotnych ludzi. To właściwie argument, który wymyśliła Jodie. Brzmi całkiem sensownie. Teoria wygląda tak: Matka Natura próbuje ocalić planetę, sprawiając, że mężczyźni i kobiety czują do siebie głęboką niechęć. Celibat to grubsza warstwa ozonowa. I właśnie my, pokolenie trzydziestokilkulatków, tego dokonamy.

3. To wszystko wina Germaine Greer. Prawdopodobnie. Gdyby nie ona, nadal mielibyśmy Miss Świata. I gdzie wtedy byśmy byli?

Bill wraca nieco po północy. Zastanawiam się, czy zaprosić go do siebie na kubek kawy i wylać śmierdzącą herbatę ziołową do zlewu. Znowu jednak mam na sobie szary szlafrok, przez który widać mi sutki, a nie chce mi się przebierać. Odgłos jego ciężkich butów na schodach przypomina jeszcze o czymś. O IRC. O rozmawianiu i pisaniu do ludzi przez komputer.

- Bill! - krzyczę przez drzwi. - No?

- Mógłbyś mi znowu pokazać IRC jutro wieczorem?

- Pewnie.

- Dzięki.

Tup, tup. Na górę idą sobie martensy. To w Billu jest fajne. Nie robi problemów. Można porozmawiać z nim, nie otwierając nawet drzwi, a on nie ma nic przeciwko temu. Gdybym miała mieć kiedyś dziecko (a z każdym dniem szanse na to dramatycznie maleją), to chciałabym je wychowywać w Dorrego. #

W tej chwili, po piekle samotnego wieczoru, wierzę, że skończę jak Carrington. Będę miała naprawdę potworną fryzurę i będę żyła w platonicznym związku z brzydkim brodatym mężczyzną (takim jak Lytton Strachey), aż w końcu palnę sobie w łeb.

IRC, jeśli trochę poćwiczyć, jest całkiem prosty w obsłudze. Bill pilnuje, żebym uruchomiła go dwa albo trzy razy (ja stoję, a on siedzi na chybotliwym reżyserskim krześle), aż nabiorę wprawę. Potem wspaniałomyślnie oddaje mi krzesło i staje z tyłu z założonymi na piersi rękami. W tym czasie ja z wypiekami na twarzy stukam w klawiaturę. Wiadomo, krzyżyk, gwiazdka i jeszcze kilka innych rzeczy, które razem tworzą pijaną, ale wesołą buzię.

- Te buźki musiał wymyślić mężczyzna - stwierdzam.

- Dlaczego?

Pochyla się nade mną, żeby wyciągnąć książkę telefoniczną. Czuję zapach sportowego żelu pod prysznic. Wrażenie zarazem znajome i obce. Po chwili dociera do mnie dlaczego. Dan używał takiego żelu. Jego zapach pewnie zmieszał się z potem Billa.

- Komputery nie lubią balansowania na książkach telefonicznych - mruczy. - Musisz podwyższyć biurko, a nie podkładać coś pod komputer.

- To nawet nie jest biurko - stwierdzam.

- Rzeczywiście. A co to jest?

- Jodie myślała, że to stół do masażu, ale się pomyliła, więc dała go mnie.

Bill naprawdę mnie bawi.

- Mam kilka cegieł. Pędzi na górę, żeby je przynieść. Oczywiście, można się było po nim spodziewać, że w jego mieszkaniu walają się takie rzeczy] jak cegły. Ciekawe, co jeszcze ma. Części do kombajnu?

Potem czołga się po dywanie (Boże, szkoda, że od pół roku gol nie odkurzałam, to takie żenujące), żeby podwyższyć stół, a ja pa| trze.

- No dobra - mówi stłumionym głosem. - Dlaczego mężczyźni | są odpowiedzialni za buźki?

- Chodzi o brak emocji. No wiesz, uśmiech z nawiasu i dwukropek. Przepraszam, ty jesteś wyjątkiem, ale reszta taka jest.

Myślę, że to jest najbardziej prywatna rozmowy, na jaką można zdobyć się z Billem. Może właśnie dlatego jego była rzuciła w niego czymś.

- Coś ci się przykleiło do dywanu - mówi, podnosząc się, żeby złapać powietrza.

Zerkam w dół. Stara czekolada. Typowe.

- Przepraszam. Położyłeś się na tym? Napijesz się herbaty? Nie ziołowej, tylko porządnej.

- Zaraz. Najpierw spróbujmy znaleźć kanał.

Zajmujemy więc te same co zwykle pozycje: ja stoję przed komputerem z nogami przygiętymi jak Charlie Chaplin, bo biurko nigdy nie jest na właściwej wysokości, a Bill siedzi na krześle za mną z nogami wyciągniętymi przed siebie. Za każdym razem, kiedy robię błąd albo naciskam niewłaściwy klawisz, krzesło za mną skrzypi.

To zabawny i właściwie uspokajający dźwięk. Bill Spec załamuje się w obliczu mojej głupoty. Pochyla się, żeby zobaczyć, co wyprawiam i ciężko opada na oparcie. Chyba już się do tego przyzwyczaiłam. W każdym razie, cóż to takiego, te komputery? Przereklamowane maszyny do pisania.

- Nie wiem, czy chcę wejść na któryś z tych kanałów. One wszystkie noszą nazwy w stylu Klubu Wampirów.

- Sama jakiś otwórz.

- Mogę? - Aha.

Sięga nade mną i czuję zapach cytrynowy żelu pod prysznic.

- Nazwij go... Jak chcesz go nazwać?

- Właściwie - słyszę, jak słowa powoli wypływają z moich ust - to próbuję znaleźć faceta.

Bill się śmieje. Wiedziałałam, że się będzie śmiał.

- Wiem, to żalosne - mówię.

- Nie, wcale nie - odpowiada szybko. - Wiele kobiet tak robi. A potem rumieniec przypominający kolorem gotowanego raka, najgorszy, jaki w ogóle widziałam, powoli wypływa mu na kark, obejmuje uszy jak z fotografii z roku 1945, aż dociera na czubek głowy. A potem ja się czerwienię. Tak bardzo, że muszę schować twarz w dłoniach.

- Dlaczego jestem taka zakłopotana? - prawie wrzeszczę na Billa, jakby to mogło pomóc.

- No dobra, jak chcesz nazwać ten kanał? - pyta, gdy już nieco ochłonał.

- Nikomu o tym nie powiesz? O tym, że jestem taka żalosna, dobrze?

- Nie powiem. I nie powiem nikomu, że postawiłaś komputer na książce telefonicznej.

To jeszcze gorsze.

- W porządku. Chcą go nazwać... Nie wiem. Żeby było o samotności. Nie wiem...
Samotni Wszystkich Krajów Łączcie Się? Może być?

- Pewnie.

Bill wpisuje nazwę, pokazuje mi wszystko, a potem czekam. I czekam. Nikt nie jest zainteresowany. W końcu, kiedy biegiem wracam z kuchni z dzbankiem prawdziwej herbaty, widzę, że Bill pokazuje mi coś na ekranie. Ktoś połknął haczyk.

- Jest tylko jeden problem - mówi. - Nie ta płęć.

Nowa osoba nazywa się Bezsenna Sue. Mówi, że mieszka w Nowej Zelandii i jest sama od dwóch lat. Wypisuję pytania i odpowiedzi na zmianę z Billem. Jest w porządku, nie specjalnego. Jakbyście siedziały z kimś na przyjęciu i nie były dość pijane, aby uznać tę osobę za interesującą.

- No dobra. - Bill zbiera się pomału. Wciąż ma kłaczki z dywanu na koszulce.

- Dzięki - mówię, ciągle stukając w klawiaturę.

Mam trochę wyrzuty sumienia, że go zaniedbuję. Hilary się nie myliła, komputery nie sprzyjają życiu towarzyskiemu.

- Musisz mi powiedzieć, jak coś ci z tego wyjdzie.

- Na pewno powiem.

Bill wychodzi. Ciężkie buty znowu stukają na schodach.

Bezsenna Sue rozłącza się niedługo potem i znowu czekam dłuższą chwilę. Czy Internet nie powinien być pełen samotnych? A może wszyscy są tak zdesperowani, że hasło Samotni Wszystkich Krajów Łączcie Się to już dla nich za wiele. Może powinnam zmienić nazwę? Kanały z *Archiwum Xw* nazwie przyciągają tysiące ludzi. Wtedy przychodzi mi coś do głowy.

Tak samo jak wpadam na pomysły sloganów reklamujących frisbee z Breakfast Grits. Archiwum Eks. Idealna nazwa. Nie za smutna i żałosna. Właściwie to jacyś wolni mężczyźni gdzieś tam w sieci mogą ją uznać nawet za błyskotliwą. Na pewno ktoś już na to wpadł przede mną, ale nie zamierzam się tym przejmować.

Zanim jednak zdążam zmienić nazwę, włącza się ktoś, kto nazywa się Pierre Dubois.

Pierre Dubois: Pozdrowienia w imieniu wszystkich samotnych.

Pierre Dubois? Z czym mi się kojarzy to imię i nazwisko? Nagle sobie przypominam. Lekcje francuskiego w szkole średniej. Idiotyczna książka z fatalnym rysunkiem, który przedstawiał dwóch pryszczatych chłopców na rowerach. Pokazywali stragan z warzywami i owocami. I wszystkie te zdania: *Bonjour, je m'appelle Pierre Dubois. Ou est lafenetre?*

W związku z tym natychmiast odpisują:

Technopierdoła: Wiem, skąd wzięłeś tę nazwę.

Pojawia się odpowiedź. PD: *Out, bonjour*. Mam jeszcze torbę cebuli oraz berecik.

Postanawiam to kontynuować.

T: Więc mieszkasz w północnym Sydney, tak? I pewnie nigdy nie byłeś nawet na jednodniowej wycieczce do Calais? PD: Jestem Anglikiem, Madame. T: Naprawdę?

PD: Z Londynu. Ale mieszkam teraz w Paryżu. A ty skąd jesteś? T: Z Sydney.

PD: A, słynna Parada Gejów. To dlatego tkwisz w piekle samotności? T: To byłoby zbyt proste. Nie. PD: Czy ma to coś wspólnego z mężczyznami? T: To chyba oczywiste, prawda? PD: Czy ma to coś wspólnego z tobą?

T: Pozwól, że posłużę się buźką: -) Naprawdę jesteś teraz w Paryżu? Która jest u ciebie godzina?

PD: Nie pozwoliłem ci używać buziek. Tak, jestem w Paryżu. W pobliżu Clichy. Jest wcześnie. Naprawdę jesteś z Sydney? T: Tak. Mieszkam w Newtown. PD: Nigdy nie słyszałem o tym miejscu : -) T: Cóż, a ja nigdy nie słyszałam o Clichy: -): -) Nigdy nie byłam we Francji. Skąd mam wiedzieć, że naprawdę tam jesteś? PD: A co ważniejsze, skąd masz pewność, że naprawdę jestem mężczyzną?

T: Jak nie jesteś facetem, to spadaj.

PD: Jestem. Przepraszam. Zaufaj mi. Zdecydowanie jestem mężczyzną. Mam na piersi coś takiego:

T: Powinnaś ci była o tym powiedzieć - szukam bratniej duszy.

PD: FOBL

T: Co takiego?

PD: *Fali Over Backwards Laughing* (tarzam się ze śmiechu).

Taki internetowy skrót. Pani tego nie zrozumie, Madame Technopierdoło. Oczywiście, jeśli rzeczywiście jesteś Technopierdołą.

A skąd ja mam wiedzieć, że naprawdę jesteś kobietą?

T: Moje życie uczuciowe jest do bani i często płaczę.

PD: Ach.

T: Jesteś komputerowym nudziarzem?

PD: *Non, je suis Pierre Dubois.*

T: A, tak. A jaki jest Paryż? Nie *mogę* uwierzyć, że rozmawiam z kimś, kto jest tak daleko. To znaczy piszę.

PD: Paryż jest cudowny. Zwłaszcza kiedy nie ma tu mojej byłej dziewczyny.

T: Tak przy okazji, miałam zamiar zmienić nazwę tego kanału na Archiwum Eks.

PD: Bardzo sprytne.

T: Żyję z kiepskich powiedzonek.

PD: Malujesz graffiti?

T: Piszę hasła reklamowe dla frisbee.

Moje palce śmigają po klawiaturze. Przypomina to sytuację, kiedy ktoś się wam spodoba od pierwszego „cześć” i przegadujecie resztę nocy. Zaczynam się zastanawiać, jak wygląda Pierre Dubois. Czy nie kłamie na temat byłej dziewczyny. Albo na inne tematy. Powoli to do mnie dociera. To jest sieć. Można mówić, co się chce. Tak też robię.

T: Jak wyglądasz, ile masz lat, naprawdę jesteś sam, jesteś hetero? PD: Westchnienie.

T: No, dawaj. Jeśli mamy dalej ze sobą rozmawiać...

PD: Jaki ser najbardziej lubisz, grasz w tenisa stołowego, czy twoje jajniki wciąż są czynne?

T: Pierre, jestem zaszokowana.

PD: No dobra. Czym się tak naprawdę martwisz?

T: Nigdy tego nie robiłam. Rozmawiam z tobą, a ty możesz być każdym.

PD: *Je suis Pierre Dubois. Je suis* wolnym białym internautą, szukającym wolnej białej internautki.

T: Mogę być szczerą?

PD: A od czego mamy *l' Internet*?

T: Nie mogę opędzić się od myśli, że jesteś gruby, masz czterdzieści lat i nosisz brodę.

PD: Zapomniałaś o brzydkim zapachu z ust.

T: No i?

PD: Mam czterdzieścioro siedmioro dzieci i długi hazardowe.

T: W Australii mamy takie określenie - napalony kangur.

PD: Mów dalej.

T: Jesteś napalonym kangurem?

PD: Anglikaninem, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć.

T: Jesteś dziwakiem? PD: Że co?

T: Nosisz skarpetki do sandałów?

PD: Tylko gdy uprawiam seks : -)

I tak to się ciągnie. Pytania i odpowiedzi. Mam wrażenie, jakbyśmy grali w tenisa - odbijamy piłeczkę. A przede wszystkim czuję się jak wędkarz, który złowił niezłą sztukę za pierwszym podejściem. Nie jakiegoś kielbka, lecz porządną rybę. A najlepsze, że dokonałam tego sama. Bez pomocy Billa Specy.

Przez jakiś czas piszemy jeszcze do siebie takie przyjacielskie głupoty. Kręcę się na krześle, aż czuję, że zupełnie zdrętwiała mi prawa noga. A z nią w odrętwienie popadł cały świat - zasnął. Zerkam w okno i widzę, że w budynku naprzeciwko tylko w dwóch oknach pali się światło, zamiast w ośmiu, dziewięciu jak zwykle.

PD: Przykro mi cię opuszczać, kiedy rozmowa robi się taka ciekawa.

T: Ale musisz.

PD: Skończyła się moja przerwa na lunch, Madame. Właściwie to skończyła się godzinę temu.

T: Znam to uczucie. Czym się zajmujesz?

PD: *C'est un mystery, Madame.*

T: Poczekaj, muszę sprawdzić, która godzina.

Wpadam do sypialni i łapię budzik. Jest pierwsza w nocy. Rozmawiam z Pierre'em Dubois - nie mogę go nazywać tak jak chłopca z cebulą z książki do francuskiego - przez godzinę.

T: Jest pierwsza w nocy. PD: *Merda!*

T: Muszę kończyć. Jutro muszę iść do pracy

PD: Nie zdradzę twojego sekretu. Wróc znowu jutro wieczorem.

T: Tak?

PD: W tym samym miejscu, o tej samej godzinie. Chcesz otworzyć prywatny kanał?

T: ?????

PD: Kanał dla *deux*, Madame Technopierdoło. Nikt inny nie będzie mógł tu wejść. Zaloguj się o 7 wieczorem twojego czasu.

T: W porządku, Pierre. Mogę cię nazywać jakoś inaczej?

PD: Naprawdę nazywam się Vincent Scrotum*.

T: Zwaliliś mnie z nóg.

PD: No dobra. Dobrej nocy dla Technopierdoły od Pierre'a Dubois. Miłych snów.

T: Dobranoc.

Z jakiegoś powodu, sama nie wiem czemu, stawiam na końcu x**. Tylko małą literkę x, ale jednak. Może Szalony Miesiąc zrobił mi z mózgu budyń.

Formularz zgłoszeniowy, który Jodie wypełniła w sprawie swojego filmu dokumentalnego *Zakochane kobiety* (teraz nosi taki tytuł), to było coś niezapomniane. „Kto pójdzie w ślady genialnej nowozelandzkiej reżyserki, Jane Campion, jeśli nie my?” Poważnie tak napisały. Teraz jednak, kiedy siedzę razem z dziewczynami w ich ulubionej knajpie wegetariańskiej, gdzie podają kotlety sojowe, które wyglądają jak zasuszone myszy, czuję, że jestem z tej znajomości dumna.

- Pamiętasz nasz dokum, Vic?

- Jakbym mogła zapomnieć? Didi zaczyna chichotać.

- Robimy go! - Jodie stara się powiedzieć to głosem pozbawionym emocji.

„Mała litera x oznacza pocałunek.

Nie daje jednak rady, uśmiecha się od ucha do ucha (a w każdym ma po jednym srebrnym indyjskim kolczyku). Wtedy do mnie dociera - to pierwsza od jakichś dwóch lat porządna praca dla Didi. Nic dziwnego, że tak się cieszy.

- Ja też tam będę? - Pewnie!

W końcu jestem Królową Nieudanych Miłości. Dobrze o tym wiecie, nie? Jeśli macie zamiar kręcić film o kobiecych doświadczeniach miłosnych, musi się tam pojawić rozmowa z chodzącą katastrofą uczuciową.

- Tak naprawdę - mówi poważnie Jodie, wysuwając do przodu brodę - to mogłoby być coś naprawdę dobrego.

- A w ramach podziękowania za pomoc - dorzuca Didi - pomyślałyśmy, że zabierzemy cię na wielki, tłusty i krwisty stek.

Nie mam wątpliwości, że pracowały nad tym żartem przynajmniej dwa dni, bo teraz zwijają się i chichoczą jak dwie pięcioletnie dziewczynki, które właśnie zsiusiały się na pluszowy puf w bibliotece Hilary i nikt tego nie zauważył.

- Super, czerwone mięso ociekające krwią. Dzięki. Macie ochotę popatrzeć?

- Nie dostałybyśmy tych pieniędzy bez ciebie - mówi Jodie.

- Też coś. Drobiazg.

- Mimo wszystko chciałybyśmy nakręcić z tobą rozmowę. - Didi zagryza usta.

- Ale bez rozbierania.

- Wiesz, że nie o to chodzi - zaczyna Jodie tonem z Koła Kobiet, który znaczy „porozmawiajmy o tym poważnie”.

- A o co w takim razie?

- O miłość. Seks. Bycie kobietą. Co to wszystko dla ciebie znaczy. Tego typu rzeczy.

- Czym jest miłość? - zadumała się Didi.

Patrzy tęsknie w okno w sposób charakterystyczny dla twórczej, bezrobotnej lalkarki z teatru ulicznego. Którą rzeczywiście jest.

- Trzydziestoletnie doświadczenie - rzucam. - Jestem ekspertem. Możecie zrobić ze mną wywiad równie dobrze wtedy, gdy żyję w halibucie.

- W czym?

- W halibucie. W celibacie. Teraz wszyscy młodzi ludzie tak mówią. To najnowsze powiedzonko lat dziewięćdziesiątych. Kylie mi to powiedziała.

Nie mam wątpliwości, że ta dwójka nigdy mi nie postawi steku, ale jakaś część mnie cieszy się z udziału w filmie. Nie, żeby miały ze mnie jakiś pożytek. Ha!

Chyba powinnam im powiedzieć o Pierze Dubois, ale tego nie robię. Sama nie wiem czemu. Nie chodzi o zakłopotanie, bo jestem ponad to. To coś innego. Może nie chcę im mówić, dopóki to nie stanie się bardziej realne? Nieważne. Niech wszystko samo się ułoży.

Kiedy wracam do pracy i załatwiam resztę spraw, łapię się na tym, że trochę mnie nosi. To chyba niewyraźne, nieśmiałe podniecenie.

- Wychodzisz gdzieś dzisiaj? - pyta Kylie, gdy mnie dostrzega.

- Oczywiście, że nie.

Potrzebowałam kilku minut i kilku łyków cappuccino, zanim zorientowałam się w sytuacji. To nie to samo uczucie, które pojawiło się, gdy widziałam przechodzącego koło naszych boksów Liama, faceta z bakami, w brązowej zamszowej marynarce i o rewelacyjnej prezencji. To nie to samo co z Danem i szaleństwem w klubowym autobusie. Zdecydowanie jednak to... Sama nie wiem. Naprawdę mam więcej energii? W końcu mówimy o komputerze.

Nie mam pojęcia, kim do diabła jest ten Pierre Dubois, ile ma lat, czy jest żonaty albo czy nie jest zbrojcem... Na miłość boską, on mieszka na drugim końcu świata. Jednak mimo to... Siódma godzina zaprzęta moje myśli. O piątej, gdy wciąż mam przed nosem broszurę emerytalną, mam wrażenie, że od siódmej dzielą mnie jeszcze całe wieki. Może w żalonym, dziewczęcym świecie komputerów, w którym zamieszkałam, IRC dla dwojga liczy się za randkę. Może to właśnie to uczucie.

- Kylie?

- Tak? - słyszę głos zza zasłony z futrzastymi, zielonymi stworkami.

- Gdybyś była fantastycznym, wolnym Anglikiem w Paryżu, szukałabyś kobiety przez Internet?

- Chyba żartujesz.

- Pytam poważnie.

- W życiu. To znaczy... - W tym momencie robi minę.

- Aha. W porządku.

- Nawet o tym nie myśl - dodaje, błędząc myślami już gdzie indziej. Kartkuje folder Slim n' Smile. - No bo z jakiej racji? Choć może on nie mówi po francusku. Może dlatego jest taki zdesperowany. Nie ma z kim pogadać.

- Załóżmy, że mówi po francusku. - Cóż...

Wzrusza ramionami i tak kończy rozmowę. Więc to tak. Guru Kylie przemówiła. Dlaczego jednak, kiedy o szóstej wracam do domu pociągiem, przypominają mi się całe fragmenty rozmowy z PD? „Jaki ser najbardziej lubisz, grasz w tenisa stołowego?” No i „miłych snów”.

To miłe. Wiem, zaczynam głupieć. W tej chwili jednak to bardzo miłe uczucie.

Gdy docieram do domu, zerkam na kawałek czekolady wbity w dywan, pod biurko na ceglach i postanawiam odkurzyć. Wprawdzie Bill wszystko będzie słyszał, ale przynajmniej zajmą sobie czas między za kwadrans siódma i siódma. Gdy zbliża się pora zalogowania, robię coś jeszcze bardziej niezwykłego. Prasuję bieliznę. Ostatnim razem robiłam to za czasów Phillipa Zebruskiego.

Za trzy siódma. Co jeszcze mogę zrobić? Umyć okna? Nałożyć maseczkę z drogerii? Komputer stoi tam gdzie zwykle, z tą swoją wspaniałą, szarą, pustą twarzą. Wygląda tak podniecająco jak lada chłodnicza. Zabawne, ale niemal słyszę, jak przyspiesza mi oddech, kiedy siadam przed nim. No i proszę. Jest tylko jeden problem. Nie mogę się zalogować. Modem wydaje z siebie te same co zwykle dziwne dźwięki, zapaliły się trzy światełka, a potem... nic.

Próbuję raz za razem. Klik, bip, bip, zerwane połączenie. Klik, bip, bip, zerwane połączenie. Niech diabli wezmą tani dostęp do Internetu! Za cenę każdego zaoszczędzonego dolara człowiek przeżywa prawdziwe męki. To nie surfowanie po sieci, tylko grzęznięcie w ruchomych piaskach.

Wreszcie o wpół do ósmej poddaję się i dzwonię, żeby złożyć skargę. Zajęte. Beznadziejna sytuacja. Robię więc coś jeszcze bardziej konstruktywnego. Dzwonię do Dana.

Dlaczego do Dana? Nie wiem. Może to z powodu dzisiejszego snu, w którym pływaliśmy przytuleni w basenie w północnym Sydney? Gdybym chciała się powstrzymać, musiałabym zmiażdżyć swoją prawą dłoń czymś ciężkim. Tymczasem co tu mamy? Telefon.

Dzwonię więc do Dana, tym samym zamieniając się w jedną z tych dziewczyn, o których inne kobiety piszą do różnych czasopism z prośbą o poradę. Dobrze to znacie: Kiedy

jego była dziewczyna nie pozwala mu odejść. Tylko że to nie Dan podnosi słuchawkę. To Eryka.

- Słucham?

Ma taki lekko napuszony głos, jakby władnie oderwano ją od Dostojewskiego, ale mimo to zachowuje spokój. Nie ma klasycznego australijskiego akcentu, lecz coś innego. Jej głos jest ciepły. Miękki. Bardzo różny od mojego. Chce mi się wyć.

- Zastałam może Dana?

- A kto mówi?

- Och, wiesz kto. - Mój głos zanika, więźnie mi w gardle; wydaję z siebie dźwięki jak wymiotujący kot.

- Nieważne - mówię jednym tchem.

Odkładam słuchawkę i czekam, aż serce przestanie mi tak walić.

O Boże. Dan. Dan. Mogę sobie teraz popłakać? Nie potrafię. To pewnie z powodu szoku, jakiego doznałam, słysząc głos Eriki i wyobrażając sobie, jak kręci się po jego domu. Kończę więc prasować bieliznę, dopasowuję ramiączka wszystkich staników, łącznie z superstanikiem, włączam telewizor, wyłączam, znowu próbuję uruchomić komputer, poddaję się, biorę prysznic i idę spać.

Ostatnim razem to było po prostu łóżko. Miejsce, gdzie można się zwinąć w kłębek. Teraz jednak znowu zamieniło się w Nawiedzone Łoże. Mebel, na którym uprawiałam miłość z mężczyzną, który teraz sypia z Eryką, Wytatuowaną Prawniczką.

No dobra. Przystanek Bezsenność, wsiadamy. I jeśli tajemniczy Pierre Dubois i ja jeszcze się kiedyś spotkamy w cyberprzestrzeni - a pewnie do tego nie dojdzie, bo raczej sobie darował znajomość ze mną - chyba będę miała mu coś do powiedzenia. Daniel cholerny Hawker. Choć upłynęło tyle czasu, wciąż Daniel Hawker...

Około drugiej w nocy poddaję się. Różowa bańka nie działa. Oddychanie na zmianę przez jedno, a potem przez drugie nozdrze - metoda Jodie - też nie skutkuje: albo się denerwuję, albo zaczynam się dusić. Wyobrażanie sobie, że leżę na dzikiej plaży jakiejś pięknej wyspy też nie daje efektów. Za każdym razem, gdy widzę piasek i fale, pojawia się zdzira w bikini z tatuażem na ramieniu.

Może jednak powinnam umyć okna? Cicho i w skupieniu... Na pewno delikatny odgłos wycierania nie obudzi całej ulicy. Choć może... Nie wiem. Może jeszcze raz spróbować włączyć się do sieci? Tylko, żeby sprawdzić? Wstaję w koszuli nocnej w króliczki i siadam na chwiejnym krzeselku. I spadam z niego.

Bip, bip, pisk i cisza. Modem rozbłyskuje bajkowymi zielonymi światełkami niczym

choinka i wreszcie mi się udaje. Znajduję nabazgrane pospiesznie instrukcje Billa i robię wszystko, jak trzeba, po kolei. Zrób to, zrób tamto, tak, tak. Potem dociera do mnie, że powinnam opuścić żaluzje. Po tej całej historii z Danem mam wystarczająco zaszarganą opinię na tej ulicy, żeby na dodatek sąsiedzi widzieli, jak bawię się Internetem o drugiej w nocy.

Wiem, że Pierre Dubois dał sobie spokój już kilka godzin temu. Warto jednak spróbować. Lepsze to niż korzystanie znowu ze strony Przyjaciół dla Każdego. Zdecydowanie lepsze od Dobrego Przepisu na Kawalera, czy jak to się tam nazywało.

Jak zwykle cały świat wydaje się nie spać. Działa nawet więcej kanałów IRC niż zeszłego wieczoru, kiedy był u mnie Bill. Świat chyba budzi się, gdy Australia idzie spać. Nie ma jednak niczego, co nazywałoby się Samotni Wszystkich Krajów Łączcie Się albo Archiwum Eks. Pusto.

Nadzieja, a właściwie cień nadziei, sprawia, że uruchamiam wyszukiwarkę. Skoro posługiwał się pseudonimem Pierre Dubois, rozmawiając ze mną, to może używa go także w innych grupach... Jeśli więc poszukam...

Wpisuję to imię i nazwisko. W ten sposób znajduję kilka francuskich piekarni, studentów garncarstwa z Grenoble i inne typowe dla Internetu dziwactwa. Nie ma jednak mojego mężczyzny z Paryża.

Może wpadł na inny kanał? Może gdybym wybrała właściwy, znowu bym go znalazła. Szanse na to są chyba jak pięćdziesiąt do jednego, ale nie mogę spać i to najprędzej znudzi mnie tak, że zsunę się z krzesła na ślicznie odkurzony dywan i przynajmniej złapię kilka godzin snu.

Ekran jest tak jasny, że prawie czuję, jak kurczą mi się oczy. Mimo to przeglądam raz jeszcze, omijając kanały dla starzejących się punków, samotnych rodziców, mistrzów karate i ludzi, którzy lubią to robić z małymi zwierzątkami. I wtedy to widzę. Samotni Wszystkich Krajów Łączcie Się. Jest tam.

Chyba jedyna praktyczna rzecz, której nauczyłam się w szkole średniej, to pisanie na maszynie. Teraz korzystam z tej umiejętności. Tak strasznie spieszę się, aby się zalogować, że chyba zdobyłabym złoty medal przyznawany w dziesiątej klasie. On tam jest!

PD; Bonjour, Madame.

T: PD! Przepraszam, nie mogłam się połączyć.

PD: Wiedziałem.

T: Nie sądziłam, że zaczekasz: -)

PD: A ja myślałem, że ustaliliśmy, że nie używamy buziek: -)

T: Przepraszam: -)

PD: Masz szczęście, że mnie złapałaś. Po prostu tu zajrzałem, tak na wszelki wypadek.

T: Przepraszam, przepraszam.

PD: Przestań mnie przepraszać. Jak się masz?

T: Skatowana.

PD: I???

T: Naprawdę chcesz wiedzieć?

PD: Je suis Pierre Dubois, zawsze chcę wiedzieć.

Po raz pierwszy zaczynam rozumieć, co ludzi tu tak podnieca. Wolność w Internecie. Pewnie gdybym zastanowiła się nad tym dłużej - nad opowiadaniem o moim życiu osobistym komuś, o kim nic nie wiem i kto jest teraz na drugiej półkuli - to chyba bym się zaniepokoiła. Tyle że się nie zastanawiam. Jest trochę prawdy w tym, że to prawdziwa wolność móc pisać dosłownie wszystko dowolnej osobie. A co ważniejsze, jest coś w samym PD. Zaufanie od pierwszej chwili? Nie wiem. Tak czy inaczej, on jest teraz w Paryżu. Myśli, że nazywam się Technopierdoła.

I z tego, co wie, równie dobrze mogę być starą bezzębną wiedźmą z torbą na zakupy na kółkach i wąsami.

T: Dzwoniłam do swojego byłego.

PD: To jesteś odważniejsza ode mnie.

*T: Odebrała *ona*.*

PD: I?

T: Nienawidzę jej.

PD: Wymień pięć rzeczy, których w niej najbardziej nie lubisz.

T: Głos, tatuaż, uważa, że pod względem ideologicznym jest czysta jak łza, och, sama nie wiem.

PD: Proszę o więcej informacji, Technopierdoło.

T: Mój były chłopak jest prawnikiem. Ona też jest prawnikiem.

PD: Wystarczy. Zajmuje się tylko sprawami seryjnych morderco z marginesu.

T: No właśnie. Podniosła słuchawkę.

PD: Och.

T: A ja się zblażniłam.

PD: Macie tam w Australii dość „staroświeckie wyrażenia. Przy kro mi: - (Chyba wiem, jakie to uczucie.*

T: Mogę jej nienawidzić?

PD: Przez mniej więcej rok.

T: Powinno mi już było przejść uczucie do niego.

PD: Kto tak mówi?

T: Miałam Przejściowego Mężczyznę.

PD: Co miałaś?

T: Nigdy tego nie robiłaś? Nie miałaś Przejściowej Kobiety?

PD: Jeśli jakąś spotkam, dam ci znać.

T: Może to tylko ja tak robię.

PD: Co było nie tak z Przejściowym Mężczyzną?

T: Rozplakałam się, kiedy się kochaliśmy, a on poszedł na basen.

Starannie zawiązuje zużyte prezerwatywy.

PD: Nie śmiejesz się z tego na serio, prawda?

T: Jak na to wpadłeś?

To śmieszne, ale zaczynani płakać. Zupełnie obcy mi człowiek sprawił, że się popłakałam. To chyba jego współczucie tak działa. Ekran komputera jest taki zimny. To takie dziwne uczucie patrzeć, jak na dole strony rozbłyskują słowa od kogoś z daleka, z eteru. Czują się zmęczona, a Dan jest w łóżku z nią, chociaż należy do mnie. Mam dość i jeśli naprawdę musicie wiedzieć, poddaję się. Rzeczywiście się poddaję. Czuję jak łzy spływają mi po policzkach.

PD: Dobrze się czujesz? Martwię się o ciebie, Technopierdoło. T: Tak. Nie. Tutaj dochodzi wpół do trzeciej nad ranem. PD: Znam to uczucie. Nie możesz spać?

T: Nie.

PD: Może powinniśmy zmienić temat?

T: Dobra.

PD: Co powiesz na hieny? Wiesz, że u samic tego gatunku rozwijają się męskie genitalia?

T: Nie, porozmawiajmy o twoim życiu uczuciowym.

PD: Jestem Greta Garbo.

T:???

PD: Tajemnica skrywa zagadkę, która dotyczy paczki frytek z rybą wewnątrz której ukryto wielką mroczną rzecz.

T: Ja ci opowiedziałam o sobie, teraz twoja kolej.

PD: Ona chciała więcej przestrzeni.

T: Nie cierpię, gdy tak mówią

PD: Powiedziałem jej, żeby sobie znalazła astronautę.

T: *Nie, nie zrobiłeś tego. Płakałeś, jestem pewna, że płakałeś.*

PD: *Chcesz, żebym przyznał ci rację.*

T: *Możesz mi powiedzieć.*

PD: *Nie, nie płakałem.*

T: *Powinieneś. Lepiej byś się poczuł.*

PD: *Ty płakałaś i co, lepiej?*

T: *Może to kolejna teoria do dupy.*

PD: *Tak.*

T: *W każdym razie, Pierre...*

PD: *Masz dla mnie jakieś w każdym razie?*

T: *W każdym razie ty przynajmniej nie wyrzuciłaś swoich pigulek do kosza.*

PD: *A ty to zrobiłaś?*

T: *Właściwie mogę się do tego przyznać.*

PD: *Dlaczego?*

T: *Chyba ci powiem. Prawdopodobnie 'zwariowałam*.*

PD: *Nie : -) Nie zwariowałaś. Czy to ci pomogło? Dlaczego je wyrzuciłaś?*

T: *Czy to nie jest oczywiste? PD: Wybacz.*

T: *Jeśli będziesz kiedyś w przyszłości chciał zniszczyć jakiś związek, mogę ci udzielić kilku lekcji.*

PD: *Nie masz dla siebie litości, ma chśrie.*

T: *Co to znaczy? Moja kochana?*

PD: *Tak. Moja kochana. Niczego cię nie nauczyli na lekcjach francuskiego?*

T: *Jestem zmęczona.*

PD: *Musisz się przespać.*

T: *Tak.*

PD: *Musimy jeszcze kiedyś pogadać.*

T: *Tak. Jutro? A jeśli znowu nie będę mogła się połączyć?*

PD: *Jaki masz adres emailowy?*

T: shep@mpx.com.au. A ty?

PD: Za często się zmienia.

T: Dlaczego?

PD: Praca.

T: A, to tajemnicze zajęcie : -)

PD: Napiszę do ciebie emaila pierwszy, dobrze?

T: W porządku.

PD: Śpij smacznie. Mogę ci coś powiedzieć?

T: Tak.

PD: Jest taka stara, bardzo stara piosenka Jamesa Taylora.

T: Moja matka uwielbia Jamesa Taylora.

PD: Znasz ten kawałek?

T: Tak. Dzięki. Chyba tak.

PD: Dobranoc. Miłych snów.

T: Cześć.

Jakie to staromodne. James Taylor. *You 've GotaFriend**. [ang. masz przyjaciela]. Kiedy moja matka puszczała ją na kolejnym proszonym obiedzie, natychmiast zabierałyśmy tę płytę i włączałyśmy temat z *Shaft* (spójrzmy prawdzie oczy - to są jej jedyne płyty). Tej nocy jednak cieszę się, że pamiętam słowa tej piosenki, chociaż gdzieś tam muszę zanucić la, la, la. Jutro znowu sprawdzę moją skrzynkę pocztową.

W pracy udało mi się poświęcić zaledwie godzinę broszurze emerytalnej, kiedy Bobbi wyciągnęła mnie na rozmowę. Właściwie można ją wyczuć zanim się pojawi - zapach Chanel, patrzysz w dół i widzisz czarne lakierki, ona już... tu jest. Jak jakaś postać z greckiej mitologii. Albo z *Herkulesa*. Po prostu zjawia się, a wy czujecie, że właśnie spotkałyście przeznaczenie.

- Cześć, Victorio.

- O, cześć.

Spójrzmy prawdzie w oczy, Kylie nie może mnie wiecznie usprawiedliwiać mówiąc, że prawie kaszlałam krwią. Dzisiaj przyszedłam do pracy półtorej godziny później, no i spóźniam się z reklamą do czasopisma, która miała być gotowa na zeszły wtorek. Idę korytarzem za Bobbi, mijam niewolników przy kserokopiarkach segregujących stosy naszych śmierdzących papierzysk i wchodzę do jej biura.

- No dobra.

- Bobbi, czy ktoś ci powiedział, że uśmiechasz się jak Sally Field szybująca ponad dachami w *The Flying Nun*?

Oczywiście nie mówię tego.

- No dobra... Przygryzam usta.

- Chyba wiem. - Tak.

- Przepraszam.

Kiwa głową kilka razy - zbyt długo - jak, nie przymierzając, pani Brady.

- Wiesz, że mamy w tej agencji trzystopniowy system ostrzegania?

- Tak.

- Dobrze, w takim razie otrzymujesz pierwsze ostrzeżenie. Prywatnie jednak...

Och nie, tylko nie prywatna rozmowa.

- Naprawdę rozumiem, przez co przechodzisz - ciągnie Bobbi, zmieniając się nagle w Murphy Brown. - Zdajemy sobie sprawę, że nie układa ci się w życiu osobistym i bierzemy to pod uwagę, zwłaszcza że chodzi o kogoś, kto wniósł do pracy tyle kreatywności.

Bardzo dziękuję. Kreatywność równoznaczna z neurotycznością. W każdym razie jestem ocalona. Nawet jeśli Bobbi kompletnie się myli i ludzie od kserokopiarek są bardziej histeryczni i przeżyli więcej dramatycznych sytuacji, niż ja zjadłam czekolady Toblerone.

- Tak więc to tylko kwestia pierwszego ostrzeżenia. Muszę jednak widzieć twój entuzjizm, Victorio. Możemy ci pomóc przejść przez ten trudny okres, ale bardzo ważna jest

przy tym wiara i zaangażowanie.

- Jestem zadowolona z tej pracy.

- Zadowolona?

Cholera. Padło z moich ust słowo „zadowolona” w tej samej chwili, gdy w moich oczach pojawił się wyraz przerażenia z *Krzyku* Edwarda Muncha.

- To dobra praca, nie chcę jej stracić - wyrzucam z siebie jednym tchem.

- To dobrze. My też nie chcielibyśmy cię stracić, wiesz o tym.

- Nie chodzi o Slim n' Smile, prawda? - Nie.

To niezwykle. Na palcach jednej ręki mogę policzyć ludzi, którzy wiedzą o moim epizodzie anoreksji, a ona właśnie do nich należy. Łatwo można się domyślić, kim są pozostałe osoby - rodzice, Hilary, Dan, Anthony Pieprzony Płetwonurek. Jednak świadomość, że ktoś o imieniu Bobbi też o tym wie, sprawia, że dziwnie się czuję. Z drugiej strony może właśnie dlatego jest dla mnie taka miła. Może ją zaintrygowałam. Hmm... Zaintrygowałam?

- Muszę mieć pewność co do twojej postawy. Cholera, nie jest mną zafascynowana.

- Podporządkuję się. - Tak.

Wychodzę. Dałabym wszystko za potrójną piankę na cappuccino, które już wypłam. Ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to wrócić do swojego boksu obok Kylie i klepać jeszcze większe nonsensy o emeryturze („Czy w wieku sześćdziesięciu pięciu lat chcesz jeść karmę dla psów i smarować się maścią tygrysią, żeby się rozgrzać, bo wszystkie pieniądze wydałeś na fantastyczne buty?”). A jednak. Zmiana postawy. Tak. Pierwsze ostrzeżenie. Kiedy jest się Victorią od Kompletnie Nieudanych Cholernych Związków, nie można sobie pozwolić na bezrobocie.

Tę rozmowę damy do części, którą chcemy zatytułować *Miłość i wesela* - mówi Jodie.

Siedzimy u niej w kuchni, bo to najciemniejsze pomieszczenie w całym domu. W oknach dziewczyny zawiesiły sarongi z batiku. i Natalie, która siedzi obok Hilary na kanapie, trzeba już było kilka razy uciszać odkąd zaczęto kręcić film, więc teraz zaczyna się wiercić. Didi usiadła po turecku na stole i wygląda jak jeden z tych irlandzkich skrzatów, które ludzie wieszają przy wstecznych lusterkach. Założyła kocie okulary w stylu lat pięćdziesiątych, dzięki czemu dla odmiany coś widzi. Jedna z kobiet, z którą Jodie już rozmawiała, leży na podłodze przed projektorem i rozczuła się nad każdym swoim słowem, podczas gdy my jej się przyglądamy. Jodie dobrała dziwnych rozmówców. Może jednak *Zakochane kobiety* to jeden z tych filmów, które zawsze przyciąga ją dziwną i nieliczną widownię. Może dobrze wybrała. Idealnie.

Jodie przy projektorze po prostu nie można nie podziwiać. Napisała podanie, sama wszystko filmowała, zadawała pytania, a teraz nawet zrobiła łódeczki z sera, żeby nakarmić swoją widownię.

- Co dla ciebie znaczył dzień twojego ślubu? - słyszymy głos Jodie. Nie zgadza się z obrazem.

- Śmierć - odpowiada przestraszona kobieta. W tym wypadku także wizja rozmija się z fonią.

Łapię się na tym, że zastanawiam się, jak oceniliby to Pierre Dubois. Wyobrażam sobie, że o tym filmie moglibyśmy długo rozmawiać, plotąc trzy po trzy. O ile to coś, co robię w sieci, można nazwać rozmową. A, tak. Jeszcze nikomu o tym nie wspominałam.

Dobiegający spoza kadru głos Jodie brzmi bardzo czysto, poważnie i nieco drży.

- Czy to zbieg okoliczności, że kobieta umiera w chwili, gdy wychodzi za mąż?

Tu pojawia się kilka przypadkowych scen z nieciekawie wyglądającymi pracownikami domu pogrzebowego, którzy idą na lunch. Nikt nic nie mówi. Wtedy - a jakżeby inaczej - ja się odzywam.

- LUBIĘ WESELA - mówię głośno.

I co wtedy robi Jodie? Zatrzymuje projektor, zapala wszystkie światła i pędzi do mnie z kamerą, podczas gdy Didi wyciąga w moją stronę mikrofon. I to wszystko.

- Więc mówisz, że lubisz wesela, Victorio. Mogłabyś nam to wyjaśnić?

Daj mi spokój. Serio.

- Po prostu lubię. Coś znaczą.

- Nawet jeśli jedno małżeństwo na trzy kończy się rozwodem?

- Tak. Mam w nosie tę statystykę.

- I mimo że twoi rodzice się rozwiedli?

- O, to zbyt osobiste.

Trwa to jakiś czas, aż kończę w hollywoodzkim stylu, mówiąc:

- Wystarczy.

I tak wiem, że wykorzystają najwyżej jedno zdanie. Występowałam już w filmach dokumentalnych Jodie.

Wreszcie wracam do domu autobusem (po niekończącym się oczekiwaniu na przystanku). Zaraz po wejściu włączam modem i sprawdzam pocztę, jeszcze zanim wstawię wodę i sprawdzę automatyczną sekretarkę. Jest list od Pierre'a. Mam wrażenie, jakby to była Gwiazdka. O Boże! Czym stało się moje życie?

Od: pierre@netshop.com.fr Do: shep@mpx.com.au Odp. : Broszura emerytalna

To musi być odpowiedź na list, który wysłałam po rozmowie z Bobbi.

Najdroższa Technopierdolo!

Zastanawiałem się nad broszurą emerytalną którą piszesz (ktoś w końcu musi). Rozumiem, dlaczego nie chcesz straszyć ludzi, że na starość będą musieli jeść psią karmę z tostami. Jednak ten drugi pomysł jest jeszcze gorszy. Obiecywanie młodym ludziom wakacji z golfem na emeryturze w nagrodę za to, że dobrze zainwestowali pieniądze w wieku dwudziestu pięciu lat tylko ich przygnębi i przerazi. Bardziej nawet od wizji psiej karmy. Psie żarcie albo luźne spodnie w szkocką kratę i dwadzieścia minut przymierzania się, żeby uderzyć piłeczkę? PS Ta uwaga nic nie kosztuje. PPS Czy już otrząsnęłaś się po rozmowie z Wytatuowaną Prawniczką z piekła rodem? Pierre.

W odpowiedzi wysłałam mu następującą wiadomość:

Od: shep@mpx.com.au

Do: pierre@netshop.com.fr

Odp. : Program Rekonwalescencji po rozmowie z Wytatuowaną Prawniczką z piekła rodem Drogi Pierre!

Dziękuję ci za uwagi na temat mojej broszury emerytalnej. Masz rację, obraz

starszych ludzi grających w golfa tylko przestraszy i zirytuje dwudziestopięciolatków, których pieniądze chcą zgarnąć moi pracodawcy. A teraz rzecz najważniejsza: moje uczucia względem Eriki, Wytatuowanej Prawniczki.

W tym miejscu się zatrzymuję. Muszę. Moje uczucia względem Erjki. Czy naprawdę oczekuję, że jakiś facet (nie znam nawet jego prawdziwego imienia) rzeczywiście to zrozumie? Poprosił, żebym o tym napisała, wiem, że jest uprzejmy, to mi dobrze zrobi. Ale opisanie tego, co teraz czuję, potrwa cały dzień. To nie będzie krótki email, tylko epistoła. Z drugiej strony, jeśli on gdzieś tam teraz jest i właśnie patrzy na ekran, to mogłabym spróbować go jeszcze złapać i zapytać o pozwolenie, nim zacznę rzucać mięsem. Piszę więc:

Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli to zajmie kilka stron? Trzymaj się, T.

Napisanie odpowiedzi zabiera mu mniej więcej tyle, ile mnie wypicie filiżanki herbaty, narysowanie kreski na powiece i poprawienie poduszek na kanapie.

Od: pierre@netshop.com.fr Do: shep@mpx.com.au Odp. : Uwolnij swoją duszę Kochana Technopierdolo!

Napisz tyle, ile chcesz. Twój przyjaciel Pierre.

Zabawne. Gdy kończę, wygląda to raczej na list do Dana niż do Pierre'a. A może to właściwie list do niej. Nie wiem.

Od: shep@mpx.com.au Do: pierre@netshop.com.fr Odp. : Uwolnienie duszy Drogi Pierre!

Bardzo dziękuję za twoją uprzejmą propozycję. Jak wiesz, nie mogę rozmawiać p Danie z moimi przyjaciółkami z poniższych powodów:

A. Są już tym tematem znudzone, a musiały jeszcze wysłuchać opowieści o totalnej klęsce z Mężczyzną Przejściowym (Liamem). Przez te historie mam wrażenie, że wypadłam z chronologicznego porządku związków i powinnam już ochłonąć po zerwaniu z Danem, ble, ble, ble. Co więcej...

B. to wszystko zdarzyło się tak dawno temu, że jedna z moich przyjaciółek (Hilary) w tym czasie stała się lesbijką co oznacza C. że nie mogę - bo jak? - rozmawiać z nią o facetach rzucających kobiety. Ani opowiedzieć jej o fantazji, jak to jedna kobieta zabija drugą bo jest

to niezgodne z duchem Koła Kobiet. (Jestem pewna, że coś podobnego istnieje też w Clichy. Znasz ten klimat: - masują sobie nawzajem stopy, nie używają określeń typu „siostry”, bo są ponad to, i malują na ścianach graffiti przedstawiające kobiety trzymające się za ręce).

W każdym razie, Pierre, mam nie lada kłopot z opowiadaniem o tym wszystkim osobie, którą dopiero co poznałam, i to nie bezpośrednio. Mam jednak wrażenie, jakbym cię znała od lat. Coś w tym stylu. W każdym razie czuję, że mnie rozumiesz : -) (Ha! Buźka!) Dobra, przechodzę do rzeczy. Dwadzieścia powodów, dla których chętnie zobaczyłabym, jak publicznie wieszają Erykę, Wytatuowaną Prawniczkę, na slipkach Dana. (Jeśli chcesz wiedzieć, to mam gdzieś kobiecą solidarność).

1. Na pikniki dla prawników zakładała dżinsowe szorty, mimo że temperatura nie przekracza dwudziestu stopni Celsjusza i inni ludzie (np. ja) zakładają wełniane swetry w renifery. A dlaczego? Bo ma bajeczne nogi i wkurzało ją to, że w sądzie ciągle musi je zakrywać.

2. Śmieje się z każdego żalosego żartu - a nawet żarciku - opowiedzianego przez faceta, w zasadzie kogokolwiek z penisem, kto znajduje się w pobliżu. Kiedy zaś stojąca obok kobieta okazuje się naprawdę zabawna (na przykład ja jak wiesz, Pierre jestem błyskotliwa i potrafię opowiadać anegdoty), Eryka zachowuje kamienną twarz.

3. Dzwoniła ze swojego telefonu komórkowego na komórkę Dana. Dopóki był ze mną uważał to za kretynizm. Teraz jest z nią i to chyba już kretynizmem nie jest.

4. Przedstawiono mnie Eryce 3 (słownie: trzy) razy i nigdy nawet nie skinęła głową na znak, że mnie poznaje. I nigdy nie zapamiętała mojego imienia. Nigdy.

5. Na zdjęciach wygląda zawsze tak samo - roześmiana, z odrzuconą do tyłu głową brzęczy swoimi wielkimi bransoletami i popisuje się tatuażem. Nigdy nie okazuje swoich uczuć, także gdy się śmieje, prawdopodobnie dlatego że:

6. żadnych nie ma, ponieważ kupuje tylko zdrową żywność 7. i najchętniej na lunch zjada cząstkę pomarańczy 8. i nigdy nie miała ochoty na czekoladę, i nie ma pojęcia, dlaczego inne smutne kobiety lubią ją jeść, ponieważ 9. Eryka jest święta.

10. Nie, żebym chciała to podkreślać, ale kiedy zakłada dżinsowe szorty na pikniki dla prawników, zawsze jakieś piętnaście minut spędza pochylona nad przenośną lodówką (rzecz jasna, z wypiętym tyłkiem) w poszukiwaniu wody mineralnej, 11. a pije jej mniej więcej dwa litry dziennie, ale tylko pod warunkiem 12. że jest to woda Evian (francuska, Pierre), niezależnie od tego, że 13. chrzani godzinami o próbach z bronią atomową na Pacyfiku, 14. w kwestii których jest ekspertem, ponieważ 15. prowadzi 'wyjątkowej wagi* sprawy dla Greenpeace, o czym 16. - jakież to zaskakujące - cały świat wie, chociaż ona 17. jest bardzo

„skromna” i „powściągliwa”, przynajmniej według Dana, który uważa, że Eryka 18. jest święta (znowu), a to pozwala jej na 19. owłosione pachy, 20. na które ja w życiu nie mogłabym sobie pozwolić, nawet przez minutę.

Sam widzisz, Pierre, w ogóle mi nie przeszło. Chciałabym mieć to już za sobą i myślałam, że Liam (Przejęciowy Mężczyzna, pamiętasz) mi pomoże. Wystarczyło jednak, żeby ona odebrała telefon i wszystkie moje plany diabli wzięli. Albo raczej nadal mam plan, ale przypomina on kiepski odcinek Dynastii. Tak naprawdę to czuję się jak Joan Collins. Co mam robić?

Czy mogę ci powiedzieć o moich najgorszych obawach? Zjawiam się na tutejszym festiwalu filmowym, na którym pokazują film Jodie i Didi pt. Zakochane kobiety. Dan i Eryka też przyszli - a ona znowu ma na sobie dzinsowe szorty. Ja jestem sama. Oni siedzą tuż przede mną i słuchają jak przez pięć minut opowiadam o weselach. Przytulają się i prawie umierają ze śmiechu. Chyba ci nie wspominałam o tej sprawie z weselami. Przepraszam, PD. Kiedy oglądałam próbny pokaz filmu Jodie, zrobiłam głupią uwagę. Powiedziałam, że właściwie lubię wesela i nie myślę o nich jak o trumnach, trupach, kremacji, rozkładzie i śmierci. Rozumiesz. A one zmusiły mnie, żebym powiedziała o tym do kamery. Teraz mam straszne przeczucie, że Jodie to wykorzysta. Właściwie wiem, że wykorzysta, bo jak na razie jestem jedyną heteroseksualną kobietą, którą zdołała namówić na udział w tym filmie. Co jeszcze mogę ci powiedzieć? Dziwię się, że doczytałaś aż do tego miejsca, Pierre. Mimo wszystko dzięki. Mam nadzieję, że się odezwiesz. Technopierdoła. (Może w 2020 roku zdradzimy sobie nasze prawdziwe imiona. Ha).

Kiedy tylko się rozłączam, dzwoni telefon. Przez jedną szaloną sekundą myślę, że to on. Pierre. Potem dociera do mnie, że pewnie ktoś od godziny próbuje się dodzwonić. To moja matka.

- Za każdym razem kiedy dzwoniłam, słyszałam dziwny dźwięk.
- Przepraszam. To sieć. - Co?
- Internet.
- Och, Internet.

Wiem, że matka natychmiast zmieni temat, i tak właśnie robi. To częste u ludzi, którzy przyswoili sobie zbyt dużo informacji w ciągu swojego czterdziesto - albo sześćdziesięcioletniego życia. Mają mózg zapchany różnymi rzeczami - kryzysem kubańskim, Marilyn Monroe, Beatlesami, lądowaniem na Księżycu, pigułką antykoncepcyjną, Paulina Hanson.

Doszło do tego, że nie dopuszczają już do siebie żadnej innej informacji.

Podejrzewam, że ostatnim przyswojonym przez moją matkę faktem był Johnny Rotten w 1977 roku. Ta kropla przepełniła czarę. Ostatnia dawka wiedzy, jaką mogła przyswoić. Wystarczyła jedna maleńka rzecz, taka jak punk rock i bach - jej mózg zamknął się na amen.

Oczywiście pewne rzeczy ciągle jeszcze przenikają. Na przykład cholerny Ralph Fiennes. Ale nie ma już co się łudzić, że będą to Gianni Versace, tipsy albo Actimel Danone'a. Nie żebym ja o tych rzeczach myślała, ale wiecie, o co mi chodzi.

- Dzwonię w sprawie tego filmu. Filmu twojej przyjaciółki. Jodie. - Tak?

- Zadzwoiła do mnie. Powiedziała, że potrzebuje głosu, dojrzałej kobiety.

- Tylko głosu? - Nie...

- Nie pozwalam ci.

- Dlaczego? Ona sprawiała wrażenie zdesperowanej, Victorio. W przeciwnym wypadku nie zadzwoniłaby do mnie.

- Zabiję ją.

- Przecież to nic złego. Ona mówiła, że też jesteś w tym filmie.

- Mamo, zaufaj mi, to nie tego typu film. - Tylko jakiego?

- Powiem to tak: Shirley MacLaine by w nim nie zagrała. - Och.

Koniec rozmowy. Wiedziałam, że argument z Shirley MacLaine zadziała.

- To bardzo specyficzny film, nie w twoim stylu. - Ach...

Już miałam jej powiedzieć o Hilary i Natalie, żeby mieć pewność, że szalony pomysł Jodie, aby moja matka wzięła udział w filmie, nigdy nie doszedł do skutku. Jednak tej dodatkowej informacji mogę matce chyba oszczędzić. I tak robię.

Może dlatego, że to piątkowy wieczór, samotność wydaje mi się bardziej nieznośna niż zwykle. Słyszę śmiechy dwudziestolatków na ulicy. Jakaś dziewczyna chichocze:

- Norman! Nie! Nie! Norman!

Nie można mieć wątpliwości, że panienka świetnie się bawi, niezależnie od tego, kim lub czym jest Norman. W telewizji nic nie ma. Helena Chettle przebąkiwała coś o zaproszeniu na kolację, ale chyba nic z tego, przynajmniej dziś wieczorem. Carrie, zwariowana pani architekt, która była też znajomą Dana, w tajemniczy sposób zniknęła z mojego życia, a ona była zawsze pewniakiem na piątkowy wieczór. Nawet *Wichrowe wzgórza*, płyta Teenage Fanclub i nerkowce w niczym mi nie pomogą. To piątkowy wieczór. Mam trzydzieści lat. Żyję. Dlaczego gdzieś nie wyjdę?

Gdy przyłapuję się na myśli, że powinnam była być miłsza dla Liama, zaczynam się niepokoić. I chociaż przyrzekałam sobie, że nawet nie spojrzę na komputer, żeby nie sprawiać wrażenia uzależnionej od Internetu dziwaczki z mrocznym sekretem, włączam i patrzę na roztańczone zielone światełka na modemie w taki sam tępy sposób, w jaki starsze panie gapią się na automaty do gry. Takie są fakty - jestem uzależniona. Straciłam resztki godności i nie ma już dla mnie żadnej nadziei.

Jest dla mnie email. Od niego. Bogu dzięki.

Od: pierre@netshop.com.fr

Do: shep@mpx.com.au

Odp. : Kolacja u ciebie (według twojego czasu)

Droga panno Technopierdoło!

*Jeżeli nie masz nic do roboty w piątek wieczorem, to może wybrałabyś się ze mną na kolację? Znam pewne miłe miejsce. Możesz zabrać ze sobą jakieś wino? Jeśli jesteś tam, umówmy się na ósmą wieczór. Najwyższy czas, żebyśmy się lepiej poznali (buźka, buźka).
Pierre.*

Prawdziwy cyberwariat. A tak szczerze - czy do tego sprowadza się teraz moje życie? Nie mogę nawet podnieść słuchawki i przeczytać tego Hilary, bo Hilary wyszła już z Natalie. Nieważne. I tak nic im jeszcze nie powiedziałam. Nikomu nie powiedziałam.

Może powinnam, ale mam przeczucie, że mogłyby mi kazać z tym skończyć. To jest chore. Kompletnie aspołeczne zachowanie. Zresztą... Ha! Kolacja w cyberprzestrzeni. Nie

sądzę. Helena Chettle tak by się nie zachowała. Spójrzcie na nią - szczęśliwa kobieta. Chcę być Heleną Chettle.

Za dziesięć ósma loguję się. Zaglądam na nasz kanał. Ściągam z górnej półki w kuchni potwornie starą butelkę czerwonego wina, wydaję kieliszki i siadam. To głupie. Naprawdę głupie. On już tam jest. Jak by mogło być inaczej.

PD: Cześć. Wcześniej się zjawiłaś.

*T: To lepiej niż się spóźnić. **

PD: Wspaniale wyglądasz.

T: Skąd, do cholery, możesz wiedzieć?

PD: Nie daj się prosić, zagraj w to ze mną.

T: Mam na sobie stary szary szlafrok z bawełny, w którym widać mi sutki. Nie wyglądam wspaniale. Z przodu jest plama z jajka.

PD: W porządku. To tego typu restauracja. Przepraszam, właśnie się zorientowałem, że użyłaś słowa sutki. Daj mi chwilę.

T: PD: Dzięki. T: Będziemy coś jedli? PD: Już coś dla ciebie zamówiłem.

T: Czy mi się tylko wydaje, czy tego wieczoru jesteś mniej ciekawski niż zwykle?

PD: Gdybyśmy naprawdę jedli razem kolację, nie powiedziałabyś tego.

T: Rzeczywiście.

PD: No to zachowuj się.

T: Powiedz mi, szczerze. Czy uważasz, że jestem smutna i zdesperowana?

PD: A ja?

T: Nie wiem i to mnie właśnie martwi. ,,

PD: W porządku. Coś czuję, że to będzie tego typu wieczór.

T: Zdajesz sobie sprawę, że ja tu piję wino?

PD: Dobrze, ja też.

T: Naprawdę?

PD: Beaujolais.

T: Australijskie beczkowe, czerwone.

PD: Lepsze to niż nic. A wracając do pytania - czy jestem smutny i zdesperowany? Nie, nie jestem. Znalazłem się z dala od domu. Przeprowadziłem się w miejsce, gdzie ludzie mówią innym językiem, a moja była dziewczyna potrzebuje tyle przestrzeni, że musi mieszkać w odległości nie mniejszej niż dziesięć kilometrów ode mnie. Tak się stało, że polubiłem IRC i pewnego wieczoru spotkałem bardzo interesującą kobietę. Nikogo takiego nie poznałem przez ostatni rok.

T: Och, zamknij się.

PD: Czy to znaczy, że jestem smutny i zdesperowany?

T: Chciałabym, żebyś mi powiedział, jak się naprawdę nazywasz.

PD: Później, Madame.

*T: To znaczy, że jest jakieś później w tym wszystkim, tak? PD: Cóż, taką *mam* nadzieję.*

To bardzo dziwne pić wino i jednocześnie pisać na komputerze. Patrę na swoje biurko (no dobra, na stary stolik do masażu Jodie) i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że przypomina te dziwaczne stoły rysowników pracujących dla gazet. Znajdź różnice. Jedna rzecz nie pasuje do reszty, wskażcie ją, dzieci. A tak. Wielka butelka wina pośród dyskietek, spinaczy do papieru, ołówków i stosu kartek.

T: Czy kiedykolwiek dowiem się, jak wyglądasz? PD: To aż tak ważne?

T: Tak.

PD: Nie umiem ci opowiedzieć. Na miłość boską jestem mężczyzną.

T: Podkręcone wąsy?

PD: Nie.

T: Kozia bródka?

PD: Nie.

T: Baczki?

PD: Nie?

T: Jaki nos?

PD: Jak u Gerarda Depardieu.

T: Poważnie.

PD: Przeciętny.

T, czy wygląd jest dla ciebie taki ważny?

T: Przestań. Nie mów mi, że ty nie jest ciekawy, jak ja wyglądam.

PD: Piękne wnętrze.

T: Świnia.

Gul, gul, gul. Wino jest wstrętne, ale jestem już w tym stadium zubożenia, kiedy mogę wypić wszystko. Na dole ekranu pełzną słowa, wpadam więc w rytm popijania i przewijania strony. Gul, strona w górę, gul, strona w górę. Sposób, w jaki ze sobą flirtujemy, jest naprawdę jedyny w swoim rodzaju. Jak dwa jelenie którym zaklinowały się rogi. Albo coś w tym guście. Boże, chyba się upiłam.

T: Pierre, ta butelka wina działa bardzo dobrze.

PD: Ciekawe, czy zaczniesz belkotać?

T: Ty naprawdę pijesz?

PD: Tak, to w końcu Paryż. ‘

T: Myślisz, że kiedyś przylecisz do Australii?

PD: A ty przyjedziesz tu kiedyś?

T: Tylko pod warunkiem, że Breakfast Grits wypuszczą frisbee Le Grits de Breakfast.

PD: Może spotkamy się w połowie drogi.

T: Na równiku.

PD: Ten gość z wielkim nosem to ja.

T: A ja będę miała na sobie szlafrok.

PD: Madame, czuję się zakłopotany.

T: Co takiego?

PD: Muszę iść do toalety.

T: Cóż, to cyberrestauracja, więc nie krępuj się i idź do cybertoalety. Albo do prawdziwej. Chyba za dużo wypiliśmy, Pierre.

PD: Wracam za pięć minut.

Pierre znika z ekranu, jakby naprawdę wyszedł z pokoju, co sprawia, że to wszystko wygląda tak... nie wiem... naprawdę? Jakbym naprawdę była z kimś na kolacji? A może to po prostu cholernie dziwne? Nie mam pojęcia.

Jodie i Didi odbyły kiedyś bardzo szczerą rozmowę na temat bratnich dusz. Niedługo po tym, jak zaczęły się spotykać. Didi uważała, że dwoje ludzi łączy niewidzialny srebrny sznur, który przypomina pepowinę. Nawet jeśli dzielą ich setki kilometrów, prędzej czy później ten sznur sprawi, że się spotkają, tak jak zostało im to przeznaczone już w dniu narodzin. Kiedy o tym opowiadała, chyba drapała się po brzuchu. A to sprawia, że sama mam teraz ochotę się podrapać. Niewidzialny srebrny sznur. Tak.

Z Pierre'em jest trochę podobnie. Wiem, że wypiliśmy to wstrętne wino, ale dla mnie ten układ naprawdę jest całkiem sensowny. Nie widzę PD, nie czuję jego zapachu, nie słyszę go i nie mogę go | dotknąć. Nie wiem kim, do cholery, jest i nie wiem, gdzie pracuje. Ciągnie jednak nas ku sobie jakiś sznur. Coś, co Jodie nazywa I (zawsze wielką literą) Połączeniem. Naprawdę go znam. Ledwie go znam, ale go znam. Więc? Zdrówko. Czyżby wróżka Cara rzeczywiście miała rację? W czasie, gdy Pierre jest w toalecie, fantazjuję na temat naszego spotkania w ITRW (w języku komputerowych odludków znaczy to In The Real World [w

prawdziwym świetle]; wstyd powiedzieć, ale nauczyłam się tego wyrażenia dopiero dwa tygodnie temu). Może... Może kiedyś...

Gapię się na monitor i wtedy on wraca.

PD: Dzięki, że zaczekałaś.

T: Mam nadzieję, że umyłaś ręce.

PD: Nieważne, zapomniałem. Oto nasze pierwsze danie. Gotowany łosoś, szparagi i pommes frites.

T: Dziękuję. Jeśli będziesz opowiadał o takich rzeczach, to naprawdę będę musiała wstać i pójść po coś do jedzenia.

PD: To dobra restauracja.

T: Bardzo dyskretna.

PD: Właściwie to jestem zaskoczony, że miałaś czas w piątek wieczorem.

T: Nie mam żadnego życia towarzyskiego.

PD: Tak? Dzięki.

T: Przepraszam.

*PD: To *jest* życie. Nie obrażaj mnie.*

T: Tak, tak.

PD: Jak możesz zaprzeczać, że to też jest życie? Jaka jest pierwsza rzecz, którą robisz po przyjściu do domu?

T: Sprawdzam pocztę.

PD: Ja też.

T: Tylko że to... No wiesz.

PD: Powiedziałaś przyjacielom?

T: Nie.

PD: Ja też nie.

T: Dlaczego mam wrażenie, jakbym miała romans, podczas gdy tylko gapię się w komputer?

PD: Miło mi, że masz takie wrażenie.

T: PD, właśnie przyszła mi do głowy straszna myśl.

PD: Co takiego?

T: Ty już to robiłaś. Robiłaś to wcześniej z kimś innym.

PD: ??????????

T: Robiłaś?

PD: Prawdę mówiąc, nie. Pozwól, że użyję buźki, bo poczułam się : - (

T: O Boże, przepraszam.

I naprawdę jest mi przykro. Wprawdzie mogą tylko gapić się w monitor, ale mimo odległości między Sydney a Paryżem wyczuwam w nim poruszenie.

T: Bardzo, bardzo cię przepraszam.

PD: Nie ma sprawy. Skoro jednak pytasz, odpowiem. To mój pierwszy raz. Przylapałaś mnie na myśleniu o internetowym romansie.

T: Proszę, sam to powiedziałeś.

PD: Więc oboje przyznajemy, że coś się między nami dzieje, o to ci chodzi?

T: A nie jest tak?

PD: Jeśli chcesz.

T: Ale ja prawie cię nie znam.

PD: Słynnego Przejściowego Mężczyznę ledwie znalazłaś, o ile mnie pamięć nie myli.

T: No tak. W każdym razie muszę się do czegoś przyznać.

PD: ???

T: Wróżka mi o tobie powiedziała.

PD: Jak to?

T: Powiedziała, że spotkam kogoś przez komputer. PD: Co masz na myśli, mówiąc „kogoś”?

T: No dobra, pod wpływem alkoholu mogę to powiedzieć. Moją bratnią duszę. Powiedziała, że w Internecie spotkam bratnią duszę.

PD: Cóż, cieszę się, że jesteś pod wpływem alkoholu. Dobranoc.

T: Co? To wszystko?

*PD: Żartowałem. *Dzięki*, że mi o tym powiedziałaś.*

T: Nic więcej nie powiesz?

PD: Co na przykład?

T: Nie wprawiaj mnie w zakłopotanie. Na temat tej bratniej duszy.

PD: Dobranoc, Madame Technopierdolo.

T: Myślisz, że się kiedyś spotkamy?

*PD: A *ty* myślisz, że się spotkamy?*

T: To wie tylko moja wróżka: -)

PD: Dobranoc.

T: Dobranoc.

Trudno w to uwierzyć, ale jak to się czasem zdarza przy pożegnaniach w prawdziwym świecie, żadne z nas nie potrafi skończyć rozmowy. Żadne z nas nie potrafi się pożegnać. Zakończenie rozmowy zabiera nam dziesięć minut. To jak *The Waltons** [The Waltons - serial obyczajowy przedstawiający sielankowy obraz życia rodziny na południu USA. Niekończące się pożegnania Waltonów przed snem stały się przysłowiowe (przyp. tłum).] wieczorową porą.

- Dobranoc, chłopcze.

- Dobranoc.

- No to dobranoc.

Mówię poważnie. Część mnie uważa to za bardzo romantyczne. Potrzebują tego. Wygadałam się, kiedy Jodie robiła ze mną wywiad do filmu, więc teraz mogę się do tego przyznać. Może być skądkolwiek. Nawet z komputera.

I chętnie bym o tym z kimś porozmawiała. Właściwie to muszę. Bo inaczej wyskoczę z tym w najmniej oczekiwanym momencie. Tylko jak zacząć rozmowę? Nazywam się Victoria Shepworth od Kompletnie Nieudanych Cholernych Związków i romansuję przez Internet z zupełnie obcym facetem z Paryża. Tego nie zrobią. Pozostaje zatem tylko jedna możliwość o tej porze. Po czterech kieliszkach taniego wina na pusty żołądek wymiotuję.

Kylie i ja harujemy jak wół, dopisując kilka linijek w strasliwej kampanii reklamowej towarzystwa emerytalnego. Śmiejemy się histerycznie, bo żadna z nas nie ma ubezpieczenia emerytalnego, i wtedy dzwoni telefon komórkowy. Ups! Wieki temu podałam ten numer Jodie, żeby mogła zadzwonić w nagłym wypadku, choć nie powinnam była tego robić. Nieważne.

- Do ciebie - mówi Kylie, podając mi aparat.

Na szczęście biurowy telefon komórkowy służył niedawno za gorącą linię Kylie i jej matce w Queensland, więc chyba nie będzie żadnych problemów. Jednak żeby się zabezpieczyć, zabieram aparat do kuchni, na wypadek gdyby miała mnie zobaczyć Bobbi i gdyby miało to sprowokować kolejną rozmowę na temat trzech ostrzeżeń, dzwonek alarmowych czy co to tam było.

Właściciel jogurtu truskawkowego, wokół którego było tyle hałasu, powiesił na lodówce kolejną karteczkę: „Jeśli masz ochotę na mleko sojowe, to kup sobie własne!!” Z dwoma wykrzyknikami. Dlaczego zawsze mam wyrzuty sumienia, gdy widzę takie notatki na lodówce? Przecież ja nawet nie lubię mleka sojowego.

- Jodie, nie włamalaś się i nie ukradłaś mleka sojowego, prawda?

- Nie. O czym ty mówisz?

- Jesteś jedyną osobą, o której wiem, że je pije. Nieważne.

- Chodzi o twoją matkę w filmie. Pomyślałam, że lepiej by było...

- Słuchaj, naprawdę nie podoba mi się ten pomysł.

- To nie jest najlepsza chwila na rozmowę?

- Nie, to dobra chwila. Nie chcę, żeby brała w tym udział.

- To niewłaściwy moment, wiedziałam.

Oczami wyobraźni widzę Didi - chociaż jej nie słyszę - jak zagryza wargi, macha rękami i daje sygnały „później, później”.

- Słuchaj, wkurzę się, jeśli odpytasz moją matkę z jej życia miłosnego. Jasne? Przede wszystkim dlatego, że to będzie dotyczyć mojego ojca. Czyli obojga moich rodziców, Jodie.

- Powinnaś jednak zobaczyć kawałek, Vic. To coś niesamowitego. Zobacz tylko kawałek filmu, proszę.

- Więc macie to już nagrane.

- Kiedy skończyłyśmy, twoja matka powiedziała, że to było oczyszczające doświadczenie.

- Kiedy to się stało?

- Dziś rano. Po prostu zadzwoniła i powiedziała „wpadnijcie”.

Moja matka. W jaki sposób znalazła czas? Przecież jest księgową, pracuje w domu, ble, ble, ble. Jest tak zajęta, że musiała zatrudnić kogoś, kto by za nią zmywał (to zajęcie zaproponowano Didi, ale ona odmówiła), a teraz proszę. Wywiad do filmu dokumentalnego.

- Mówiła o ojcu? - Tak.

- Super.

Jeszcze więcej darmowej rozrywki dla Dana i Eriki, gdy pokażą się na festiwalu. Rodzina Shepworthów wystawiona na pokaz, każdy może popatrzeć. Moja żałosna paplanina na temat ślubów, moja matka, opowiadająca o tym, jakim padalcem okazał się ojciec (to jej ulubione zdanie: „Twój ojciec jest wrażliwym mężczyzną, ale w gruncie rzeczy to padalec”) i cała reszta.

- Jodie, ja mówię całkiem poważnie. - Ależ Vic!

- Nigdy w życiu.

- Słuchaj, twoja matka chce wystąpić.

- W porządku, to wytnij mnie.

- W porządku. Słuchaj, może lepiej będzie, jeśli pogadamy o tym później.

- I nie dzwoń do mnie na komórkę. Nie jest moja. To biurowy telefon. Mam już pierwsze ostrzeżenie w pracy.

- Co?

Klik. Do widzenia, Jodie. Głupia krowa. Podejrzewam, że coś takiego przydarza się hollywoodzkim reżyserom. Mają w oku ten błysk szaleństwa, w nozdrzach zapach ambicji i za waszymi plecami przeprowadzają wywiad z waszą matką. Wszystko po to, żeby tylko trafić do Cannes. Akurat. Wszystko po to, żeby dostać idiotyczne wyróżnienie w kategorii sztuki na Środkowym Wybrzeżu. Przynajmniej ja tak to widzę.

Jodie zjawia się u mnie w pracy tuż przed zamknięciem biura. Wiedziałam, że to zrobi. Kylie patrzy na nią nieco zaintrygowana i nieco przerażona.

Ja już przywykłam do koszulki z Johnem Travoltą i rozmazanej kreski wokół oczu. Zapomniałam, że Jodie potrafi kompletnie przerazić i/lub zafascynować nieznanym ludzi.

- Wszystko w porządku? - pyta.

- Nie.

- Wygląda na to, że dobrze by ci zrobił masaż.

- Nie, nie zrobiłby mi dobrze.

- Widzę, że masz napięte ramiona.

- Mam napiętą głowę.

To typowe dla Jodie. Próbuje uspokoić wody, które sama wcześniej wzburzyła. W każdym razie Kylie ma ubaw.

Od czasu incydentu z Makramiarzem nasze stosunki z Kylie weszły w taką fazę, że już nie musimy udawać, że nie podsłuchujemy. Kylie wychyla się więc zza przepierzenia, żeby popatrzeć na Jodie i pyta, czy wszystko w porządku.

- Tak, w porządku.

Chodziło jej o to, czy chcę, żeby zawołała ochronę, która wyrzuci tę kobietę z szaleństwem w oczach i fatalną fryzurą (ale trzeba przyznać że ze wspaniałą figurą dwudziestojednoletniej dziewczyny, którą zawdzięcza wegetariańskiej diecie). Nie chciałam. Nie wiem dlaczego, zwyczajnie nie chciałam.

Niezależnie od tego, jak bardzo mnie wkurzała, przyzwyczaiałam się do niej. A kiedy wasze życie zamienia się w cyklon Trący, potrzebujecie ludzi, do których się przywykło. Są niczym drzewa, do których można się przywiązać, gdy wokół zaczyna być niebezpiecznie.

- Chodź, zbieramy się.

Macham do Kylie, zabieram torbę, wyprowadzam Jodie przez korytarz, macham do ludzi przy kserokopiarkach, mijam biuro Bobbi i idę schodami. Tupiemy na każdym - ja obcasami, Jodie dziwnymi purpurowymi baletkami, które założyła do dzinsów. I wtedy słowa po prostu wylatują ze mnie:

- Nie chcę popsuć twojego filmu. I nie mogę powstrzymać mojej matki. Możesz zostawić ten kawałek ze mną, jeśli chcesz. Tylko nie pokazuj tego nigdzie, gdzie mógłby to zobaczyć Dan, dobrze? Albo tata. Na przykład w LA.

Jodie mnie dogania.

- Nie pokażą go w Ameryce. W każdym razie tak myślę. Słuchaj - wzrusza ramionami i robi tę swoją rybią minę - to tylko eksperyment. O miłości. Coś dla mnie i Didi. Coś, czego potrzebujemy, żeby zrozumieć same siebie. To nie jest po prostu film. Przecież wiesz. W każdym razie...

- Tak, przekonuj mnie dalej.

- A co będzie, jeśli Dan to zobaczy?

Muszę się na chwilę zatrzymać. Co wtedy? Dobre pytanie. Ja, bełkocząca o ślubach w niskobudżetowym filmie dokumentalnym - co to ma z nim wspólnego? Co to wszystko ma wspólnego z Obmierzłym Prawnikiem z Leichhardt? Po raz pierwszy tak go nazywam i nieomal rzeczywiście tak o nim myślę.

- Mam nowego przyjaciela - mówię. - Tak?

- W sieci. Jest Anglikiem. Mieszka w Paryżu.

- Super.

I właśnie tyle chcę powiedzieć. I tylko tyle mówię.

Wymiana emaili między mną a Pierre'em. Na temat - jakżeby W inaczej? - związków.

Od: shep@mpx.com.au Do: pierre@netshop.com.fr Odp. : Lalki voodoo Drogi Pierre!

Dzisiaj zajrzałam do jednego z tych sklepów z drobiazgami i zobaczyłam lalkę voodoo. Myślisz, że to będzie nie w porządku, jeśli ją kupię, zrobię jej na ramieniu mały tatuaż i uszyję dzinsowe szorty? Serdecznie pozdrawiam, T.

Od: pierre@netshop.com.fr Do: shep@mpx.com.au Odp. : Dobre nowiny Kochana T!

To dobra nowina. Wróciło twoje poczucie humoru, a to znaczy, że powracasz do zdrowia. PS: Ale nie kupuj tej lalki voodoo. *Au revoir*, Pierre.

Od: shep@mpx.com.au Do: pierre@netshop.com.fr Odp. : Dobre nowiny Kochany Pierre!

Co masz na myśli, pisząc o powrocie do zdrowia i dobrych nowinach? W tej chwili czuję się jakbym umierała. A może ty nigdy nie czułeś obsesyjnej, szalonej zazdrości? PS Trudno uwierzyć, że nie będziesz zazdrosny, kiedy twoja była znajdzie sobie nowego faceta w Londynie. Serdecznie pozdrawiam, T.

Od: pierre@netshop.com.fr Do: shep@mpx.com.au Odp. : Nie jestem zazdrosny Droga T!

Kiedy moja była znajdzie sobie nowego mężczyznę, będę sobie wyobrażał, że go kastruję. A może nawet ich oboje. Jednak do tego czasu nie byłem zazdrosny. Tak czy inaczej, wszystko, co sobie wyobrazasz, jest zawsze gorsze od rzeczywistości, Technopierdoło. Zresztą ktokolwiek ją dostanie, będzie się musiał przyzwycząić do jej chrapania. A jak ci leci w pracy? Co z filmem? I z twoimi zwariowanymi przyjaciółkami? Brakuje mi zwykłego biuletynu Technopierdoły. *Au revoir*, Pierre.

Od: shep@mpx.com.au Do: pierre@netshop.com.fr Odp. : Chrapanie?

Kochany Pierre!

Jak straszne było to chrapanie? Wiesz, że można kupić w aptece taką małą gumową zatyczkę. Może jednak trzeba czegoś więcej, żeby ocalić związek, Pierre. Co do zwariowanych przyjaciółek, nie miałam wiadomości od Hilary już od kilku dni. Natalie maluje kuchnię i moja przyjaciółka jej pomaga. Tak wygląda życie, kiedy stuka ci trzydziestka, a twoi przyjaciele wolą remont od alkoholu i odkrywają, że koniec malowania

ich podnieca. Praca jest zbyt nudna i nie chcę o niej mówić. Z jednym może wyjątkiem - chyba znów zarobię plusa u Bobbi, bo zajmujemy się frisbee numer dwa dla Breakfast Grits (większe, lepsze i bardziej brązowe). Specjalnie przechodzi obok mojego boks, rozmawiając o tej kampanii z innymi i obserwuje moją reakcję. Powiem ci jednak coś jeszcze. Znalazłam dzisiaj kartkę z jednej z moich starych kłótni z Danem. Mieliśmy straszną sprzeczkę na parkingu i wsadziłam mu ją za wycieraczkę. Napisałam: MIŁOŚĆ TO NIE JEST NIEPRYZWOITE SŁOWO, MOŻE CZASEM BYŚ GO UŻYŁ? A on odpisał: KIEDY ZROZUMIESZ, CO ONO ZNACZY, ZADZWOŃ. Nie cierpię prawników, T.

Od: pierre@netshop.com.fr

Do: shep@mpx.com.au

Odp. : Miłość to nie jest nieprzyzwoite słowo Droga T!

Jestem zdziwiony, że złamałaś kardynalną zasadę dotyczącą bycia w związku. Słowa „miłość” nie wolno używać poza absolutnie wyjątkowymi sytuacjami. Myślałem, że jako kobieta lat dziewięćdziesiątych dobrze o tym wiesz. W ten sposób tylko straszysz mężczyzn, a to nie wychodzi im na zdrowie. Nawiasem mówiąc, moja dziewczyna *miała* taką gumową zatyczkę. Muszę przyznać, że to także przyczyniło się do zerwania. Trzymaj się, P.

Od: shep@mpx.com.au Do: pierre@netshop.com.fr Odp. : Miłość Drogi Pierre!

Słowa „miłość” należy użyć natychmiast, gdy się ją poczuje. Mam za sobą wyrachowanie lat dziewięćdziesiątych. Następnym razem, kiedy się zakocham, powiem mu to od razu i myślę, że ty powinienesz zrobić tak samo. (Oczywiście, ty powiesz to kobiecie. Chyba już ustaliliśmy, że nie jesteś gejem, Pierre). Kiedy tylko znajdzie się swojego mężczyznę lub kobietę, powinno się go (ją) od razu związać i oznaczyć. W ten sposób szybciej będziesz miał ślubny tort i białe zamszowe pantofle. Serdecznie pozdrawiam, T
Od: pierre@netshop.com.fr Do: shep@mpx.com.au Odp. : Miłość Droga T!

Żartowałem na temat niemówienia o miłości.

Od: shep@mpx.com.au Do: pierre@netshop.com.fr

Odp. : Problem z mężczyznami Drogi Pierre!

Problem z wami, mężczyznami, polega na tym, że *zawsze* żartujecie. Myślisz, że dlaczego tak często kłóciliśmy się z Danem? Nigdy nie brał niczego na serio. Poza futbolem. Sport to bardzo poważna sprawa. A poza tym i tak myślę, że kłamiesz w sprawie miłości. Założę się, że nigdy nie powiedziałeś tego Gumowej Zatyczce. T.

Od: pierre@netshop.com.fr Do: shep@mpx.com.au Odp. : Problem z mężczyznami Droga T!

Szczerze mówiąc, jestem zawiedziony, że tak szybko zaczynasz posługiwać się

seksistowskimi stereotypami w naszym związku. R Od: shep@mpx.com.au

Do: pierre@netshop.com.fr Odp. : Związek?

Drogi Pierre!

To nie jest związek. A ty nie odpowiedziałeś na moje pytanie o Gumową Zatyczkę. T.
Od: pierre@netshop.com.fr Do: shep@mpx.com.au Odp. : Skoro pytasz Droga T!

Zdefiniuj związek. A skoro pytasz, powiedziałem Gumowej Zatyczce, że się w niej zakochałem, kiedy tylko to poczułem. Zachnęła się (nie chrapnęła, tylko zachnęła), o ile dobrze pamiętam. A tak przy okazji, istnieje różnica między byciem zakochanym a miłością. Zdziwiłem się, że tego nie podkreśliłaś, T. Pierre.

Od: shep@mpx.com.au Do: pierre@netshop.com.fr Odp. : Nie traktuj mnie z góry Pierre!

Doskonale zdaję sobie sprawę z różnicy między zakochaniem a miłością. Kochałem Dana, zakochałam się w Liamie. Jednak mężczyźni najwyraźniej nie rozumieją że powiedzenie jednej z tych rzeczy nie oznacza automatycznie, że:

a) kobieta chce, żeby on się jej natychmiast oświadczył, b) kobieta chce, żeby on natychmiast ją zapłodnił, c) kobieta chce wspólnej hipoteki, d) kobieta chce stać się członkiem rodziny, e) kobieta chce połowy jego majątku, f) kobieta chce nosić taką samą czapkę z daszkiem jak on. Przykro mi, że ona się zachnęła, kiedy jej powiedziałeś, że jesteś w niej zakochany. PS: Myślisz, że ją kochałeś? Nie wygląda na to. T.

Od: pierre@netshop.com.fr Do: shep@mpx.com.au Odp. : Przeprosiny Droga T!

Oto odpowiedź na twoje pytanie: - nie wiem, czy kochałem Gumową Zatyczkę, czy nie. Kiedyś miałem na jej punkcie obsesję, ale teraz cieszę się, że ona żyje swoim życiem. I chociaż pierwszy facet, z jakim zdecydowała się przespać, był moim przyjacielem, nie chcę, żeby wpadła pod ciężarówkę ani nic takiego. Co to więc znaczy? (Wyglądasz mi na eksperta). Pierre. PS: Czy ty i twój chłopak nosiliście takie same czapki?

Od: shep@mpx.com.au Do: pierre@netshop.com.fr Odp. : Przepraszam Drogi P!

Przykro mi, że ona wolała twójego przyjaciela. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? A co ważniejsze, jak zdołałeś się z tego otrząsnąć? Uważam cię za guru i powinnam paść u twych stóp. Jaki sekret za tym stoi? Przeczytałeś Niebiańską Przepowiednię czy jesteś tak beznadziejny pod względem emocjonalnym, tak sparaliżowany stereotypowym męskim wychowaniem i potwornymi filmami z Jamesem Bondem, że nie zauważasz bólu? Przepraszam, jeśli strasznie chrzanę, ale mam dzisiaj nastrój na chrzanie. A jeśli chodzi o twoje pytanie: nie, nie nosiliśmy z Danem takich samych czapek, ale wiem, że tak robiła jego poprzednia dziewczyna - kupiła jedną dla siebie, a drugą dla niego. Czy to miłość? Ha. Raczej

nie powinieneś mnie pytać o to, czy kochałeś Gumową Zatyckę. To żalosne, Pierre. Do dziś tego nie wiesz? Skoro jednak uważasz, że jestem ekspertem (nie jestem - jak myślisz, dlaczego do tej pory jestem sama?), powiem ci, czym według mnie jest miłość. Żebyś mógł sprawdzić, czyją kochałeś. Ty i Gumowa Zatycka stoicie na szczycie wulkanu, który zaraz wybuchnie. Zbliża się do was gorąca lava. Szatan wepchnie zaraz do krateru jedno z was. Ty wybierasz kogo - ciebie czyją. Jeśli wepchnie ją ty zostaniesz oszczędzony, ale będziesz musiał dalej żyć bez niej. Jeśli wskażesz siebie, zginiesz potworną śmiercią. To jest miłość. Pomyśl o tym. T Od: pierre@netshop.com.fr Do: shep@mpx.com.au Odp. : Gorąca lava Droga T!

Wiedziałem, że mi pomożesz. Po strasznej nocy, pełnej okropnych koszmarów o wpadaniu do krateru czynnego wulkanu, doszedłem do wniosku, że wołałbym, aby Szatan wepchnął tam Gumową Zatyckę. To ogromna ulga wreszcie to zrozumieć. Nie mam słów, żeby wyrazić ci swoją wdzięczność. A zanim oskarżysz mnie o to, że jestem typowym facetem i niczego nie traktuję poważnie, coś ci powiem. Za każdym razem, gdy dostaję od ciebie emaila, mam wrażenie, że znasz mnie lepiej niż Gumowa Zatycka kiedykolwiek. P Od: shep@mpx.com.au Do: pierre@netshop.com.fr Odp. : Archiwum Eks Drogi Pierre!

Wiem, że kiedy po raz pierwszy uruchomiłam ten kanał, miałam zamiar nazwać go Archiwum Eks, ale myślę, że nie powinniśmy więcej rozmawiać o naszych byłych partnerach. Poważnie.

T.

Dlaczego w końcu napisałam to Pierre'owi? Nie dlatego, że uważam, że rozmawianie o życiu uczuciowym z kimś zupełnie obcym jest złe. Tak naprawdę moje emaile do Pierre'a pomogły mi bardziej, niż rok terapeutycznego lamentowania z Hilary. Chodzi raczej o to, że nie chcę już więcej słyszeć o jego byłej dziewczynie. I tyle.

Nie powiem tego Pierre'owi nawet za milion lat, ale dla mnie to zawsze jest pierwszy sygnał miłości. Pierwszy atak zazdrości skrywającej się za stwierdzeniami: „Nie chcę o niej myśleć”, „Nie chcę o niej rozmawiać”, „Zamknij się i nie mów o niej”.

Jak to możliwe? Przecież ja wcale nie znam tego faceta.

Poddaję się i dzwonię do Hilary. To mały cud - nie maluje sufitu w kuchni u Natalie, jest w domu i ma nastrój na rozmowę przez telefon.

- Wiedziałam, że do tego dojdzie - stwierdza.

- Do czego?

- Że znajdziesz sobie kochanego króliczka w Internecie. Wiedziałam, że do tego

dojdzie.

- Czy to Natalie mówi „kochany króliczek”?

- Nie bądź świnia. Nie. Tak.

- W takim razie robię z siebie idiotkę?

- Tak, prawdopodobnie. Przysłał ci zdjęcie?

Jak mam jej wytłumaczyć, że gdybym poprosiła go o zdjęcie - albo gdyby on mnie poprosił - wszystko by to popsulo? Poczulałabym się, jakbym brała udział w Idealnej Parze albo Randce w Ciemno i to, co mamy, zmieniliby się w odrażający targ mięsny.

- Nie chcę wiedzieć, jak on wygląda.

- Przestań.

- Wyobraziłam sobie, jak wygląda i to mi wystarcza. Mogę się mylić, ale nie wiem. Niezależnie od tego, jak wygląda, mam wrażenie, że pewnie nie różni się bardzo od moich wyobrażeń.

- Więc myślisz, że jak wygląda?

- Nie wiem. Dość wysoki. Całkiem przystojny. Miły.

- O Boże, Vic. Lepiej uważaj.

- Dlaczego?! - krzyknęłam.

- W porządku, wcale cię nie atakuję. Po prostu nie wiem, jak poważnie powinnaś traktować tę sprawę w tej chwili. Na tym etapie.

- Jestem zazdrosna o jego byłą. Troszkę, ale to pierwszy sygnał, prawda?

Hilary wzdycha.

- Jesteś pewna, że nie chcesz się po prostu zakochać dla samej miłości?

A żeby ją cholera wzięła. Stara bibliotekara. Czyta mi w myślach.

- Nie sądzę. Lubię go, on lubi mnie i chyba to nie jest to, o czym mówisz.

- W porządku, ale prosto od Dana przesłaś do Liama, a teraz znowu to. A co z czasem dla siebie?

- Nie chcę być sama!!!

- Dlaczego? Możesz wracać do domu, kiedy chcesz, wstawać, kiedy chcesz, jeść płatki prosto z pudełka...

- Zamknij się. Nigdy nie wierzyłam w sens tej listy. W każdym razie...

- W każdym razie co?

- Och, nie potrafię z tobą rozmawiać.

- Bo ja mam kogoś?

- Tak, skoro musisz wiedzieć. *i* Znowu wzdycha jak cierpiąca od dawna przyjaciółka,

w którą pewnie ją zamieniłam.

- Powiedziałabym ci to samo, gdybym była sama.

- Wiem.

- Przeproś mnie.

- No dobra. Przepraszam.

Wymawiam to jednak jak „szepszam”, czyli tak, jak ona zawsze to mówi. Krowa.

Kiedy dorastałam, jednym z ulubionych seriali mojej mamy był *The Mary Tyler Moore Show*. Może dlatego, że już wtedy myślała o odejściu od ojca. Patrzenie na szczęśliwą samotną kobietę w bryczesach i berecie było jak fantazjowanie.

Do Sydney serial musiał dotrzeć dopiero po latach, bo pamiętam, że nawet jako smutna dziesięciolatka w sztruksach i koronkowej białej bluzce uważała garderobę Mary za niemożliwą do przyjęcia. Jak mogła działać tak na mężczyzn, skoro nosiła poncho, a na ustach miała różową szminkę? W każdym razie moja matka oglądała film z nabożną czcią.

Mary Tyler Moore miała fantastyczne mieszkanie, rewelacyjną pracę, grubszą od siebie przyjaciółkę o imieniu Rhoda, co musiało dobrze działać na jej samopoczucie, i nawet Szef ją kochał. I moja matka, która wyszła za wrażliwego padalca, popatrzyła pewnie na to wszystko i powiedziała sobie „tak”. I chyba nawet kiedy miałam dziesięć lat, jakaś część mnie musiała myśleć, że tak to będzie wyglądać. Samotne życie. Tak wspaniałe, że aż chce się biec ulicami Minneapolis, śmiać się i podrzucać w górę kapelusz.

Może to moje mieszkanie. Gdybym tylko miała ogromny apartament na poddaszu z zakątkiem do pogaduszek (moja matka zazdrościła Mary takiego zakątka do rozmów, koniecznie z niskim stolikiem), moje życie byłoby lepsze. Kiedy rozglądam się wokół siebie, widzę stół do masażu udający biurko, potworne chybotliwe krzesło reżyserskie, nawiedzoną kanapę, łóżko, w którym nie chcę spać, i głupią zasłonę do prysznicy z tańczącymi muszelkami. Na dywanie jest czekolada, której nie mogę usunąć, i stoi tu automatyczna sekretarka, na której nikt nie zostawił dla mnie wiadomości.

Może gdybym miała rewelacyjną pracę, na przykład gdybym była panią przygotowującą serwisy informacyjne i gdybym miała ładną fryzurę (paź w stylu Mary Tyler Moore - to może jest pomysł) albo gdybym należała do klubu tenisowego, sprawy wyglądałyby zupełnie inaczej. A mówiąc „inaczej”, mam na myśli lepiej. Na pewno byłoby to lepsze niż włączanie komputera. Kiedy czekam na emaila od Pierre’a, czuję się jak mewa szukająca na plaży kawałka kurczaka z KFC. W końcu jakie mam szanse wylądować kiedykolwiek w Paryżu? Albo jakie jest prawdopodobieństwo, że Pierre przyleci do Sydney, żeby spotkać się ze mną osobiście? Hilary ma rację. Oszukuję sama siebie jak jeszcze nigdy przedtem. Jak długo to już trwa? Ile razy gadaliśmy na IRC - u i ile wysłaliśmy sobie emaili? I do tej pory nie chce mi podać swojego prawdziwego imienia.

Mogłabym sprawdzić, czy jest od niego jakaś nowa wiadomość, ale nie zrobię tego. Do cholery, możesz o tym zapomnieć, Pierre.

A potem, w sobotnie popołudnie, kiedy czuję się naprawdę fatalnie, wydarza się coś dość dziwnego. Hilary i Natalie stukają do drzwi i wpadają z kotem w wiklinowym koszyku.

- Hura! - krzyczy Natalie.

Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że jeszcze ktokolwiek mówi „hura”. Hilary z trudem łapie oddech, bo dźwigała kota, który jest teraz tak wściekły, że wyciąga łapy przez otwory w koszyku. Łapki przywodzą na myśl Rączkę z *Rodziny Addamsów*. Są rudobiałe.

- To kot - stwierdzam głupawo.

Hilary opadają ręce. Natalie też.

- To tylko propozycja. Widzisz, mój były zdecydował się wyjechać do Adelajdy i nie zadbał o kota. W ogóle. Nie zadzwonił nawet do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Pomyślałam więc, że to teraz mój obowiązek. Nie mam nic przeciwko kotu, ale mieszkam tuż przy głównej drodze i pomyślałam, że mógłby mi wybiec z domu i dać się rozjechać. Hilary powiedziała, że może ty byś się zdecydowała. Jestem gotowa płacić ci za opiekę. Dopóki nie znajdziemy dla niego domu.

- Lubisz koty - dorzuca Hilary.

Natalie otwiera koszyk. Coś wściekłego, fuczącego i futrzastego mija mnie i pędem wpada do mojej sypialni prosto pod łóżko.

- Nie wolno mi trzymać kotów - stwierdzam.

To prawda. Dawno temu przyrzekłam sobie, że nie wolno mi trzymać kotów. Dlaczego? Bo jeśli jesteś sama i masz kota, to równie dobrze możesz mieć siwy kok, tweedowy żakiet, okulary i zacząć się nazywać panną Marple. Samotna kobieta i kot to budzi fatalne skojarzenia. Mężczyzn to odrzuca. Nie, nie, nie.

Natalie odkłada torbę na zakupy. W środku dostrzegam puszki sardynek.

- Naprawdę?

Zerka na Hilary, która gapi się na mnie. Znacząco i bezlitośnie.

- Jeśli Roger nie może tu zostać, będziemy musiały zanieść go do schroniska. Wiesz, że oni trzyma ją tam zwierzęta tylko przez kilka dni.

O mój Boże, Roger.

- Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że traktował zwierzęta tak samo jak mnie i dzieci - dorzuca Natalie dość smutno i cicho jak na nią.

- Dlaczego nazwaliście go Roger? - Tylko o tym potrafię myśleć.

- Z powodu jego brwi.

To koty mają brwi? Myślę, że w celu podtrzymania rozmowy powinnam wpełznąć

pod łóżko i wyciągnąć stamtąd zwierzaka, żeby to sprawdzić. Już kiedyś włożyłam pod łóżko po kota. Kiedy moi rodzice mieli jednego. Syjamskiego. Koty chowają się w najciemniejszym kącie, więc jedyne, co widzisz, to para strasznych błyszczących oczu. A kiedy próbujesz wypłoszyć kota za pomocą szczotki albo ręki, atakuje.

- Pamiętasz, Vic - Hilary mówi swoim specjalnym tonem głosu - Roger Moore powtarzał, że jego umiejętności aktorskie obejmują unoszenie lewej brwi i prawej brwi.

- No i on wygląda właśnie jak Roger Moore.

- To znaczy jego brwi - dorzuca Natalie.

- To koty mają brwi?

Ponieważ nic innego na mnie nie działa, Natalie zaczyna grzebać w swojej portmonetce i wyciąga mały zwitek musztardowych banknotów pięćdziesięciodolarowych, spiętych gumką. Wstyd się przyznać, ale pierwsza rzecz, która przychodzi mi do głowy, to „super, fantastycznie, niesamowicie”. W tej kolejności. A co gorsza, następna rzecz, o której myślę, to czy udałoby się po cichu karmić Rogera niemarkowym kocim żarciem, a samej zjeść sardynki?

Roger chyba czyta w moich myślach. Patrzy na mnie, jakby chciał mnie zabić, wystrzeliwuje spod łóżka, przebiega koło moich nóg i wpada do łazienki.

- O nie! - krzyczy Natalie. - Chyba wiem, co to znaczy.

Kiedy wchodzimy do łazienki, kot przycupnął nad ujściem brodzika i siusia, gapiąc się niespokojnie swoimi dzikimi, wielkimi z przerażenia oczami. Żeby było zabawniej, to sprawia, że zaczynam go lubić. Chociaż czuję też obrzydzenie. Ja również w kryzysowych sytuacjach pytam, czy mogę iść do toalety. Wiem, co musi przeżywać. Ale powiem wam tylko jedno. On nie zostanie tu dłużej niż tydzień. I nie będę go nazywała Roger.

- Nie wygłupiaj się - stwierdzam heroicznie, nie patrząc nawet na pieniądze, które Natalie trzyma w ręku. ‘

Przygląda mi się bacznie. Trwa to dobrych kilka sekund.

- Na pewno?

A potem mały zwitek cudownie szeleszczącej gotówki wraca do portmonetki ciągle spięty gumką.

- Mimo wszystko...

Wręcza mi kilka dwudziestek. Mój ojciec nazywał je homarami.

- Roger mówi, żebyś kupiła sobie coś miłego, prawda Roger? Zerkam na niego, jak drapie pazurkami w brodzik w głupim, kompletnie bezużytecznym nawyku sprzątanie po sobie. W końcu tam nie ma ziemi. Co on sobie myśli, żeby niby co robi?

Unikam wzroku Hilary, bo wiem, że jeśli spojrzę na nią choćby na ułamek sekundy, będę chciała rozwalić jej na głowie puszkę sardynek.

Ona zawsze wpada w coś takiego. Poznaje kogoś i nagle bęc, zaczyna służyć wszelką pomocą temu komuś. Już to tylko razy przerabiałam. Bibliotekarz z działu dla dorosłych poprosił kiedyś Hilary, żeby zapytała mnie, czy nie pożyczyłabym mu walkmana na czas jego wakacji. Nigdy nie dostałam go z powrotem. Moje myśli krążą wokół jednego - dorwać ją, kiedy będzie sama.

Proponuję, że zrobię kawy, ale dziewczyny zbierają się do wyjścia. Najwyraźniej Jodie i Didi robią dzisiaj wywiad z zakonnica, a Hilary i Natalie zostały zaproszone do pomocy. Będą przytrzymywały kable czy coś w tym stylu - A co zakonnice wiedzą o miłości? - pytam. - Żyją w celibacie.

- W halibucie - poprawia mnie Hilary.

- Fajne powiedzenie - stwierdza Natalie.

Wychodzą. Wtedy z łazienki wyłazi Roger i zaczyna się mruczenie, ocieranie, całe to kocie flirtowanie. Uderza mordką o moje kostki i owija je ogonem. To trochę nieprzyjemne uczucie. Wygląda na to, że kot jest w porządku. Hilary ma rację - ja lubię koty. Nawet kiedy siusiąją pod prysznicem. Chodzi o to, że on tak naprawdę należy do kogoś innego. Do obcego człowieka. Do męża Natalie. Kto wie, może Roger spał nawet w łóżku z mężem Natalie, a to równa się praktycznie byciu w łóżku z samą Natalie. To najstraszniejsza myśl, jaka pojawiła się w mojej głowie od tygodnia.

Co Hilary widzi w tej kobiecie?

- Co Hilary w niej widzi? - pytam Rogera.

Kiedy dociera do mnie, co robię, czuję, jak wszystko przewraca mi się w żołądku. Więc już się zaczęło. Rozmawiam z cholernym kotem.

Później dzwoni do mnie Hilary.

- Pomyślałyśmy, że może byś wpadła do nas dziś wieczorem.

- Nie mogę. Muszę nakarmić kota. - Vic!

- O co tak naprawdę chodziło?

- Słuchaj, jesteś zupełnie sama. - Tak samo jak ty.

- Nie lubię kotów.

- Skąd ci przyszło do głowy, że od razu polubię Rogera?

- Znam cię.

- Pewnie.

- To tylko do czasu, aż coś znajdziemy.

- Przrzekłam sobie, że nigdy do tego nie dojdzie.

- To tylko kot, Vic.

- Nie rozumiesz? Jestem sama. Jestem biała. Jestem kobietą. Mieszkam samotnie. I mam kota. Wiesz, że to odstrasza mężczyzn?

- To nie odstraszy mężczyzny, z którym chciałabyś być. Nie chciałabyś faceta, który by tak myślał. Prawda?

- W tej chwili, Hilary...

W efekcie mam się spotkać z Hilary i Natalie w knajpie o nazwie Frog. Można tam zamówić sobie mnóstwo pyszności i dzielić się tym z innymi. Nie tylko z nimi dwiema. Ze wszystkimi. Mówiąc „z innymi”, mam na myśli niemal wszystkich, którzy byli na moim przyjęciu urodzinowym. Tego wieczoru, kiedy Dan odszedł. Noc przed tym, nim zdecydowałam się ściąć włosy i ufarbować je na rudo. Jest Kylie, jest Helena Chettle, która na ten wieczór musiała zostawić dzieci z Mickiem. Przyszły też Jodie i Didi, które sprawiają wrażenie nawalonych na wesoło i wszystkim rozdają indyjskie kruszki. Są też trzy blondynki - Kerry, Olivia i Nicky - które wszędzie zjawiają się razem. Znam je od czasów puszek Socjalistycznej Partii Pracy. Zjawili się ludzie, których uważałam za przyjaciół Dana, a nie moich (w końcu to on nas ze sobą poznał). I chociaż wszyscy starają się nie zwracać na mnie uwagi i pogryzają placuszki, dobrze wiem, o co tu chodzi. Wszyscy myślą: „O mój Boże, naprawdę martwimy się o Victorię”.

- Więc jak ci leci?

Przyciągnęły ze sobą nawet Cichego Kevina, mojego starego znajomego z pierwszej pracy, geja. To prawdziwe osiągnięcie.

- Całkiem nieźle. A co u ciebie?

- Jodie mówiła, że siedzisz w Internecie.

Czy tylko tyle ludzie mogą teraz o mnie powiedzieć? Ale facet miał pewnie dobre intencje. Po prostu znam Jodie i Didi na tyle dobrze, by umieć tego wieczoru rozszyfrować znaczenie każdego ich słowa. I mogę sobie wyobrazić, jak wyglądały rozmowy telefoniczne:

- Słuchaj, Victoria przechodzi ostatnio trudny okres, trochę się o nią martwimy. Tak, uzależniła się od Internetu.

A może dostaję paranoi? Zaczynam się zastanawiać. Kot Roger. To wszystko ma głębszy sens. Oba te wydarzenia - wielka przyjacielska kolacja i wielki, rudo - biały kot - wiążą się ze sobą. To jest akcja ratownicza.

Gdy Hilary wychodzi do toalety, idę za nią.

- Och.

- Co? Porozmawiaj ze mną.

Ucinamy więc sobie pogawędkę w kiblu, której swobodę ogranicza fakt, że ktoś siedzi w trzecim boksie i wszystko słyszy. , - Naprawdę wszystko w porządku - mówię przez ścianę.

- Nikt nie twierdzi, że jest inaczej - odpowiada Hilary.

- Wiem, co mówicie. - Co?

- Że nie mam żadnego życia.

Spuszcza wodę zaraz po mnie. Kiedy myjemy ręce, kobieta w butach na wysokich obcasach, wyglądająca na dość zdenerwowaną, szybko wychodzi z łazienki. Trudno mieć do niej pretensję. Atmosfera w toalecie jest zdecydowanie lodowata. Tak jak nienawiść między Nancy Kerrigan i Tonyą Harding.

- Ostatnio za każdym razem kiedy do ciebie dzwonię, jesteś w Internecie.

- Dostałam komputer na urodziny...

- Ten facet...

- Jeśli znowu zaczniesz o tym mówić, to ja zacznę mówić o Natalie. W porządku?

- Nie lubisz jej.

- Lubię.

- Uraziła ją historia z Rogerem.

- Wzięłam go, prawda?

- Ona miała dobre chęci.

- Myślała, że kot sprawi, że będę się czuła mniej samotna, to chciałaś powiedzieć?

Bzdura.

- Nie powiedziała tego.

- Wypchaj się.

Wychodzę przed nią i wracam do stolika, przy którym trwa dyskusja nad menu. Jak zawsze, gdy zbierze się razem wegetarian i mięsożerców. Cichy Kevin zgadza się na soję. To heroizm z jego strony, dobrze wiem, że jej nie cierpi. Wtedy zjawia się ktoś jeszcze. Bill Spec.

Hilary przesuwa, się, żeby zrobić mu miejsce. Chociaż nie słyszę, co mówi, to wystarcza, żeby Natalie się rozkręciła. Następnym razem, gdy zerkam na Billa, kiwa głową, podczas gdy Natalie nie przestaje nawijać mu do ucha. Biedny Bill.

Może powinnam mu powiedzieć o Rogerze. Będę musiała go ukrywać, jeśli zjawi się jakiś agent nieruchomości (Hilary się myliła, sprawdziłam umowę najmu i mimo jej niepoprawnego optymizmu zdecydowanie nie wolno mi trzymać kotów). Bill na pewno świetnie poradziłby sobie z Rogerem, zważywszy na jego doświadczenia z krowami i owcami

w Dorrigo.

- Bill.

Patrzymy na siebie przez stół przez minutę. To śmieszne uczucie. Nowe. Co to jest? Może przekroczyliśmy jakąś granicę. Jego spojrzenie jest bardziej miękkie, spokojniejsze. A może po prostu umieram z głodu i mam halucynacje.

Natalie rozprawia. Przychodzi mi do głowy, że może mówić o kocie. Biedna Victoria, ble, ble, ble. Zrobił się z niej taki maniak komputerowy, że pomyślałyśmy, żeby dać jej kota Rogera. Będzie się mogła nim opiekować. Och, kochany Billu, ty nie pracujesz przy komputerach, prawda?

Bill coś odpowiada - chyba coś miłego, bo Natalie promienieje - i zaczyna się przepychać, żeby podejść do mnie. Wtedy Cichy Kevin wychodzi po coś do picia i nagle siedzimy z Billem obok siebie. Nie ma w tym nic dziwnego, jeśli chwilę się nad tym zastanowić, ale chyba nigdy nie byłam tak blisko Billa Specy. Po raz pierwszy nasze uda się dotykają. Znowu pachnie żelem pod prysznic. Takim samym, jakiego używał Dan. Wolałabym, żeby to było coś innego. Przez ten żel mam w głowie zamęt.

- Więc masz kota. - Powiedziała ci.

- Nie martw się, nikomu nie powiem.

- Tylko na tydzień. Nazywa się Roger.

- O tym też wspominała.

- Ma brwi jak Roger Moore.

Słyszając to, uśmiecha się ten swój małomiasteczkowy sposób.

- Jak leci w pracy?

- Dobrze. W porządku. Znowu będę pracowała przy frisbee. A jak u ciebie?

- Dobrze.

I w tym miejscu się zatrzymujemy. Bill nigdy nie mówił za wiele o swojej pracy. Pewnie dlatego, że kiedy ostatnim razem próbował mi wytłumaczyć na czym polega coś związanego z programowaniem i częściami komputerowymi, zaczęłam gapić się pustą przestrzeń, a w kąciku ust zebrała mi się ślina.

Kiedy słucham, jak opowiada o meczu squasha, zaczynam porównywać naszą rozmowę z pogawędkami z Pierre'em. Nic na to nie poradzę. Właściwie to niesprawiedliwe. Nie chodzi tylko o Billa, to dotyczy wszystkich obecnych. W normalnej sytuacji skakałabym właśnie wokół stołu i zagadywała wszystkich. Jednak za każdym razem, kiedy ludzie zaczynają do mnie mówić, jedyne, na co mam ochotę, to doczołgać się do mojego komputera i powiedzieć o wszystkim Pierre'owi. Może Hilary i Natalie mają rację. Zamieniłam się w

odludka. Co potem? Zapomnę do czego służy język? Podchodzi Jodie i łapie Billa za łokieć.

- Przepraszam, Vic. Bill, mogę cię prosić na słówko?

Och nie. Nie idź z nią Bill. Chociaż z drugiej strony może pochlebi mu udział w filmie dokumentalnym pod tytułem *Zakochane kobiety*. Nawet jeśli będzie jedynym heteroseksualnym białym mężczyzną.

Około wpół do jedenastej mówię, że muszę już iść. To chyba nie jest udany wieczór, jeśli się czeka aż wskazówki zegarka dojdą do okrągłej godziny, żeby mieć powód do wyjścia. Bill powiedział, że mnie podwiezie, a ponieważ jest pewnie zmęczony po pracy, więc chyba uda mi się wymknąć. Kiedy wstajemy, z niewiadomego powodu wszyscy głupio do nas machają. Mogę się założyć, że kiedy tylko wyjdę, zaczną o mnie mówić.

Bill wrzuca wsteczny bieg i prawie uderza w stojący za nim motorower.

- Przepraszam.

Potem włącza jakąś muzykę - to chyba Jackson. Przez chwilę rozmawiamy o cenach kompaktów, a potem oboje milkniemy. Ale to nie jest problem. Chyba już się do siebie przyzwyczailiśmy, Bill i ja. Długie wieczory spędzone na naprawianiu automatycznej sekretarki i nauce surfowania po Internecie sprawiły, że umiemy siedzieć razem w milczeniu. W wygodnej, nic nieznaczącej ciszy.

Chyba powinnam pokazać mu Rogera, ale mi się nie chce. Mam ochotę się położyć. Choć nie. Chcę włączyć komputer. Nic mnie nie obchodzi, co powiedzą i Ani. Pierre, Pierre. Potrzebujecie, Pierre.

Wzdycham i próbuję zacząć rozmowę.

- Jodie chyba nie prosiła cię o to, żebyś wziął udział w filmie, prawda?

Sprawia wrażenie zakłopotanego i uśmiecha się półgębkiem.

- Właściwie to już w nim wystąpiłem. Patrzę na niego.

- Nie!

Wzrusza ramionami i skręca w złą przecznicę.

- Trudno mi było odmówić. - Och.

Po tym, co usłyszałam, jeszcze trudniej mi rozmawiać. Co on, do diabła, miał im do powiedzenia? Zdaje się, że Jodie i Didi musiały być naprawdę zdesperowane przy poszukiwaniach białego, heteroseksualnego mężczyzny. A może był jedynym na tyle łagodnym facetem, żeby mogły sobie z nim poradzić. W końcu dojeżdżamy na miejsce. Wsiadam.

- Dzięki za podwiezienie.

- Do zobaczenia.

Wracam do domu i myślę tylko o jednym. Teraz już wiem, jak to jest być nałogową onanistką. Poczucie winy jest straszne. Muszę zasunąć wszystkie zasłony i opuścić wszystkie żaluzje, aby nie zdradziła mnie poświata z komputerowego ekranu. I do ostatniej minuty oszukuję sama siebie, dając Rogerowi sardynki, zmywając kilka talerzy, sprawdzając automatyczną sekretarkę (żadnych wiadomości od Liama, żadnych od Dana, ble, ble, ble, nikogo nie obchodzę, nikt mnie nie kocha, jestem samaaa!) i przeglądając program telewizyjny.

W końcu jestem gotowa. Dwie poduszki lądują na chybottliwym krześle. Kubek herbaty. Idę nawet do toalety, żebym później nie musiała wstawać i przerywać rozmowy. To straszne.

Jednak pewnego dnia - nie mogę przestać o tym myśleć - pewnego dnia, kiedy spotkamy się twarzą w twarz, będę się cieszyć, że pędziłam do domu z restauracji, żeby zrobić, to co robię teraz. Będę się cieszyć, że pospieszałam Billa i biegłam po schodach, żebym szybciej mogła dorwać się do komputera.

Może pewnego dnia osiągnę taki etap, że przestanę się martwić, jak inni to odbierają. Już niemal jest mi obojętne, co sama o tym myślę.

Co za różnica? W czasie wojny amerykańscy żołnierze pisali listy miłosne do kobiet w Anglii, mimo że nigdy ich nie widzieli. Co jest takiego okropnego w przyjaźni przez Internet, która może okazać się czymś? Hej, w końcu mamy lata dziewięćdziesiąte, nie?

Bip, bip, bip. Loguję się bez problemu, pewnie dlatego, że wszyscy normalni ludzie są tam, gdzie i ja powinnam być w sobotni wieczór - z ludźmi. I proszę, jest. Nasz kanał. Samotni Wszystkich Krajów Łączcie Się.

T: Pierre, jesteś tam? PD: *Oui, Madame.*

Dzięki ci, Boże, myślę sobie, ale nie piszę tego.

T: Właśnie wrobiły mnie moje własne przyjaciółki. PD: W jaki sposób?

T: Myślą, że jestem smutną starą, samotną kobietą, przyniosły mi więc kota i urządziły kolację.

PD: Chciały cię przywrócić rodzajowi ludzkiemu.

T: Aha. Bo ciągle siedzę w Internecie.

PD: Z mojego powodu?

T: Może.

PD: A do czego innego używasz ostatnio Internetu?

T: Do niczego innego. Dałam sobie spokój z Gadankiem z Kurtem Cobainem.

PD: A czego się tam dowiedziałaś?

T: Komputer mi się zawiesił.

PD: Nie martw się,

T: *Wiesz*, że znajdziesz bratnią duszę.

T: Bardzo śmieszne. Żałuję, że ci o tym powiedziałam.

I nagle, nie wiadomo skąd, rozlega się straszliwy dźwięk alarmu, który wstrząsa całym budynkiem. Roger leci do sypialni niczym futrzana kula armatnia. Cholera. Jakże to głośne. Dlaczego alarmy robią tyle hałasu? Przepraszam, że gadam bzdury, ale trzeba najpierw usłyszeć alarm przeciwpożarowy we własnej kamienicy, żeby wiedzieć, jak to jest.

Słyszę ludzi zbiegających po schodach. I nagle rozumiem. To się dzieje naprawdę. PALI SIĘ! Naprawdę! RATUNKU!

Kilka minut później jestem już na dole w ogrodzie, w szlafroku razem z innymi. Z trudem łapię oddech. Wtedy dociera do mnie, że zostawiłam Pierre'a Dubois czekającego w Clichy w Paryżu, w cyberprzestrzeni, bez żadnego wyjaśnienia czy przeprosin.

Mężczyzna, który mieszka na parterze i zajmuje się ubezpieczeniami na życie, bierze na siebie rolę strażaka. Widzę Billa biegnącego bosą w koszulce i szortach.

- Co się dzieje?

- Podejrzewają, że pali się pod piątką. On też nie może złapać tchu.

- Pod piątką?

- Ale nikogo tam nie ma - tłumaczy w pośpiechu. - Wyjechali na weekend.

- A gdzie straż? - Już jadą.

Wtedy przypominam sobie. Roger. Zrobiłam dobrze - a może nie? - zatrzasnąjąc za sobą drzwi. Tak powinno się robić. Ale przy okazji zamknęłam biednego Rogera.

Klnę pod nosem i Bill aż podskakuje.

- Co się stało?

- Muszę zabrać kota.

Z jednego powodu powinno się chodzić spać w staniku. Gdy coś się dzieje, a ty nie masz stanika, tylko szary szlafrok, w którym widać ci sutki, piersi skaczą we wszystkie strony. Kiedy biegiem mijałam wszystkich i wchodziłam po schodach, myślałam tylko o tym.

Nigdy nie będę mogła spojrzeć w oczy tym ludziom na dole. Mimo że nie wiem nawet jak się nazywają. Na klatce schodowej jest dym, już go czuję. I po raz pierwszy naprawdę się boję. Roger, Roger. Biedny mały Roger. Boże, nie mam w ogóle kondycji. Choć nie palę papierosów. Z trudem pokonuję schody.

Kiedy jednak wpadam na górę, widzę, że drzwi do mojego mieszkania nadal są otwarte. Cholera. Po awanturach z Danem powinnam była pamiętać, że zawsze, kiedy myślę, że je za sobą zatrzęsnęłam, jest wręcz przeciwnie.

Rozglądam się nerwowo, ale nigdzie nie mogę znaleźć Rogera. Nie ma go pod łóżkiem, nie ma go w kuchni, nie ma go pod prysznicem. Nie może być gdzie indziej - moje mieszkanie jest zbyt małe. Chyba że kot spanikował i pognął schodami na samą górę. Gdzie według Billa zaczął się pożar?

Tym razem naprawdę porządnie zamykam drzwi. Dym jeszcze bardziej zgęstniał. Co zawsze mówili w szkole? Mokra chusteczka czy coś takiego. Albo czołgać się po podłodze, gdzie jest najwięcej tlenu. Zaczynają mnie szczypać oczy.

Wszystkie drzwi są zamknięte. W mieszkaniu numer siedem, obok mnie, pod dziewiątką i pod dziesiątką. W końcu biegnę na ostatnie piętro i wtedy widzę drzwi do mieszkania Billa. Szeroko otwarte. To jedyne miejsce, gdzie kot mógł się schować.

- Roger! Roger! Roger!

Co za idiotyczne imię dla kota.

- Kici, kici!

Może wlaźł pod łóżko. I kiedy przechodzę z pokoju do pokoju, wydając się z siebie idiotyczne odgłosy, które mają zwabić kota, nie mogę nie zauważyć, że Bill powiesił kilka obrazków i zdjęć. Wreszcie. O, to chyba jego była dziewczyna. Na pewno. Na lustrze. Blondynka. Piegowata, wiejska dziewczyna.

I wtedy to widzę. Jego komputer. Włączony ekran nadal migocze. Podnoszę wzrok i czytam:

PD: Nie martw się, T. *Wiesz*, że znajdziesz bratnią duszę dzięki komputerowi.

T: Bardzo śmieszne. Żałuję, że ci o tym powiedziałam.

Łajdak, łajdak, łajdak. Wiem jedno. To ostatnie słowa, jakie kiedykolwiek napisał do mnie Pierre Dubois, Anglik z Paryża.

Mój ojciec miał zawsze niesamowite wyczucie. Kiedy dzwoni o szóstej rano czasu Sydney - Bóg jeden wie, która jest wtedy w LA - dopiero co zdążyłam zasnąć. Telefon podrywa mnie z łóżka w ten okropny sposób, w jaki głośne dźwięki zawsze działają na człowieka, który jest zmęczony. Serce bije mi jak szalone. - Tato...

- Nie jest bardzo rano, prawda?

Niech się wypcha. Nigdy nie zrozumie różnicy czasowej, nigdy - Nie uwierzysz, przez co właśnie przeszłam.

- Wszystko w porządku?

- Cóż, nadal mam kota.

- Jakiego kota? *

Opowiadam mu. O Rogerze, o szalonych poszukiwaniach w czasie pożaru, o tym, jak w końcu znalazłam kota pod stołem w kuchni Billa. Mówię mu, że wszyscy się na mnie wściekli, a nieznośny facet od ubezpieczeń z parteru, który myślał, że jest strażakiem, zrobił mi wykład, gapiąc się na moje sutki, które widać w starym szlafroku. I o całej reszcie.

Mój ojciec jest jasnowidzem. Trochę jak Bobbi i Cara z Kryształowej Linii. Choć Cara w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nieco straciła w moich oczach. Mój ojciec ma tę umiejętność koncentrowania się na tym, czego mu się nie powiedziało, zamiast skupiać się na tym, co usłyszał. Można próbować pominąć w rozmowie najistotniejsze szczegóły, ale prędzej czy później on i tak was dopadnie. Jednym z powodów, dla których tak długo udawało mu się być wrażliwym padalcem, był fakt, że zawsze o krok wyprzedzał moją matkę. Dzięki telepatii. Jestem tego pewna.

- Kłopoty z facetami? - Och, uwielbiam też sposób, w jaki o tym mówi. Brzmi to, jakby pytał o kłopoty z samochodem. Choć właściwie mogę mu powiedzieć. To w końcu jego wina. No bo kto mi dał komputer?

- Facet piętro wyżej jest szulerem. - Kim?

- Nie, nie szulerem. Hakerem. Nieważne. Jestem strasznie zmęczona. Ale wiesz, co mam na myśli. To sukinsyn. Poznał mnie przez IRC, potem zaczęliśmy wysyłać sobie emaile. Udawał, że nazywa się Pierre, że mieszka w Paryżu i jest Anglikiem. Oczywiście wciągnęło mnie to. Pisaliśmy do siebie przez kilka tygodni. Kiedy wbiegłam na górę w czasie pożaru, drzwi do jego mieszkania były otwarte i zobaczyłam komputer. Całą rozmowę, o której myślałam, że prowadzę ją z Pierre'em. Przez cały czas to był on, skradał się na górę po schodach i pisał na tym swoim komputerze. Robi mi się niedobrze, kiedy o tym myślę.

- Co ci powiedział?

- Nic. Nie wie, że to widziałam.

- Nie wie?

- Nie umiem zdobyć się na odwagę. Chcę po prostu zapomnieć. Zobaczyłam tylko jego komputer i od razu zesłam na dół z kotem. Powiedziałam mu, że znalazłam kota u siebie w sypialni. Był pożar, tato. Nie spałam. Nie pozwolili nam wrócić do mieszkań do drugiej w nocy.

Zaraz potem dzwoni mama. Zwykła kolejność. Operatorzy telefoniczni naprawdę nieźle zarabiają na mojej rodzinie.

- Victorio, wszystko w porządku?

- Tato ci powiedział?

- Tak, ten mężczyzna. Wstrętny typ. Pamiętam, jak o nim opowiadałaś.

Wstrętny. Może taki właśnie jest. Nie wiem. Jestem zmęczona, wszędzie czuć dym, już nigdy nie spojrzę w oczy swoim sąsiadom po tym żenującym wykładzie na trawniku i mam wrażenie, że nic już nie rozumiem. No i teraz wszyscy wiedzą, że mam kota. A to znaczy, że prawdopodobnie w ciągu kilku najbliższych tygodni wymówią mi mieszkanie.

- Mamo, jeśli się dowiedzą o Rogerze, to będę mogła zamieszkać u ciebie?

- Kto to jest Roger?

- Przepraszam. Kot.

- A co z Danem?

- Nie, nie rozmawiamy teraz o mężczyznach, mówię o kocie. Co z Danem? Nic.

- Czy Bill cię przeprosił?

- Bil nie wie, że się o wszystkim dowiedziałam. - Och.

- Powiedziałam mu, że Roger przez cały czas siedział pod moim łóżkiem. Nie wie nawet, że byłam u niego w mieszkaniu. Ma przyklejone do lustra zdjęcie swojej byłej dziewczyny. Jest piegowata.

Ta zupełnie zbędna informacja, z niczym nie związana, sprawia, że zaczynam płakać. Płakać, płakać i płakać.

- Wpadnij do mnie, weźmiesz kąpiel.

Odpowiedź na wszystko - kąpiel. Ale ma rację. Śmierzę. Kąpiel to pewnie to, czego teraz potrzebuję.

- Zabierz ze sobą Rogera.

- Chrzanić Rogera.

Kiedy wpadam do taksówki w dzinsach, które dopiero co wyciągnęłam z kosza na

brudną bieliznę, staram się otrząsnąć z pierwszego szoku. Taksówkarz ma włączone radio, słucha jednego z tych idiotycznych porannych programów, w których kobiety i mężczyźni nawzajem z siebie pokpiwają i ma to być niewiarygodnie zabawne. Proszę kierowcę, żeby ściszył radio. Zwykle taksówkarze z Sydney udają, że nie słyszą tego typu prośby. Wystarczyło jednak, żeby ten zerknął na moją twarz (czerwone włosy, czerwone oczy i zaczerwieniona skóra). Ścisza.

Kiedy w pędzie mijamy sklepy przy King Street, świadomie rozluźniam ramiona, tak jak zawsze każe mi to robić Jodie. Próbuję poukładać sobie wszystko w głowie.

Skoro Bill i Pierre przez ostatnich kilka miesięcy byli z osobna takimi świetnymi facetami, to może Bill i Pierre w jednym też okażą się porządnym mężczyzną. Kiedy jednak przypominam sobie wszystko, co mu opowiedziałam o Danie i Eryce, całe to głupie gadanie o sensie miłości i niewymyślne żarciki, a nawet idiotyczną romantyczną „kolację” z czerwonym winem, mam ochotę na kogoś się rzucić.

Co mu odbiło? Psychol. Mógł przecież zejść do mnie w tygodniu wieczorem, w dowolny długi samotny piątek albo w którykolwiek cholerny samotny czwartek. Mógł zrobić pierwszy krok dawno temu, na długo przed Liamem. (O Boże, o nim też powiedziałam Billowi. O zawiązywaniu prezerwatyw i całej reszcie). Cały czas tu byłam, czekając na cokolwiek. Czekając na kogoś. A on nigdy nie wpadł na pomysł, żeby zabrać mnie na kolację.

Bill jest inteligentny, wrażliwy, samotny. Myśli jak Pierre i wygląda jak Bill - to znaczy, że całkiem nieźle. Choć dopiero jeśli się wysilę i pomyślę o nim, jak stał wczoraj wieczór w koszulce i spodenkach oraz o rzeczach, które pisał do mnie od tygodni. Dobra, zachowajmy obiektywizm i zsumujmy fakty. Jeśli spojrzę na to z dystansu, jako Niezależna Obserwatorka, to przecież różne kawałki tego samego mężczyzny z osobna mi się podobają. WIĘC CO JEST Z NIM NIE TAK? A co ważniejsze, co jest nie tak ze mną?

Kiedy docieram na miejsce, okazuje się, że mama niczego nie rozumie. I nie chodzi o kwestię pożaru, Rogera oraz całej reszty. Ona nie rozumie zupełnie roli Internetu w całej tej historii. Wiedziała, że tak będzie. Za dużo informacji. Kiedy kładę się w jej wielkiej żółtej wannie, patrząc, jak rozpuszczają się te wszystkie zabawne niebieskie rzeczy do kąpieli w kształcie rozgwiazd, próbuję jej wszystko wyjaśnić. Przez drzwi. Bardzo głośno.

- Ale skąd wiesz, że naprawdę to był on? - odkrzykuje mama z drugiej strony.
- Mieliśmy prywatny kanał IRC. Nikt inny nie mógł tam wejść.
- A jeśli się wślizgnął? - Mama próbuje się posługiwać żargonem komputerowym lat dziewięćdziesiątych. - Włamał się?
- Zapytaj Didi. Zapytaj kogokolwiek. Szanse na to są jak jeden do stu miliardów. Za to

założenie sobie fałszywego adresu emailowego jest proste. Wejście na IRC pod pseudonimem też. To dlatego nie dał mi od razu swojego adresu. Założył sobie konto na francuskim serwerze. Dzięki temu mógł wszystkie listy wysyłać przez Paryż, a ja myślałam, że naprawdę tam mieszka.

- No dobra - słyszę, jak mówi zgaszona. Schodzi na dół, żeby zrobić mi śniadanie. -
Podejrzewam, że to musiało go sporo kosztować.

Wycieram się, ubieram i siadam, popijając herbatę, aż zmęczenie i wstrząs zaczynają się ulatniać.

- Możesz tu zostać, jeśli masz ochotę - proponuje mama.

- Nie trzeba. Zajrzę do Jodie, dobra?

- Dobrze. Jodie jest w porządku.

- Nigdy tak nie myślałaś. - No cóż...

Gdy docieram do dziewczyn, Didi jeszcze śpi. Parzymy więc rumiankową herbatę i dajemy nura do sypialni. Siadamy na brzegu maty do spania, podczas gdy Didi aż robi zeza, próbując zrozumieć to, co mówię.

- No tak - odzywa się w końcu. - Rozumiem. Najpierw otworzył z tobą kanał. U ciebie w domu.

- Aha. A potem wrócił do siebie.

- Zalogował się. I nigdy nie próbowałaś skorzystać z Who Is* [Who Is (ang.) - usługa internetowa umożliwiająca identyfikację nadawcy listu (przyp. tłum.)], żeby sprawdzić jego pseudonim?

- Nie. Nawet nie wiem, co to jest Who Is.

- Ups! Powinnam była ci powiedzieć.

Jodie zaczyna masować mi ramiona, myślami błądzi jednak gdzieindziej.

- Ale Bill nie jest prawdziwym komputerowym dziwakiem, nie?

- Właśnie, że jest - upieram się. - W tym rzecz. On robi wstrętne - tak powiedziała mama - wstrętne komputerowe sztuczki.

- Ale na kolacji...

- Och, to dlatego, że chciałaś, żeby wystąpił w twoim filmie, i zmusiałaś go, żeby stał się kimś, kim nie jest. Spójrz na niego. On nie potrafi rozmawiać. Nie potrafi mówić o niczym poza squashem. Nawet nie wiem, dlaczego chciałaś, żeby wystąpił w twoim filmie. W końcu jego była dziewczyna go nienawidzi. To chyba coś znaczy, prawda? Powinnam się była domyślić.

- No tak. Plaster - podsuwa Jodie.

- Właśnie. Rzuciła czymś w niego. Z tego można wyciągnąć jakieś wnioski. Powiedział mi, że chrapała. Możecie w to uwierzyć? Komuś zupełnie obcemu powiedział o intymnych sprawach dotyczących jego byłej dziewczyny.

- Ale Vic - wtrąca się ziewająca Didi. - Ty nie jesteś dla niego kimś zupełnie obcym.

Zdaje się, że tak właśnie jest. Bill naprawdę mnie zna. W pewnym sensie lepiej niż Dan. Podejrzewam, że napisałam Billowi *vel* Pierre'owi rzeczy, o których sama nie wiedziałam, zanim się nie spotkaliśmy. O głupich małych marzeniach, które miałam. O moim dzieciństwie. O wszystkim.

- Coś, co sprawia, że ciarki przechodzą mi po plecach - słyszę swój głos - coś, co sprawia, że robi mi się naprawdę niedobrze, to świadomość, że on siedział i czekał, aż wrócę do domu. Za każdą - I dym razem czekał, aż włączę komputer. Nawet tamtej nocy, kiedy nie mogłam zasnąć i wstałam w środku nocy. Musiał czekać, aż zapali się u mnie światło.

- To molestowanie seksualne - stwierdza Jodie, która - spójrzmy prawdzie w oczy - zawsze ma na wszystko odpowiedź.

- To wtargnięcie na twój teren - dodaje odruchowo Didi. Siedzimy przez chwilę w milczeniu. Didi w sarongu leży z rękami pod głową, Jodie delikatnie miesza w dzbanku ziołową herbatę.

- Vic - zaczyna - mogę zadać ci w związku z tym jedno pytanie?

Kiwam głową.

- Czy to kiedykolwiek zamieniło się... no wiesz... czy to zmieniło się w coś więcej niż przyjaźń?

Chyba wiem, o co jej chodzi - czy Bill zamienił to w seks pogaduszki, czy go to podniecało. Cóż, to uczciwe pytanie. I z punktu widzenia Jodie całkiem sensowne. Gdyby wykorzystał IRC jako swego rodzaju sekstelefon, mogłabym z tym pójść na policję. Mam zapisane wszystkie przysłane przez Pierre'a Dubois emaile. Mimo to Bill nigdy nie próbował niczego, co choćby w odległy sposób kojarzyło się z cyberseksem - jeśli można użyć takiego słowa. Fakt, iż Jodie poczuła się w obowiązku zapytać mnie o to sprawia, że mimowolnie się wzdrygam.

- Jeśli okazałoby się, że to było molestowanie, mogłabyś go pozwać - naciska.

- Jak mogłabym kogoś pozwać? Nie potrafię zadbać nawet o kota. Nie. To nie tak. To była dorosła obustronna przyjaźń. Tak sędzę. Weszłam w to dobrowolnie.

- A jednak udawał kogoś innego.

- Tak, ale sama o to prosiłam. Och, sama już nie wiem.

Wiem jedno. Kiedy wrócę do domu późnym popołudniem, znajdę małą niespodziankę

od Rogera. Na pewno. Fantastycznie. Dzięki ci, Roger, za wsparcie w chwili kryzysu. Będę musiała wziąć butelkę detergentu potwornie pachnącego sosną i wszystko wyszorować.

Na dole są już robotnicy. Wałą młotami w ruinę, która kiedyś była mieszkaniem numer pięć. Lokatorzy najwyraźniej wyjechali na weekend do Dandenongs. Chyba ich sobie przypominam. Facet zawsze wyglądał na potwornie niezdecydowanego. Nie dziwi mnie, że zostawił włączony piekarnik.

To okropne uczucie wracać do tego budynku. Świadomość, że będę musiała odegrać kwalifikującą do Oscara scenę w chwili, gdy usłyszę idącego po schodach Billa, po prostu mnie zabija. Wiem, że Jodie chce, abym to z nim wyjaśniła. Wiem, że Hilary i Natalie nie zostaną w tyle, będą pouczały mnie przez telefon i zamęczały przez najbliższe pół roku. Ale wiecie co? Nie potrafię tego zrobić. Problemy Billa to problemy Billa, tak uważam. Pokręcone życie Billa to jego życie. Jeśli idzie o mnie, to muszę tylko zadzwonić do mojego serwisu, zapłacić wszystkie rachunki i natychmiast się rozłączyć. Jodie może sobie wziąć modem. I swój stolik do masażu. Niech go wykorzysta zgodnie z przeznaczeniem. A skoro już jestem przy temacie, to mogłabym się również pozbyć nawiedzanej kanapy.

Mam dość tego mieszkania. Jest zbyt małe, a Roger (to śmieszne, sprawia wrażenie, jakby miał już ze mną zostać) go nie lubi. Co ważniejsze, reszta lokatorów nie lubi Rogera. Może powinnam się wyprowadzić, zanim sami mnie wyrzucą? No i przy okazji rozwiązałabym jeszcze jeden mały problem. Ten z piętra wyżej. Ten, przez który płacę za każdym razem, gdy jestem dość głupia, aby o nim myśleć.

Kiedy dzwonię i zamykam swój rachunek za Internet, podają mi ostateczną sumę. Siedemdziesiąt dwa dolary za ostatnie dwa i pół tygodnia. Wystarczyłoby przynajmniej na jedno długie posiedzenie z Cara, wróżką od długopisu z żonkilem. Ale w końcu kto by się tym martwił. „Dzięki komputerowi spotkasz swoją bratnią duszę”. Powinnam zażądać zwrotu pieniędzy. Cholerna oszustka.

Gdybym nie wydała tylu pieniędzy na rachunki za Internet i telefony do wróżki, mogłabym znowu pójść do fryzjerki. Nie zerwałam z Pierre'em. Nigdy z nim nie chodziłam. A jednak chcę czegoś nowego. Mam już dość tego czegoś krótkiego i rudego na mojej głowie. Może paż w stylu Mary Tyler Moore (już o tym myślałam), żeby mi się trafił wielki apartament na poddaszu z niskim stolikiem w kąciu, żebym biegała po ulicach ze śmiechem, była zadowolona z życia kobietą bez faceta i żebym podrzucała w górę swój kapelusz.

Leżę na kanapie z mruczącym Rogerem w nogach i zastanawiam się, jak potoczyłyby się sprawy, gdybym nie poszła na górę i nie dowiedziała się o wszystkim. Biorąc wszystko pod uwagę, to ta sytuacja musiała być dla Billa trudna. Prędzej czy później coś by się stało.

Mogłabym na przykład rozmawiać na IRC, kiedy pojawiłby się jakiś komputerowy problem, usłyszałabym, że Bill włączył Elvisa Costello albo coś podobnego i poszłabym na górę. I wtedy on nie mógłby otworzyć drzwi. A jeśli to by się zdarzyło kilka razy, to kto wie, może nawet ja, taka naiwna, zaczęłabym coś podejrzewać.

Może Pierre Dubois dowiedziałby się czegoś o moim życiu, czego Bill Spec nie mógłby wiedzieć. I pewnego dnia Billowi wymknęłoby się to w trakcie rozmowy o squashu, o pogodzie albo o innych bzdurach, o których zwykle gadamy.

Szczerze mówiąc, czuję się, jakbym grała w kiepskiej ekranizacji powieści Agathy Christie. A na dodatek ostatnie pół godziny spędziłam, sprzątając kocie gówno. Naprawdę. To jest to. To właśnie jest życie.

Ale dlaczego? Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Po prostu tego nie rozumiem. Wiem, że Pierre *vel* Bill nie jest kompletnym nieudacznikiem. Wiem, że nie jest, bo został moim przyjacielem. Poznałam go. Pod wieloma względami jesteśmy podobni - takie samo poczucie humoru, tak samo patrzy na różne sprawy, mamy podobne podejście do życia. Sam to powiedział. Rozmowa ze mną sprawiała, że miał wrażenie, jakbyśmy naprawdę dobrze się znali. W każdym razie rozumiałam go lepiej niż jego była dziewczyna.

Z drugiej strony ja, Victoria Shepworth od Kompletnie Nieudanych Cholernych Związków, jestem tą samą kobietą, która pomyślała, że wyjazd w góry i seks z Makramiarzem to dobry pomysł. Więc w sumie co ja wiem?

W pewnym momencie - może w okolicy trzydziestki, to ładna, okrągła liczba - nie można już wszystkiego zwać na mężczyzn. Spokojnie mogę stwierdzić, że Greg Dały był bardziej zainteresowany łożeniem po górach niż kobietami, równie dobrze mogę powiedzieć, że Anthony Anderson okazał się Pieprzonym Płetwonurkiem, który nigdy nie pamiętał imion moich przyjaciół. Wiem jednak, że Greg jest bardzo szczęśliwy w Tybecie z Anną Liżą, a Anthony mieszka (z powodzeniem) z kobietą wyglądającą na biznesmenkę. Więc...

Może jest we mnie coś, co sprawia, że Bill lubi mnie tylko na odległość. Może jestem w porządku w emailach i dość dobra, żeby podarować odrobinę współczucia w nocnych rozmowach na IRCu, ale na więcej on nie ma ochoty.

Nie na darmo ma zdjęcie byłej dziewczyny przyklepione do lustra. Jaka ja jestem głupia! W końcu połowę czasu spędziłyśmy, rozmawiając właśnie o niej. O chrapiącej kobiecie z zatyczką do nosa. O tej, która potrzebowała więcej przestrzeni.

Kłamstwa, których mi naopowiadał, naprawdę mnie przerażają. Mieszka w pobliżu Clichy. Jego była jest w Londynie (rzeczywiście - z Dorrego do Londynu, już to widzę). Mówimy tu o niebywałym, męskim niedostosowaniu. Nie tylko o odrobinie rozrywki. Nie

tylko o niewinnym żarciku.

Gdyby zrobił to raz, dla kawału, a potem zszedł na dół i powiedział mi o tym, no dobra. A może to zaczęło się od żartu? Nikt nie chciał rozmawiać ze mną na kanale Samotni Wszystkich Krajów Łączcie Się i pewnie zrobiło mu się mnie żal. Zastanawiam się tylko, kiedy zaczęło go to wciągać. W którym momencie doszedł do wniosku, że warto załatwić sobie konto pocztowe gdzieś we Francji, żeby następne kilka tygodni móc spędzić na utwierdzeniu mnie w przekonaniu, że jest kimś, kim nie jest.

A ściślej mówiąc, próbował mnie przekonać, że jest gdzieś, gdzie go nie ma. Czy wam się to podoba, czy nie (mnie nie), prawdziwy Bill jest prawdziwym Pierre'em. A teraz przypominam sobie coś jeszcze. Coś ważnego.

Ta noc, kiedy Jodie i Didi zasnęły, a Hilary upiła się i wysłała idiotyczną wiadomość do Liama na temat badań dotyczących męskiej bielizny... Jak bardzo byłyśmy pijane? Jak głośno rozmawialiśmy? Czy na tyle głośno, żeby nas usłyszał przez drzwi, kiedy upuścił rakietę? Zwłaszcza to, co powiedziałam o Australijczykach. I pewnie na tyle głośno mówiłam „Następnym razem chcę Anglika”, żeby mnie usłyszał. Całe to chrzanie Hilary (a może to ja tak bredziłam) o różnych typach facetów i o tym, jakim oni są marnotrawstwem przestrzeni. Dzikusy, wielbicielowie futbolu, chłopcy ze starego centrum z prezerwatywami z promocji i faceci z Bondi, którzy noszą okulary przeciwsłoneczne, przez co wyglądają jak wielkie muchy. A jeśli to wszystko słyszał? Czy to wystarczyło, żeby facet miał ochotę odczołgać się i udawać, że jest kimś zupełnie innym?

I wie, że go nazywamy Bill Spec. Tamtego wieczoru powiedział coś w tym stylu, że nie trzeba być specem, żeby rozumieć różne sprawy. Pewnie u niego wszystko słychać. Przechodzą mnie ciarki na myśl o tym, że patrzył, jak wracam z Danem i płacę w jego samochodzie.

I że widział, jak się z niego śmiejemy, gdy nie radził sobie z parkowaniem.

Roger zeskakuje z kanapy i zaczyna miauczeć. Kiedy wstaję, żeby otworzyć puszkę sardynek, próbuję spojrzeć na całą tę sprawę z innej strony. Jeśli Bill rzeczywiście chciał mnie zranić i namieszać mi w życiu, to chyba nie mógł wymyślić nic lepszego. W wypadku Liama wiedziałam przynajmniej gdzie uderzyć. Coś się wydarzyło, nawet jeśli kilka tygodni później skończyło się to telefonem z pytaniem „Jak ci leci?”. Tym razem jest znacznie gorzej. To jakby oszukał cię ktoś, kto nawet nie istnieje.

Pierre Dubois może miał coś wspólnego z Billem, ale czterdzieści osiem godzin temu myślałam, że to miły, zabawny, życzliwy, uroczy Anglik na drugiej półkuli w najbardziej romantycznym mieście świata - Paryżu. Mężczyzna, który pojawia się w marzeniach o

Bożym Narodzeniu. Czyli właściwie nie ma nic wspólnego z Billem. To po prostu ktoś, kogo Bill sobie wyśnił, ktoś, kim chciałby być. Frajer.

Odczuwam pewną satysfakcję na myśl o tym, że on się dziś wieczorem zaloguje i już mnie nie znajdzie. Ciekawe, ile czasu zajmie mu zorientowanie się, że nie istnieje już nawet mój adres e - mailowy?

Kiedy go spotkam - jeśli będę miała tego pecha i wpadnę na niego - powiem mu tylko, że rachunki za Internet były zbyt wysokie i przestałam się w to bawić. Wiesz, jak to jest. Może pewnego dnia się domyśli, a może nie. Teraz jednak chcę patrzeć tylko na jedną rzecz - i nie jest to ekran komputerowy. To ostatnie strony gazety, gdzie kobieta taka jak ja, z kotem i stałymi zarobkami, może znaleźć - miejmy nadzieję - mieszkanie, które nazwie swoim. I szczerze mówiąc, im dalej stąd, tym lepiej.

To dziwne uczucie nie mieć już Internetu. Bez niego komputer sprawia wrażenie niepełnowartościowego, a moje życie wydaje się jeszcze bardziej puste. Roger nie jest w stanie wypełnić tego braku. W chwili słabości myślę, że nadal mogłabym zaglądać na ulubione strony, a resztę omijać. Ale to nie ma sensu. Bill wszystko popsuł. Właściwie zniszczył. Internet musi odejść.

Podejrzewam, że to niezbyt praktyczne rozwiązanie. Gdybym poczekała jeden dzień, mogłabym skorzystać ze wszystkich stron z drobnymi ogłoszeniami z gazet, żeby znaleźć sobie mieszkanie. Na pewno istnieje takie miejsce, gdzie wystarczy wpisać wysokość czynszu, jaki możecie zapłacić, okolicę, w której chcecie mieszkać i liczbę potrzebnych wam sypialni. Chociaż sieć namieszała mi niezłe w życiu, to muszę przyznać, że nadal myślę o niej tak, jak chciał tego Bill Gates.

Sobotnie poranki Billa wypełnia zwykle Elvis Costello na cały regulator. Wstaje około dziewiątej i puszcza płytę w czasie, gdy biega z praniem w po schodach w górę i na dół. Czasem gubi na schodach bokserki albo dziurawą skarpetkę. Syczy wtedy, co w jego ustach jest niemal przekleństwem - oczywiście jak na standardy Dorrigo.

Tego ranka Billa nie słychać. Pewnie obawia się, że też robię dzisiaj pranie (choć ja należę do kobiet, które piorą zwykle w niedzielę i to pod hasłem: „O Boże! Zupełnie zapomniałam... „). No dobrze. Cieszę się, że siedzi przestraszony w swoim mieszkaniu z podkładkami do myszy i zdjęciem piegowatej dziewczyny. Mam nadzieję, że za dwadzieścia lat znajdą tam zakurzony szkielet skulony w kącie.

Wychodzę. Nie kupuję croissantów (są dla par) i staram się nie dostrzegać w okolicznych kafejkach tych wszystkich par dzielących się gazetą i zamawiających wielkie dzbanki kawy? Czas dla par to sobota wieczór, ale dla mnie to zaczyna się już rano.

Chcecie wiedzieć, kiedy kobieta czuje się najbardziej samotna? Kiedy przyłapuje się na tym, że przygląda się jednemu samotnemu mężczyźnie w knajpie, tylko po to, by spostrzec, że on dłubie w nosie i nosi kapelusz.

To zabawne, w jaki sposób pary ubierają się do śniadania. On ma na sobie wyprasowane beżowe szorty z obowiązkowym paskiem i białe żeglarskie buty, których tak naprawdę nikt nie nosi na jachtach, koszulkę polo od Ralphi Laurena i raybany na czubku głowy. Ona natomiast zakłada oślepiająco biały dres, oślepiająco białe klapki, ma rozdmuchane suszarką włosy i pewnie skropiła się perfumami pod kolanami. Nigdy nie można usłyszeć, co do siebie mówią. Jeśli jednak podejdziesz się wystarczająco blisko, można

im czytać z ust:

- Kawy, kochanie?

- Dziękuję, kochanie.

A może się mylę i wszystkie te zadbane pary, które czule pomrukują do siebie w sobotni poranek, stoją na krawędzi rozvodu? Dzisiejsza gazeta donosi, że w zeszłym roku udzielono 15984 rozwodów. To druga pod względem wielkości liczba w historii.

Już wcześniej zdarzało mi się takie bezmyślne gapienie na kafejki. Zwykle dochodzi do tego po mniej więcej dwóch latach życia w pojedynkę, nie zaś po kilku miesiącach, i muszę przyznać, że to mnie martwi. To jest pełne goryczy, pokręcone i złe. Muszę się jednak napić kawy i nie mam zamiaru prosić o nią w przytulnej kawiarni dla par.

W domu patroszę gazetę. Dlaczego oni ciągle dołączają ten dodatek o samochodach? Po co?

Część z nieruchomościami specjalnie zostawiam na koniec. Tak jak Didi zawsze zostawia na koniec ogłoszenia o pracy.

W końcu zabieram się do niej. Mieszkanie do wynajęcia. Jest tak, jak podejrzewałam, czynsze zaczynają się od sum, za które można by kupić nową pralkę. I to czynsze za tydzień.

Na górze Bill nawet nie drgnął. Nie ma Elvisa Costello. Nie ma prania. Nie ma gubienia skarpetek. No i dobrze, niech cierpi.

Kiedy przeglądam gazetę z cienkopisem w ręce, łapię się na tym, że zakreślam zupełnie idiotyczne propozycje. Coś, co nazywa się kawalerką. Wiem, że woda z prysznicą ścieka tam do odpływu w podłodze, a klozet jest tuż obok. To mieszkanie, w którym sypia się na sofie. Wiadomo - jeśli obrócić się z patelnią pełną ziemniaków, to wylądują na szafie. Po pięciu minutach głębokiego namysłu wykreślam je.

Plaże Bondi. Czy mogłabym tam mieszkać? Zwłaszcza że mężczyźni noszą tam okulary przeciwsłoneczne, w których wyglądają jak wielkie muchy.

Zresztą mam przecucie, że właśnie tam Wytatuowana Prawniczka ma swoją olśniewającą kawalerkę z czarnymi zasłonami prysznicowymi, więc to raczej odpada. To nie dla mnie.

Jest mieszkanie w Waverton, kilka kilometrów stąd, dość tanie, bo tylko na trzy miesiące. Dzwonię tam. Telefon jest zajęty godzinami. Kiedy wreszcie udaje mi się dodzwonić, odzywa się kobiecy głos na sekretarce: „Dziękuję za telefon, ale niestety...”

Najwyraźniej będę musiała poprosić Bobbi o podwyżkę, jeśli kiedykolwiek mam znaleźć sobie mieszkanie. I, rzecz jasna, ona mi jej nie da. Pozostaje ostatnia przerażająca możliwość. Oto ona:

POSZUKIWANY WSPÓŁLOKATOR NEWTOWN: Osoba do zamieszkania z dwiema innymi. Najlepiej wegetarianin. Niepalący.

NEWTOWN: Poszukuje mężczyzna. Dwie sypialnie. Najlepiej osoby o szerokich horyzontach. NEWTOWN: Para poszukuje. Bez zwierząt. Nie wegetarianie I dalej:

RANDWICK: Przyjdź i przyłącz się do naszego szczęśliwego gospodarstwa! Randy, Bella i Mo szukają fajnego faceta albo dziewczyny, kogoś, kto zamieszka z nimi w miłym mieszkaniu na poddaszu z trzema sypialniami.

Co oznacza, że Randy musi spać z Bella albo Bella sypia z Mo, a może wszyscy razem na straszliwie śmierdzącym materacu w jednym pokoju i tak naprawdę to szukają dwóch. Nietypowych współlokatorów. W każdym razie jeśli szukają dziewczyny na luzie do swojego szczęśliwego gospodarstwa, to zdecydowanie nie mnie. Sama zadaję sobie to pytanie - kto szukałby żalosnej starej panny z kotem?

W końcu zakreśliłam pięć najmniej odpychających propozycji, myję zęby, płuczę usta płynem odświeżającym, zakładam na siebie coś, co nie mówi nic na temat mojej osobowości, i wychodzę. Na szczęście mam ze sobą telefon komórkowy z agencji (tak, ten, który nigdy, ale to nigdy, nie może opuścić tego biura!).

Na pierwszy ogień idzie mieszkanie w szeregowcu w Paddington. Dzwonię tam i mężczyzna po drugiej stronie brzmi sympatycznie. Może nie wspaniale, ale jest w porządku. Choć sama rozmowa telefoniczna niczego jeszcze nie przesądza. Kiedy docieram na miejsce, drzwi frontowe są szeroko otwarte. Właśnie wychodzi jakiś facet. Obrzuca mnie niewidzącym spojrzeniem.

Na podłodze jest parkiet, który głośno dudni pod nogami. Gdy się tak kręcę w swoich czarnych buciorach, czuję się, jakbym była potworem Frankensteina. Dum, dum, dum.

Mężczyzna w szarej bluzie i okularach w stylu Clarka Kenta wypada z kuchni. W rękach trzyma szklaną misę z jakimś szarym śluzem.

- Pasty?

Wtedy dostrzegam w kuchni na stole misę z krakersami. Tyle zdążył przygotować. Potem pokazuje mi tablicę, do której jest przypięty wydruk komputerowy zatytułowany *Kwestionariusz dla potencjalnych współlokatorów*. Super.

- Proszę usiąść. Pani musi pracować jako stewardesa.

- Nie. Pracuję w reklamie.

- Och. Zna pani Simona Reynoldsa? - Nie.

Patrzy na mnie zdziwiony.

- Proponowałem już pani pastę? Proszę się częstować. To wątróbka z kurczaka.

Tak i nie miksował jej dostatecznie długo, żeby w paście nie było grudek. Mimo to jem trochę. Być może to jeden z punktów *Kwestionariusza dla potencjalnych współlokatorów*. Czy zjesz trochę mojej wstrętnej pasty domowej roboty? Zakreśl tak lub nie.

- A teraz... - Zakłada nogę na nogę. - Proszę wpisać swoje nazwisko i wiek w tę rubryczkę. Nie musi pani podawać dokładnego swojego wieku, wystarczy orientacyjnie. Pani ma koło trzydziestki, prawda?

- Tak.

Tyle jeśli chodzi o Zaawansowany Kompleks Regenerująco - Ochronno - Odżywczy na Noc Estee Lauder.

- A tutaj widzi pani, gdzie umieściłem imprezy? Proszę napisać, czy często robi pani imprezy, w ogóle czy czasem.

- Chyba czasem.

Ktoś nieśmiało puka do drzwi.

- Och, proszę poczekać. Mężczyzna wstaje.

Dociera do mnie, że nie widziałam jeszcze tego miejsca. Widziałam za to... Jakkolwiek się nazywa, nie mogę zapamiętać jego nazwiska tak samo jak on mojego. Widziałam tę obrzydliwą maź. Widziałam ten kwestionariusz. A pokoje?

Nowy gość najwyraźniej właśnie ogląda pokoje. Od razu poszedł na górę. Słyszę jak tupią. Chyba weszli na strych. Szybko więc wypełniam pozostałe rubryczki, zakreślam tak, jak wypełnia się zeznanie podatkowe i na samym końcu wpisuję nazwisko: Evita Peron. A potem od razu uciekam. Kiedy jestem już na dole, przypominam sobie, że zostawiłam swój telefon komórkowy. Tyle, że to właściwie nie jest mój telefon, nie? Cholera. Wspaniale, Sherlocku.

Kiedy wracam, mężczyzna w szarej bluzie stoi w kuchni. Wymachuje rękami, obrzucając okruszkami potencjalnego współlokatora, który patrzy na niego z nerwowym uśmiechem.

Wpadam do środka, wbijając paznokieć kciuka w palec wskazujący. To mój sposób radzenia sobie w trudnych sytuacjach (u dentysty, przy zastrzyku, w kłopotliwej sytuacji towarzyskiej). Facet w szarej bluzie ledwie mnie zauważa.

- Och, cześć!

- Zostawiłam swój telefon komórkowy. Przepraszam.

- Bardzo mi się podoba to, co pani napisała - woła za mną, kiedy gnam korytarzem. -

Chciałaby pani zobaczyć pokoje?

Cóż, tak było. Wsiadam do autobusu i staram się odjechać tak daleko, jak się da.

Następne miejsce to SUMMER HILL: Współlokatorka dla palącej z kotem. Kablówka.

Kiedy tam przyjeżdżam, od razu słyszę kablówkę. I znowu drzwi wejściowe są szeroko otwarte. Prawdopodobnie z powodu dymu papierosowego.

Gdy idę ścieżką prowadzącą do frontowych drzwi, dostrzegam kota. Syjamski, w czerwonej nabijanej ćwieczkami obróżce. Ma dziki wzrok. Rogerowi by się nie spodobał.

Kobieta podchodzi do drzwi. Jest ode mnie starsza. Na palcu ma ślubną obrączkę z szafirem, która wygląda, jakby ją wygrała w teleturnieju. Na podbródku widać jeszcze resztki brzoskwiniowej maseczki. Powinna trzymać papierosa, żeby dodać jeszcze więcej wiarygodności swojemu ogłoszeniu, ale nie trzyma.

- Jesteś sama? - pyta, machając ręką, żebym weszła. Mijam po drodze ryczący telewizor (ogromny), w którym leci stary odcinek *Doctora Who*. Mówię, że tak.

- Bo ja jestem sama - stwierdza.

I to jest ostatnia wymiana zdań w trakcie całego (pięciominutowego) obchodu. Mój pokój, jak zgaduję z jej gestów, jest tuż obok łazienki, w której pachnie maseczką brzoskwiniową i tymi obrzydliwymi żółtymi odświeżaczami z toalet publicznych.

Na suficie poprzylepiano żółte uśmiechnięte naklejki, z okna odłazi okrągła nalepka z delfinem i tęczę. Na ścianie są cztery ślady po pineskach, które pewnie mocowały plakat z jednorożcem. Na dole Doctor Who wrzeszczy:

- To jest złe!

Podejrzewam, że ma rację.

Kiedy schodzimy, kobieta poddaje się, siada i zapala papierosa. Należy jej się podziw za to, że wstrzymywała się podczas obchodu domu. Doctor Who zostaje ściszony. Kobieta przygląda mi się przez jakieś cztery, może pięć minut. Przynajmniej takie mam wrażenie.

- Byłam mężatką. On się wyprowadził - mówi w końcu. - Byłaś mężatką?

- Nie.

Fakt, że istnieją biedne krowy, które nie stanęły nawet przed ołtarzem, najwyraźniej ją pociesza. Daję jej więc swój numer telefonu - właściwie jest to stary numer do pracy, w którym pół roku temu zmieniono jedną cyfrę. Nie mówi „do widzenia”, tylko macha do mnie z progu. Syjamski kot w nabijanej ćwieczkami obróżce gapi się na mnie. Trudno iść spokojnie, kiedy naprawdę człowiek miałby ochotę czym prędzej wziąć nogi za pas.

W każdym razie - powtarzam sobie, gdy znajduję przystanek - Rogerowi by się tam

nie podobało.

Zostały jeszcze trzy miejsca do obejrzenia, ale jest już dobrze po porze lunchu, a jeszcze nic nie jadłam. Z drugiej strony nie wiem, czy stać człowieka na jedzenie, kiedy szuka mieszkania na spółkę. Pod następny adres trzeba długo, długo jechać autobusem. BILGOLA: Wielki pokój w willi w stylu hiszpańskim stojącej przy plaży. Wspaniałe widoki. Miejsce do zabawy. Może warto spróbować czegoś zupełnie innego.

Czynsz wynosi połowę moich zarobków, nie wiem więc, po co siew ogóle trudzę. Może jednak dorobię sobie jako kelnerka, jeśli mi się naprawdę, ale to naprawdę spodoba. Może powinnam postarać się poprawić swoje warunki bytowe. No wiesz, zabawić się trochę. Wtedy nie przyciągałabym komputerowych zбочeńców z Nowej Południowej Walii.

Tym razem drzwi są zamknięte. Dobry znak. I kiedy dzwonię, nikt nie wychodzi ani nie wchodzi. Kolejny dobry znak. Drzwi otwiera kobieta o wyglądzie baletnicy. Włosy ma tak ciasno spięte w kok, że cała twarz ściąga się jej do tyłu. Uśmiecha się słodko niczym Audrey Hepburn.

- Och, przykro mi. To już nieaktualne.

Tym razem łapię taksówkę. Do diabła z autobusami. To jest moja sobota. I już, do cholery, prawie się kończy. Czy nie powinnam leżeć u mamy w wannie z niebieskimi rozgwiżdżkami z olejkiem do aromaterapii? Czy nie powinnam przynajmniej leżeć w łóżku, jedząc nerkowce i próbując skończyć *Wichrowe wzgórze*?

Taksówkarz zauważa moją gazetę z zakreślonymi na niebiesko ogłoszeniami.

- Udało się? - pyta.

To niesamowite - ten człowiek musi mieszkać w Australii gdzieś od lat pięćdziesiątych, a nadal wygląda i mówi jak Marcello Mastroianni tuż przed śmiercią.

- Nie - odpowiadam.

- Powinnaś wprowadzić się do przyjaciół - podsuwa przyjaźnie.

- Nie, chyba nic z tego.

Zerka na mnie spode łba. Cholera, pewnie sobie myśli, że nie mam żadnych przyjaciół.

- Dopiero przyjechałaś do Sydney?

- Tak - kłamię. Kręci głową.

- Wszyscy przyjeżdżają do Sydney. f - Tak?

Zaczyna kłać na kogoś, kto właśnie zajeżdża mu drogę. A już miał wygłosić mowę o tym, jakie to cudowne, cudowne miejsce. Naprawdę teraz tego nie potrzebuję. Mogłoby być „cudowne”, gdyby człowiek mógł znaleźć sobie miejsce za sto pięćdziesiąt dolarów

tygodniowo i gdyby nie nowy styl życia - z pastą domowej roboty.

Proponuje mi miętusa. Może brzydko pachnie mi z ust, mimo że płukałam je przed wyjściem. Może baletnica z tego ostatniego domu mnie okłamała. Pokój wcale nie był zajęty, tylko poczuła zapach z moich ust.

Postanawiam sobie, że to następne miejsce, ostatnie, które zamierzam dzisiaj obejrzeć, będzie właśnie Tym Jedynym. Nieważne, co trzeba będzie zrobić, ale będę tam szczęśliwa. Tam się zacznie moje nowe życie. Będę miała mały słoneczny pokój z wielką białą moskitierą nad łóżkiem. I będzie tam drzewo w ogrodzie, na którym zamieszka Roger.

To będzie trudna wizyta, ale chyba dam radę. Tym razem to:

PRZEDMIĘSCIE: Mężczyzna szuka współlokatora.

Niezwykły pokój w domu ze starego magazynu.

Mile widziani chrześcijanie. Bez zwierząt. Wielbiciele muzyki.

Gapię się przez okno, w zamyśleniu ssąc cienkopis (Hilary mówi, że to dowód na to, że kiedy byłam mała, za krótko karmiono mnie piersią). Próbuję wymyślić odpowiednią przemowę:

- Cudownie, strasznie mi się tu podoba. Takie oryginalne. Niesamowite. Kiedyś to był magazyn, a teraz proszę! Naprawdę podziwiam chrześcijan, człowieka otacza tyle pokus. A czy mówiłam już panu, że uwielbiam każdy rodzaj muzyki, począwszy od Eltona Johna, przez Kiki Dee, a skończywszy na Wagnerze? I że jestem uczulona na koty?

Mogę oddać Rogera z powrotem Natalie. Ona to zrozumie.

Taksówkarz odjeżdża z posepną miną. Nic dziwnego. To bardzo przygnębiający magazyn. Mieszkanie jest wysoko, nie ma windy. Właściciel przykleił na przycisku dzwonka naklejkę z małą uśmiechniętą buzią.

Tak, zgadza się. Wielbiciel muzyki byłby zachwycony. Słyszę, jak ktoś gra *Bohemian Rhapsody* na pianinie. I śpiewa.

Nie chcę przeszkadzać człowiekowi, który śpiewa właśnie partię Belzebuba. W teledysku chyba w tym momencie pojawiały się cztery twarze członków grupy Queen, jakby pozbawione reszty ciała, otwierające i błyskawicznie zamykające usta. To bardzo trudny kawałek, przynajmniej tak mi się wydaje. Mimo to... pukam. Głośno.

Mężczyzna, który podchodzi do drzwi, wygląda zupełnie normalnie. Po całym dniu objadających się pastą z wątróbki i obsesyjnie pamiętliwych facetów oraz smutnych rozwódek z maseczką na twarzy, jest to szok. Już prawie mówię „Biorę to”, kiedy

przypominam sobie, że to ten facet ma o tym zdecydować.

Zaprasza mnie, kiwając ręką.

- Przepraszam, ale mam usta pełne ciasta marchewkowego - mówi z ustami pełnymi ciasta marchewkowego.

Mieszkanie jest ogromne. Dość duże, żeby pomieścić przynajmniej tysiąc spoconych kobiet w chustkach na głowach, harujących przy gigantycznych hydraulicznych maszynach do szycia. Aż jakiś młody dorobkiewicz kupił to miejsce i wprowadził się tu architekt, który wymachiwał rękami i wachał powietrze.

- Mam wrażenie, że filiżanka ziołowej herbaty dobrze ci zrobi - stwierdza mężczyzna.

Przypomina mi, że nazywa się Graham. Chyba zauważył, że tego nie pamiętałam.

Szukam wzrokiem nut, ale wiecie co? On grał to z pamięci. Gdy wraca, niosąc filiżankę herbaty z kuchni, która wydaje się jakieś pięć (kilometrów dalej, na drugim końcu pokoju, okazuje się, że to listki prawdziwej mięty, w małym srebrnym imbryczku.

Stoją też u niego pufy. W połyskujących srebrzystych, plastikowych pokrowcach. Muszę o tym powiedzieć Hilary. To byłaby prawdziwa rewolucja w dziale dziecięcym biblioteki. Pod koniec dnia wystarczyłoby, żeby wszystko wytarła.

- Czy to nie przykre co spotkało Freddiego Mercury? - pytam z głupia frant.

Potem przychodzi mi na myśl, że facet pewnie należy do chrześcijan, którzy uważają AIDS za Bożą karę.

- Jestem wielkim fanem wczesnych utworów Queen - mówi.

- Ale chyba nie *Fat Bottomed Girls** [Fat Bottomed Girls (ang.) - Dziewczyny o tłustych tyłkach, tytuł wczesnego utworu grupy Queen (przyp. tłum.).] - rzucam i natychmiast milknę.

O tyłkach też nie powinnam mówić. W końcu mam do czynienia z chrześcijaninem. To jak spotkanie z Japończykami, w czasie którego starasz się nie wspominać o wojnie.

Mężczyzna zadaje mi mnóstwo pytań, a ja staram się odpowiadać tak, aby moje życie wypadło lepiej, niż wygląda w rzeczywistości. Staram się ominąć wzmianki o zaprzyjaźnionych lesbijkach, pijackiej rozpuście i dziwacznych związkach internetowych.

A potem ja zadaję mu kilka pytań - o Queen, którzy w tej sytuacji wydają się jedynym bezpiecznym tematem. A on mi opowiada, że kupił sobie białe drewniaki, bo jeden z gitarzystów Queen miał takie same.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę, rezygnuję z dolewki pysznej miętowej herbatki i wtedy on załatwia mnie w dwóch słowach:

- Cóż, Victorio. - Uśmiecha się. - Możemy na tym poprzestać?

I szybciej niż zajęłoby wyjodłowanie *Galileo, Galileo*, otwiera mi drzwi. Szeroko.

Wiecie, po czym można poznać, że mężczyzna ogląda wasz tyłek? On właśnie to robi, czuję to.

- Szkoda, że nici z naszego wspólnego mieszkania - stwierdza. - Chętnie jednak spotkałbym się z tobą przy kawie. Mogę kiedyś do ciebie zadzwonić?

No proszę, Sherlocku, on wykorzystuję kolumnę z ogłoszeniami jako prywatne biuro nawracania. I ma mój aktualny numer telefonu. Kolejny powód, żeby się wyprowadzić. Ciekawe, czy słyszał o randce na telefon dla chrześcijan! „Gdzie szczęście jest o jeden telefon stąd!”

Gdy zjawiam się w pracy w poniedziałek, Kylie właśnie zbiera pieniądze. Dla siebie. To jej urodziny i najwyraźniej ona jedna pamięta, że powinna dostać wielkie czekoladowe ciacho.

Nie mam nic przeciwko temu, żeby dać jej pięć dolarów, chociaż o mnie też nikt nie pomyślał. Z tego co pamiętam, skończyło się na tym, że smętnie zawodząc sama sobie zaśpiewałam *Sto lat*, siedząc w boksie.

To niesamowite - mam wrażenie, że od tego czasu minęły wieki. Od czasu moich urodzin i rozstania z Obmierzłym Prawnikiem z Leichhardt.

Tego ranka muszę skończyć pisać reklamówkę dla konkursu, w którym można wygrać trzyletni przydział szkolnych butów. Poważnie. Jaki obłąkany młody umysł zainteresuje się takim konkursem?

Ponieważ zajmuje mi to jakieś 0,05 sekundy, pozwalam sobie na chwilę wytchnienia. Wymykam się, żeby kupić kartkę urodzinową dla Kylie. Może nawet kupię jej prezent, jeśli ogarnie mnie przyływ hojności, albo znajdę nowego futrzastego stwora, żeby mogła go przykleić na szybę. Może na wszelki wypadek powinnam wziąć ze sobą telefon, gdyby dzwoniła Jodie albo Hilary. Tylko gdzie on jest? A tak. Miałam go przez weekend, prawda? Więc...

- KYLIE! - Co?

- Zostawiłam telefon! Muszę jechać do domu. Boże, nie wiem, co z nim zrobiłam.

- Ktoś go tu szukał - stwierdza spokojnie.

- Możesz im powiedzieć, że pojechałam spotkać się z klientem? - Aha.

- Przecież wiesz, że w poprzednim życiu kłamałam dla ciebie, prawda?

Kylie wzdycha. Z drugiej strony kto wie, myślę sobie, pędząc korytarzem i machając na taksówkę. Może byliśmy z Kylie we francuskim ruchu oporu podczas wojny i wtedy ja kłamałam, żeby ją uchronić przed straszliwymi torturami z rąk nazistów. Może to dlatego przeznaczenie zrządziło, że teraz Kylie musi ciągle mówić Bobbi, że ja kaszlę krwią lub spotykam się z klientami, podczas gdy tak naprawdę albo opłakuję w domu swoje żalosne życie uczuciowe albo szukam skradzionej własności agencji.

Kiedy stajemy przed domem, strasznie się spieszę i bardzo niezgrabnie wysiadam - rozkraczona, jak kobieta w końcowej fazie porodu.

Odruchowo patrzę w górę i dostrzegam Billa, który cały czas wyglądał przez okno. Ale mam to gdzieś. Już mnie to nie obchodzi. Niech sobie patrzy.

Otwieram drzwi. Roger jest zaskoczony, że wróciłam tak szybko. Zastanawiam się, co on takiego knuje. Pewnie dzwonił do Kryształowej Linii, żeby się dowiedzieć, czy zamierzam go uśpić, czy nie.

Jest telefon. Na szczęście wykazałam się pewną przytomnością umysłu i zostawiłam go z rozsądnym miejscem - na desce do prasowania obok rozpalonego do czerwoności żelazka, które stało włączone od ósmej rano.

Już prawie jestem za drzwiami, kiedy słyszę Elvise Costello. Dźwięk ten wywołuje u mnie taką samą reakcję, jak odgłos helikopterów u weteranów wojny w Wietnamie. Mówiąc krótko, zaczynam biec. Złapanie następnej taksówki zajmuje wieki, ale w końcu jedna się zatrzymuje. Zwalam się na tylne siedzenie. Taksówki kosztują mnie fortunę, ale z drugiej strony zyskuje się dzięki nim czas na zastanowienie. O ile w ogóle można myśleć, kiedy John Laws ryczy z głośników.

Zastanawiam się, jakby to było zostać czyjąś utrzymanką? Mogłabym cały dzień spędzać, leżąc na kanapie, iskając kota i patrząc na ludzi, którzy próbują wam wcisnąć płyn do czyszczenia łazienek „wszystko w jednym” w programie Berta Newtona. To było miłe zakraść się do własnego mieszkania przed południem. To jak powrót do łona. Niestety, teraz muszę wracać do pracy.

Nie, chwileczkę. Kartka urodzinowa dla Kylie.

- Proszę się tu zatrzymać.

Pięć minut dalej, stosunkowo blisko biura, jest kiosk z gazetami. Wiem na pewno, że tam właśnie sprzedają wyjątkowo obraźliwe i nieśmieszne kartki urodzinowe z penisem. Właśnie takie kartki Kylie lubi najbardziej ze wszystkich na całym świecie.

Kolejne pół godziny - nietrudno to przewidzieć, prawda? - zabiera mi pobieżne przejrzanie wszystkich kartek, które tam mają. W końcu wybieram kartkę z *Dawidem* Michała Anioła, który ma przyczepiony balon w miejscu, gdzie powinny być genitalia, i czekoladowe serce w czerwonej folii. Prawdopodobnie resztki po Walentynkach, ale to jedyny prezent za mniej więcej dziesięć dolarów, jaki w tym kiosku mają.

Dopiero kiedy sięgam do kieszeni kurtki po portmonetkę, orientuję się, że zostawiłam ją w taksówce. Nie tylko ją. Telefon komórkowy też.

Dzięki ci Boże. Czy to jest kara za odrzucenie Grahama, mężczyzny, który chętnie wita chrześcijan?

Już sam wybór kartki z balonem przyczepionym do krocza jest dość zawstydzający. Nie mówiąc o sytuacji, kiedy nie ma się czym za nią zapłacić.

- Przepraszam, zostawiłam portfel w taksówce. Czy mogę wrócić i zapłacić później?

To dla mojej przyjaciółki.

Mężczyzna za kontuarem rzuca mi spojrzenie, które oznacza, że nie wierzy w żadne moje słowo.

A potem z powrotem do pracy, biegnę na wysokich obcasach, ciężko dysząc. Nie wiem właściwie, po co się trudzę. Zegar nad recepcją mówi mi, że cały ten wypad zajął dwie godziny.

Kiedy w końcu wpadam do swojego boksu, okazuje się, że taksówkarz był tam przede mną. Razem z moją portmonetką i telefonem.

- Był naprawdę okropny - syczy Kylie. - Cały czas zerkał Bobbi pod spódnicę. Ona chce cię zobaczyć.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę chce cię zobaczyć. I powiem ci też coś o rachunkowości. Wszyscy się zrzucili i wyszło im dwadzieścia dolarów. Podziel to na pięć osób i sama powiedz, kto tu jest świnią!

- Tak, okropne!

Wreszcie puszcza mnie. Niewątpliwie moje myśli nie dotyczą jej problemów, tylko moich własnych. Dlaczego miałyby być inaczej? Bobbi mnie wykastuje.

Pukam do niej. Dlaczego ona zawsze zamyka drzwi? To sprawia, że jestem jeszcze bardziej przerażona. Telefon komórkowy leży na jej biurku. Podejrzewam, że w raporcie policyjnym nazwano by go dowodem rzeczowym. Bobbi patrzy na niego, jakby też tak uważała.

- A teraz...

O nie, system trzech ostrzeżeń. A jednak Bobbi przechodzi od razu do rzeczy.

- Będziesz odpracowywać stracony czas po godzinach i nie wolno ci więcej korzystać z telefonu komórkowego.

- Dziękuję.

- Klient przyjął twoją reklamówkę konkursu ze szkolnym obuwiem.

- Och, to wspaniale.

- Jeśli jeszcze raz będę musiała z tobą porozmawiać o przewinieniu, będziesz musiała natychmiast zrezygnować z pracy. Twoje rzeczy zostaną spakowane i wysłane przez kuriera do domu.

- Oczywiście!

- To wszystko.

Kiedy na miękkich nogach wychodzę z biura Bobbi, Kylie dalej krąży wśród boksów i

zebrze o dodatkowe pięć dolarów, które zamienią nudne czekoladowe ciasto w o wiele bardziej ekscytujący torcik Czarna Puszcza.

- Zrobiła to? - krzyczy ponad boksami.

Podnoszą się głowy, jak łebki płochliwych zwierzątek pustynnych, z filmach przyrodniczych Walta Disneya.

Kręcę przecząco głową. Podejrzewam, że gdyby wszyscy mnie tu lubili, usłyszałabym pełne otuchy słowa, ale nic takiego się nie dzieje. Oni tylko chcieli, żeby wrócił ich telefon komórkowy.

Zaraz po pierwszej wszyscy ewakuują się z budynku. Idą na lunch. Ja zostaję. Nie tylko dam Bobbi nadgodziny, dam jej też nadnadgodziny. Z drugiej jednak strony jaki ma to sens, skoro ona zniknęła gdzieś w Baywater albo w innym podobnym miejscu, żeby zjeść odrobinę pasty z kałamarnicy, i nawet mnie nie zobaczy?

O wpół do drugiej umieram z głodu, a mój żołądek wydaje dziwaczne odgłosy, jakby przemawiały przeze mnie złe duchy. Na szczęście ktoś zostawił w szafce kuchennej paczkę makaronu błyskawicznego. Wiedziałam już o nim od pewnego czasu. Kimkolwiek jest jego właściciel, myślał, że makaron będzie bezpieczny za rzędem plastikowych puszek z tyłu szafki pod zlewem. Niestety, tam właśnie chowałam kiedyś moje czekoladowe ciasteczka, znam więc tę kryjówkę.

Chciałabym, żeby to był normalny makaron, ale to coś ze sklepu ze zdrową żywnością, ze specjalnego ziarna z dodatkiem sosu miso. Jestem odrobinę rozczarowana, ale jeśli mam wybierać między czymś, co jest dla mnie dobre, a śmiercią głodową, nie ma tak naprawdę wyjścia. Wrzucam wszystko do kubka po kawie, którego nawet nie chciało mi się myć - taka jestem głodna - i praktycznie wypijam. Tak jak podejrzewałam, jest po prostu wstrętny.

Zaraz po drugiej obowiązkowi pracownicy powoli zaczynają wracać. Wreszcie dwadzieścia pod drugiej zjawia się Kylie. Macha do mnie pomarańczową aksamitną chustką. Okazuje się, że jedna z jej siostr zabrała ją do japońskiej restauracji, a druga podarowała jej tę chustkę.

- Chciałam kupić ci prezent, ale to było właśnie wtedy, kiedy zostawiłam w taksówce portfel - mówię jej i wypada to żałośnie.

- Nie szkodzi.

Dobrze wiem, że jest wręcz przeciwnie.

- A tak przy okazji... - zaczyna. - Tak?

- Breakfast Grits chcieli kopię ostatecznej wersji twojej reklamówki. Nie mogłam jej

znaleźć, więc przejrzałam zawartość twojego komputera pod kątem czegoś z Grits i wysłałam im to. Przepraszam. Musiałam. Nie było cię - mówi znacząco.

- W porządku.

Ale nie jest w porządku, bo pół godziny później podchodzi Bobbi w swoich lakierkach na obcasie i macha mi przed nosem faksem. To od faceta z Breakfast Grits. Tego grubego. Jak mu tam. Najwyraźniej Kylie wysłała mu plik z tekstem zatytułowanym ARGUMENTY DOTYCZĄCE BZYKANIA SIĘ Z LIAMEM, a ściślej mówiąc: argumenty dotyczące bzykania się Z LIAMEM.

Podpisuję rezygnację na pięć minut przedtem, nim Bobbi sama mnie wyleje. A tak przy okazji, to był jej makaron.

Lata minęły od czasu, kiedy ostatni raz obudziłam się bezrobotna. To było zaraz po tym, jak skończyłam uniwersytet, dzień po otrzymaniu licencji. Właściwie wszyscy wtedy budzimy się bezrobotni. Nigdy wcześniej nie robiłam tego sama.

Najwyraźniej - mówi mi przez telefon Hilary - stałam się próżniakiem. Brzmi to bardzo sztywno. Nie wiem, skąd ona merze takie słowa. Może z gazetek, które czyta pod biurkiem w bibliotece.

- Właściwie Vic, ty zawsze byłaś próżniakiem. Tyle że miałaś pracę, nikt więc o tym nie wiedział.

- Myślisz, że mogłabym zostać bibliotekarką?

- Przecież nic nie czytasz.

- Wszystko, co musisz robić, sprowadza się do odkładania książek na miejsce, prawda?

- Spróbuj i bądź dla mnie miła - z góry dziękuję - to za pół roku możesz zacząć błagać mnie o pracę.

Hmm, sprzątanie z pufów dla dzieci.

Z drugiej strony czy ja rzeczywiście chcę porządnej pracy? Może jednak naprawdę jestem próżniakiem. Może wreszcie odnalazłam siebie. Zastanawiam się, czego tak naprawdę wymaga lenistwo? Chyba powinnam przez cały dzień leżeć w workowatych gaciach i bawić się kolczykiem w pępku tak długo, aż dostanę zakażenia.

Dociera do mnie, że nie wiem, ile wynosi zasiłek, toteż zaraz po śniadaniu dzwonię do urzędu pracy. To trochę jak pytanie o wyniki w lotto, tyle że kiedy mówią o wynikach, jest to trochę mnie ekscytujące. Suma, z której mam wyżyć, wprawia mnie w takie osłupienie, że nie wytrzymuję i pytam:

- To wszystko?

- Tak - odpowiada głos po drugiej stronie.

Właśnie wymyśliłam pracę dla siebie. Mogłabym dostać dziecięcy ksylofon i grać melodyjkę dla oczekujących na połączenie linii telefonicznej do informacji o zasiłkach. Albo mogłabym być żywą tarczą telefoniczną: „Wybierz jeden, jeśli chcesz się dowiedzieć, czy to dział pomocy społecznej; dwa, jeśli interesują cię darmowe obiady w Armii Zbawienia; trzy, jeśli jesteś na samym dnie”.

Po lunchu - na który zjadłam to samo, co na śniadanie, czyli wielką miskę muesli - idę do kiosku. Kupuję stos czasopism z ogłoszeniami i gazety ze wszystkich stanów Australii.

Jestem pewna, że w buszu jest mniejsza konkurencja na rynku reklamówek dla konkursów, w których można wygrać szkolne obuwie. Na próżno szukam też czasopisma pod tytułem „Styl Życia Próźniaka”, chyba lenistwo przeszkodziło w umieszczeniu go na stojaku.

Roger siada na stronie, którą właśnie zamierzałam przeczytać, gdy tylko rozkładam wszystko na łóżku.

- Dlaczego to robisz? Mogłeś usiąść tu, ale ty musiałeś usiąść na stronie z ogłoszeniami o pracę. Nienawidzę cię.

Gdy łapię się na tym, że do niego mówię, natychmiast milknę. Powoli staję się żalną samotną kobietą. Wbrew własnej woli staję się żalną samotną kobietą.

Zamieścili kilka wspaniałych ofert. Rewelacyjnych, interesujących, dobrze płatnych. Nigdy nie dostanę takiej pracy.

Zakreślałam kluczowe słowa w ogłoszeniach, żeby móc wykorzystać pewien cwany manewr - sprawdza się ich znaczenie w słowniku, szuka się synonimów, a potem sprytnie umieszcza się je w liście motywacyjnym. Dzięki temu można zamydlić wszystkim oczy i dostać pracę.

Mała ambitna agencja szuka zdecydowanej osoby z inicjatywą. Wymagana umiejętność pracy w grupie i porozumiewania się z klientem.

Dobra. Droga mała ambitna agencjo. Jestem osobą z inicjatywą, z napędem, zdopingowaną, zdeterminowaną. Lubię też myśleć o osobie jako o współpracowniku, współuczestniku, kompanie, kumplu i towarzyszu podróży.

A co ważniejsze, nie ukradnę waszemu szefowi makaronu kupionego w sklepie ze zdrową żywnością, nawet jeśli go chytrze schowa za rządkiem puszek z tyłu szafki pod zlewem. Ani też nie będę zabierać do domu waszego wspólnego telefonu komórkowego. Zwłaszcza jeśli ustalicie, że on nigdy nie może znaleźć się poza biurem.

Gdy tak siedzę na łóżku otoczona tymi wszystkimi czasopismami i gazetami, nachodzi mnie straszna chęć na cappuccino. To chyba pierwsza przeszkoda, której próźniak musi stawić czoło. . Mniej więcej w tym czasie Kylie idzie do kuchni z tacką, żeby wrócić z białymi kubeczkami styropianowymi dla każdego. Cholera. Kylie.

Dzwonię do niej.

- To ja.

- Kto?

- Szybko zapominasz. Victoria. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że szukam dla ciebie

urodzinowego prezentu. Nie zapomniałam.

- Naprawdę dlatego dzwonisz?

- Tak!

- Bobbi mówiła, żebym ci o niczym nie opowiadała.

- To znaczy?

- Na przykład o pracy. Uważa, że pójdziesz do innej agencji i powiesz co my tu knujemy. - Aha, rzeczywiście. Przekażę im na przykład śmiertelnie nie - ; bezpieczne informacje na temat katalogów dla architektów krajobrazu. Jakaż to zabójczą bronią dysponuję!

- W każdym razie z twojego powodu jest teraz strasznie cięża na prywatne rozmowy telefoniczne...

- To lepiej już idź.

- Aha. Do zobaczenia. Chciałabym dostać lakier do paznokci Chanel, taki, który wpada prawie w czerń.

Odkładałam słuchawkę. Potrzebuję kilku minut, żeby to do mnie dotarło. Ona, Kylie, pracująca dziewczyna, prosi mnie, bezrobotnego próżniaka, żebym kupiła jej na urodziny Chanel? Dostanie więc za karę wstrętne niebieskie sari, które podarowała mi Jodie na ostatnie Boże Narodzenie i którego jeszcze nawet nie rozpakowałam.

- Niech się wypcha.

O nie! Znowu mówię do kota.

Czytam gazetę. Nie czytałam gazety od deski do deski chyba od czasów tamtego konkursu. Na kilku stronach ukryto miniaturkę banknotu jednodolarowego. Trzeba było podać numery tych stron i można było wygrać samochód.

Orientuję się, że dużo się wydarzyło podczas gdy ja byłam całkowicie pochłonięta moim żalnym życiem uczuciowym. Po pierwsze ponoć staliśmy się republiką. Ups! Chyba to przegapiłam. Ktoś przedstawił propozycję, żeby zmienić flagę na zielonożółtą - zupełnie jak te stare paczki serowo - cebulowych chipsów, które kiedyś można było dostać w sklepach ze słodyczami. To dość żenujące, ale najwyraźniej na bieżąco jestem wyłącznie z różnymi nowinkami typu operacja biodra Liz Taylor. A plotki na temat rozstania się dziewczyn ze Spice Girls? Też coś! O tym wiedziałam już miesiące temu.

Główny artykuł poświęcono ministerstwu zdrowia, które zostało postawione w stan alarmu z powodu nowych statystyk dotyczących nastolatek na diecie. Połowa z nich skończy z atakiem serca, ponieważ są osłabione, a druga po prostu się wyniszczy. Ministerstwo ma zamiar przeprowadzić kampanię informacyjną. Chce przekonać dziewczęta, aby nie

próbowały upodobnić się do aktorek z *Przyjaciół*.

- Najwyższy czas - mówię do Rogera, który leży teraz w pozycji pieczonego kurczaka, z uniesionymi łapami. Tylko czeka na białe papierowe torebki na każdą łapę. Tak, wiem, znowu gadam z kotem, ale mam to gdzieś.

I wtedy to do mnie dociera. Aż mam ochotę walnąć się w czoło, tyle że to za bardzo by bolało.

- Tak!

Nie jest to może w stylu próżniaka, ale dobry pomysł to dobry pomysł. Niczym osoba z napędem, zdopingowana i zdeterminowana, włączam komputer i wreszcie po raz pierwszy od kilku miesięcy wykorzystuję go do czegoś konstruktywnego. Piszę list, w którym sprzedaję siebie ludziom, którzy mogliby mi zaoferować dobrze płatną pracę.

Ludziom, którzy mogliby zechcieć kogoś takiego, jak ja - kobietę, która ma za sobą tragiczne doświadczenia związane z odchudzaniem. Mogłabym pisać przestrogi dla dziewcząt, które żyją kanapkami z tartą marchewką.

Potem wychodzę i idę (tak, idę, za cenę biletu autobusowego mogę sobie teraz kupić makaron na lunch, wiadomo) do mojej matki.

Zajmuje się czymś zeznaniem podatkowym. Ona i jej klient chyba cieszą się, że przerwałam im pracę.

- Przepraszam, chciałam się tylko dostać do garażu - mówię stojąc w progu.

- Och! Nie w pracy? - dziwi się matka, gramoląc się po klucze. Wyjaśnienia zajęłyby przynajmniej pół dnia, prawda? Dlatego nie mówię nic, mruczę tylko coś o projekcie dla ministerstwa zdrowia i że muszę znaleźć kilka swoich starych książek, które spakowałam i zniosłam na dół.

- Czy to ktoś, kto uchyla się od płacenia podatków? - pytam matkę, kiedy podnosi zardzewiałe drzwi do garażu.

- Okno jest otwarte - szepcze.

- Przepraszam.

- Oto one.

Macha rękaw stroną stosu kartonowych pudeł, okropnych, starych zielonych foteli i pudełek po herbacie, w które została zapakowana większa część jej małżeńskiego życia i moich szkolnych czasów.

To zabawne, że wszyscy ludzie to samo trzymają w garażach. Makramowe wieszaki do doniczek w kształcie sowy. Okrągłe pomarańczowe abażury z plastiku. Notatniki z telefonami. Stos, *Women's Weekly* ze zdjęciem księżniczki Anny z włosami upiętymi

wysoko w kok, wysiadającej z samolotu.

Kiedy moja matka w końcu znika, zaczynam szukać swoich pamiętników. Albo czegoś, co można by tak nazwać. Nigdy nie byłam w tym zbyt dobra. Ludzie zwykle dawali mi na Gwiazdkę« pamiętniki, a ja bez większego entuzjazmu starałam się je wypełnić. To wszystko. Wiem jednak, że w którymś z tych pudeł znajduje się pamiętnik z zimy, kiedy miałam anoreksję i Jamiego Streetona. Będę go potrzebowała, jeżeli przekonam ministerstwo, żeby pozwoliło mi pracować przy tej kampanii. Więc...

Leżą w starym wiklinowym koszu na brudną bieliznę obok porządnie podpisanych kartonowych pudeł mamy z notatkami z kursów księgowości. Śmierdzą - głównie z powodu pleśni, która porasta skajowe pokrywki pudeł, a także z powodu do połowy opróżnionych buteleczek perfum, które w pewnym momencie tam wrzuciłam. Mój Boże, i to perfum, które kupuje się, gdy się ma osiemnaście lat. Wszystkie nazywają się Wyzwanie albo coś w tym guście! I pachną jak pisuary. Nic dziwnego, że chłopcy mnie rzucali.

Całe moje życie zostało upchane w koszu na bieliznę. Jest tam Humpty Dumpty. Wygląda blado i słabowicie, chociaż kiedy go dostałam, był wściekle różowy. Schowałam też naprawdę paskudne plastikowe trofeum, które miało pewnie przypominać srebrny puchar, z napisem „Dla najlepszej na świecie dziewczyny”. Dał mi to Greg Dały.

Są tam również stare zdjęcia, na przykład ja i Hilary' przed namiotem. To fotografie tego samego obozu, na którym Eva Matematyczny Geniusz przeżyła ciężkie chwile z powodu gry w butelkę. No i pięciopalczaste skarpetki - fuj, pięciopalczaste skarpetki, myśmy naprawdę je nosiły? Jest nawet plakat z Boomtown Rats z Bobem Geldofem w ogromnych okularach przeciwsłonecznych.

Nie jestem pewna, czy ktokolwiek wie, że wszystkie moje pamiętniki, w których piszę o nieszczęśliwych miłościach z okresu dojrzewania, znajdują się tutaj.

Może fakt, że trzeba najpierw przekopać się przez pokłady rzeczy takich, jak Humpty, Dumpty i pięciopalczaste skarpetki, wystarczy, żeby zniechęcić ciekawskich. Oto i on. 1990 rok. Rok, kiedy skończyłam dwadzieścia dwa lata, rok Jamiego Streetona, rok, w którym zastosowałam wyjątkowo skuteczną dietę marchewkową, i rok, w którym raz na zawsze dałam sobie spokój z pisaniem pamiętników.

Na marginesach też jest coś na ten temat. Czuję, jak wszystko to do mnie wraca. Na początku czerwca na samym środku napisałam drukowanymi literami: *DLACZEGO JESTEM JEDYNĄ OSOBA, KTÓRA NIE POTRAFI WŁOŻYĆ SOBIE PALCÓW DO GARDŁA?*

Ale to nie niekończące się liczenie kaloriami nie nudne przepisy (sałatka z pomarańczy i wodnej rukwii) tak na mnie działają. To kawałki na temat Jamiego.

Piątego lipca napisałam tak: *Myszę, że chciał mi dzisiaj powiedzieć, że mnie kocha. Poszliśmy na spacer na plażę i wiem, że coś mi chciał powiedzieć, ale nie mógł. Może uważa, że jest jeszcze zbyt wcześnie?*

I co wprawia mnie w szczególne zakłopotanie - na dole każdej strony notowałam, ile dni już razem jesteśmy. Nie godziny i minuty, ale zdecydowanie liczyłam dni.

Cóż więc, Victorio Shepworth od Kompletnie Nieudanych Cholernych Związków, nic się nie zmieniło, prawda? Jeśli się nad tym zastanowić, to wszystkie moje związki z mężczyznami w dwóch trzecich opierały się na wyobraźni, a w jednej trzeciej bazowały na rzeczywistości.

Tu właśnie to się zaczęło. On nie zamierzał mi powiedzieć, że mnie kocha. Jeśli chciał mi coś powiedzieć, a nie potrafił, to pewnie chodziło mu o to, że kiedy wchodzę do wody w bikini, wyglądam jak więzień obozu koncentracyjnego.

Pamiętam, że kopał kawałki glonów, jakby to była piłka. To typowy dla Jamiego sposób radzenia sobie z problemami. Kopanie nieożywionych przedmiotów.

Dan robił podobnie. Dzień, w którym wykopał przez okno zielony futrzany budzik, był dniem, kiedy mu powiedziałam, że wyrzuciłam do kosza pigułki.

Bez sensu jest pytanie, co z nimi wszystkimi było nie tak. Lepiej wyjdę, jeśli zapytam siebie, co jest nie tak ze mną. Na dobry początek mogłabym przestać fantazjować na temat swojego życia uczuciowego. To sprawia, że trzęsę się ze strachu. Miałam dwadzieścia dwa lata, odchudzałam się - samo to już jest wstydlive - i wymyślałam idiotyzmy w stylu: „Myszę, że chciał mi dzisiaj powiedzieć, że mnie kocha”.

Osiem lat później zakochuję się we własnych fantazjach na temat Anglika o imieniu Pierre, który istnieje tylko w głowie Billa. I jeszcze faceci tacy jak Liam. Naiwnie wierzyłam, że może chcieć ode mnie czegoś więcej niż dwóch dni seksu w górskim hoteliku, choć oczywiście wcale nie chciał.

W pewnym sensie chciałabym wrócić do czasów pięciopalczastych skarpetek. Wtedy przynajmniej życie było proste. Fantazjowałam, ale moje fantazje dotyczyły wtedy Boba Geldofa albo Davida Soula. Czyli nikogo, z kim miałabym szansę się spotykać. Nikogo, na kogo mogłabym wpaść w Woolworths. Ciekawe, co się stało z Davidem Soulem?

Nie jestem pewna, jak należy się zachowywać, kiedy jest się bezrobotnym. Czy to jest jak śmierć w rodzinie? Czy powinnam do wszystkich zadzwonić i powiedzieć: „Siedzisz? To słuchaj ... „, czy też raczej nie należy o tym w ogóle wspominać?

Po trzecim z rzędu lunchu, na który zjadłam talerz muesli, zastanawiam się nad możliwymi reakcjami.

Jodie i Didi będą strasznie podniecone.

Mama prawdopodobnie zaproponuje mi pracę w charakterze sprzątaczk.

Tato może przyśle pieniądze.

Obmierzły Prawnik z Leichhardt pewnie powie: A nie mówiłem?”.

I wtedy, zaraz po lunchu, wydarza się coś cudownego. Dzwoni kobieta z ministerstwa zdrowia i mówi, że bardzo jej się podobał mój list. Tłumaczy też, że nie wie, jaki na ten cel przeznaczono budżet i czy będą zatrudniać wolnych strzelców, ale w tym momencie wyłączam się i myślę tylko o tym, żeby odtańczyć taniec zwycięstwa w czarnych skarpetkach (noszonych trzeci dzień z rzędu).

Ponieważ przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny właściwie do nikogo się nie odzywałam, zaczynam bełkotać:

- Chodzi o to, że kiedy byłam młodsza, miałam anoreksję. Wczoraj nawet odnalazłam wszystkie moje stare pamiętniki, żeby poszukać pomysłów...

- Victorio, zadzwonię do pani, gdy tylko będę wiedzieć, na czym stoimy.

Z tonu jej głosu wnioskuję, że w głębi duszy żałuje, że na zakończenie rozmowy nie ma jakiejś melodyjki na ksylofonie, którą mogłabym puścić. Mimo to gdy odkładam słuchawkę, czuję się jak Cathy Freeman po pobiciu rekordu.

Tak! Jeśli o mnie chodzi, to koniec z bezrobociem. Bardziej ostrożne kobiety poczekałyby na bardziej konkretny sygnał - na przykład na kolejny telefon - jednak jeśli o mnie chodzi, to dobry pretekst do świętowania.

Wychodzę więc z domu i idę do fryzjera. Drogiego. Zakład nazywa się Robi. Jak „on robi”.

Na miejscu widzę, że wszyscy pracownicy na czarnych gumowych fartuchach mają napis ROBI. Proponują mi herbatę, kawę bezkofeinową, miętę, rumianek albo wodę, a to znaczy, że muszą być dobrzy.

Być może kiedyś u fryzjera będą też częstowali alkoholem. Bóg jeden wie, jak mi czasem tego brakuje. Wszystkich mi przedstawiono - kobietę, która parzy herbatę, kobietę,

która myje włosy, mężczyznę, który nakłada farbę, i mężczyznę, który strzyże.

Ten ostatni nazywa się Shy* [ang. nieśmiały]. Nie żartuję. Nazywa się Shy i pracuje w Robi. Shy ma kaskadę włosów po lewej stronie głowy, z pasemkami jasnoblond. Włosy po prawej stronie są krótkie i kruczoczarne. Ma w uchu tyle kolczyków, że przypomina ono karnisz.

- Lubisz gotyckiego rocka? - pyta. - Hmm...

Kurczę, co on sobie myśli, że niby kim ja jestem? Na miłość boską, mam trzydzieści lat. Zresztą nieważne. Lata doświadczeń u fryzjera nauczyły mnie, żeby na wszystkie pytania odpowiadać „hmm... w przeciwnym wypadku zostaniesz oskalpowana.

- Możesz włączyć Blood Cult Suckers? - prosi swoją dziewczynę, która stoi obok jako moralne wsparcie.

Dziewczyna odchodzi, postukując niesamowicie wielkimi czerwonymi skórzanymi butami - tup, tup, tup - i wkrótce z głośników leci coś, co przypomina Rogera, gdy mu przyciąg drzwiami od samochodu ogon. Kiedy dziewczyna wraca, ma buty uwalane ścinkami włosów. Może ona i Shy zbiorą je później i wykorzystają w jakimś rytualnym celu.

- Podobają mi się twoje włosy - mówi Shy. - Super.

- Dzięki.

- Trocheje podcieniuję.

Kiwam głową. Czy fryzjerzy kiedykolwiek robią coś poza cieniowaniem?

Ktoś podgłośnił jeszcze Bloodsucking Freaks czy jak to się tam nazywa. Mam wrażenie, że Shy przycina włosy w rytm muzyki.

- Przerwa w pracy? - pyta.

Kiwam głową. No cóż, jest środek dnia.

- Staraj się nie ruszać głową - mówi. - Czym się zajmujesz?

- Piszę hasła o frisbee w Breakfast Grits.

- Och! Nie może być. Uwielbiamy te frisbee.

- Naprawdę?

Może mimo wszystko przysłużyłam się ludzkości.

- Tylko tym się zajmujesz?

- Właściwie to piszę hasła o wszystkim. Pracuję w reklamie.

- Może w takim razie powinnaś porozmawiać z Neville'em.

- Może powinnam.

Kim do cholery, jest ten Neville? I w jaki sposób Shy widzi, co robi, skoro kaskada włosów zakrywa mu lewe oko?

Woła Neville'a. Pojawia się olbrzym z kręconymi włosami i trzydniowym zarostem. Też ma na sobie gumowy fartuch, tyle że biały. Zgodnie z oznaczeniami ze *Star Treka* jest chyba kapitanem statku. Właściwie wszyscy tutaj wyglądają jak skrzaty z domku świętego Mikołaja. Albo jak zgraja rzeźników.

- Jak masz na imię? - pyta mnie Shy.

Myślałam, że już to przerabialiśmy, kiedy ktoś odwieszał moją torebkę.

- Victoria.

- Neville, Victoria pisze. Hasła reklamowe. Zajmowała się frisbee dla Breakfast Grits.

- Heeej! - rzuca Neville niezwykle podekscytowany. O co chodzi z tymi frisbee?

- To te, które wyglądają jak rzygi - kończy, odpowiadając na moje pytanie.

- To właśnie powiedziałam im na naradzie - mówię. - Wyglądają jak sztuczne wymiociny, które można kupić w sklepach ze śmiesznymi rzeczami.

- Uwielbiamy je - powtarza Shy, przycinając mi włosy przy uchu.

- Potrzebujemy kogoś, kto zająłby się naszymi sprawami - wyjaśnia Neville. - Wydajemy nową broszurę. Ile bierzesz?

- Ostatnio pracuję za kocie żarcie.

Słyszając to, Neville się śmieje. Czuję, że niechcący mnie opluł.

- Ostatnim razem mieliśmy straszne gówno. - Staje za mną i mówi do mojego odbicia w lustrze. - Taka broszurka, w której był tekst „Robi każdą fryzurę robi”. To brzmiało jak...

- Jakby ktoś śpiewał kawałek Abby - przerywa mu Shy. - Robi, tobi, la, la, la. Co za bzdury.

- Jak się ma taką nazwę jak Robi - mówię, starając się sprawić wrażenie profesjonalistki - nie potrzeba już żadnych gier słownych.

- Tak właśnie myślałem - stwierdza Neville.

I po chwili musi już gdzieś iść. Pewnie ktoś właśnie utopił się w zlewie.

- Ejże - mówi Shy. - Zajmij się czymś, dziewczyno.

Facet od farbowania bierze mnie w swoje ręce i pozbywa się resztek rudego koloru. Z boków robi kilka pasemek blond.

Ktoś zostawił „Cosmopolitan”, biorę go więc i czytam swój horoskop.

- Uran poszerzy twoje horyzonty. Wszystko staje się możliwe - czyta mi przez ramię mężczyzna od farbowania.

- Ciebie też to dotyczy? - pytam.

- Aha. Jestem spod Bliźniąt. Ty też jesteś Bliźniakiem? - Tak.

Po takim stwierdzeniu niewiele już chyba można powiedzieć. W końcu okazuje się, że

absolutnie nic nas nie łączy poza tym, że oboje lubimy czytać horoskopy. Potem jednak mówi coś, co sprawia, że mi szczęka opada.

- Chyba właśnie poszerzam horyzonty. Zaczynam jako wolny strzelec. Właściwie to mój pierwszy dzień. Pierwszy dzień wolności! - prychnął.

Zastanawiałam się, dlaczego nie nosi gumowego fartucha jak reszta.

- To dopiero zbieg okoliczności - mówię powoli. - Ja też zaczęłam pracować jako wolny strzelec.

- O proszę, już kończymy. Zostawię cię teraz na dwadzieścia minut przy lampie, a potem Shy skończy. Herbaty czy kawy?

Patrzę na siebie w lustrze. Wolny strzelec. Poszerzenie horyzontów. Wolny strzelec. Ciekawe, czy wciąż wybiera się Kobietę Roku...

To naprawdę jakiś żart. Jak na razie słabe, ledwie zauważalne, potencjalne zainteresowanie okazało ministerstwo, dostałam też propozycję napisania tekstu do broszurki dla zakładu fryzjerskiego o nazwie Robi. A jednak podoba mi się etykieta, którą właśnie sobie przyczepiłam.

Dzięki niej zaczynam myśleć, że ta historia z Bobbi nie była znowu taką katastrofą. Zaczynam czuć, że dla odmiany robię coś sensownego. No i - to jest najdziwniejsze - nie mam już nic przeciwko temu, żeby działać w pojedynkę.

Kiedy Shy kończy obcinać, dmucha suszarką to z prawej, to z lewej strony, to znowu każe mi zwiesić głowę, wciąż o tym myślę. To jedna z tych rzeczy, o których wszyscy w reklamie mówili mi, że nigdy, przenigdy nie wolno mi tego robić. Każdy wie, że to niepewny kawałek chleba. Czeka zawsze się spóźniają przynajmniej trzy miesiące. A jednak jest coś w określeniu „wolny strzelec”. Może chodzi o przymiotnik - „wolny”. Wolny strzelec. To moja perspektywa. Poszerzająca się.

- Gotowe.

Shy skończył. Jego dziewczyna usłużnie trzyma lusterko z jednej strony, a on z drugiej. Włosy są delikatne i puszyste. Wyglądam tak mięciutko i puszyście jak mały brązowy piesek zaraz po kąpieli.

I pachnę ziołami. Już nie jestem ruda i najeżona. Jeśli mam być szczerą, to prawdziwa ulga.

Kiedy wstaję, żeby znaleźć swoją torebkę, przybiega Neville znowu.

- Masz wizytówkę? - pyta.

Ups! Wizytówka. Jest o czym pomyśleć. To bardzo nieprofesjonalne, że wolny strzelec jej nie ma.

- Przepraszam, właśnie oddałam ostatnią - kłamię.

- Proszę, to nasza.

Jest czarna z czarnym lśniącym napisem na górze. Ledwie można go odczytać.

- Zadzwoń do nas! - woła wesoło i zostawia mnie. Nową, podekscytowaną, puszystą, brązowowłosą kobietę o szerszych horyzontach.

A potem jakoś, kiedy idę do autobusu, przychodzi mi na myśl, że może będę potrzebowała nowych ubrań. Pasujących do mojego nowego życia - puszystego? podniecającego i swobodnego.

To, co mam dziś na sobie, kupiłam albo z Danem zerkającym mi przez ramię, albo z myślą o uwiedzeniu Liama. I to widać.

Góra jest bardzo w stylu Dana - bladoniebieska lniana koszula i kretyńsko drogi pasek - a dół to typowy Liam. Krótka niebieska plisowana spódnica rodem z fantazji o pensjonarkach i buty na wysokim obcasie, które zaprojektowano z myślą o tym, aby podwyższały i zabijały. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądam jak prostytutka, która próbuje dostać pracę w firmie prawniczej. Zupełnie nie jak wolny strzelec.

Sprzedawczyni krzyczy do mnie „Jak się pani ma!” z drugiego końca sklepu, odkrzykuję jej więc „W porządku!” i pędzę w najdalszy kąt, jaki mogę znaleźć. Jak zwykle wisi tam pięć par czarnych spodni w rozmiarze osiem i nic poza serią połyskujących koszul z satyny w kolorze musztardowym. Przesuwając się w stronę purpurowego rzędu (wiem, że oni chcą, aby nazywać ten kolor bordo, ale dla mnie to purpurowy), znajduję spódnicę, która doskonale by wyglądała na dziewczynie Shya, marynarkę dla Hilary na konferencję bibliotekarzy i w końcu - nareszcie - top, za który oddałabym wszystko. Tyle że uszyto go z myślą o kobiecie z piersiami Marilyn Monroe około roku 1958.

Wtedy to do mnie dociera. Wszystko robię źle. Za każdym razem staram się zapewnić sobie Nowy Start. I co wtedy zwykle robię? Właśnie. Wydaję sto pięćdziesiąt dolarów na fryzjera i dwa razy tyle na nowe ciuchy.

Dzisiaj jedyna różnica polega na tym że jestem bezrobotna. To sprawia, że jestem bardziej podniecona własną niepoczytalnością, ale niewiele więcej.

Dzięki pieniądзом, które właśnie zamierzam wydać, mogłabym zmienić się od środka. Mogłabym się zapisać na jedno z tych weekendowych seminariów z kimś z Los Angeles, kto ma wąsy i nazywa się doktor - dajmy na to - John Bobenschloss. Do cholery, mogłabym je wydać na wakacje. Tak, wprawdzie byłyby to wakacje w pojedynkę, ale co z tego? Wakacje to wakacje.

Daję drapakę ze sklepu, nim sprzedawczyni zamacha do mnie czymś, co właśnie

zdjęła z zielonego (przepraszam, pistacjowego) stojaka.

Mam ochotę powiedzieć jej, że właśnie odkryłam sens życia, i że może znaleźć swoje codzienne spełnienie w czymś innym niż brązowy żakiet z dopasowaną beżową apaszką.

Jestem kretynką. Jedyne, co odkryłam, to to, że mam dość silnej woli, aby nie wydać wszystkich pieniędzy na nowe ubrania, których nie potrzebuję. Ale to właśnie to. Nie potrzebuję kawałka materiału, żeby dowiedzieć się coś o sobie. W przeciwieństwie do Australii nie potrzebuję czegoś zielonego i żółtego, abym móc się oszukiwać, że wiem, kim jestem.

Po powrocie do domu myślę o innych rzeczach, których wcale nie potrzebuję. Zaczynam je liczyć najpierw na palcach jednej ręki, potem drugiej... Zabrakło mi palców, zaczynam więc wszystko spisywać. Oto moja lista.

Greg Dały Phillip Zebruscki Jamie Streeton Leon Mercer Anthony Anderson Obmierzły Prawnik z Leichhardt Makramiarz A kiedy później słyszę kroki Billa na schodach, przychodzi mi do głowy, że nie potrzebuję też Pierre'a Dubois. Z jakiegoś powodu zostawiłam go na sam koniec i trochę mnie martwiło, że nie mogę zapisać jego nazwiska razem z resztą. Do tej chwili. Więc oto on. .

I cholerny Pierre Dubois A potem dodaję do listy jeszcze kilka innych rzeczy.

Nie muszę przyjaźnić się z Wytatuowaną Prawniczką, chociaż dzięki temu świat stałby się szczęśliwszym miejscem. Nie potrzebuję porządnej pracy.

Wieczorem w łóżku ciągle jeszcze wyliczam. Nie potrzebuję *Mężczyźni są z Marsa, kobiety są z Wenus*, nie potrzebuję ę telefonów do wróżek, nie muszę już zmieniać fryzury, żeby zmienić swoje życie...

To niesamowite. Według moich obliczeń nie potrzebuję teraz jakichś trzydziestu procent swojego życia.

Kilka dni później dzwoni Didi. Jest podekscytowana. - Możesz wpaść i pomóc nam z grzybami? Nie bardzo wiem, co ma na myśli. Z jakimi grzybami? I dlaczego chce, żebym przy nich pomogła? Dlatego, że Hilary powiedziała im, że jestem próżniakiem? I teraz myślą, że mogą mnie po prostu traktować jak pomoc kuchenną?

Czekanie, aż Didi cokolwiek wyjaśni, zwykle jest stratą czasu, muszę więc zapytać.

- Dlaczego chcesz, żebym wam pomogła z grzybami?

- Bo Jodie musi naprawić projektor, a ja muszę pojechać do sklepu i kupić jeszcze trochę parmezanu.

- Jasne.

- Przyjedziesz, prawda?

- Po co?

- Na naszą premierę.

No tak. Premiera naszego filmu.

- Będzie twoja mama - dorzucą Didi.

- Świetnie.

- Wysłałyśmy ci zaproszenie.

- Nie dostałam go.

- Och... Ale wysłałyśmy. W środku było konfetti. Pomalowałam stare egzemplarze książki telefonicznej na różowo i pocięłam.

- W każdym razie dzięki.

Może Bill Spec kradł moją korespondencję. To byłoby do niego podobne.

Oczywiście nie przyłapałam go na tym. Właściwie, gdyby nie to, że wczoraj wieczorem na pewno słyszałam Elvisa Costello, nie wiedziałabym nawet, czy Bill jeszcze istnieje. Nie, żeby mnie to obchodziło. Ha. Ciekawe, czy już się domyślił, że na stałe wyłączyłam się z sieci.

Czasem nawet ja muszę przyznać, że moja fałszywa brawura jest godna podziwu.

Ale dziękuję, już dość się napłakałam z powodu specy z mieszkania nade mną.

Kiedy przyjeżdżam, Jodie właśnie próbuje nastawić projektor.

- Dlaczego nie zadzwonisz po kogoś?

Nie wiem za bardzo po kogo mogłabym zadzwonić. To po prostu stała kwestia w mojej rodzinie.

Zawsze tak było. Jeśli coś nawala, trzeba po prostu po kogoś zadzwonić.

- Nie, sama to zrobię - odpowiada dość gwałtownie jak na siebie.

- My pracujemy tutaj - woła Didi z kuchni.

Udało jej się wyłudzić trochę parmezanu od umęczonego sąsiada, zaczęłyśmy więc kroić ser.

Jodie kiwa głową. Na jej koszulce z Travoltą widać wielkie mokre plamy pod pachami, dzisiaj więc wygląda jak szalony naukowiec, pochłonięta lekturą instrukcji obsługi.

Podczas gdy nadziewamy grzyb po grzybie, Didi opowiada mi o Billu. Właściwie bez powodu.

- Nie chcę pominąć kontekstu - zaczyna.

- Oczywiście.

- Musisz zobaczyć całość, to, co ludzie mówią, usłyszeć muzykę, poczuć atmosferę tego filmu. Rozumiesz?

- Hmm...

Mnóstwo rozmów z Didi tak właśnie się zaczyna. Jakby się człowiek znalazł w środku jakiejś dziwnej duńskiej opery mydlanej na SBS.

- Możesz dodać więcej czosnku, jeśli chcesz. Po prostu... Nie wiem. To, co mówi Bill, to jeszcze nie cały film, rozumiesz?

- Ale to jedyny heteroseksualny mężczyzna w tym filmie - przyciskam Didi.

O co do licha chodzi tej kobiecie?

- No tak. Właściwie...

Długie milczenie.

- No dobra, co on w takim razie powiedział?

- Nie wiem. - Didi obrusza się i prycha.

- Nie jestem już na ciebie wściekła - kłamię.

- Za co?

- Za to, że go o to poprosiłaś.

W drugim pokoju Jodie wydaje z siebie dźwięki świadczące o tym, że próbuje naprawić projektor. Mam jednak wrażenie, że przysłuchuje się naszej rozmowie.

Przechodzę do saloniku, podkręcam głośniejszą piosenkę Enyi i wracam.

- Myślę, że on chyba mówi o tobie - mruczy Didi.

- O mnie?

- Powiedział, że miłość to lęk przed odsłonięciem się. - Naprawdę?

- Był niezły - szczebiocze, gryząc kawałek grzyba. - Po prostu wyskoczył z tym niespodziewanie.

Pomyślałam, że to musi dotyczyć ciebie. To o nieodkrywaniu się. Internetu i całej reszty.

- Łajdak - mówię, myślami błędząc gdzie indziej.

- Łajdak - powtarza z przyzwyczajenia Didi.

To chyba najnudniejsze słowo na świecie i przysięgałam sobie, że już nigdy w życiu go nie użyję, ale proszę, tylko spójrzcie na mnie. Nic nie mogę poradzić.

Więc to tak. Miłość to lęk przed odsłonięciem się, myślę siekając grzyby z przesadnym zacięciem. Z drugiej strony równie dobrze mógł mówić o swojej byłej dziewczynie. Biedna Gumowa Zatyczka.

Nie przestaję siekać.

Kilka godzin później, kiedy w kuchni wszystko już jest zrobione, Jodie i Didi znikają na skrzyżowaniu w swoim pokoju. Zostawiają mnie przy liście gości przyklejonej do drzwi lodówki. Wygląda na to, że przyjdzie całe Koło Kobiet, Hilary i Natalie, ja i moja matka.

Wtedy wpada mi do głowy coś strasznego.

- Jodie! - wrzeszczę przez czerwone sari wiszące w drzwiach do ich sypialni.

- Tak?

- Nie zaprosiłaś Billa, prawda?

- Vic! Co ty sobie o mnie myślisz?

Wsuwam głowę przez sari, żeby się upewnić, iż Jodie się nie obraziła. Ich sypialnia pachnie jak tył autobusu Janis Joplin gdzieś około roku 1967. Naprawdę. Trawka jednak poprawiła Jodie nastrój. Sądząc ze spokoju malującego się na jej twarzy, wszystko jest w porządku.

Nawet pozwala mi pożyczyć sobie jej ciuchy. Czy raczej ich ciuchy, bo Jodie i Didi noszą ten sam rozmiar i mają wspólną garderobę już od dość dawna. Kiedy jednak przeglądam zawartość szafy (z każdego wieszaka zwiesza się zapleśniała pomarańczowa nafaszerowana goździkami), znajduję tylko spodnie z gazy, które wyglądają jak wielka pielucha, oraz koszulki Jodie z mnóstwem plam od potu. Chociaż więc śmierdzą grzybami, postanawiam zostać w swoich dzinsach i pasiastym topie. Stare ubrania dla nowej Victorii.

Na ścianie wisi kalendarz. Co drugi wtorek jest zakreślony na czerwono. Przez chwilę myślę, że miesiączka Jodie zupełnie zwariowała, potem jednak przypominam sobie, że to dni spotkań Koła Kobiet.

Dzwoni telefon. Jest przykryty książką *Przemawiają do mnie anioły*. Przez chwilę myślę, że to może one dzwonią, ale to tylko Hilary.

Rozmawiamy o tym, co która ma zamiar założyć - ona zakłada sukienkę, Bogu dzięki,

więc nie wykręcimy naszego numeru z bliźniaczkami jednojajowymi. Potem oddaję słuchawkę Jodie - Hilary chce ją zapytać, co przynieść do picia - a sama idę wziąć prysznic.

Prysznic Jodie i Didi leje wodę pod takim ciśnieniem, że mógłby zwalić z nóg Kate Moss na wybiegu. Dlatego ma się ochotę stać pod nim wieczność i przez ten czas czytać sobie feministyczną wersję Dezyderaty, którą przyczepiono na przeciwległej ścianie.

Kiedy wychodzę, prawie czas już zaczynać.

- Zaraz ruszamy - szepcze Didi, podczas gdy Jodie udaje, że jest zupełnie spokojna, rozluźniona i pozbierana. Układa batikowe sarongi na kanapach i na każdym wegetariańskim sosie kładzie zieloną pietruszkę.

Pierwsza zjawia się Hilary. Jak zwykle. Trudniej jednak było przewidzieć, że zjawi się z facetem uwieszonym jej ramienia. Pierwszy szok, że to facet, drugi, że uwieszony jej ramienia. Całkiem seksowny. Wygląda jak młody Andre Previn.

- To jest Paul - mówi zadowolona z siebie Hilary. Mężczyzna kiwa głową i się uśmiecha.

Co to?

Rybi pyszczek Jodie ożywia się tak bardzo, że wygląda, jakby miała jej wyrosnąć skrzela albo jakby miała z siebie wyrzucić fontannę wody wprost na dywan. Szybko jednak się uspokaja.

- Cześć, Paul. Napijesz się czegoś?

Didi przynosi mu kieliszek, siadamy wszyscy w ogrodzie, opędzając się od komarów w miarę jak się ściemnia.

- Paul niedawno wrócił - mówi Hilary. - Był na spływie pontonowym w górach.

- Fajnie - zauważa dyplomatycznie Didi.

Potem wszyscy siedzimy w milczeniu. Mogę myśleć tylko o jednym, o Natalie.

Co się stało? Co się stanie, kiedy ona się zjawi? A może już to przerobiły na spotkaniach Koła Kobiet? Jak zaakceptować przejściowego mężczyznę. Szczerze mówiąc, nikt mi już o niczym nie mówi.

Mam ochotę odezwać się półgębkiem jak Jimmy Cagney i zapytać tę przebiegłą krowę: a) gdzie go dorwała i b) co się stało z jej adresem na wyspie Lesbos. Ale Paul nigdzie się nie ruszy. Najwyraźniej przykleił się na stałe do boku Hilary.

Ciekawe, czy wie, po co tu przyszedł. Kiedy Didi odciąga Paula, żeby pomógł jej przy drinkach, nie mogę się powstrzymać i pochylam się, żeby szybko przepytac Hilary.

- On wie? - szepczę.

- Co ma wiedzieć?

- O Natalie.

- Nie. Nie wiem. Zamknij się.

- Czy to znaczy, że na stałe wróciłaś do facetów? - Óóóó. Didi wraca z pachnącymi lawendą świecami, dając nam w ten sposób do zrozumienia, że powinniśmy zachować spokój. Moim zdaniem będziemy go potrzebować. Jeżeli Natalie pojawi się na projekcji, to zdecydowanie będziemy go potrzebować.

Schodzi się coraz więcej ludzi i Jodie zaczyna odgrywać hostessę i reżysera zarazem. Ma na sobie te dziwne spodnie z gazy, które wyglądają jak pielucha.

No cóż. Wtedy zjawia się Natalie. Ku mojemu zdziwieniu spostrzega Hilary i Paula, macha do nich radośnie, jakby niesamowicie ucieszyła się na ich widok i znika w tłumie członkiń Koła Kobiet.

Patrzę na Hilary, ale ona nie chce spojrzeć na mnie. Zauważyłam, że Paul przegląda kolekcję płyt CD Jodie i Didi. Pewnie się zastanawia, skąd tu tyle płyt Joan Armatrading.

A potem przyjeżdża moja matka. Ona też macha i znika w tłumie członkiń Koła Kobiet. Poważnie. Czyja stałam się nudna, czyj co, odkąd zaczęłam prowadzić życie wolnego strzelca? O, przypomniało mi się. To może być dobry moment, żeby jej powiedzieć, | że straciłam pracę. Zanim Didi się wygada.

Nim jednak zdążyłam to zrobić, Jodie zaczęła machać rękami i pokrzykiwać na ludzi.

Dopóki nie została reżyserem, nigdy nie dbała o punktualność. Teraz z jakiegoś powodu zgłupiała na tym punkcie.

- Cóż, minęło już pół godziny - mówi, stojąc przed projektorem. - Uważam, że możemy zaczynać. Zgoda?

- Tak! Super! - krzyczy rozentuzjasmowana hipiska.

A ja myślę tylko o jednym: nie, nie, nie! Co się, do cholery, I dzieje? Zatrzymajcie ten film. Słuchajcie wszyscy, zatrzymajmy go! Będzie tam za dużo rzeczy o mnie. To będzie jak odcinek *Oto twoje życie z piekła rodem*.

Jodie klaszcze w ręce.

- No to zaczynamy. Roboczy tytuł brzmi *Laski, kłamstwa i kasety wideo*.

- A co z *Zakochanymi kobietami* - wrzeszczy ta sama hipiska, najwyraźniej pod wpływem moich grzybków.

Wszyscy śmieją się, ha, ha, ha, i klaszczą. Didi wyłącza światło i na prześcieradle na ścianie migoczą napisy. Scena pierwsza: zupełnie naga Didi.

- Jaka niespodzianka - mruczy Hilary.

Podejrzewam, że po tej migawce większość ludzi może odgadnąć ogólną ideę reszty.

Mnóstwo drżących ujęć z ręki, pozbawione sensu wywiady z członkiniami Koła Kobiet, biedni starzy ludzie, których dorwały siedzących w parku na ławeczce, i wykaligrafowane przez Didi tytuły kolejnych części. Jeden z nich brzmi *Dopóki śmierć nas nie rozłączy* w tym kawałku występuję ja.

Na moim nosie jest ogromny zaskórnik. I nie wiedziałam, że mam tak źle wyskubane brwi.

- Śluby są jak futbolowe finały. - Patrzę na siebie, jak mówię do mikrofonu podetkniętego pod nos.

Teraz sobie przypominam. Myślałam o Danie, kiedy to mówiłam.

- To znaczy? - Słyszę zza kadru nieco idiotyczny głos Jodie.

- No cóż, zawsze ktoś przegrywa. Rozumiesz, wiemy, że oni przegrają. Ale i tak wszyscy się schodzą, żeby sobie popatrzeć.

I tyle. Poważnie. Tylko tyle wykorzystały. Wyglądam na przejeżdżoną.

Ale nie, poczekajcie. Po kilku zbliżeniach kwiatów - czerwonych róż, purpurowych irysów, bardzo to poetyckie - i kolejnych napisach wykonanych ręką Didi - znowu się pojawiam.

- Czy uważasz, że płyniesz pod prąd? - zadaje dramatyczne pytanie Jodie.

Och, nie. Teraz sobie przypominam.

- Co masz na myśli? - mówię. Wyglądam i brzmię jak kompletny głupek.

- Co trzecie małżeństwo się rozpada. Czy wierząc w miłość nie jesteś chodzącym anachronizmem? Społeczeństwo mówi, że miłość już nie wierzy w człowieka.

Czyj w końcu jest ten film dokumentalny? Widać jednak, jak słysząc to mrugam i zbieram się, żeby coś powiedzieć. Ostateczne wyznanie, można by rzec. Gdybym tylko... Gdybym tylko nie powiedziała tego:

- Jeśli nie wyjdę za małż przed czterdziestką, to się zabiję. A potem jeszcze więcej kwiatów, lilii, bratków i hibiskusów. Orientuję się, że Paul patrzy na mnie z mieszanką przerażenia i fascynacji. To szczere spojrzenie, podejrzewam. Dopiero co mnie poznał. A Hilary w ogóle nie patrzy w moją stronę. Trzęsie się ze śmiechu jak te rozchwiane plastikowe zameczki, po których skaczą dzieci.

Potem pojawia się moja matka. Ona oczywiście wygląda wspaniale. Prawdopodobnie leżała w wannie kilka godzin z maseczką na twarzy, zanim się pojawiła.

Wygląda, jakby przed filmowaniem wpadła do niej z domową wizytą pani Thing, fryzjerka.

- Jak teraz zmieniała się sytuacja kobiet? - pyta Jodie znowu spoza kadru.

- Jako księgowa - zaczyna moja matka (o nie, proszę, tylko nie to) - muszę przyznać, że kobiety są teraz bardziej niezależne finansowo. Nie musimy już legalizować związków z mężczyznami, - Boże, to brzmi tak, jakby chodziło o zakład karny. - Myślę, że jest lepiej, niż było. Nawet jeśli mamy teraz problem z seryjną monogamią. Mamy wolność. Czyż nie?

- Mówisz o sobie? - pyta Jodie, która bardzo dobrze wie, o kim myśli moja matka.

- Właściwie to myślałam o mojej córce - stwierdza wesoło mama. - Być może Victoria nie będzie już nigdy miała swojego mężczyzny, ale zyskała wolność. Zawsze powtarzałam, że mężczyźni są jak autobusy. Jeśli czeka się wystarczająco długo, w końcu jakiś przyjedzie.

- Czy za pierwszym razem też tak było? - pyta Jodie dość napastliwie (jak na siebie).

Mama wzdycha poza zasięgiem mikrofonu.

- Poślubiłam mężczyznę, który okazał się wrażliwym padalcem. To był błąd.

- I uważasz, że twoja córka jest szczęśliwa bez mężczyzny? - ciągnie Jodie tym samym, bezcielesnym głosem.

- Nie. Ale tak naprawdę martwi mnie to, że uzależniła się od Internetu - odpowiada radośnie mama.

O mój Boże. To niesamowite, że można się tak czerwienić - na ramionach, szyi i całej twarzy - nawet w zupełnych ciemnościach.

Oczywiście jest tego więcej. Możecie to sobie wyobrazić i to bez większego wysiłku. Naga Did opowiadająca jak stanik sprawia, że czuje się uwięziona we własnym ciele, Jodie pytająca samą siebie, bardzo poważnie, o prawdziwe motywy, które skłoniły ją do nakręcenia tego filmu („Dlaczego, pytam sama siebie. Dlaczego jako reżyser chcę opowiedzieć tę historię?”).

Potrafię wymyślić kilka powodów.

Potem przychodzi kolej na Natalie.

- Czy jesteś teraz w związku? - pyta Jodie tak, że aż się dostaje gęziej skórki.

- Tak - odpowiada Natalie i można się domyślić, że to słowo zostało wycięte z jakichś stu czterdziestu siedmiu.

- Czy to udany związek?

- Nie. - Znowu cięcie.

- Dlaczego?

- Cóż, mam wrażenie, jakby to była raczej relacja nauczyciel - uczeń. I w tej chwili czuję się jak nauczyciel.

- Dziękujemy ci.

A potem znowu zbliżenia kwiatów. Przypomina to *Ogrody Australii* z rozbieranymi

wstawkami.

Wtedy słyszę, że ktoś wstaje. Bogu dzięki, myślałam, że jestem jedyną, która marzy o wyjściu do toalety. To Hilary. Wychodzi. Ups! Kilka sekund później podąża za nią Paul, potykając się o nogi obecnych. A potem wychodzi Natalie. Trzaska drzwiami. To masowy exodus.

I wreszcie, kiedy zdążyłam już o nim zapomnieć, pojawia się Bill. Ma na sobie bardzo znajomą czerwoną koszulkę.

- Czym jest miłość? - pyta go Jodie. Bill stoi w pobliskim parku, bo rozpoznaję sadzawkę dla kaczek. - Czy jest tym samym dla kobiet i dla mężczyzn?

To takie dziwne uczucie wiedzieć, że ta rozmowa miała miejsce przed pożarem, zanim to wszystko zważyło się na mnie.

- Wolę francuskie słowo - stwierdza Bill. Z trudem łapię oddech, słuchając go. - Rozumiesz? Brzmi tak, jak powinno: *amour*. Myślę, że to wszystko wyjaśnia. Mówi o obu stronach miłości. O byciu zakochanym i o kochaniu kogoś. I zgadza się, jest tym samym dla mężczyzny i kobiety, skoro pytasz.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu w ciemnościach. I znowu, tak jak na początku, łapię się na myśli, że on jest miły. Zniesmaczona zmuszam się, żeby tak nie myśleć.

- Myślę, że to nie chodzi o niemożność odsłonięcia prawdziwych uczuć - kontynuuje Bill; wygląda teraz, jakby zapomniał o Jodie i mówił do siebie. - Miłość oznacza narażenie się na odrzucenie. Myślę, że tym właśnie jest.

Cięcie.

Więcej, więcej. Muszę zobaczyć więcej. Teraz znowu jednak wracamy do mojej matki, bredzącej o niezależności finansowej kobiet. Potem jest kolejny fragment ze spotkania Kola Kobiet i Natalie mówi o swoim byłym mężu, który bardziej lubił Rogera niż ją (mój kot, mówią o nim w poważnym filmie!). I to już koniec.

Końcowe napisy informują, że scenarzystką, prezenterką, producentką i reżyserką całości jest Jodie, natomiast za scenariusz, realizację dźwięku, kierownictwo artystyczne i catering odpowiada Didi.

Idę do ogrodu, a za mną moja matka.

- Nie do końca zdawałam sobie sprawę, co jej mówię - mruczy.

- No cóż, w końcu to filmowcy. Umieją sprawić, że człowiek mówi różne rzeczy, nie? - odpowiadam.

- I nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało... To z Internetem. Myślę, że Internet to dla ciebie dobra rzecz.

- I tak się go pozbyłam.

- Och.

- I zostałam wylana. v To powiedziawszy, ruszam na poszukiwanie Hilary. Dobrze jej się odpłaciłam, mojej nielojalnej matce.

Hilary siedzi pod krzakiem. Paul położył jej głowę na kolanach.

Obydwoje wściekle palą.

- Gdzie Natalie?

- Wyszła.

- No tak.

- Obie miałyśmy dość.

Chwila ciszy. Ciekawe, co myśli o tym Paul. Modlę się, żeby to nie była ich pierwsza randka.

- Bill powiedział coś interesującego. - Dziwię się, że to mówię. - Powinnaś była wrócić i to zobaczyć.

Widzę jednak, że Hilary ma teraz co innego na głowie - czy raczej na swoich kolanach - nie ciągnę więc tego tematu. Kiedy wracam, Jodie i Didi całują się w kuchni.

Nie wydają się zainteresowane moją opinią, ale i tak im mówię.

- To było dobre - kłamię. Jodie gładzi mnie po ramionach. - Dzięki.

- Zabierzemy cię za to na stek - dodaje Didi.

- A przy okazji, niezły tłum się tu dzisiaj zebrał - dodaje napastliwie. Nie mogę się powstrzymać.

- Tak? - dziwi się Jodie.

- Poważnie. Hilary, Paul, Natalie, chodzący trójkaćnik biseksualny. Moja matka. Dziękuję wam też, że za moimi plecami wzięłyście do filmu Billa.

- Myślałyśmy, że ci powiedział - protestuje Didi. - Ha!

Jodie znowu głaszcze mnie po ramionach.

- Nie denerwuj się tak.

- Mówię poważnie, nie jest zdenerwowana.

I zapalam papierosa Hilary, którego dopiero co udało mi się jej świsnąć.

Tak, wiem, że robię to w domu, ale zaraz wyjdę. I wracam do siebie.

Rano znowu przeglądam ogłoszenia z rubryki „poszukiwany współlokator”. Jest środek tygodnia, więc może będzie mniejsza konkurencja.

Ogłoszenie jest jedno - CHIPPENDALE: dwie sypialnie, weranda, szuka wykształcona kobieta. Dzwonię tam. Na sekretarce nagrano wiadomość - kobiecie głos mówi, że będzie w domu w porze lunchu. Czy to kolejna pałaca jak lokomotywa rozwódka z kotem syjamskim? Trudno powiedzieć. Tym razem jednak wiem jedno. Nie pójde sama.

Dzwonię do biblioteki.

- Czy mogę mówić z Hilary?

Kiedy podnosi słuchawkę, strasznie dyszy.

- Musiałam biec od katalogów. Słucham?

- Jesteś wolna w czasie lunchu?

- Może. - Chodź obejrzeć ze mną dom.

- Nie wiedziałam, że się przeprowadzasz.

- A ja nie wiedziałam, że masz chłopaka.

- Dlaczego się przeprowadzasz?

- Z powodu Billa. Nie mogę dłużej tu mieszkać. No i nie stać mnie na to mieszkanie.

Dlaczego spotykasz się z Paulem?

- Może powinniśmy się spotkać podczas lunchu - wzdycha. Kilka ulic od domu w stylu chippendale jest kawiarenka, tam więc się spotykamy. To jedno z tych miejsc, gdzie kierownik sądzi, że pieczywo czosnkowe i koktajle mleczne z karmelem to dobry zestaw.

- No więc... - zaczynam.

To tak, jakby bomba poszła w górę w wyścigu o puchar Melbourne.

- Spotkałam Paula pewnego wieczoru po zebraniu Koła Kobiet. Widywałam go już wcześniej i uważałam, że jest cudowny...

- Poczekaj. Więc rzuciłaś Natalie. A może w ogóle kobiety?

- Wszystkie. Skończyłam z tym - odpowiada, machając niecierpliwie ręką. - Ale daj mi dokończyć. Paul chodził w czwartki wieczorem na zajęcia z pływania pontonami po górskich potokach. To się nazywa rafting. A na drugim końcu korytarza odbywały się spotkania Koła Kobiet. I pewnego wieczoru po prostu zaczęłam z nim rozmawiać. A potem pomyślałam, że mogłabym go poprosić, żeby obejrzał film Jodie i Didi.

- Nic o tym nie mówiąc Natalie.

- Nie miałyby nic przeciwko. - Czyżby?

- Nie, to nie był tego typu związek.

- A miała coś przeciwko, kiedy Paul położył głowę na twoich kolanach?

- To było potem. W każdym razie dzwoniła dziś do mnie po południu. Wszystko sobie wyjaśniłyśmy. Ja wybaczyłam jej to, co powiedziała o mnie w filmie, to o uczniu i nauczycielu, a jej nie przeszkadza Paul. No więc... Dość już o mnie.

- Nie chcesz więc mówić o szczegółach. Wzdycha.

- To trudno wyjaśnić. - Mnie?

- Tak, tobie.

- Mogę ci zadać jedno podstawowe pytanie?

- Możesz.

- Kto kogo rzucił? Dłuższa chwila milczenia.

- Ona mnie. W porządku? Po filmie. Zadzwoiła do mnie. Paul odprowadził mnie do domu. Siedziałam w mieszkaniu, a ona po prostu zadzwoniła i powiedziała, że nie sądzi, żeby to dokądkolwiek prowadziło, więc może powinniśmy to skończyć. Rozumiesz.

- Dziwne.

- Dlaczego?

- Zawsze myślałam, że to ty odejdziesz.

- Dlaczego?

Naprawdę to nie potrafię powiedzieć jej, że to dlatego, że Natalie jest brzydsza od Hilary. Możecie mnie uznać za politycznie niepoprawną i pełną przesądów i powiesić do góry nogami na maszcie w czasie Parady Gejów i Lesbijek, ale to naprawdę do tego się sprowadza. To stara reguła, którą poznałyśmy już w szkole. Zawsze w związku ktoś jest wyżej, a ktoś niżej. Mogę się założyć o milion dolarów, że zawsze ten, kto jest wyżej odchodzi.

Mieszam kawę w filiżance.

- Pamiętasz starą zasadę, z tym kto jest wyżej, a kto niżej?

- Vic, nie mogę uwierzyć, że nadal uważasz ten idiotyzm ze szkoły średniej za życiową regułę.

Wzruszam ramionami.

- No cóż, nadal się nią posługuję. Może dlatego moje życie to żart.

Hilary kiwa głową.

- W każdym razie nigdy mi nie mówiłaś o tej lesbijskiej historii - mówię w końcu.

- Biseksualnej - poprawia mnie.

- Jak chcesz. Wzdycha.

- No dobra, spróbuję ci to wyjaśnić w przystępny sposób.

- Bo jestem pozbawioną wszelkiej wrażliwości kretynką i jestem politycznie niepoprawna.

- Bo to cholernie skomplikowane, jeśli chcesz mnie słuchać. Macha na kelnera i wskazuje na pustą filiżankę, robiąc minę mówiącą „Poproszę dolewkę” rodem z *Olivera Twista*.

- Nie musisz mi tego wyjaśniać, jeśli nie chcesz - ustępuję.

- To dlatego, że czekasz na to z wywieszonym językiem jak jakaś podglądaczka.

- Przepraszam.

- W historii z Natalie nie ma nic bardziej pikantnego od twojej przygody z Liamem, wiesz?

- Wiem.

- Po prostu po raz pierwszy od roku ktoś za mną chodził, ktoś był dla mnie miły, rozumiesz?

- Aha.

- Nigdy nie uważałam, że Natalie to miłość mojego życia, ani ona nie myślała tak o mnie. Ale powiem ci coś, bycie z kobietą ma... - kiwa głową, umacniając się w swoim przekonaniu - wszystkie zalety, jakich mogłabyś się spodziewać.

- Hmm...

- Nie chodzi o te kretynizmy na temat seksu, ale więcej ci o tym nie powiem.

- Nie myślałam o tym.

- W każdym razie było dobrze, jeśli musisz wiedzieć. - Nie pytałam.

- Mam na myśli to, że - zjawia się nowy dzbanek herbaty i Hilary kiwa głową do kelnera - że obie macie orgazm, obie wiecie, że go miałyście, i jest w porządku. Człowiek czuje się jak na wakacjach.

- To lepsze niż udawać, że wiesz, co robisz. - Właśnie. Z jakimś facetem, który przeżywa życie jakby to było *Dziewięć i pół tygodnia*.

- Więc...

- Więc to tyle. Nie wiem, czy sprawił to księżyc tamtej nocy, czy to, że sporo wypiliśmy, czy to, że przez cały czas gapiała się na mnie...

- Nie rozumiem tylko ... - Czego?

- Dlaczego mam wrażenie, że nie jestem politycznie poprawna za każdym razem, kiedy poruszam ten temat?

- Przestań zachowywać się jak paranoiczka.

- Nie rozumiem, dlaczego ona. Rozumiem dlaczego to. - Jestem pewna, że to jest

dobre i że, owszem, wszyscy to robią. - W porządku, zastanów się chwilę. Wyobraź sobie, że cię pytam dlaczego Liam. Dlaczego Dan. Chodzi mi o to, że - zaczyna mówić protekcyjnym tonem - mogę zrozumieć heteroseksualność, kochanie. Naprawdę wszyscy to robią. Ale dlaczego Dan? Sama nazwałaś go Obmierzłym Prawnikiem z Leichhardt.

- Zakochałam się w nim.

- Aha, i tamtej nocy świecił księżyc albo coś wypijaś.

- W porządku, załapałam. Poważnie, słyszysz? - Załapałam.

- Dobra.

Milczenie. Długie milczenie. Dłuższe niż przy ołtarzu, kiedy Helena Chettle składała przysięgę swojemu mężowi.

- Oglądałam domy w zeszły weekend - zaczynam.

- Dlaczego nie wynajmiesz czegoś sama? - Nie stać mnie.

- Och.

Podejrzewam, że zapomniała - jak to ludzie, którzy mają pracę i nie są próżniakami - że od przyszłego miesiąca ja i Roger będziemy żyć na garnuszku państwa. Z tego powodu mieszkania na Darling Post zaczynają być poza naszym zasięgiem.

- Obejrzałam mnóstwo, wyglądały okropnie.

- Powinnaś była mi powiedzieć.

- Po co?

- Ta śmieszna kobieta z dołu się wyprowadza. To kawalerka. Tania i z zapachami.

- Och, tania i z zapachami...

- Możesz tam posprzątać. - Za ile?

Mówi mi. Niewiele więcej, niż chciał facet z pastą.

- Mogę ją obejrzyć?

- Nie wiem. Może jeśli pojedziemy tam pędem i pędem wrócimy. Muszę wracać do pracy. Chyba zapomniałaś.

- Masz coś przeciwko?

- A co z tym domem chippendale?

- Nie przejmuj się, i tak pojawi się z milion osób.

Płacimy rachunek i wychodzimy. Z jakiegoś powodu, jeśli się przyśpieszy, w samochodzie Hilary robi się pięć razy głośniejszy. Jak w czasie bombardowania. I jak zwykle pasy od strony pasażera nie chcą się zapiąć.

- WIĘC JESTEŚ WŚCIEKŁA NA SWOJĄ MATKĘ? - wrzeszczy do mnie Hilary.

- NIE, ALE JESTEM WŚCIEKŁA NA JODIE - odkrzykuje.

- NO, TEN FILM! - ryczy do mnie. - A CO MASZ ZAMIAR ZROBIĆ Z BILLEM?

- NIC. ZAPOMNIAŁAM, ŻE ON ISTNIEJE.

I tyle mniej więcej jesteśmy w stanie powiedzieć przy tym natężeniu hałasu, dopóki samochód nie wtoczy się na krawężnik przy domu Hilary.

Cuchnąca kawalerka skrywa się za rogiem na parterze. Obok jest szafka ze środkami czystości, podejrzewam więc, że kiedyś musiało to być mieszkanie dozorczy.

Hilary puka do drzwi. Otwiera je śmieszna kobieta. Ma na sobie turkusowy nylonowy szlafrok w szkocką kratę, a na nogach żółte kapcie, które kiedyś pewnie były białe. Oglądała Oprah Winfrey. Biedactwo.

- Słyszałam, że się pani wyprowadza - mówi Hilary słodkim tonem bibliotekarki przemawiającej do rodziców.

- Tak, mój siostrzeniec zabiera mnie do siebie.

- Och, to wspaniale. Moja przyjaciółka, Victoria, zastanawiała się, czy mogłaby obejrzyć to mieszkanie.

- Pewnie, wejdźcie. Wchodzimy i we trzy zajmujemy cały pokój. Dwie papużki nierozłączki z jakiegoś powodu dziobią pas do pończoch. To pewnie przez nie jest tu taki nieprzyjemny zapach. Kobieta ma za to nie jedną, ale trzy szczotki do czyszczenia sedesu. Leżą na podłodze obok toalety.

To niesamowite, co w Sydney może uchodzić za godną pożądaną nieruchomość. Już wyrzucam z siebie „Biorę to”, gdy zdaję sobie sprawę, że kobieta w turkusowym nylonowym szlafroku nie jest osobą, z którą powinnam w tej sprawie rozmawiać.

- Czy ma pani numer do swojego pośrednika? - pyta delikatnie Hilary. - To ten sam co mój?

Śmieszna kobieta mówi, że tak, więc półgębkiem ją przeproszamy i wychodzimy z mieszkania. Idziemy na górę do Hilary, pozwalając kobiecie spokojnie oglądać telewizję.

- To ja za dwadzieścia lat - szepczę, gdy Hilary otwiera drzwi.

- Przestań. Siadam na kanapie, przesuwając Wirginię Woolf, podczas gdy Hilary robi kawę.

Nie byłam u niej od wieków. Na podłodze, tam gdzie zwykle rzucała czasopisma, leży kilka feministycznych książek, ale poza tym nie widać zbyt wielu śladów nowego życia rodem z Koła Kobiet.

- Myślisz, że się na nie zdecydujesz? - pyta Hilary.

- Prześpię się z tym.

- Te szczotki do sedesu...

- Wiem. Ale mogę je pomalować.

- To samo powiedziałam, kiedy się tu wprowadziłam.

Ma rację. Wiem, że jeśli wprowadzę się do kawalerki tej śmiesznej kobiety, nic w niej nie zmienię. Dojdzie tylko kilka plakatów, zasłona pod prysznic z tańczącymi muszelkami i Roger. Może też trochę proszku do czyszczenia.

- Wyprowadza się dopiero w weekend, więc nie będzie jeszcze ogłoszeń - mówi Hilary.

- A ty nie masz nic przeciwko?

- Też coś. Dlaczego miałabym mieć? Lepiej jest mieć na dole ciebie niż grający na cały regulator telewizor każdego wieczoru.

- Biedna kobieta.

- Biedna kobieta.

Teraz, kiedy Hilary ma Paula, myślę, że ją to ominie. Jeśli jednak chodzi o mnie i każdą inną trzydziestolatkę bez faceta - tak właśnie wygląda nasza przyszłość. Dwie papużki, trzy szczotki do kibla i, jeśli ma się szczęście - siostrzeniec, który się nad wami ulituje.

- Przestań o niej myśleć - ostrzega mnie Hilary. - Teraz mam zamiar powiedzieć ci coś więcej o Billu.

- A co z nim?

- Rozmawiałam dziś rano z Jodie. Powiedziała, że mają wszystkie nagrania z nim, wypowiedzi, które nie weszły do filmu, i że właściwie to jeden wielki hołd dla Victorii Shepworth.

Chwilę trwa, zanim to do mnie dociera.

- Poważnie?

- Tak. Wyciągnęłam to z niej. Nie chciała ci nic mówić, bo myślała, że się zdenerwujesz.

- No cóż, może się denerwuję.

- Wcale nie, jesteś zaciekawiona. Widzę to.

- Nie jestem zaciekawiona!

Boże miłosierny. Tylko dlatego, że zdarzył się cud i Hilary ma faceta od raftingu, który wygląda jak młody Andre Previn i kładzie jej głowę na kolanach, chce wszystkich innych też połączyć w paty - Bill to zboczeniec.

- Tak, ale powiedział na twój temat kilka bardzo miłych rzeczy. Zresztą nieważne, muszę wracać do pracy. Podwieźć cię?

Nie zdążyłam nawet łyknąć swojej kawy pale próżniak nie może przeszkadzać w

pracy bibliotece publicznej. Pędzimy więc z powrotem do mnie, podskakując na każdym wyboju. Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, przejazd blokuje wielki samochód firmy przeprowadzkowej.

- Typowe - mruczy Hilary.

- Poczekaj minutkę.

Dwóch tragarzy niesie coś, co wygląda jak biurko Billa, a następnie komputer Billa.

- Och, on się wyprowadza - słyszę, jak mówię to powoli.

- Cóż, w takim razie jest jeszcze jedno mieszkanie dla ciebie. Kto się wyprowadza?

- Bill.

- Och.

Hilary zagryza wargi. Siedzimy przez chwilę w ciszy.

- Przepraszam Vic, wiem, że to zły moment, ale naprawdę, muszę jechać. Zabijają mnie, jeśli się spóźnię.

- Nie ma sprawy.

Macha do mnie i pędem się wycofuje. Zostawia mnie przed ciężarówką. Kolejka pudeł wypełnionych raketami do squasha i zielonymi torbami na śmieci z ubraniami Billa wędruje po rampie na tył wozu.

Idę na górę. To głupie. Powinam mu coś teraz powiedzieć, nie?

Jednak jego mieszkanie jest już puste. Zostały tylko kurz i szczotka w kącie. Kiedy pytam kręcących się tam mężczyzn o Billa, mówią, że wszystko idzie do magazynu. Nikogo więcej w mieszkaniu nie ma.

- Kazano zawieźć te rzeczy do magazynu - mruczy jeden z facetów, podnosząc coś, co było jedynym fotelem Billa.

- Czy mówił, dokąd się wyprowadza?

- W tej sprawie może pani zadzwonić do naszego biura. Robię to, ale tam nie podadzą mi jego nowego adresu. Tego się spodziewałam. Pewnie Bill planował to od tygodni. A ściślej - odkąd Pierre Dubois próbował wysłać Technopierdole emaila i dowiedział się, że ona już nie istnieje.

Jodie jest u znajomych na kolacji, projektor więc rozstawia dla mnie Didi. Właściwie to jest całkiem miłutka, kiedy nie stanowi części dwugłowego potwora kręcącego filmy, znanego lepiej jako Jodiei - Didi.

- Przynieść ci wody albo czegoś innego do picia? - Nie, dziękuję.

- Hilary mówiła, że wyprowadzasz się do niej.

- Nie, już nie. Bill się wyprowadził. - Robię minę. - Nie muszę zmieniać mieszkania.

Leżę na brzuchu na podłodze, podczas gdy Didi zawiesza ekran.

- Czuję się jak królowa - mówię do niej.

- Dlaczego?

- Prywatne kino. Czy nie to ma właśnie Królowa Matka? Didi nie rozumie. Wiedziałam. Cóż... Mijają wieki, nim film może się w końcu zacząć.

- Ale wiesz, ja się tu muszę kręcić, żeby to obsługiwać - mówi Didi. - Więc to nie będzie tak całkiem prywatne kino. - Przygryza wargi. - Przepraszam.

- Nie, nie ma sprawy. - Tak...

Film zaczyna się od odliczania: 5, 4, 3, 2, 1, i napięcie jest straszne. Ale potem znowu pojawia się on - w parku, w słoneczny dzień, w czerwonej koszulce i z włosami wchodzącymi mu do oczu jak zawsze. Na jego szczęście można dojrzeć małą bliznę.

Nie jestem pewna, co Didi robi z kamerą. Przez minutę widać niebo, a potem przez ekran przelatuje drzewo. Wreszcie wszystko ustawia się jak trzeba i kamera skupia się na Billu - albo raczej na jego głowie i ramionach. Bill kilka razy nerwowo przełyka ślinę i do akcji wkracza Jodie.

- Czym jest miłość? Czy jest tym samym dla kobiet i dla mężczyzn? - dopytuje się.

Cisza. Długa cisza.

- Ech, przepraszam - mówi w końcu Bill. - Nie jestem pewien. Muszę się chwilę zastanowić.

W tym momencie ekran ciemnieje.

- Wyłączyliśmy kamerę - informuje mnie Didi, stojąc obok projektora.

- A potem co się stało?

- Jodie zabrała go za krzak i zapalili skręta.

- Żartujesz.

- Ale poskutkowało.

- Naprawdę?

- Stał się potulny jak owieczka.

- Czy to nie miał być dokument szczery aż do bólu? Nie wiedziałam, że wolno wam manipulować rozmówcami.

- Cóż, musiałyśmy - beznamiętnym głosem mówi Didi. - Inaczej nic by nie powiedział.

Kamera znowu trochę lata, widzę niebo, pływającą po stawie kaczkę i wreszcie twarz Billa. Zgadza się. Muszę przyznać, że krótka sesja za krzakiem poprawiła sytuację. Teraz główny problem polega na tym, że Jodie nie może go uciszyć.

- Mówiłaś o miłości - zaczyna Bill. - Wolę francuskie słowo. Rozumiesz? Brzmi tak, jak powinno: *l'amour*. Myślę, że to wszystko wyjaśnia. Mówi o obu stronach miłości. O byciu zakochanym i o kochaniu kogoś. I jest tym samym dla mężczyzny i kobiety, zgadza się, skoro pytasz. To jest *l'amour* i to jedyny sposób, w jaki możesz to wyjaśnić. Jeśli musisz to wyjaśnić.

- Czy *l'amour* jest łatwa? - pyta Jodie.

- Nie, inaczej nie byłaby tym, czym jest. Cały dowcip polega na tym, że musisz być gotów na to, by darzyć kogoś uczuciem, nawet jeśli ona nigdy - to znaczy ta osoba - nie będzie czuła tego samego do ciebie. I masz nadzieję, że może coś się zmienić, ale nie masz pewności. I może gdybyś był rozsądny, oszczędłbyś, ale tego nie robisz.

- Dlaczego?

- Bo jakaś część ciebie myśli, że możesz tej drugiej osobie pomóc, zrobić coś dla niej, i to cię trzyma przy życiu - mówi w końcu.

- Czy to nie jest męczeństwo? - przerywa mu Jodie.

- Cóż, w mojej książce to część miłości. Jeśli do tego dojdzie.

- Czy masz coś jeszcze do powiedzenia na temat miłości?

- Czytałem pewną historię krążącą po Internecie - odzywa się Bill po minucie. - O marynarzu z czasów drugiej wojny, amerykańskim marynarzu. Zaczyna dostawać listy od kobiety, której nigdy nie spotkał. Ona miała na imię Poppy. To była taka korespondencyjna przyjaźń. Przez trzy lata pisali do siebie. I coś się stało. Jej listy trzymały go przy życiu. Praktycznie nie zdając sobie z tego sprawy, zakochali się w sobie. Wreszcie wojna się skończyła. Nadszedł czas na spotkanie. Mieli się zobaczyć na dworcu Grand Central o piątej po południu. Ona powiedziała, że będzie trzymała mak. Wtedy go to uderzyło. Nigdy nie dostał od niej fotografii. Nie wiedział, ile ma lat. Nie wiedział, czy jest brzydka, czy ładna, gruba czy szczupła. Czekał więc za rogiem. Zegar wybił piątą i oto ona zjawia się. Kobieta z makiem. Miała około sześćdziesięciu pięciu lat.

- Och nie! - wrywa się Jodie stojącej za kamerą - Mógł się odwrócić i odejść, ale tego nie zrobił. Ta kobieta, która do niego pisała przez cały czas, gdy on był na morzu, wysyłała mu prezenty gwiazdkowe i trzymała go przy życiu. Zasługiwała na coś więcej. Podszedł więc do niej, wyciągnął rękę i przedstawił się. I wiesz co?

- Pobrali się i żyli długo i szczęśliwie - odpowiada Jodie, cynicznym tonem reżysera.

- Nie. Ona mu wtedy mówi, że facet się pomylił. Mówi mu, że Poppy to kobieta, która stoi za nią. I rzeczywiście tam jest. W jego wieku. Piękna.

- I?

- Starsza pani tłumaczy, że Poppy poprosiła ją, żeby stanęła z jej makiem. Gdyby on się odwrócił i odszedł, to byłby koniec. Ale gdyby do niej podszedł, miała się odwrócić i pokazać mu prawdziwą Poppy.

- Hmm... - mruczy nieprzekonana Jodie. - Więc znalazłeś tę historię w Internecie?

- W Internecie można znaleźć mnóstwo rzeczy - odpowiada Bill, słuchając jej jednym uchem.

- Piękno to coś więcej niż wygląd zewnętrzny. Taki jest morał tej opowieści?

- Nie. Morał jest taki, że miłość to lęk przed ujawnieniem się. Miłość może się pojawić w przebraniu - dodaje po namyśle. - I nawet jeśli to jest naprawdę kiepskie przebranie, to nieważne. - Milknie na chwilę. - Myślę, że to nie chodzi o niemożność odślonięcia prawdziwych uczuć - mówi wreszcie. Wygląda teraz, jakby zapomniał o Jodie i mówił do siebie. - Miłość oznacza narażenie się na odrzucenie. Myślę, że tym właśnie jest.

- Cięcie.

- Ach - mówi Didi z ekranu. - Teraz zrobimy sobie przerwę, bo coś się stało z kamerą.

- Może załamała się pod ciężarem wszystkich tych emocji - odzywam się.

Niesamowite. Bill chowa się w krzaki razem z Jodie, wypala skręta i wychodzi z tego taka bzdura. Też coś.

A jednak coś nie pozwala mi przestać oglądać. Leżę więc na podłodze, znowu na brzuchu, i czekam na ciąg dalszy.

- No to lecimy - mówi Didi.

Tym razem widać Billa i Jodie. Przesunęli się nad brzeg stawu, więc kwakanie, które do tej pory było w tle, teraz słychać całkiem wyraźnie - Co myślisz o dzisiejszych kobietach?

- pyta Jodie.

- Najpierw powinnaś zapytać, co one myślą o nas - odpowiada Bill.

Milczenie.

- Zdaje się, że masz coś więcej do powiedzenia na ten temat - szturcha go znacząco

Jodie.

- Cóż, mam wrażenie, że one szukają czegoś, czego my nie możemy im dać. Albo przynajmniej ja nie mogę im dać.

- Na przykład czego? - Nie wiem. Ale...

Jodie czeka. Podejrzewam, że narkotyk prawdy przestał już działać.

- Chodzi mi o to, że dzisiejsze kobiety sprawiają wrażenie, jakby nie lubiły za bardzo mężczyzn. - Wzdycha. - Szukają faceta, jakby to był samochód. Niekoniecznie musi być taki, jakiego by chciały. To znaczy chcą mieć samochód, ale ostatecznie jeśli lakier nie jest taki jak trzeba, jeśli marka nie jest odpowiednia, jeśli silnik nie pasuje, cóż...

- One nie chcą samochodu - słyszę, jak Didi krzyczy zza kamery. Wtedy Jodie mówi do niej:

- Ćśśś, kamerzysta nie powinien wtrącać się do wywiadu. Na tym rozmowa się kończy.

Didi wstaje, zapala światło. Ja wstaję z podłogi i widzę, że Jodie stoi za nami. Byłam tak zaabsorbowana, że nie usłyszałam, kiedy weszła.

- Musiałam to zobaczyć - mówię.

- Pewnie.

- Jest żaloszny, prawda? - pytam z nadzieją.

- Myślałam, że to cię może zdenerwować. Dlatego uważałam, że nie powinnyśmy ci tego pokazywać - odpowiada Jodie.

- Cieszę, że to zobaczyłam. Przynajmniej wiem, jak na niego działa odrobina marihuany. Boże!

- Och, nie - kręci głową Jodie. - To nie były narkotyki.

- Nie zabrałaś go na skręta? - pyta Didi.

- Miałam zamiar, bo myślałam, że to go rozluźni. Boże, on po prostu nie chciał rozmawiać... Ale nie zgodził się na skręta. Powiedział, że nigdy tego nie palił i że nie będzie. A ja to szanuję. - Jodie przybiera najpoważniejszą minę. - W każdym razie to cały Bill, jeśli o to ci chodziło. Trzeźwy i normalny.

- Rumianku? - proponuje Didi.

Koniec końców idę jednak do domu. Do mieszkania bez Billa. Mam kompletną pustkę w głowie.

W końcu dzwonią z ministerstwa zdrowia. Chcą się dowiedzieć, W ile biorę za plakat, nalepkę i tylną okładkę broszury. Pod wpływem chwili podaję kwotę równą mojemu miesięcznemu czynszowi i natychmiast tego żałuję. No, Sherlocku, porządny wolny strzelec lat dziewięćdziesiątych, pracujący w reklamie, powinien mieć stały cennik, prawda? A ja nie mam. Nie mam nawet wizytówki.

- Chyba zmieścimy się w budżecie - odpowiada kobieta.

- Świetnie.

- Może przyjdzie pani na nasze zebranie we wtorek?

- Oczywiście.

- O trzeciej po południu. Dobrze?

- Doskonale.

Odkłada słuchawkę. To znaczy, że dzięki szczęśliwemu trafowi skończyłam ostatnią w życiu kampanię dla Breakfast Grits i ich frisbee.

Bardzo dobrze. Nie mogę przestać się uśmiechać, chociaż właśnie przez telefon zrobiłam z siebie kretynkę.

Żaden copywriter, wolny strzelec - łamane przez - kobieta lat dziewięćdziesiątych, nie obdzwoniłby wszystkich, których zna, żeby im o tym powiedzieć. Oczywiście ja to robię. Mamie chyba ulżyło. Podejrzewam, że przez moment bała się, że ten wrażliwy padalec z LA będzie płacił alimenty na dziecko.

- I robię też broszurę dla zakładu fryzjerskiego.

- Och, to dobrze. i - Nazywa się Robi.

- Cóż, musieli go jakoś nazwać, prawda? - stwierdza mama.

Kiedy jednak pod koniec dnia leżę na kanapie, pojawia się dokuczliwa myśl, że już nie ma osoby, której naprawdę chciałabym o tym opowiedzieć. Nie chodzi o Dana ani Pierre'a, lecz o Billa.

Ostatniej nocy zamiast spać, odtwarzałam sobie w myślach scenę z dziewczynami przy Internecie. W mojej wyobraźni śmiałyśmy się jak pomyłone hieny i byłyśmy pijane bardziej niż Olivier Reed. „Dzisiejsze kobiety sprawiają wrażenie, jakby nie lubiły za bardzo mężczyzn”. O Boże, nic dziwnego, że tak pomyślał. Założę się, że słyszał każde słowo.

Może tamtej nocy po powrocie z meczu squasha stał pod moimi drzwiami, gotowy, żeby zapukać i wpaść do mnie z sąsiedzką wizytą. Możliwe, że chciał zwrócić coś, co dałam mu do naprawy. Mogę to sobie wyobrazić. Bill, nieśmiały, stęskniony za domem, stoi na ' progu, a

ja - ochrypla, wkurzona do granic możliwości - wrzeszczę o Dzikusach, wielbicielach futbolu, chłopcach ze starego centrum z prezerwatywami z promocji, przestępcach, pedofilach i facetach z Bondi, którzy noszą okulary przeciwsłoneczne, przez co wyglądają jak wielkie muchy i o mężczyznach w czapkach baseballowych noszonych daszkiem do tyłu.

Miłość może pojawić się w przebraniu. Aha, może nie miała innego wyjścia. Może wyszłam na szaloną, która w inny sposób nie pozwoliłaby jej się do siebie zbliżyć.

Cholera. Podnoszę słuchawkę i dzwonię do Hilary.

- Słucham?

Jest z Paulem. Pewnie znowu trzyma głowę na jej kolanach, bo głos Hilary brzmi dziwnie.

- Czy masz jakiś pomysł, jakkolwiek, żeby znaleźć Billa? Bez angażowania w to policji?

- Eee... Poczekaj. Zapytam.

Szsz, szsz, szsz. Oczywiście pyta Paula.

- Niczego nie potrafimy wymyślić - mówi w końcu. Wiedziałam, że mi nie pomogą. Nawet nie próbowali.

- A może poszukać przez Internet?

- Próbowałam - wzdycham. - Zadzwoiłam do jego dostawcy Internetu, ale powiedzieli mi, że się odłączył.

- A nie mogli go namierzyć dla ciebie? /

- Szukali go według imienia i znaleźli tylko Billa Brysona, Billa Clintona i Billa Cosby'ego.

- Cóż...

- Podejrzewam, że on nie chce, żebym go znalazła. - Nie chce...

- Nie.

- Przykro mi.

- W porządku.

Wtedy Hilary wpada na pomysł.

- Wyjeżdżamy nad Zatokę Byrona na weekend, chcesz się przyłączyć?

- Nie, jeśli jedziecie sami. Mam na myśli waszą dwójkę - Nie, jadą też Jodie i Didi, wszyscy wybieramy się na... - zajakuje się, bo chce dobrze powtórzyć nazwę. - Na Festiwal Kobięcych Filmów Krótkometrażowych nad Zatoką Byrona.

- A ja myślałam, że nie cierpisz tego filmu.

- Rzeczywiście. Ale ich to nie obchodzi. Uważają, że to znaczy, iż film jest

kontrowersyjny. A darmowe wakacje to zawsze darmowe wakacje. Didi zabiera nas samochodem.

- Będę się czuła samotna. *

- To weź kota.

- Wiesz, że on nie jest moim partnerem seksualnym.

- A może tam poszukasz Billa?

- Tak, pewnie. Przeczeszę plażę.

- On jest z Dorrigo, nie? To po drodze. Mniej więcej. Jeśli ładnie poprosisz Jodie. Może jego rodzice nadal tam mieszkają. Ktoś go będzie kojarzył.

- Pewnie.

- Więc masz zamiar z nami jechać?

Ma rację. Jak zwykle. Podjęcie decyzji zabiera mi pięć sekund.

- Tylko pod warunkiem, że nie będę się czuła zbyt samotnie.

Kiedy odkładam słuchawkę, znajduję mapę Nowej Południowej Walii. Pamięta jeszcze czasy Anthony'ego Andersona. Nadal jest na niej pełno plam po czekoladzie - pamiątka po tym, jak pewnego razu Anthony zabrał nas w jakieś zapomniane przez Boga i ludzi miejsce do nurkowania. Gryzłam wtedy płatki zbożowe z czystej nudy.

Nie wiem, czemu to robię. Miałam doskonałą okazję, żeby tego uniknąć, nie wywoływać wilka z lasu. Billa już nie ma w moim życiu. Grzecznie przeprowadził się jakieś kilkaset kilometrów stąd i dał mi szansę, żebym rozpoczęła życie bez kolejnych dramatów. Mogę teraz zapomnieć, że kiedykolwiek doszło do tej upokarzającej katastrofy z PD i T, i zająć się swoimi sprawami. Na przykład broszurą dla Robi, postanowieniem, że nie będę więcej zmieniała fryzury i będę żyła w pojedynkę.

Jednak to jest niedokończona sprawa i ten fakt mnie drażni. Chyba spodziewałam się, że w pewnym momencie jedno z nas przerwie milczenie. Nie wiedziałam tylko kiedy. A teraz on zniknął, zaś ja mam mu za dużo do powiedzenia. Zgoda - część tego jest wyjątkowo obraźliwa i obfituje w wyrażenia z „r” w środku. Teraz jednak widziałam już nagranie i właściwie troszkę lepiej Billa rozumiem. Nie polubiłam go bardziej, ale zaczęłam mieć pewne wyobrażenie na temat tego, co się działo w tym jego biednym, przepracowanym, przemądrzałym rozumku, pełnym zgrzytających trybów i błyskających światełek.

Dorrigo leży w głębi łądu. Kilometry od zatoki. Jeśli jednak ktoś okaże się miły, nie będzie za bardzo pędził na ten swój festiwal i nie będzie miał nic przeciwko, żeby zatrzymać się w małym miasteczku na lunch...

Dzwonię do Jodie.

- Super! Didi właśnie mi powiedziała o kampanii przeciwko anoreksji! Moje gratulacje!

- Dzięki. Czy współczujesz mi teraz?

- Niby dlaczego?

- Spieszycie się na ten festiwal nad Zatoką Byrona?

- Czemu pytasz?

- Brałaś kiedyś pod uwagę zjedzenie lunchu w Dorrigo?

Nie wiem, czy sprawiło to poczucie winy z powodu spustoszeń, jakie wywołał jej film, czy poczucie kobiecej solidarności, a może to tylko efekt zbyt dużej ilości trawki - w każdym razie Jodie jakimś cudem się zgadza.

W sobotę o piątej rano mamy zapakować się do furgonetki Didi razem ze śpiworami i ziołową herbatką (właściwie ziołową herbatką Jodie). A potem pojedziemy na Festiwal Kobięcych Filmów Krótkometrażowych nad Zatoką Byrona. Przez Dorrigo.

I nie zabiorę ze sobą Rogera jako partnera. O nie.

Zabieram Rogera. Moja matka ma nowego chłopaka. Nalega, żeby nazywać go jej przyjacielem. Jest astmatykiem i ma uczulenie na koty.

I zostaje u niej na cały weekend. Co ty na to, Sherlocku?

- Nie mogą się nim zająć twoi sąsiedzi? - pyta mnie matka.

- Nie wolno mi trzymać w domu kota.

- A może któraś z tych dziewczyn? - One też jada.

- A co z tą dziewczyną, co miała tyle dzieciaków?

- Helena Chettle już ma kota. I psa.

- Mówisz, że ma dzieci kota i psa? T Czasy się zmieniają. Pamiętam lata (powiedzmy rok 1972), kiedy coś takiego wydawałoby się całkiem normalne komuś takiemu jak moja matka.

- Więc gdzie dorwałś tego faceta?

- Poznaliśmy się na przyjęciu u Jodie.

- W czasie filmu?

- Tak.

- Nie widziałam go.

- Jego była żona brała udział w tym filmie.

- Która?

- Ta na samym końcu. Mówiła, że mężczyźni są jak autobusy, bo zanieczyszczą ją powietrze i nigdy nie przyjeżdżają na czas.

- Nie przeszkadzało mu to, co powiedziałaś na temat mężczyzn, że są jak autobusy i jeśli się dostatecznie długo zaczeka, to w końcu jakiś się pojawi?

- Nie, pomyślał, że to świetnie powiedziane. - Rzeczywiście.

Jeśli się zastanowić nad porównaniem kobiet do nabywców samochodów autorstwa Billa i porównaniem mężczyzn do autobusów mojej matki i byłej żony jej kochasia, to film dokumentalny Jodie zaczyna coraz bardziej przypominać kiepski odcinek *On the Buses*.

O wpół do piątej rano w dniu, kiedy mieliśmy wyruszyć w wielką podróż, wciąż nie mam odpowiedniego pojemnika dla Rogera. Za każdym razem, kiedy próbuję go zapakować do kartonu, który przytargałam do domu z supermarketu, jego łapy (z wysuniętymi pazurami) wystrzeliwują górą, a za nimi pojawia się łebek (oczy majak szparki; przypomina Mickeya Rooneya w *Śniadaniu u Tiffany 'ego*) i pudło się rozpada. Nawet nie zbliży się do wiklinowego koszyka, w którym go przyniesiono, a jeśli już, to nie bez wbijania mi zębów w

nadgarstek.

Pół godziny później przyjeżdża samochód dziewczyn. Wysyłają po mnie Hilary. O tej porze wygląda na zmęczoną, schorowaną i starą. Jest za to zakochana.

- Chyba nie masz zamiaru zabrać kota luzem? - pyta przerażona.

- W pudełku nie chce siedzieć, a nie mogę go wsadzić do koszyka.

- Nie czytałaś Jamesa Herriota? - Nie.

- Za to ja tak. Na twoje szczęście jestem bibliotekarką. Mamy pięć egzemplarzy *Wszystkich stworzeń dużych i małych*. W serii dużych liter. Trzeba zrobić tak...

Ściąga z mojego łóżka koc, robi z niego zawiniątko i rzuca to na Rogera - w podobny sposób Leyland Brothers zarzucali sieć na krokodyla. Potem zgarnia go. Roger walczy zaciekle zaplątany w niebieski koc. Hilary owija go nim, aż kot wygląda jak egipska mumia. W końcu jest w kokonie, z którego wystaje mu tylko głowa.

Roger jest naprawdę wściekły.

- James Herriot przyda ci się też, jeśli będziesz kiedyś musiała dostarczyć gdzieś cielaka - mówi Hilary.

Kiedy wciskam się do furgonetki, wszyscy mają zaskakująco dobry humor, zważywszy na to, że kazałam im na siebie czekać i jest taka barbarzyńska pora.

Paul jeszcze bardziej niż zwykle przypomina młodego Andre Previna - worki pod oczami z powodu niewyspania i ostre linie biegnące od nosa ku ustom. Zauważam, że ma na sobie jeden z odwiecznych granatowych swetrów Hilary (ten jest szczególnie workowaty, ma już dobrych parę lat), ale nic na ten temat nie mówię.

W tym czasie Didi zdążyła się otoczyć środkami pobudzającymi mi, dropsami i kasetami z Enyą, które zabrała z myślą o długiej podróży.

Jodie siedzi z przodu. Ma na sobie strój reżysera z Festiwalu, Filmowego nad Zatoką Byrona. Tym razem nie założyła pieluszki, tylko lekką czarną sukienkę, okulary przeciwsłoneczne i martensy. Musi straszliwie marznąć.

- James Herriot - stwierdza Paul, gdy widzi mnie z Rogerem w kokonie z koca.

Hilary patrzy na Paula z miłością. Nie wiem - może jednak istnieją bratnie dusze?

Zdążyliśmy raptem dojechać do mostu, kiedy Roger zaczyna wydawać z siebie dziwne odgłosy. Brzmi to tak, jakby zatkał sobie nos i jednocześnie wrzeszczał, bo ktoś raz za razem dźga go czymś ostrym.

- Chodź tu, maleństwo - mówi Jodie i bierze go na kolana. Kot natychmiast się jej wyrzywa i jednym skokiem ląduje na drugim końcu furgonetki. Ślizga się po całym wozie i jeszcze głośniej miauczy, gdy na światłach Didi daje gaz do dechy.

- Chodź tutaj - wabi go Paul, ale Roger go gryzie.

W końcu gdzieś na Pacific Highway kot się przymyka i pada. Kiedy Didi włącza Enyę, cała szopka zaczyna się od nowa. Wobec tego Enya zostaje wyłączona, a do wozu powraca spokój.

- Nie sędzę, żeby gdzieś w Byron przyjmowali gości z kotami - mówi po namyśle Hilary.

- Ale z dziećmi przyjmują, prawda?

- Nie masz chyba zamiaru udawać, że to twoje dziecko?

- Może by mi się udało.

- Cholernie kudłaty dzieciak.

Muszę przyznać, że do tej pory nie zastanawiałam się nad tym, gdzie się zatrzymam. Może to jest właśnie styl wolnego strzelca - kobiety lat dziewięćdziesiątych? A może bezrobotnego próżniaka? Podejrzewam, że skończy się tak jak ostatnim razem, kiedy wybraliśmy się na wyprawę samochodem - zatrzymamy się na najtańszym kempingu, a potem będziemy walczyć o najlepsze łóżka.

Roger i ja możemy zająć jedną przyczepkę, Jodie i Didi drugą, a Paul z Hilary trzecią. Idealnie. Piękne pary.

Czas wlecze się niemiłosiernie, a to oznacza, że a) nadal do przejechania jest więcej niż przejechaliśmy i b) bez wątpienia wstaliśmy dziś za wcześnie. Jodie próbuje wciągnąć nas w grę - trzeba podać nazwisko kobiety - polityka na każdą kolejną literę alfabetu - ale grzęźniemy już przy Benazir Bhutto.

W końcu poddaję się. Podkradam koc Rogera i zasypiam. Gdy się budzę, mijamy właśnie boisko, na którym trwa mecz krykieta.

- To Bellingen - tłumaczy usłużnie Hilary; Paul położył jej głowę na kolanach. On też śpi.

Jedziemy dalej, kiedy wreszcie znajdujemy znak. Dorrigo. Wystawiam głowę przez okno i wciągam powietrze. Nie ma żadnego zapachu, a tak właśnie powinno pachnieć powietrze. Chyba już zapomniałam, jak to jest.

- Wiesz, że Roger prawie sto razy niemal wyskoczył przez okno, gdy ty spałaś?! - wrzeszczy Didi.

Kot znowu zaczyna miauczeć i ślizgać się po podłodze.

Wreszcie jesteśmy na miejscu. Miasteczko wygląda prawie tak, jak to sobie wyobrażałam. Na wzgórzach wokół rosną drzewa w różnych odcieniach zieleni, pachnie ciastem, a na głównej ulicy jest tak niewielu przechodniów, że całość wygląda jak jeden z

tych miniaturowych modeli robionych dla architektów krajobrazu, z poutykanymi w dziwnych miejscach maleńkimi ludzikami z torbami na zakupy.

Jest tam bar z koktajlami mlecznymi. Na frontowej szybie wisi odręcznie zrobiony plakat, zapraszający ochotniczki do żeńskiej drużyny piłki nożnej. Plakat trzyma się na starej nalepce z lizakami Chiko Roli. W ścieku leży martwy ptak. I - a jakże - jest tu także biuro informacji.

Wszyscy idą do baru, a ja w tym czasie próbuję wydobyć coś z kobiety zza biurka.

Podejrzewam, że jestem jedyną osobą, która zajrzała do niej w ciągu ostatniej godziny.

W sklepie sprzedają pocztówki, więc kupuję jedną. Sądzę, że to może być dobre posunięcie. Ale nie jest. Kobieta ma to w nosie.

- Nie sądzą, żebym znała Billa McGinleya - mówi, przerzucając strony ze wzorami robótek na drutach.

To chyba pierwszy raz, kiedy używam jego prawdziwego nazwiska. Didi nadal myśli, że nazywa się Spec. Tak naprawdę, gdybym nie zerkała na jego korespondencję, nigdy nie poznałabym jego nazwiska.

- A samo nazwisko McGinley coś pani mówi?

- Tak, mieszkają tu McGinleyowie. Chyba z pięciu. Najdalsi mają dom ładny kawałek stąd. W jakim jest wieku?

- Koło trzydziestki. Może trzydzieści jeden. Może trzydzieści dwa. A może trzydzieści trzy lata.

Patrzy na mnie, jakbym była kompletną kretynką, ale nie reaguję.

- Przepraszam, nie mogę powiedzieć nic bardziej konkretnego.

I wtedy za pocztówkami dostrzegam komputer. W rogu ekranu wiruje N jak Netscape. Mam wrażenie, jakbym nie widziała tego znaczka ze sto lat.

- Jest pani w sieci!

- Owszem.

Sprawia wrażenie urażonej i trudno jej się dziwić. Pewnie wyglądam i zachowuję się jak najgorszy gatunek turystek z Sydney.

- Proszę skorzystać, jeśli pani chce - łagodnieje.

Pewnie myśli, że chcę znaleźć hotel, malowniczą drogę albo coś w tym stylu. Ale mnie tylko interesuje podpis na dole strony, bo coś - może wreszcie odezwała się niezwykła intuicja odziedziczona po ojcu - mówi mi, że to pomoże.

I oto jest. Oficjalna witryna internetowa Dorriego. Copyright by Bill McGinley, 1998.

- Osoba, której szukam, to ta, która zaprojektowała tę stronę - mówię bardzo powoli i z zadumą, bo mam wrażenie, że kieruje mną przeznaczenie.

I tak właśnie jest. Przeznaczenie szturcha mnie palcem w żebra tak długo, dopóki się nie poddam.

- Ta, która to zrobiła? A, teraz wiem, o kogo pani chodzi. Ale on się wyprowadził. Choć nie, chyba wrócił na jakiś czas. Niedawno widziałam go z matką. Nie wiem, czy nadal tu jest. To McGinleyowie z farmy, najbliższej miasta.

- Może mi pani powiedzieć, jak tam dojechać?

Nie chcę, żeby to zabrzmiało desperacko, ale jestem zdesperowana.

Ponieważ ewidentnie niczego nie pojmuję, kobieta w końcu rysuje mapkę na odwrocie kupionej przeze mnie pocztówki. Farma leży około pięciu kilometrów stąd. Bliżej, niż się spodziewałam. Właściwie wszystko wydaje mi się teraz o wiele, wiele bliższe.

Wracając do furgonetki wymachuję pocztówką. Wszyscy w środku jedzą lody. Oprócz Didi, która opycha się dropsami. Ktoś kupił Rogerowi czekoladowego cornetto. Pewnie Hilary. Kot je z papierowego talerzyka. Cała podłoga jest już w lodach.

- Znalazłam Billa! - mówię, machając pocztówką.

Wtedy Roger - czyż mogło być inaczej? - rzyga prosto na podłogę.

Muszę oddać Jodie sprawiedliwość - nie narzekała, że znowu nadkładamy drogi. Przeze mnie tak późno przyjedziemy na kemping nad Zatoką Byrona, że prawdopodobnie będziemy musieli spać na plaży. Jodie jednak uśmiecha się radośnie i łapie za kierownicę, kiedy przychodzi czas na oficjalną zmianę kierowcy.

Didi jest pilotem. Siedzi nad mapą. Trochę to przypomina Thelmę i Louise. Z jedną tylko różnicą - te dziewczyny zbyt kochają pokój, żeby obrabować stację benzynową. Ruszamy nieoznakowaną drogą.

- Potem w lewo - komenderuje Didi. - Dalej w prawo i zgodnie z tą mapką zobaczysz znak „McGinley”. Czekaj, dlaczego tam jest farma z kaczym gównem?

- Jaka farma z kaczym gównem?

- Patrz, sprzedają je w dużych workach. Nazywa się „Sknerusa McKwaka Nawozy KwaKwa”. To przypomina te slogany, które piszesz, Vic.

- Dzięki - mówię, wyglądając przez okno.

- Dobra, kupmy sobie trochę - wtrąca się Hilary siedząca z tyłu.

- Nie, patrz Jodie! - mówi nagle Didi. - Musiałaś źle skręcić przy stacji benzynowej.

- Jak zwykle! - krzyczy Hilary.

Paul znowu zasnął jej na kolanach. Nie wiem, jak jej pęcherz wytrzymuje taki nacisk.

Może facet wygląda jak Andre, ale głowę ma przynajmniej dwadzieścia pięć procent większą i cięższą od pana Previna.

W końcu Jodie i Didi dochodzą do wniosku, że musimy wrócić do miasta i zacząć od nowa - od ostatniego stracha na wróble przy ospalej rzeczce albo jakiegoś innego charakterystycznego punktu.

I wtedy to się dzieje. Właśnie kiedy Hilary wesoło ogłasza, że czas na zabawę w szpiegów w Dorrigu, spostrzegam samochód, który widziałam już milion razy wcześniej - wóz, który właśnie uderza w znak z ograniczeniem prędkości, wóz, w którym...

- BILL! - wrzeszczy Hilary przez okno.

Raptem Roger skacze na kolana Jodie, zostaje stamtąd zrzucony na podłogę i zaklinowuje się na pedale gazu. Pięć sekund później lądujemy w rowie, a wóz Billa koziółkuje na poboczu.

Paul reaguje pierwszy.

- Wysiadać! - wrzeszczy.

- Co się stało? - pyta niepewnie Hilary.

- Wszyscy wysiadać - rzuca ostro Jodie - bo furgonetka może wybuchnąć. Zrozumiano?

Jedno po drugim wpełzamy z wozu. Najpierw Paul trzymający Hilary, potem ja, Didi masująca ramiona Jodie, gdy ta próbuje otworzyć drzwiczki, i na końcu Roger. Trzeba zaznaczyć, że wygląda na zdrowego i gdzieś sobie biegnie. Samochód Billa przechylił się na poboczu. Jedno z przednich kół zaklinowało się w skale, a z tego, co kiedyś było przednimi światłami, pozostał tylko stos odłamków pomarańczowego i białego plastiku.

Nawet stąd czuć zapach benzyny. To nie jest droga, na której człowiek nie potrafiący prowadzić może przekroczyć dozwoloną prędkość, gdy chce minąć się z jadącą z naprzeciwka furgonetką. Zwłaszcza jeśli prowadzi ją zwariowana na punkcie władzy pani reżyser w ciemnych okularach.

Myślę, że ta droga jest właściwie przeznaczona dla kaczek. Prawdopodobnie dla kaczek drepczących do domu po ciężkim dniu pracy w przedsiębiorstwie McKwaka.

To typowe dla mnie, kiedy jestem w szoku. Niczego nie potrafię traktować poważnie. Zawsze podejrzewałam, że okażę się jedną z tych chichoczących histeryczek, które trzeba uderzyć w twarz, aby doszły do siebie. Czuję, że coś takiego zaczyna się ze mną dziać.

Bill powoli, powolutku wysiada z samochodu. Pierwsza rzecz, którą zauważam, to to że urosły mu włosy. Druga rzecz, że ma białą jak płótno twarz, a z ramienia leci mu krew.

- Bill!

Pędzę ku niemu.

Nagle dotarło do mnie, że mój przyjaciel jest ranny. O nic innego nie dbam.

- Cześć - mówi i mruga, patrząc na mnie.

Potem osuwa się na trawę.

- Ojciec mnie zabije. Dopiero co go naprawił - rzuca odruchowo. Trzyma swoją rękę, jakby to była szklanka, która zaraz się stłucze.

- Przepraszam - krzyczy Jodie, biegnąc w swoich purpurowych baletkach i potykając się na trawie. - Kot wpadł mi pod nogi. Wiem, że to moja wina.

Rozpoznając słynną reżyserkę *Zakochanych kobiet* - roboczy tytuł *Lasek, kłamstw i kaset wideo* - jeszcze bardziej blednie. A mnie po głowie kołacze się ta idiotyczna myśl: Chcę go wziąć za rękę. Wygląda na takiego przestraszonego i zagubionego. Chcę go wziąć za rękę. Ale nie mogę.

- Dobrze się czujesz, kolego? - pyta Paul.

Widzę, że Hilary zamierza przedstawić sobie panów, gdy dociera do mnie, że powinniśmy zrobić coś bardziej pożytecznego.

- Jesteś ranny? - pytam. Wiem, że jest.

- Troszkę. Uderzyłem się w rękę.

- Co mamy zrobić? - Najlepiej byłoby znaleźć tatę.

- Odwieziemy cię do domu - proponuje Hilary. Dobrze, myślę sobie. Ona się tym zajmie.

Nadal chcę go wziąć za rękę. Albo coś zrobić. Kiedy jednak, ślaniając się, Bill wstaje, to Paul mu pomaga.

Z powrotem ładujemy się do furgonetki. Roger skarży się w ramionach Hilary.

- Gdzie koc? - pyta mnie przyjaciółka.

Znajduję go i okrywam nim nogi Billa. Bez sensu. Hilary natychmiast pochyla się i poprawia koc. Podejrzewam, że to echo jednego z tych bibliotecznych kursów pierwszej pomocy.

A potem, gdy podskakując na wybojach ruszamy (teraz prowadzi i pilnuje mapy Didi), myślę, że nic mnie to nie obchodzi. Przesiadam się więc obok Billa. Biorę go pod kocem za rękę. Bill z trudem się uśmiecha. I chociaż wszyscy uprzejmie patrzą w drugą stronę, przez chwilę widzę spojrzenie Didi we wstecznym lusterku.

- Nie wpadłem na was przypadkiem, prawda? - wydusza z siebie Bill po kilku minutach jazdy.

- Przyjechaliśmy, żeby cię odnaleźć. Martwiliśmy się o ciebie - odpowiadam.

Mówiąc „my”, czuję się bezpieczniej. Bo co można powiedzieć komuś, kto wykrwawia się na śmierć pod twoim własnym kocem?

W końcu docieramy na miejsce. Oczywiście już raz minęliśmy W właściwy zjazd. Jest tam odręcznie namalowany znak „McGinley” i skrzynka pocztowa z kanistra. A za nimi kilometrami ciągnie się kamienista droga. Roger znowu zaczyna ślizgać się na podłodze.

Mam nadzieję, że rodzice Billa nie uznają nas za komiwojażerów ze spinaczami do bielizny. Powinnam pilnować kota. To może zrobić złe wrażenie, jeśli Roger wyskoczy jako pierwszy. Oczami wyobraźni widzę panią Puszek (albo coś w tym stylu), wielkie, czarnobiałe zwierzę siedzące na daszku werandy. Bill czasem wspominał mi o niej. Widzę teraz, jak bardzo musiał tęsknić za domem.

Roger patrzy na panią Puszek, wydaje z siebie dziwne odgłosy i prychnięcia.

- Lepiej trzymaj swojego kota w furgonetce - mówi Paul. Hilary patrzy na niego z miłością.

Rodzice Billa czekają cierpliwie na końcu kamienistego podjazdu, podczas gdy Didi próbuje zaparkować furgonetkę, objeżdżając pomalowane na biało otoczaki i coś, co wygląda jak stary grill. Państwo McGinley wyglądają na sympatycznych. Nie są to potwory, które splodziły komputerowego zbrojeńca. Pan McGinley ma nos trochę podobny do nosa Billa i widać, po kim Bill odziedziczył duże odstające uszy, przywodzące na myśl fotografie z klubów RSL. Pani McGinley wygląda tak, jak wygląda, ale uśmiecha się jak jej syn. Pewnie przyzwyczaili się też do wszelkich katastrof wiejskiego życia, bo kiedy najpierw wyskakują z furgonetki razem z Billem bladym jak ściana, a potem wyłania się Jodie w stroju reżysera filmowego znad Zatoki Byrona, nawet nie mrugną.

Ojciec Billa zerka na niego i dochodzi do wniosku, że syn czuje się dobrze.

- Wiedziałem. Mieliście stłuczkę, tak?

Wszyscy się uśmiechają słysząc to, ale potem matka Billa przynagla nas, żebyśmy weszli do domu na herbatę. Mówi, że nie obchodzi jej, czy ktoś się będzie temu sprzeciwiał, ale ma zamiar wezwać lekarza.

Cieszę się. Jakie to cudowne, kiedy inni ludzie przejmują inicjatywę. Ponieważ trzymałam pod kocem Billa za jedną rękę, widzę, że drugą zacisnął w pięść. Udaje, że wszystko jest w porządku.

McGinleyowie mieszkają w szalowanym domu, pełnym zdjęć rodzinnych wiszących na ścianach korytarza - to muszą być siostry Billa, też mają strasznie odstające uszy - i białych firanek, które wyglądają jak prane w rosie.

Pachnie tu mydłem Sunlight, biszkoptem i - zabawne - cytrynowym żelem pod

prysznic Billa, takim samym, jakiego używał Dan. To zapach z przeszłości, a nie teraźniejszości, który sprawia, że mam w głowie kompletny mętlik.

- Proszę, siadajcie, a ja postawię czajnik - mówi pani McGinley. - I zrobię ci okład na rękę, zanim przyjedzie doktor, dobrze Bill?

Bill kiwa głową.

Zauważam, że wbija sobie paznokieć kciuka w palec wskazujący.

- Gdzie samochód? - pyta ojciec Billa.

Zdaje się, że jest przede wszystkim zmartwiony praktycznymi i technicznymi stronami tej sytuacji. Może myśli, że jego cholernie głupi syn wjechał przez frontowe okno do baru i reputacja McGinleyów w mieście została zrujnowana.

- Kawalek stąd, w pobliżu domu Traversów - wykrztusza Bill siedzący w fotelu.

Ojciec chrząka i idzie do telefonu.

Z jakiegoś powodu wszyscy dzielimy się na dwie grupki - dziewczyn i chłopców. To bardzo dziwne. Może to wpływ wiejskiego powietrza, przesiąkniętego tradycją. Jodie, Hilary, Didi i ja siedzimy ściśnięte na kanapie niczym czterej muszkietierowie, a Paul i Bill siedzą na wielkich fotelach. Podejrzewam, że w tym domu te miejsca zawsze należały do mężczyzn.

- Co ten kot robi w furgonetce? - pyta w końcu Bill.

- Nikt nie mógł się nim zająć - odpowiadam niemal szeptem. Mogłabym mu powiedzieć o mamie i jej nowym chłopaku astmatyku, ale nie robię tego.

Ten dom należy do takich, w których człowiek ma poczucie, że nie wolno zakłócać spokoju, bo głośniejszy dźwięk mógłby dosłownie roztrzaskać szyby w oknach. Nic dziwnego, że kiedy Bill przyjechał do Sydney, nie potrafił mówić.

Gdy jednak patrzę na niego teraz - wciąż siedzi błąd jak ściana - nie mogę przestać myśleć, że to jest Pierre. Mężczyzna, który napisał: „Znalazłem się z dala od domu. Przeprowadziłem się w miejsce, gdzie ludzie mówią innym językiem, a moja była dziewczyna potrzebuje tyle przestrzeni, że musi mieszkać w odległości nie mniejszej niż dziesięć kilometrów ode mnie”.

Pani McGinley wraca ze ściereczką i plastikową torebką wypełnioną lodem. Pyta nas, czy chcemy coś zjeść. Hilary mówi, że tak, co jest dla niej typowe. Kiedy matka Billa pędzi z powrotem do kuchni, chwytam Hilary za łokieć.

- Zapytała nas, więc powiedziałam, że tak - protestuje.

- Będzie miała jakieś zajęcie - mówi Bill, popierając Hilary. Na moment miga mi przed oczami obraz starego Billa. Tego, który tamtej nocy był na kolacji w indyjskiej restauracji i patrzył na mnie przez stół, gdy Natalie trajkotała mu do ucha. Słyszymy, że z

podjazdu rusza samochód.

- Najwyraźniej pojechał po lawetę, więc równie dobrze możemy siadać do stołu - stwierdza mama Billa, wracając do pokoju z talerzem pełnym biszkoptów.

Staje się oczywiste, że pan McGinley również jest małomówny.

- Zadzwoiłam po lekarza, ale jest u Pascallów - mówi Billowi matka ponad naszymi głowami. Chyba nie jest zadowolona z tych wieści.

- Pascallowie to hipochondrycy - wyjaśnia Bill.

- To chyba nie ci, którzy prowadzą przedsiębiorstwo Sknerusa McKwaka Nawozy KwaKwa, prawda? - wrywa się Hilary.

Zapada straszliwa cisza.

- Kurczę, ile kaset wideo. - Didi jest najwyraźniej zaskoczona. Wszyscy się odwracają, żeby zobaczyć - jest ich chyba ze sto, a każda została opisana: *Owczarek australijski, odcinek 1, Owczarek australijski, odcinek 2* i tak dalej. Patrzymy na nie długo, wydając z siebie pomruki zdziwienia, aż trzeba się w końcu odwrócić.

Wtedy Bill wstaje. To błąd.

Kiedy próbuje się podnieść z fotela i podejść do drzwi, prawie się na nas przewraca - mało brakuje, a zgniótłby nas na marmoladę. Zaginałby ślad po czwórce muszkietierów. Jego matka natychmiast się podrywa i usadza go z powrotem.

- Jeśli musisz iść, ja cię poprowadzę - stwierdza.

Myszę, że ma na myśli toaletę. Twarz Billa przybiera znajomą barwę gotowanego raka.

- Nie, później pójdę - mruczy pod nosem.

Wtedy to do mnie dociera. Ta kobieta nie wie, kim my jesteśmy.

- Nazywam się Victoria, to jest Hilary, a to Jodie i Didi - mówię. - A to jest Paul.

- Cóż, ja nazywam się Sylvia McGinley, a to jest Bill - mówi, siląc się na dowcip. - Przedstawiłeś się im, Bill, prawda? W końcu prawie zmiotłeś ich z drogi.

- Nie, to my go zmiotliśmy z drogi - protestuje Jodie z biszkoptem w ustach. - To nasza wina, bo kot Victorii wpadł na pedał gazu.

Po sposobie, w jaki pani McGinley spojrzała na Jodie, wnioskuję, że właśnie zrozumiała, że moja przyjaciółka może być sprzedawczynią spinaczy do bielizny albo porywaczem kotów. Albo jechała właśnie do centrum odwykowego dla narkomanów.

- Mamo, ja ich znam - oznajmia w końcu Bill. Kobieta mruga zaskoczona.

- Przyjechali, bo mnie szukali. To jest Victoria. Ta z piętra niżej.

- Och, Victoria...

Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, bardzo szybko biorę więc biszkopta i zaczynam wydawać z siebie odgłosy zachwytu.

- Więc Bill sporo pani mówił o Victorii, pani McGinley - zaczyna złośliwie Hilary, a Bill znowu spieka raka.

Z bladego zmienia się w różowutkiego jak angielski turysta pierwszego dnia na plażach Bondi. Znowu cisza.

- Spróbuję jeszcze raz złapać doktora. Sprawdzę, czy już wyjechał od Pascallów - mówi matka Billa, wstając.

Jodie zerka na swój zegarek i używa słowa, jakiego McGinleyowie pewnie nigdy w życiu nie słyszeli w *Owczarku australijskim*. Na szczęście pani domu zdążyła się już znaleźć poza zasięgiem jej głosu.

- Spóźnimy się - mówi Jodie. - Powinniśmy się zbierać. Chyba najbardziej ulżyło Paulowi. Może to z powodu fotela, który stoi tak daleko od Hilary. W każdym razie wszyscy podrywają się i zaczynają hałasować.

Wszyscy oprócz mnie.

Hilary gapi się na mnie.

- Może dobrze by było, gdyby Victoria została tu z Billem na jakiś czas - rzuca radośnie w powietrze. - Pomogłaby jego matce. Możemy ją zabrać później, w drodze powrotnej.

- Nie, nie możemy - Jodie. Uratowana.

- Może wrócić pociągiem - odbija piłeczkę Hilary. Nie uratowana.

A z drugiej strony czemu nie protestuję? Czemu nie wstanę z krzesła? Dlaczego na mojej lewej dłoni ciągle czuję dotyk jego ręki, choć minęło już pół godziny?

Znowu zapada cisza. I już chyba nie możemy wspomnieć o kolekcji kaset wideo.

- Nie mam nic przeciwko temu - zaczynam. - Ale... - Patrzę na Billa.

On zerka na mnie. Cholerna Hilary. Mogłabym ją złapać za kołnierz i potrząsnąć jak psiakiem. Dlaczego ona zawsze myśli, że wie lepiej? Dlaczego? Już od czasów historii z waniliowym błyszczkiem i opryszczką, od czasów...

- Możesz zostać, jeśli chcesz - wrusza ramionami Bill. - Przejechałaś taki kawał drogi, żeby tu wpaść, więc...

- A jutro Victoria może złapać pociąg z Urunga do samego Byron - stwierdza wesoło Hilary. - To niedaleko, po drodze patrzyłam na mapę. ‘

Pani McGinley wraca do pokoju.

- Nie, nadal jest u Pascallów - stwierdza ponuro. - Chyba będę musiała pojechać i

osobiście go złapać.

- W porządku - mówi Bill. - Mogę zaczekać.

- Nie, znam cię - wzdycha jego matka. - Jesteś taki jak ojciec. Mówisz, że wszystko w porządku, a potem mdlejesz.

Bill czerwieni się jeszcze bardziej.

- Victoria mówi, że mogłaby zostać... - zaczyna.

- Cóż, jest tu pani bardzo mile widziana - mówi pani McGinley. - Wszyscy możecie zostać, jeśli chcecie. Ja powinnam niedługo wrócić.

Bill znowu próbuje:

- Zostań może na noc. W starym pokoju Emmy. Jutro złapiesz pociąg do Byron.

- Tak, to żaden problem. Pokój jest posprzątany. Naprawdę nie chcę tego mówić, ale pani McGinley nie tylko nie zauważa narastającego zakłopotania, ale w dodatku wygląda na podnieconą wizją mojego noclegu. Może Bill jednak nie zmieszał mnie tak całkowicie z błotem. A może po prostu cieszy się na myśl o saganie owsianki i naleśników, czy co tam przygotowują na śniadanie żony farmerów. Może potrzebuje pary dodatkowych rąk do dojenia krów.

Nie jestem w stanie nawet spojrzeć na Billa. Cała ta sytuacja jest zbyt straszna, by to opisać.

- Zaopiekujemy się Rogerem - słyszę słowa Paula. Poważnie.

To on też bierze udział w spisku? Hilary z pomocnikiem, gorzej być nie mogło.

W końcu dają sobie ze mną spokój i wychodzą z domu gęsiego, z Jodie na czele, która robi prawdziwe widowisko nieustannie zerkając na zegarek w trakcie drogi do samochodu.

- Jeśli pojedziecie za mną do Pascallów, pokażę wam stamtąd drogę. - To ostatnia rzecz, którą słyszę z ust matki Billa, gdy moi przyjaciele zamykają za sobą frontowe drzwi. Mam nadzieję, że przez ten czas będzie prowadzić Didi.

A potem robi się cicho. Taka wiejska cisza. Jesteśmy tylko ja i Bill. Obydwoje gapimy się na ściany (reprodukcja Moneta na jednej, na drugiej reprodukcja Maneta, bardzo to demokratyczne; założę się, że zamówiła je matka Billa).

- Dzięki, że pottrzymałaś mnie za rękę - mówi w końcu Bill. Nadal nie mogę na niego spojrzeć, ale po głosie poznaję, że się uśmiecha.

- Może przejdę się trochę - stwierdzam w odpowiedzi. - Czuję się jakoś dziwnie.

I rzeczywiście tak się czuję.

- W porządku.

- Chcesz jeszcze herbaty albo czegoś innego?

- Eee... tak. Cukier by się przydał. - Źle się czujesz?

- Lubię cukier - wzrusza ramionami.

Idę do kuchni. Podziwiam widoki, czekając, aż woda się zagotuje. W takim domu jak ten nawet zmywanie mogłoby być cudowne. Za oknem, w prostej linii od czubka butelki z płynem do zmywania ciągną się błękitne wzgórza i różowe pasma nieba.

Ciekawe, która godzina? Mam wrażenie, że wieki minęły od wypadku.

Kiedy woda zaczyna się gotować, otwieram drzwi kredensu (jest w starym stylu, z siatką chroniącą przed muchami) w poszukiwaniu cukru. Jest tam kubek z ozdobnym napisem „Emma” - pewnie jego siostry. Zgodnie z tym, co mówił, jest jeszcze jedna siostra. Mężatka. Znajduję też wielki kubek z napisem „Microsoft”. Ten musi należeć do Billa. Jakie to nudne.

Wlewam do kubka za dużo wody i muszę nieść go bardzo ostrożnie, krok po kroku. Zajął mi to więcej czasu niż myślałam, bo kiedy wracam do pokoju, Bill śpi, z rękami zwieszającymi się z fotela.

Zostawiam go śpiącego i idę na spacer.

Myszę, że sens posiadania farmy polega na tym, że zupełnie swobodnie możesz rozrzucać po niej resztki i różne graty. Skręcam za dom w stronę dwóch wielkich stodół i widzę zardzewiały trójkołowy rowerek (mogę sobie wyobrazić małego Billa, wpadającego na rowerku na wszystko, co się rusza) i opony pomalowane na białą, żeby wyglądały jak łabędzie, a nawet resztki siatki tenisowej.

Chyba będzie padać.

I wtedy to do mnie dociera. Moja torba.

- A niech cię diabli, cholerny Sherlocku!

Najwyraźniej wspaniały plan Hilary nie obejmował wyjęcia mojej torby z bagażnika. Boże, niech sobie o niej przypomni, zanim dojadą do hipochondrycznych Pascallów, i niech ją da matce Billa.

Skądś jednak wiem, że tak się nie stanie.

Mam jedną sukienkę, jedną parę majtek, jeden stanik, jedne buty, nie mam kurtki, parasolki, szczoteczki do zębów, szczotki do włosów, Zaawansowanego Kompleksu Regenerująco - Ochronno - Odżywczego na Noc Estee Lauder, pokładu, a nawet tamponu na wszelki wypadek. Właściwie jedyne, co mam, to moja torebka.

Kiedy tak spaceruję, zaczyna lać. Za chwilę moja mała kwiecista sukienka, idealna na popołudniowy spacer po plaży w Bondi, zamieni się w prześwitujący koszmar. Właściwie przy niej szlafrok, w którym widać mi było sutki, będzie sprawiał wrażenie arcyskromnego. Dlatego też zaczynam biec. Ostatni raz biegłam tak w czasie oberwania chmury w 1984 roku, podczas szkolnego biegu przełajowego. To widać. Zanim dopadam pierwszej stodoły, ledwie mogę złapać oddech.

Zęby dostać się do środka, muszę uchylić pełną połówkę ogromnych drzwi, zamkniętych u góry na skobel i kłódkę. Wewnątrz jest ciemno, a deszcz - teraz po prostu leje jak z cebra - ogłuszająco bębni o dach.

Helena Chettle opowiedziała mi kiedyś straszną historię o tym, jak ktoś wszedł do pewnej stodoły na wsi i znalazł ogromnego węża zwieszającego się z krokwi.

Gdzie tu jest włącznik światła? Cholera, czy w stodołach są włączniki światła?

W końcu zaczynam coś widzieć. Chociaż połowa stodoły wypełniona jest balami siana nęcącymi węże, reszta zamieniła się w istny labirynt magazynów i schowków. Przy szczycie drabiny stojącej na końcu stodoły ktoś zamienił część strychu w prowizoryczne biuro.

W prowizoryczne biuro z komputerem, okazuje się, gdy wchodzę na szczyt drabiny.

Ciekawe, jak działa? Na pedały?

To prawdziwa kryjówka. Mogę zrozumieć, dlaczego Bill tęsknił za nią przez cały czas. Niepewnie schodzę z drabiny i wchodzę do biura.

Bogu dzięki, że tu na górze wreszcie jest ciepło. I sucho. Patrzę po sobie. Tak myślałam. Wyglądam, jakbym była owinięta w celofan w kwiatki.

Jeśli trzyma tu swój komputer, szkolne podręczniki i wszystkie swoje purpurowe proporce z zawodów pływackich, to może trzyma tu też jakieś stare ubrania?

Wreszcie je znajduję. Są w pudle z kilkoma starymi, cuchnącymi czasopismami muzycznymi z jego ukochanym Elvisem Costello na okładce. Widzę też jeden z tych długich pasiastych szalików, które dziewczyny zwykle robią dla swoich chłopaków. Ciekawe, czy go wydziergała Gumowa Zatyczka, czy też jakaś inna dziewczyna?

Zakładam starą kurtkę przeciwdeszczową z ciasnymi gumkami w mankietach, które zaciskają mi się na przedramieniu, a na to dzinsową kurtkę z wielką, okrągłą odznaką z napisem *Life Be In It*. Zabawne. Nie mogę sobie wyobrazić Billa biorącego udział w kampanii *Life Be In It* nawet w czasach, gdy był pryszczatym uczniakiem.

Wciąż leje. Kiedyś będę musiała wrócić do domu. I wtedy to zauważam. Pewnie jakaś część mnie wiedziała, że to znajdę. Pudełko po butach spięte gumką. Leży na wierzchu stosu puszek po herbacie, który Bill ułożył w rogu. Mimo gumki przykrywka nie przylega ściśle, mogą więc dostrzec upchany w środku stos listów.

Staję na palcach w przemoczonych czarnych butach i prawie przewracam pudełko. Tak jak myślałam. Listy od Gumowej Zatyczki.

W jednym z nich jest jej zdjęcie. Zrobione w tym samym czasie, co fotografia z mieszkania Billa. Stanowczo to zdjęcie mniej lubił. Może dlatego, że słabiej widać jej piegi?

Słyszę, że u podnóża wzgórza z klekotem przejechał samochód. W panice zamykam pudełko i odstawiam z powrotem.

Powinam zejść na dół? Pewnie pomyślą, że się zgubiłam. Bill śpi w fotelu, a mnie nigdzie nie ma. To będzie wyglądało, jakbym go otruła.

Schodzę po drabinie, uważając na węże, i idę do wyjścia. Na wsi powinno zostawić się drzwi albo otwarte, albo zamknięte, ale nigdy nie pamiętam, o którą z tych możliwości chodzi, zostawiam je więc uchylone. A potem z powrotem ześlizguję się w dół wzgórza.

Wygląda na to, że pan McGinley w końcu znalazł lawetę i zabrał wóz Billa. Auto jest bardziej uszkodzone, niż myślałam - cała karoseria z przodu po lewej stronie jest wgnieciona.

Pan McGinley dostrzega mnie i macha. Nadal siąpi.

- Doktor jest jakiś kilometr za mną - mówi, wskazując gdzieś w stronę podjazdu.

Kiwam głową i pędzę do domu. Nie sędzę, żeby łatwo się rozmawiało z ojcem Billa w sprzyjających okolicznościach, ale w środku oberwania chmury prawdopodobnie jest to niemożliwe.

Kiedy wchodzę do domu, dzinsowa kurtka, którą wzięłam ze stodoły zmieniła kolor z błękitnego na granatowy, a odznaka odpadła. Bill nadal śpi w fotelu.

- Bill.

Otwiera oczy.

- Lekarz już jedzie, a twój ojciec przywiózł samochód. Zerka po sobie i widzi, że okład z lodu rozpuścił mu się na koszulce i fotelu.

- Przynieść ci inny ręcznik?

- Nie. Przepraszam. Właśnie wymyśliłem, dlaczego tu jesteś. Dlaczego... Co ty masz na sobie? Mama dała ci moją kurtkę?

- Sama ją wzięłam. Przepraszam. Musiałam. Hilary zabrała moją torbę. Pada.

- No tak.

Kiwa głową. Wygląda na zupełnie skołowanego. Chcę mu powiedzieć, że znalazłam pudełko od butów z listami od Gumowej Zatycki i że ich nie czytałam, ale tego nie robię.

- Chcesz jeszcze herbaty? Może to wpływ wiejskiego powietrza. Zachowuję się jak jego matka.

- Nie, dziękuję.

W końcu słyszymy, jak podjeżdżają kolejne samochody, i kilka minut później wszyscy gromadzą się w domu. Lekarz (z wielkim, czarnym parasolem, więc nie zmókł), matka Billa (bez parasolki, przemoczona) i ojciec Billa (praktycznie topielec).

Czy to nie zabawne, że kiedy pada, ludzie robią się bardziej hałaśliwi? Mnóstwo cmokania, krzątania, „aj, aj” pani McGinley i „fiu, fiu” doktora. Pan McGinley robi więcej szumu niż zwykle, wieszając płaszcz lekarza na wieszaku w korytarzu.

- Miałam cię zapytać, czy chcesz którąś z moich rzeczy? - pyta mama Billa, patrząc na przedziwną kombinację mokrych butów, przemoczonej kwiecistej sukienki, przyciasnej kurtki przeciwdeszczowej i małej dzinsowej bluzy.

- Nie trzeba, dam sobie radę.

- Emma zostawiła trochę rzeczy w szafie - mówi z trudem Bill.

To typowe, myślę sobie, gdy jego matka zagania mnie do sypialni Emmy. Leży, powoli wykrwawiając się na śmierć, jego samochód to kupa złomu, a on zajmuje się mną.

Kampania *Life Be In It* musiała wciągnąć całą rodzinę McGinleyów. Kolejna plakietka wisi na starej korkowej tablicy Emmy, przypięta zardzewiałą pinezką.

- Dobrze, część rzeczy jest tutaj... - Matka Billa otwiera jedną połowę ogromnej, szafy. - A część tutaj... - Druga połowa ugina się pod ciężarem długich sukni wieczorowych.

Ciekawe, jak bym wyglądała w tej czerwonej z aksamitu?

- Emma jest starsza czy młodsza? - pytam z grzeczności.

- Młodsza. Ma dopiero siedemnaście lat. Właśnie robi maturę.

- Ach, maturę - powtarzam bez sensu.

- W każdym razie - mówi mama Billa, szykując się wreszcie do wyjścia - rozgość się i daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała. W kredensie są ręczniki. Wiesz jak posługiwać się elektrycznym kocem, prawda?

Cóż, jeśli wiem, to jest to chyba jedyna rzecz, którą w tej chwili wiem. To mi przypomina, że naprawdę muszę się zająć broszurą dla Robi. Pani McGinley wychodzi.

W pewnej chwili musiałam zdecydować, że lepiej będzie położyć się na łóżku, i zasnąłam, bo nagle zrobiło się strasznie ciemno i cicho. Wtedy sobie przypominam. Nie mogłam niczego wymyślić do broszury dla Robi i położyłam się w poszukiwaniu inspiracji. Nie mogę oddychać. Dlaczego nie mogę oddychać? Pewnie kurtka przeciwdeszczowa skurczyła się na mojej klatce piersiowej.

Emma ma jedną z tych lampek w formie leśnych zarośli, którymi zachwycają się ośmioletnie dziewczynki. Rzecz w tym, że na tej cholernej lampce jest tyle borsuków, fretek, łasic i kropkowanych muchomorów, że nie mogę namacać włącznika. Macam przez pięć minut, poddaję się, wstaję z łóżka i przewracam się.

- Cholera!

Ktoś zostawił na podłodze stos szamponetek i mydła. O, nie. To pewnie kosmetyki dla gości. Chyba stąd wziął się ten okropny sztuczny zapach moreli.

Nie mogę w to uwierzyć. Ściemniło się, jestem przemoczona, zmarznięta i owinięta jak mumia w mokrą dżinsową kurtkę Billa, którą prawdopodobnie po raz ostatni nosił, gdy miał czternaście lat. W dodatku właśnie rozbiłam sobie głowę na morelowej odżywce do włosów.

Wreszcie znajduję włącznik światła na ścianie.

Kiedy je włączam, widzę leśny budzik, tuż obok leśnej lampki. Jest mniej więcej dwadzieścia po drugiej w nocy.

Co się stało?

Łasice i cała reszta leśnych stworków na lampce milczą. Podejrzewam, że jestem w szoku.

Wprawdzie to Bill rozbił samochód i pogruchotał rękę, ale nas w końcu też zmiotło z

drogi. Pamiętam, że po moim ostatnim wypadku samochodowym - kiedy wjechałam swoim gruchotem na słup wysokiego napięcia - z jakiegoś powodu po prostu spałam i spałam.

Zerkam do szafy, szukając czegoś odrobinę przypominającego koszulę nocną, żeby zrzucić z siebie obrzydliwie moką sukienkę, kurtkę przeciwdeszczową i dzinsową bluzę. Jeśli oczywiście nie skurczyły się do tego stopnia, że już nie przejdą mi przez głowę.

Jedyna rzecz, w którą a) wejdę i b) mogę sobie wyobrazić, że ją założę, to stara aksamitna czerwona sukienka Emmy McGinley. Pomocy.

Pewnie miała ją na studniówce. Kiedy ją zakładam, próbuję sobie przypomnieć, co ja miałam wtedy na sobie. Jeśli się nie mylę, było to coś żółtego i satynowego, z poduszkami na ramionach, z powodu których wyglądałam jak amerykański futbolista.

Wtedy coś słyszę. Druga piosenka z pierwszej strony, *Mighty Like a Rose*. Album Elvise Costello, ulubiony Billa. To miło z jego strony, że puszcza to o drugiej w nocy.

Wychylam się na korytarz i delikatnie macam ścianę, szukając kontaktu. Nic nie ma. Kieruję się więc w stronę szpary światła pod drzwiami pokoju Billa. Pukam.

- Proszę.

Bill siedzi na łóżku w piżamie w biało - niebieskie paski, musiała należeć do jego dziadka. Bandaż w cielistym kolorze zakrywa mu rękę od łokcia po kciuk.

- O, cześć.

Pewnie myślał, że to jego matka.

- To tylko ja.

- Ćśśś, wejdź.

Cichutko zamykam za sobą drzwi i podchodzę. Nie mam gdzie usiąść, a nie usiądę na łóżku - za blisko - więc stoję.

- Co tym razem masz na sobie?

Muszę śmiesznie wyglądać. Najpierw mokra kurtka dzinsowa w połączeniu z przeciwdeszczową, a teraz czerwona aksamitna sukienka wieczorowa.

- To Emmy.

- Tak, wiem, że to Emmy. Wiedziałam.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

- To świetnie.

- Obudziłem cię? Przepraszam. Myślałem, że nastawiłem cicho.

- Dobry stary Elvis Costello. - Aha.

- To twoja piżama?

Patrzy po sobie zaskoczony. - A co?

- Wygląda, jakby należała do twojego dziadka. - Nie, jest moja.

- Och. Przepraszam.

- W przeciwieństwie do ciebie nie podwędzam ubrań mojej rodzinie.

- Przepraszam.

- Żartują - mówi z półuśmiechem. - Siadaj na podłodze, jeśli masz ochotę. Pod łóżkiem są koce.

Zerkam więc pod łóżko - niewątpliwie wyglądam bardzo elegancko w czerwonej aksamitnej sukni wieczorowej - i znajduję szary koc z gatunku tych, których nikt nie lubi, więc zawsze sieje chowa. Siadam. Kłuje.

- Nie jestem dobrym mówcą - zaczyna Bill, gapiąc się w ścianę.

- Wiem, że nie jesteś. Pomyślałeś więc, że musisz mnie okłamywać i udawać jakiegoś cholernego Anglika w Paryżu. Czy to dlatego, że chodziłeś do szkoły z internatem? Do szkoły dla chłopców? W tym tkwi problem? Nie winię cię. Mówią, że to utrudnia nawiązywanie kontaktów z kobietami. W każdym razie takie mówi Hilary. I wie co mówi, bo spotykała się z facetem z Kings. Po prostu nie rozumiem, dlaczego musiałeś zrobić mi najgorszą możliwą rzecz w najgorszym możliwym momencie. To tyle.

Przez chwilę się nie odzywam. W końcu patrzy na mnie.

- Jeden z powodów, dla których trudno mi z tobą rozmawiać, to to, że ty nigdy nie pozwalasz mi mówić.

- Słucham?

- Mówisz za mnie. Nie pozwalasz mi mówić.

- Ależ pozwalam ci mówić! To po prostu ty nigdy nic nie mówisz. Jak dotąd, nigdy nic nie mówiłeś.

Poza komputerem, dodaję w myślach. Bawię się meszkiem na rękawie sukienki, gładzę go jak Roger swoje futerko.

- A co, jeśli pozwolę ci mówić przez godzinę i nie będę ci przerywać?

Bill uśmiecha się, zdrową ręką gładzi się po szczęce w pobliżu blizny. Dociera do mnie, że teraz będzie miał dwie rany, żeby móc się popisywać.

- Nadal będzie mi trudno mówić. Ćwiczyłem cały wieczór. Myślałem, że porozmawiamy jutro.

- Więc wiedziałeś, że musimy porozmawiać?

- Po to tu przyjechałaś. Kiwam głową.

- Widziałam rozmowę, którą nakręciły z tobą Didi i Jodie. Całość, a nie tylko ten

kawałek, który wykorzystaly.

Wzrusza ramionami.

- To była wiadomość dla mnie, prawda? Niezależnie od tego, czy to było świadome, czy nie. I ja ją rozumiałam. Starsza pani z czerwonym makiem, na dworcu Grand Central. To całe gadanie o miłości w przebraniu.

- Mogę ci w takim razie powiedzieć? - Co?

- Wszystko.

Wybaczcie, że nie skoczyłam na niego z wdzięcznością, błagając, aby wyjawiał wszystko, ale po prostu nie wiedziałam, czy chcę to usłyszeć. Może dlatego, że cokolwiek powie, będzie to ostateczne. Może to oznaczać zakończenie albo początek. I sama nie wiem, ale zdaje się, że myśl o początku wydaje mi się bardziej przerażająca.

Wsuwam nogi pod koc i opieram się o ścianę. Widzę, że w miejscu, gdzie w swoim pokoju jego siostra trzymała leśną lampkę, u niego stoi taka w kształcie kija do krykieta.

- W każdym razie - wzdycha ciężko - współczuję ci.

- Ty mi współczujesz. Och, przepraszam.

Znowu nie daję mu dojść do słowa. Bill ma rację, nie mogę się powstrzymać.

- Widziałem, jak mówiłaś do siebie, kiedy wyrzucałaś śmieci. A może mówiłaś do Boga.

- Nie wierzę w Boga, więc raczej nie mogłam mówić do niego. Bill patrzy na mnie.

- Nie będę ci już więcej przerywać.

- W każdym razie do kogoś mówiłaś. Pomyślałem: Właśnie z kimś zerwała. Tak jak ja. I wtedy zaczęłaś dawać mi rzeczy do naprawy i poprosiłaś o pomoc przy komputerze. Zapłaciłem za naprawę automatycznej sekretarki...

Ponieważ nie wolno mi się odzywać, robię przerażoną minę.

- A potem usłyszałem, jak ty i twoje przyjaciółki rozmawiacie, i domyśliłem się, że to ja jestem tym specem. Twoim zdaniem pozostali faceci w Sydney to frajerzy. Więc pomyślałem sobie: wypchaj się. Miałem dość. Moja była nadal do mnie pisała. To było o wiele prostsze niż z tobą. Ma na imię Beth.

Milknie na minutę i drapie rękę pod bandażem.

- Beth naprawdę była w Paryżu i naprawdę mieszkała w Clichy. Dlatego przyszło mi to do głowy. Powinienem był wpaść na lepszy pomysł, ale nie dałaś mi czasu. Po prostu pobiegłem na górę i to zrobiłem - Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo wiedziałem, że nikt nie wejdzie na twój kanał, a nie mogłem myśleć o tym, że będziesz czekać przez całą noc. Wtedy to samo zaczęło się dziać, żyć własnym życiem. Im

więcej do mnie pisałaś, tym bardziej chciałem ci odpisywać, jakbym nagle zyskał wyjątkową swobodę działania. Jakbyś - porusza się na poduszkach - była dziewczyną, w której człowiek się zakochuje, tylko na nią patrząc, o której zaczyna myśleć zamiast o swojej byłej. Zamiast przechodzić przez to wszystko, kiedy nie wiesz, czy ona czuje to samo, i kiedy się martwisz, że ona naprawdę cię nie lubi... Rozumiesz. I nagle ona jest z tobą - przez komputer - i wszystko jest proste.

Przemiana jest niesamowita. Teraz mówi tak, jak w filmie Jodie. To dziwne. Prawie jakbym rozmawiała z Pierre'em. Nie pisała na klawiaturze, tylko naprawdę rozmawiała.

- Po pierwszej nocy - mówię - nie miałeś ochoty powiedzieć mi, że to ty, i wszystkiego wyjaśnić? Przynajmniej moglibyśmy coś zacząć.

Bill patrzy mi prosto w oczy.

- Niczego byśmy nie zaczęli - wzdycha. - I nie mów, że pogodziłabyś się z tym. W każdym razie potem wpadłem na wspaniałą, romantyczny pomysł.

- To znaczy?

- Kupiłem dla ciebie bilet do Paryża.

- Co takiego?

Wzrusza ramionami i znowu układa sobie ramię.

- Jeden już miałem. Dla siebie. Kupiłem go, bo przyszedł mi do głowy zupełnie szalony pomysł. Postanowiłem, że pojedę tam i ją zdobędę.

- Gumową Zatyczkę.

- Tak, Beth. Podobało mi się, kiedy nazywałaś ją Gumową Zatyczką, bo wtedy mniej - sam nie wiem - mniej dla mnie znaczyła. W tym czasie ona jednak wyjechała, pojechała do Niemiec z jakimś facetem, którego poznała, podróżując. Miałem więc jeden bilet. Zamierzałem go zwrócić. I wtedy pomyślałem...

- Hmm?

Gdzieś w mojej głowie łasica z leśnej lampki piszczy: „On ci kupił bilet do Paryża! On ci kupił bilet do Paryża!” .

- Cóż... - wzdycha. - To miało być właśnie TO. Zaproszenie od czarującego, tajemniczego, fascynującego Anglika Pierre'a Dubois - o całe niebo bardziej interesującego ode mnie - żebyś spędziła z nim romantyczny weekend w Paryżu. A potem na lotnisku zobaczyłabyś mnie. Ja miałbym wielki bukiet róż i byśmy...

Nie może się zmusić, żeby powiedzieć „żyli długo i szczęśliwie”. Siedzimy przez chwilę w milczeniu. W końcu Bill mówi coś jeszcze.

- Zrozumiałem, że nic by z tego nie wyszło.

- Racja.

- Dotarło to do mnie. - Racja. Dlaczego?

- Bo ty nie szukałaś miłości, ty szukałaś ślubu. Jakiegokolwiek ślubu. Jakiegokolwiek mężczyzny. Byle tylko nie był - sama wiesz - pedofilem, nie nosił czapki daszkiem do tyłu, nie był zbyt stary i tak dalej. A ty nie mogłabyś mieć więcej niż trzydzieści dziewięć lat i jedenaście miesięcy, rzecz jasna.

Czuję się, jakby mnie walnął obuchem w łeb.

- Słyszałaś!

Kiwa głową i znowu wzdycha.

- Słyszałem. Przez przypadek.

Myszę o tym, jak otworzyłam tamto pudełko po butach w stodole i spuszczałam wzrok.

- Byłyśmy pijane - mówię przez zaciśnięte zęby. - Przykro mi. Jesteśmy starymi przyjaciółkami, upijamy się - i już.

- Nie chodzi tylko o to, ale o to, co potem napisałaś.

- Co takiego?

- Kiedy tylko znajdzie się swojego mężczyznę lub kobietę, powinno się go od razu związać i oznaczyć, Pierre. Bo wtedy szybciej będziesz miał ślubny tort i białe zamszowe pantofle.

Wstaję.

- Ty cholerny łajdaku. - Ćśśś!

- Dobra, powiem to w takim razie szeptem. Wydrukowałeś to sobie i trzymałeś, żeby użyć potem przeciwko mnie.

- W takim razie ty mi powiedz - mówi Bill normalnym tonem - dlaczego wszyscy twoi mężczyźni okazali się takimi draniami? A potem Jodie powtórzyła mi pewnego wieczoru, co powiedziałaś do kamery, że się zabijesz, jeśli nie wyjdiesz za mąż przed czterdziestką.

- Cholera jasna, ale z ciebie geniusz. To był żart, ty kretynie, żart. Możesz po prostu...

I tyle. Teraz już krzyczę. I owszem, trzaskam drzwiami, chociaż jest po trzeciej nad ranem i to nie jest mój dom. To koniec. Definitywny koniec.

Nietrudno nie spać całą noc, kiedy człowiek leży zwinięty w kłębek na stosie starych ubrań na twardej podłodze, na strychu stodoły.

Cóż, nie zostałam w pokoju Emmy. ‘

Myślę sobie tak: skoro Bill ma zabandażowaną rękę, nie da rady wejść za mną po drabinie, prawda? Więc tu jestem bezpieczna. Względnie. Przynajmniej dopóki w tej zapomnianej przez Boga i ludzi dziurze nie wstanie słońce i dopóki nie złapię okazji do Urunga, żeby zaczekać tam na pociąg (który pewnie przejeżdża tamtędy tylko raz dziennie, ale nic mnie to nie obchodzi).

Nie jadę nad Zatokę Byrona. Wracam do domu. Mam dość. Gdyby nie było ciemno, mokro i strasznie zimno i gdybym nie miała na sobie tej idiotycznej czerwonej aksamitnej sukni wieczorowej, poszłabym już teraz piechotą. Wszystko, byle się znaleźć jak najdalej od Billa Specy McGinleya.

Myślałam, że już wszystko wiem o mężczyznach. Lęk przed zaangażowaniem. Uzależnienie od seksu. Obsesyjne kłamstwa. Ale to jest mistrzostwo świata w dziedzinie relacji damsko - męskich. A co śmieszniejsze, ja go nawet nigdy nie pocałowałam. Nie mogę płakać i nie będę.

Odmawiam. Jestem zbyt zmęczona. Szkoda mi moich płynów ustrojowych. On nie jest tego wart.

Nie śpię. Przeglądam stos starych komiksów z Richie Richem w świetle latarki Gumowej Zatycki, którą Bill tu zostawił.

Zapomniałam już o tych wspańiałych reklamach Sea Monkey, które zawsze dawali na tylnej okładce. Gdzie te szczęśliwe czasy, gdy wystarczyło, żeby dziewczynka sprzedała kilka paczuszek nasion swojej rodzinie i sąsiadom, a już zarabiała dość punktów, żeby dostać suszarkę do włosów, nadmuchiwaną łódź podwodną albo kosz do koszykówki.

To miało mi pomóc się nie rozplakać, ale działa wręcz przeciwnie. Wspomnienia z dzieciństwa sprawiają, że chcę naprawdę tam wrócić. I to natychmiast. Wtedy było bezpiecznie. Bioniczna Kobieta* [The Bionic Woman - telewizyjny serial sensacyjny, którego bohaterka jest tajną agentką, obdarzoną nadprzyrodzoną mocą.] miała Mężczyznę za Sześć Milionów Dolarów* [Six Million Dollar Man - telewizyjny serial przygodowy, którego bohaterem jest cyborg.] i wiedziałyście, że któregoś dnia spotkacie miłość swego życia.

Ciekawe, czy Bill już zasnął? Pewnie tak. Widziałam, że ma przy łóżku paczkę tabletek przeciwbólowych. Przy odrobinie szczęścia ten drań będzie otepiał aż do jutra. A

wtedy koniec. Wracam do Sydney i już nigdy w życiu mnie nie zobaczy. Nie mogę nawet myśleć o swoim mieszkaniu.

Wezmę kawalerkę tej śmiesznej kobiety, która ma trzy szczotki do sedesu. Wszystko, byle nie skradać się do własnego mieszkania ze świadomością, że ktokolwiek wprowadzi się piętro wyżej, będzie słyszał każde moje cholerne słowo.

Szkoda, że nie ma tu Rogera, byłoby z kim pogadać.

- Jak on śmie?

Pewnie Bill ma rację, ja rzeczywiście mówię do siebie. Potem jednak myślę, wściekle się wierząc, żeby znaleźć wygodną pozycję na stosie starych ciuchów, że to jego wina. Nie powinien był słuchać.

Co miał na myśli, mówiąc, że mi współczuł?

I sposób, w jaki wszystko wyrwał z kontekstu. Nie jestem uzależniona od ślubu. Nie jestem. Zapytajcie Dana. Zapytajcie kogokolwiek. Dobra, w porządku, nie pytajcie Dana. Ale zapytajcie Liama. W końcu spędziłam z nim nieprzyzwoity weekend w hotelu, prawda? Nie sądzę, żebym wspominała o małżeństwie, zgadza się? A co z Leonem Mercerem, wiecznym studentemradykałem? On zaświadczy na moją korzyść w sądzie. Jeśli dobrze pamiętam, zdążyliśmy omówić sprawę poligamii w Nimbin, zanim skończyłam dwadzieścia pięć lat.

Zachowam dystans do tej cholерnej nocy. Na pewno.

Zgrzytanie zębami zajmuje mi czas do piątej rano, kiedy odzywają się miejscowe koguty - a może to zabłąkana grupa renegatów z imperium przemysłowego Sknerusa McKwaka Nawozy Kwa - Kwa?

Mam torebkę, czerwoną suknię wieczorową z aksamitu i przemoczone czarne buty. Właściwie czego więcej potrzebuje copywriter, wolny strzelec łamane przez kobieta lat dziewięćdziesiątych?

Wstaje słońce, widzę już drogę i na pewno jakiś idiota podwiezie mnie ciężarówką. Bądź odważna, bądź silna, udawaj, że jesteś Scarlett O'Hara.

Schodzę po drabinie. Nie dbam już nawet o węże.

Jakaś część mnie nie może się powstrzymać przed strachliwym kuleniem, gdy wyslizguję się ze stodoły. Czy Bill gdzieś tu na mnie czyha? Nie, dom jest senny i cichy. Gdy pies - nie, nic nie mówcie - nazwali go Owczarek - zacznie szczebrać, ja zdążę już wyslizgnąć się i oddalić od farmy McGinleyów z wdziękiem, stylem i godnością. Kiedy idę wśród pomalowanych na biało opon, potykam się i ląduję na kolanach na podjeździe. ' - Cholera jasna, Sherlocku!

Au! Zaczyna padać. Poważnie. Jak mógłby w tym momencie powiedzieć Graham,

wielbiciel Queen i chrześcijan w jednym, Belzebub zesłał mi diabła.

Kiedy wlokę się drogą do Dorrigo w czerwonej sukni Emmy McGinley, myślę, że może to koniec. Najwyraźniej wszystkie moje życiowe problemy są bezpośrednim następstwem wieczoru, gdy rzekomo wyrzucałam śmieci i rzekomo mówiłam na głos coś w rodzaju modlitwy. Nie powinnam wyrzucać torby pełnej puszek po kocim żarciu i innych śmierdzących śmieci, wzywając Boga nadaremnie. Nie, żebym to wydarzenie w ogóle pamiętała, rzecz jasna.

Krok za krokiem, z mozołem. Oczywiście, chciałabym wierzyć, że wyglądam teraz jak bohaterka Thomasa Hardy'ego, ale dlaczego minęła mnie właśnie furgonetka z czymś, co wyglądało jak nagie męskie pośladki przyciśnięte do szyby?

Nienawidzę Dorrigo. Nienawidzę wsi.

Wreszcie gdzieś pomiędzy Kwaczącym McKwakiem - czy jak mu tam - a znakiem drogowym wskazującym jakąś niemrawą rzeczkę słyszę cudowny odgłos zwalniającego samochodu. W środku siedzi kobieta. Coś do mnie mówi, odkręcając szybę.

Bogu dzięki, nawet jeśli był dla mnie tak okrutny. Mrugam, żeby pozbyć się deszczu z oczu, podkasuję przemoczoną wieczorową suknię i z trudem podchodzę.

- Podwieźć panią? - pyta kobieta. Wygląda jak dobra mama. - Wydaje mi się, że Emma McGinley miała to na szkolnej zabawie.

Pięć kilometrów dalej, gdy wciąż leje jak z cebra, dowiaduję się, że kobieta jest jedną z hipochondrycznych Pascallów.

- Żartuje pani - mówię.

A potem zdaję sobie sprawę, że jedyni ludzie, którzy tu mieszkają, to albo McGinleyowie, albo Pascallowie. Wobec tego nie jest to aż tak niezwykle.

- Ma pani szczęście, że mnie pani spotkała - odzywa się kobieta. - Dopiero co wyjechałam po mleko.

- Nie sądziłam, że sklepy są otwarte o tej porze. To dobrze, kupię sobie ręcznik.

- Nie, jadę na farmę.

- Och, racja.

Jest chyba zbyt dobrze wychowana, żeby szturchnąć mnie pod żebro i zaśmiać się „ech, wy mieszczychy”, ale wiem, że ma na to ochotę.

- Pani ucieka - zauważa.

- Tak. Właściwie tak.

Kobieta czeka, aż powiem coś więcej. A niech to, myślę sobie.

- Bill McGinley tak mnie obraził, że wracam do domu. - Nie Bill, tylko Col.

- Właśnie, że Bill.

- Myślałam, że Bill jest taki spokojny! - Kobieta zaczyna się śmiać. - To zwykle Col rozrabia.

- Aha... Jaki ojciec, taki syn.

A potem zamykam się. Jestem po prostu zbyt zmęczona, żeby rozmawiać. W końcu dojeżdżamy do stacji kolejowej. Myślę, że pani Pascall musiała zboczyć jakieś czterdzieści kilometrów ze swojej trasy, ale jestem przekonana, że będzie się karmiła tą historią tygodniami.

No i dobrze. Mam nadzieję, że Bill będzie się czerwienił aż do śmierci. Mam nadzieję, że McGinleyowie spotkają się z powszechnym potępieniem, a kobietom z tej rodziny nie będzie wolno grać w drużynie piłki nożnej w Dorrigo. Mam nadzieję, że imperium McKwaka przejmie ich ziemię.

Hipochondryczna pani Pascall macha do mnie i odjeżdża. Teraz pozostało mi już tylko czekać na pociąg w mokrej czerwonej sukni z kretyńskim komiksem Richie Rich do czytania. Paryż? Phi, kogo to obchodzi?

Po chwili znajduję budkę telefoniczną i proszę operatorkę o numer do biura Festiwalu Filmów Kobięcych nad Zatoką Byrona. Ku mojemu zaskoczeniu kobieta mówi „Proszę chwileczkę poczekać”, co oznacza, że biuro imprezy nie mieści się jednak w domku na drzewie.

Wiadomość na trzeszczącej automatycznej sekretarce po drugiej stronie ciągnie się i ciągnie, i ciągnie. Informacje na temat dojazdu, program festiwalu, regulamin kempingu i z jakiegoś powodu, data najbliższej pełni księżyca. Nagrywam się krótko, ostro i słodko:

„Tu Victoria Shepworth. Mam wiadomość dla Jodie, Didi, Hilary, Paula i Rogera. Wracam do Sydney. Nie mam swoich ciuchów, więc założyłam czerwoną, aksamitną suknię wieczorową. Kiedy mnie znajdziecie, mogę już nie żyć z powodu zapalenia płuc. Dzięki. Miłego poranka”.

Nie pozostaje mi nic innego, jak się śmiać. W przeciwnym razie nie tylko wypłacę sobie oczy, ale jeszcze skończę jako sześćdziesięciolatka w kawalerce z dwiema papużkami, które będą dziobały mi pas do pończoch.

Właśnie pracuję w domu nad broszurą dla salonu Robi, kiedy znad Zatoki Byrona dzwoni Hilary.

- Co ci się stało?

Cóż, mogę jej opowiedzieć albo długą historię, albo skróconą wersję.

- Bill to kretyn. - Och.

- Miał zamiar kupić mi bilet do Paryża.

- Naprawdę?

- Żeby się przyznać, że to on jest Pierre'em Dubois. A potem zmienił zdanie.

- Dlaczego? - - Bo pomyślał, że szukam męża. Bo uważa, że poluję na faceta.

Właściwie to sądzi, że wszystkie polujemy na faceta.

- Ale dlaczego?

- Bo podsłuchiwał wszystkie nasze cholerne rozmowy i wyrwał z kontekstu co do niego napisałam. I jeśli o mnie chodzi, to dlatego, że jest mizoginem, który stara się zrujnować mi życie.

Słyszę, jak Hilary oddycha z ulgą.

- A jak tam na festiwalu? - pytam.

- W porządku.

- Jak się ma Roger?

- Okazało się, że jest gejem. Podejrzewamy, że dobierał się do Borisa, czarnego kocura z budki z frytkami.

- W takim razie pasuje do mnie. Nawet on mnie nie zechce. Żegnamy się i odkładam słuchawkę.

Muszę przyznać, że dopóki Hilary nie zadzwoniła, w ogóle nie byłam wściekła. Bill jest dla mnie tym samym co Liam albo Dan. Pouczającym doświadczeniem. Za kilka lat, kiedy kogoś spotkam - a spotkam, teraz jestem o to całkiem spokojna - spojrzę na to wszystko i zrozumieć, że tak musiało być. To część mojej drogi, która w 2002 albo 2003 roku doprowadzi mnie do mężczyzny. Tyle zdążyłam do tej pory zrozumieć. Mężczyźni są jak objawy chorobowe albo nawet jak symptomy zdrowia. Mówią wam, do czego jesteście zdolne, albo co robicie ze swoim życiem. Jeśli spotkacie faceta z nudnościami, przemęczonego, to dlatego, że coś złego dzieje się w waszym wnętrzu, a on jest tylko tego znakiem.

Jeśli trafia się wam mężczyzna, od którego różowieją wam policzki i krok staje się

bardziej sprężysty, to dlatego, że zaszła w was przemiana. Dostajecie to, na co sobie zasłużyliście.

Dan, Liam i Bill - trzy niedobre symptomy jeden za drugim - mająmi tylko przypomnieć, że coś złego dzieje się ze mną. Właśnie od tego muszę zacząć. Nie od armii rozwiedzionych facetów po czterdziestce. Od siebie.

Kilka dni później Hilary i Paul wracają wcześniej rano. Zostawili Jodie i Didi, aby cieszyły się świeżo zdobytą reputacją radykalnych artystek filmowych.

- Paul musi się przygotować do kolejnego spływu - mówi Hilary, kiedy znowu dzwoni i dodaje:

- Wybiera się do Tasmanii.

- Czym on się zajmuje?

- Rządowa posadka. Nie ma nic lepszego - odpowiada. - A tak przy okazji, co ty kombinujesz?

- Nic. Ministerstwo zdrowia odpisało mi w sprawie pracy.

- Świetnie.

- Aha. Zapłacą mi tyle, ile wynosi mój miesięczny czynsz.

- Super.

- Myślałam, że się stąd wyprowadzę, ale znowu zmieniłam zdanie. - Wzdycham. - Nie mogę się zdecydować.

- Ono naprawdę śmierdzi. Jej mieszkanie.

- Biedna kobieta.

- Biedna kobieta.

Kiedy to mówię, myślę o niej, nie o sobie. Ja, Victoria Szczęśliwa Samotna Shepworth, nie mam zamiaru tak skończyć.

- Chcesz, żebym wpadła? - pyta Hilary. - No.

- Właściwie to muszę, bo mam Rogera.

- Och! - Czuję się winna, że o niego nie zapytałam.

- W każdym razie niedługo się zobaczymy.

Kiedy przyjeżdżają, oboje - Hilary i Roger - mają podobne miny, wyrażające zadowolenie z siebie i cichą satysfakcję. Podejrzewam, że Roger uśmiecha się z powodu Borisa, a Hilary z powodu Paula. Siadamy na kanapie, o której nie chcę już myśleć jako o miejscu nawiedzonym wspomnieniami złych związków, i rozmawiamy o festiwalu filmowym.

- Podejrzewam, że w przerwie wszyscy składaliście ofiarę Wielkiej Bogini - mówię.

- Wcale nie.

Przez chwilę Hilary wygląda na zirytowaną.

- To byli normalni ludzie. Tak normalni jak ty i ja. Zastanawiam się nad tym.

- Musisz skończyć z tymi stereotypami, Vic. - A Jodie i Didi?

- Jodie i Didi są dziwaczkami, zgadza się. Ale to nie znaczy, że wszyscy wokół nich są też dziwakami.

- Ale to gadanie o pełni księżyca na automatycznej sekretarce? Co to był za festiwal filmowy?

- Ty jesteś dziwna, ja jestem, cały świat jest dziwny. Nawet Paul. - Nawet Paul?

- Będzie pierwszym mężczyzną w historii, który przyłączy się do Koła Kobiet.

Muszę poczekać, żeby to do mnie dotarło.

- Dlaczego?

- Bo tyle o tym mu opowiadałam, że doszedł do wniosku, że chciałby sam spróbować.

- A one mu pozwolą? Hilary wzdycha.

- Wbrew powszechnej opinii, Koło Kobiet to nie trzy wiedźmy z *Makbeta* tańczące wokół wielkiego kotła.

- Przepraszam.

Wychodzę, żeby zrobić herbatę, a ona krzyczy do mnie:

- Też powinnaś przyjść. Wystawiam głowę przez kuchenne drzwi. - Nie, dziękuję.

- Powinnaś. Dużo by ci to dało.

- To nie ja, w porządku? To ty, Natalie, Jodie i Didi, ale nie ja. Specjalnie wspominam o Natalie i Hilary dobrze o tym wie.

- A co innego masz do roboty?

- Kiedy na przykład?

- We wtorkowe wieczory. Nie zamieszam jej herbaty.

- Proszę - stawiam ostrożnie kubek na podłodze. - We wtorkowe wieczory? Zobaczmy... Myślę, że będę na medytacji.

- Ty?

- No, a w co drugi wtorek mam zamiar siedzieć w domu, oglądać telewizję, a potem się zrelaksować i spędzić miło czas w samotności. To inny rodzaj medytacji. W porządku?

- Skoro tak...

Wygląda na zakłopotaną. I dobrze.

Nie może to jednak trwać w nieskończoność.

- Skłamałam - wzdycham. - Nie mam nic do roboty we wtorkowe wieczory. Nie

planowałam nawet, że będę oglądać telewizję. W porządku? Ale to nieważne. To mnie nie obchodzi.

- Nie chodzi o to, że ja mam faceta, a ty nie? - Nie.

- W takim razie przyjdź na spotkanie Koła Kobiet. - Och...

Czuję, że się łamię. No bo właściwie nic mi się chyba nie stanie? Paul też przychodzi. Może tam będzie ktoś, kto miał anoreksję? Potrzebują czegoś do broszury, nie? To jest miejsce, w którym człowiek może spotkać mnóstwo osób z zaburzeniami jedzenia, prawda? A może znowu myślę stereotypami? - A możesz mnie podwieźć? - błagam.

Dwa tygodnie później, po tym jak Paul wrócił z raftingu, a Jodie i Didi znad Zatoki Byrona, przygotowuję się na mój pierwszy wieczór w Kole Kobiet.

Zanim wyjdę, idę do automatycznej sekretarki i robię coś, co zawsze chciałam zrobić.

Nagrywam wiadomość, która informuje cały świat, że dziś wieczór będę na spotkaniu Koła Kobiet w Paddington, a w środę wieczorem w Newtown na lekcji karate. Cóż, będę, bo już za nie zapłaciłam.

- Weź ze sobą koc i załóż coś wygodnego - radzi mi przez telefon Hilary.

Jęczę cicho.

- Wiedziałam. Będziemy leżeć i robić te nawiedzone ćwiczenia. Jakaś studwudziestokilowa lesba siądzie na mnie i mnie zmiażdży.

- Przestań. Zabieramy cię o siódmej. Didi prowadzi.

Jest zbyt ciemno, żeby dobrze widzieć furgonetkę, ale Jodie zapewnia mnie, że musiały ją oddać do lakierowania po wypadku. Kiedy do niej wsiadam, przypomina mi się ten okropny weekend. Odkręcam szybę w oknie i wystawiam głowę. Oczy mi łzawią, kiedy obok śmigają światła Newtown.

- Dzięki, że się zdecydowałaś - wrzeszczy Paul ze swojego siedzenia.

Mrugam zaskoczona.

- Myślałem, że będę jedynym nowym facetem - dodaje.

Odwzajemniam uśmiech. On naprawdę jest jednym z nas. I podejrzewam, że z wielu powodów, skoro zdecydował się chodzić na spotkania Koła Kobiet.

Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, wszędzie widzę wysiadające z samochodów kobiety. Szukam furgonetki podobnej do naszej, w której byłyby osoby podobne do Jodie i Didi, ale parking pełen jest wozów, jakie można zobaczyć przed supermarketem. Właściwie wszystkie kobiety też wyglądają jak klientki w supermarkecie. Normalnie. Gadają bez przerwy. W zasięgu wzroku żadnych spodni z pieluchy.

Całą grupą podchodzimy do budynku. To jedna z tych starych szkół, które przerobiono na dom kultury. Kiedy mijamy jedne drzwi w korytarzu, Paul poklepuje je przyjacielsko.

- To sala, w której odbywały się kiedyś spotkania na temat raftingu - wyjaśnia mi Hilary.

Nasza sala jest wielka. Na podłodze leży okropny pomarańczowobrazowy dywan z lat siedemdziesiątych. Na ścianie wisi biała tablica, na której ktoś niebieskim mazakiem

narysował kółko i podpisał KOŁO KOBIET. Z powodu jarzeniówek wszystkie twarze wydają się lekko żółtawe.

Wszyscy siadają w luźnym okręgu i my robimy to samo. Jodie obok Didi, Hilary obok Paula, a ja obok oszałamiająco pięknej kobiety obciętej na pazia a la Linda Evangelista. Więc jednak można w tej fryzurze dobrze wyglądać.

Pod warunkiem, że nie jest się mną.

- Nazywam się Georgia - uśmiecha się piękna kobieta. Zaczynamy. Ku mojemu zaskoczeniu Georgia okazuje się Naszą Liderką.

- Co tydzień przychodzi na kogoś kolej - szepcze Hilary do Paula, który zerka na mnie, żeby sprawdzić, czy słyszałam.

Georgia zaczyna od tego, że przynosi z korytarza wielki zielony kosz na śmieci i stawia go pod tablicą. Nastolatka w drelichach, z kręconymi włosami, grzecznie wyjmując z ust gumę do żucia, wstaje, podchodzi do kosza i wyrzucają.

Sala wybucha śmiechem.

Patrzę na Paula. Paula patrzy na mnie. Co jest grane?

- Kosz - wyjaśnia Georgia, ciągle jeszcze chichocząc - jest, rzecz jasna, na gumę do żucia i inne rzeczy, które ze sobą przynieśliście. Chciałabym przywitać nowe osoby w Kole Kobiet...

Paul rozpromienia się, a ja wbijam wzrok w podłogę.

- ... i pozostałych, którzy są dziś z nami. Jednak... - w tym momencie Georgia przestaje się uśmiechać i poważnieje. - kosz jest dzisiaj częścią naszych warsztatów.

O nie, myślę sobie. Jeśli się było niegrzecznym, to trzeba będzie do niego wejść.

- Chciałabym, żeby dzisiaj każdy wyrzucił tu swoje śmieci.

- Super! - woła Didi.

- A mówiąc o śmieciach - ciągnie Georgia, uśmiechając się leciutko, gdy słyszy zachwyt Didi - mam na myśli wszystko to, co powstrzymuje was przed robieniem w życiu tego, co chcielibyście robić. Wszystkich ludzi, którzy stają wam na drodze. Wszelkie przeszkody. Wszystko.

Robi się zimno. Cieszę, że Hilary zmusiła mnie, żebym wzięła koc. Nawet jeśli jest to stary kocik Rogera, którym przykryłam Billa.

Georgia zaczyna rozdawać kartki i ołówki.

Biorę jedną i resztę podaję Paulowi. On, kiedy tylko dostaje papier, zaczyna gryzmolić. Cwaniak. Widzę, że Hilary zerka mu przez ramię.

Wkrótce wszystkie kobiety gryzą w zamyśleniu końcówki ołówków, zapisują coś na

kartkach, coś wykreślają.

Patrzę na swoją pustą kartkę. Czuję się, jakby znowu zaczęła się kampania z frisbee dla Breakfast Grits. Ratunku!

Paul przestaje bazgrać i uśmiecha się.

- Nie możesz niczego wymyślić?

Już mam powiedzieć, że rzeczywiście nie mogę, przynajmniej nie w tym miejscu, kiedy nagle przychodzi mi na myśl jednocześnie z pięćdziesiąt rzeczy.

To, co powiedział mi wtedy ojciec przez telefon: „Victorio, nie możesz za każdym razem szukać ideału. Ktoś taki nie istnieje. Po prostu znajdź sobie miłego faceta i bądź z nim szczęśliwa, ble, ble, ble”.

To, co mówiła matka, że mężczyźni są jak autobusy i jeśli czeka się dostatecznie długo, to w końcu jakiś się zjawi.

A potem zapisuję jedną rzecz wielkimi literami: POCZYTAJ MI, MAMO.

I już nie mogę się powstrzymać. Greg Daly, Anthony Anderson i Jamie Streeton. Śmieszna kobieta w śmierzdzącej kawalerce z trzema szczotkami do sedesu. Dan. (Muszę poprosić Georgię o jeszcze jedną kartkę, żeby zapisać to ostatnie).

I wreszcie to, co boli najbardziej, jedna rzecz, o której wiem, że powinnam ją wymienić przede wszystkim. To nie tylko śmieć, ale - można by rzec - cała hałda.

Patrzę na swoją kartkę. Coś się stało. Wszyscy się na mnie gapią.

Georgia uśmiecha się.

- Nie, wszystko w porządku. Patrzy na mnie ciepło.

- Niektóre z nas mają mnóstwo śmieci, których trzeba się pozbyć.

Ku mojemu zażenowaniu Didi głośno wyraża swój zachwyt. Paul podnosi rękę.

- Zastanawiam się, czy moglibyśmy sobie zrobić w jakimś momencie przerwę...

- Możemy ją zrobić teraz - mówi Georgia. - Ktoś ma coś przeciwko?

Wygląda to jak przerwa na karmienie w zoo w Taronga. Wszyscy podrywają się i pędzą do automatu z kawą. Zostawiają mnie piszącą dalej.

- Przyniosę ci kawę - szepcze do mnie Hilary.

Kiedy powoli zaczynają się schodzić, jestem już gotowa. Składam porządnie wszystkie kartki i układam przed sobą na pomarańczowobrazowym dywanie, a na wierzchu stosiku kładę ołówek. Proszę. Gotowe.

Czuję się, jakbym ostatnia skończyła pisać egzamin.

- Dobra - kojącym głosem mówi Georgia. - Czy ktoś chce się podzielić z resztą swoimi śmieciami, zanim je wyrzuci?

Jodie podnosi rękę.

- Uważam, że trzeba wyraźnie powiedzieć, że to jest w porządku, jeśli ktoś nie będzie chciał mówić o swoich śmieciach - proponuje. - Niektórzy mają naprawdę śmierdzące śmieci.

Boże, mam nadzieję, że nie mnie miała na myśli.

Wtedy wstaje nastolatka w drelichach, zagryza usta i odczytuje: „Egzema”. Mnie papier i wrzuca kulkę do zielonego kosza razem z kolejnym kawałkiem gumy do żucia.

Po niej czyta Georgia, która też ma swoją kartkę. Nie zauważyłam, kiedy spisywała swoje śmieci.

- Przekonanie, że jestem stara i do niczego - mówi wyraźnie i wrzuca kartkę do kosza, jakby to był głos na wyborach.

Patrzę na Paula, on na mnie. Ta kobieta jest cudowna. O czym ona, do cholery, mówi?

Potem już nic nie powstrzymuje ludzi. Wstaje Paul. Ma całą listę rzeczy, które najpewniej mają sens tylko dla niego. Imiona ludzi, nawet jeden adres. Hilary ściska jego dłoń, gdy Paul siada.

Ona sama wrzuca kartkę do kosza, nic nie mówiąc.

Jodie gada bez końca o swoim lęku przed sukcesem.

Didi wymienia tylko jedno nazwisko. Wiem, że to jej nauczyciel ze szkoły, który molestował ją, gdy miała piętnaście lat. Myślałam, że już się z tego otrząsnęła. Nie gniecie kartki, lecz drze ją na drobne kawałeczki.

Serce mi łomocze. Mam tyle kartek. Powinnam je po prostu wyrzucić?

W życiu człowieka przychodzi taka chwila, kiedy się wie: teraz albo nigdy. Wiem, że prawdopodobnie jestem ofiarą owczego pędu, i wiem, że będę żałować tego jutro rano. W końcu to jest zachowanie pijanej kobiety, nawet jeśli jestem zupełnie trzeźwa.

Mimo to wstaję i czytam.

- To są moje śmieci. Cześć. - Wszyscy słuchają i cierpliwie czekają. - Poczucie winy. Poczucie winy, bo chcę mieć ślub z białą suknią i welonem. Przed czterdziestką. Przykro mi, ale rzeczywiście tego chcę. To nie jest po prostu żart, naprawdę tego pragnę. Nie rozumiem, dlaczego mam się z tego powodu czuć źle. Tak mnie wychowano. I nadal tego pragnę. I jestem szczęśliwa sama. Teraz zaczynam rozumieć, w jaki sposób można żyć szczęśliwie w pojedynkę. Po prostu - czytam ten fragment uważnie, bo myślę, że wreszcie dobrze to ujęłam - mam prawo być romantyczna. Bez popadania w przesadę.

Wtedy otwierają się drzwi i wchodzi Bill z ręką na temblaku.

- Właśnie przejechałem taksówką pięćset sześćdziesiąt dwa kilometry prosto z Dorrigo, bo jestem w tobie zakochany i nic na to nie poradzę. Źle cię zrozumiałem.

Naprawdę, źle. Przepraszam.

W Kole Kobiet rozpętało się istne piekło.

Ponieważ nie możemy iść na spacer w Paddington - za dużo hałasu, za dużo samochodów i świateł - wsiadamy do autobusu i jedziemy na Circular Quay. A potem idziemy do Ogrodu Botanicznego.

- Jest teraz zamknięty, ale możemy obejść go dookoła - mówię.

Bill kiwa głową. Jak dotąd nie rozmawialiśmy wiele. Po tym, jak wyszliśmy z Koła Kobiet (musiałam go stamtąd wyciągnąć, nie mógł tam zostać) złożyliśmy się tylko na bilet autobusowy i tyle.

- Ile zapłaciłeś za taksówkę? - pytam.

- Pięćset dolarów. Facet dał mi zniżkę.

Idzie wolniej niż zwykle. Obolała ręka na pewno mu przeszkadza. Przechodzimy przez parking koło konserwatorium, mijamy afisze zapraszające na następny koncert Bacha. Jedziemy w kierunku małego, cichego parku na tyłach.

- Moglibyśmy przeskoczyć przez ogrodzenie - mówi Bill, zerkając na płot.

- Na pewno mają ochronę - odpowiadam.

Zabawne, jaki sprawy wzięły obrót. Kilka miesięcy temu upijałam się po drugiej stronie tego ogrodzenia z Liamem i próbowałam podjąć decyzję, czy chcę się spotykać z facetem niedojrzałym pod względem emocjonalnym.

- Skąd wiedziałeś, że tam byłam? - pytam.

- Zastawiłaś wiadomość na automatycznej sekretarce. Kazałem taksówkarzowi jeździć po Paddington, dopóki nie zobaczyłem na parkingu znajomej furgonetki.

- Wiesz, dopiero co spędziłam pół godziny, spisując wszystko, czego w tobie nie cierpię.

Bill patrzy na mnie, a potem na swoje stopy.

- Nie byłabyś sobą, gdybyś tego nie zrobiła - stwierdza. Wreszcie znajdujemy kawałek miękkiej trawy pod drzewem i siadamy. Przez ogrodzenie patrzymy na ogród botaniczny.

- Ukradłaś ulubioną sukienkę mojej siostry - zbiera się na odwagę Bill.

- Nie tylko.

Cisza. Chyba udało mi się rzeczywiście go przestraszyć.

- Powiedziałaś hipochondrycznej pani Pascall, że obraziłeś mnie i upokorzyłeś. Twoje nazwisko zostało zmieszane z błotem.

- Och, to... - Uśmiecha się. - Już i tak było. Nie martw się. Siedzimy przez chwilę, milcząc.

- Miałeś rację - wyrywa mi się.

- Z czym?

- To nie był właściwy moment. Gdybyś dał mi ten bilet do Paryża, byłaby to całkowita katastrofa.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy? Bill uśmiecha się.

- Wiesz, że nie umiem dobrze mówić. Mówiłem ci. Chodzi mi o to, czy chciałaś powiedzieć, że nadszedłby kiedyś właściwy moment?

Zastanawiam się i wzdycham.

- Nie wiem.

Bill pochyla się nade mną i całuje mnie. Wiedziałam, że to się stanie, ale mimo to była to taka niespodzianka. Taka, która człowieka kompletnie zaskakuje. Martwię się, że uciskam jego chorą rękę, więc odsuwam się.

- Właściwie to przyjechałem, żeby... - zaczyna Bill.

- Nie po to?

- Chciałem ci coś dać - wzdycha.

Chyba znowu nie pozwalam mu dojść do słowa. Bill sięga do kieszeni kurtki pod temblakiem. Wyciąga białą podłużną kopertę i mi ją wręcza.

- Nie kłóć się ze mną, po prostu weź to. Nie będzie mnie po drugiej stronie oceanu, nie martw się. Nie zobaczysz mnie już więcej, jeśli nie zechcesz.

Otwieram kopertę. To bilet linii lotniczych Qantas do Paryża.

- Możesz lecieć, kiedy chcesz. Patrzą na Billa.

- Wiedziałaś, że to mnie najbardziej zdenerwowało, prawda? Skinał głowę.

- Bo to był pierwszy... jedyny raz w moim życiu, kiedy mężczyzna był o krok od zrobienia dla mnie czegoś romantycznego i szalonego.

- I wtedy musiałem wyskoczyć z tym, jak to odstraszyłaś mnie swoim gadaniem o ślubach.

- I objechałam wszystkich facetów.

- Rzeczywiście, nieźle objechałaś facetów.

- Ale miałam swoje powody!

Dziwię się, ile bólu słysząc w moim głosie. Ten wieczór rzeczywiście jest dobry na wyrzucanie śmieci. Bill klepie mnie po ramieniu i wstaje.

- Co robisz?

- Wracam do hotelu.

- Nie możesz mieszkać w hotelu!

- Nie mogę wrócić do mieszkania. Pośrednik powiedział mi, że wprowadziło się tam już kilku facetów.

- Chodź, zostań u mnie. Nie mam nic przeciwko. Nie wygłupiaj się. Możesz spać na kanapie.

- Nie, naprawdę. Tak będzie dobrze. - Kręci głową. - Musiałem przyjechać i cię przeprosić. I zrobiłem to.

- Nie.

Tym razem to ja go całuję. Obejmuję go i staram się nie przewrócić ani nie urazić jego chorej ręki.

- Dzięki - mówi w końcu Bill.

- To naprawdę bilet do Paryża?

- Tak, to bilet do Paryża. - Wzrusza ramionami. - Zasłużyłaś na niego. Żeby dojść z farmy do Urunga w tej sukience. I to w taki deszcz.

- I znieść kretynizmy, które wygadywałaś.

- Właśnie.

Wkładam bilet do kieszeni.

- W takiej chwili nie mogę go nie przyjąć. Gdybym nie wstała i nie powiedziała całej zgrai obcych ludzi...

- Słyszałem. Masz prawo być romantyczna.

- Słyszałeś!

Śmieje się z siebie i znowu wzrusza ramionami.

- Taka już moja natura. Podśluchiwanie. Nic na to nie poradzę.

Siadamy jeszcze na chwilę. Wtedy coś do mnie dociera.

- Poczekaj.

Bill zerka na mnie.

- Przepraszam, ale muszę cię o to zapytać. - Tak?

- Wiem, powiedziałam, że mam prawo być romantyczką, ale mogę też myśleć rozsądnie. Dla odmiany.

- Więc?

- Miałaś dwa bilety do Paryża. Jeden dla siebie - kupiłeś go, żeby spotkać się z Gumową Zatyczką - i jeden dla mnie, który kupiłeś i...

- I nigdy ci go nie dałem. No tak. Wymieniłem je. - Na jeden?

- Na jeden.

- Więc nie okaże się, że kiedy tam przylecę, ty tam będziesz?

- Victorio! - Bill robi minę, która ma wyrażać szok. - Dlaczego ta myśl tak bardzo cię martwi? .

- Wcale mnie nie martwi. Przygląda mi się.

- No wiesz, teraz wszystko się zmieniło... Właściwie ciągle się zmienia... Chętnie bym cię tam spotkała. Ale te niespodzianki... Mam ich dość.

Kręci głową.

- Słowo porządnego chłopaka z Dorrigo, że to bilet dla jednej osoby - dla ciebie - i do jednego miejsca, do Paryża. Gdybym nie wymienił tych biletów, straciłbym trzy tysiące dolarów, zrób mi więc tę przysługę i weź go.

Udaję westchnienie.

- A co z moim prawem do romantyczności?

To śmieszne, ale kiedy idziemy George Street, żeby złapać taksówkę, jego dłoń znowu odnajduje moją i czuję się tak romantycznie, jak jeszcze nigdy w życiu.

- Chciałabym, żebyś poszedł do mnie i przespał się na kanapie - mówię ku własnemu zaskoczeniu.

- Nie, poważnie. Jutro wracam. - Wracasz?!

Z jakiegoś powodu serce podchodzi mi do gardła.

- A potem będę musiał znaleźć sobie znowu jakieś mieszkanie.

- W Sydney?

- Nadal trzymają dla mnie miejsce w pracy. Ale nie martw się. Moje dni w Newtown dobiegły końca.

Mija nas wolna taksówka, ale nie reagujemy.

- Złapiesz następną - mówi Bill.

- Zadzwoń do mnie?

- Oczywiście, że zadzwonię. Ktoś musi dopilnować, żebyś wyjechała.

- Zajmiesz się Rogerem, gdy mnie nie będzie?

- Tak. Jeśli ty zrobisz coś dla mnie. - Co?

- Załóżysz sobie z powrotem konto e - mailowe. Chcę do ciebie pisać, kiedy będziesz w Paryżu. Brakuje mi tego. Naprawdę mi tego brakuje, Victorio.

Jedno z nas za chwilę otrze łzę z kącika oka. I to nie będę ja.

- Taksówka.

Wsiadam, a on stoi na chodniku i odprowadza mnie wzrokiem. Patrę, jak Bill macha, aż czerwone światła za tylną szybą rozmazują się w purpurową smugę.

